

Kasey  
Michaels

**Pieniądze  
to nie  
wszystko**

*„Gdyby każdy wtrącał się tylko do swoich spraw —  
warknęła ochryple Księżna — świat kręciłby się  
o wiele szybciej, niż się kręci.”*

Lewis Carroll  
***Przygody Alicji w krainie czarów***  
(Przekł. Maciej Słomczyński)

# 1

Piękna i młoda właścicielka ośmiocyfrowego konta bankowego nie mogła mieć wielu znajomych, którzy by jej współczuli. Prawdę mówiąc, niewielu ludzi było w stanie nawet sobie wyobrazić, jak może wyglądać życie w wygodnej bańce mydlanej.

Zapewne dlatego Shelby Taite naprawdę zupełnie nie interesowało, co myśleli inni. Była nieszczęśliwa, lecz była to wyłącznie jej prywatna sprawa, wszyscy inni mogli się co najwyżej zamknąć i pozwolić jej żyć według własnych zasad.

Akurat - jakby to mogło się zdarzyć.

Stała właśnie w salonie rezydencji należącej do Głównej Filadelfijskiej Linii Taite'ów, a jej kochany i jedyny brat udzielał jej lekcji na temat obowiązków i powinności członka rodziny Taite. Był czerwiec, było gorąco, a ona miała na sobie bawełnianą sukienkę z kołnierzykiem w stylu Piotrusia Pana i kosztowne białe pantofle.

Posiadała kilkanaście par szortów, ale wszystkie nadawały się do noszenia jedynie na korcie tenisowym. Top, obcięte dżinisy i sandały z rzemykami były zdecydowanie nieodpowiednie dla osoby o jej pozycji społecznej. Ale nie w jej wyobraźni.

Każdy włos w naturalnym kolorze blond znajdował się na właściwym miejscu, gładko spływając jej na ramiona. Klasyczny styl Grace Kelly, tak jak i podobne do niej rysy czy pochodzenie. Rasowa - oto, jaka była Shelby Taite. Czystej krwi aż po czubki palców.

Ale jej garderoba i wygląd były jedynie częścią tego, co stanowiło o wyjątkowości Taite'ów. W istocie było tego więcej. Znacznie więcej.

Taite'owie nie brali udziału w wojnach - oni chodzili do szkół. Nie protestowali przeciwko wojnom, kiedy byli w szkołach. Nie ustanawiali mód ani za nimi nie podążali. Żaden z Taite'ów nie spędził ani jednej godziny w więzieniu. Albo na koncercie rockowym. Albo spacerując po ulicach. Albo - Boże broń - na wiecu politycznym. Posiadali telewizory, ale zawsze nastawione na kanał PBS.

Taite'owie mieli dobre maniery i odpowiednio się zachowywali. Byli starannie wykształceni i zadbani. Ich zdjęcia ślubne drukowano w najlepszych czasopismach. Ich dzieci uczęszczały do elitarnych prywatnych szkół. Ich przyjaciele wywodzili się z rodzin o podobnym statusie, a takich wcale nie było zbyt wiele.

Mężczyźni szli w ślady ojców i prowadzili rodzinne interesy, córki wychodziły korzystnie za mąż, a matki planowały bale charytatywne i konkursy krokietu.

Niedużo radości wynikało z faktu przynależności do rodu Taite.

- Słuchasz mnie, Shelby? Nie chciałbym być niemiły, ale zdaje się, że ty w ogóle mnie nie słuchasz.

Shelby odwróciła się od okna wychodzącego na nudne i zadbane ogrody na tyłach rezydencji i uśmiechnęła się do brata.

- Oczywiście, że słucham, Somertonie - powiedziała i przesunęła dłonią po włosach, odgarniając ciężki lok znad prawego ucha.

- Limuzyna będzie tu o siódmej i byłbym wdzięczny, gdybyś choć raz w życiu była uprzejma zejść na dół na czas, tak by nikt nie musiał na ciebie czekać. Zresztą, któż chciałby stracić choćby chwilę z tego wieczoru? - Somerton Taite odchrząknął nerwowo, nie patrząc na siostrę. - Nie zachowuj się w ten sposób, Shelby. Czy naprawdę o tak wiele cię proszę? Tylko żebyś była punktualna. I żebyś raczyła zdobyć się na ten mały wysiłek i dobrze się bawiła.

Shelby westchnęła i pokręciła głową.

- Nie, Somertonie, to niewiele. Wybacz mi. Ale to takie idiotyczne.

Taite'owie pozwalali sobie na używanie mocniejszych wyrazów, ale jedynie w starannej formie. Coś mogło być na przykład idiotyczne. Nie mogło być popieprzone. No, cóż. Nieważne.

Shelby nabrała dyskretnie powietrza i kontynuowała:

- W ilu balach charytatywnych należy wziąć udział, Somertonie? Czy jest jakaś norma? Kiedy uratujemy wystarczającą liczbę wielorybów albo drzew - czy może w tym tygodniu chodzi o jakieś bezdomne dalmatyńczyki? Czy nie przyniosłoby to większej korzyści, gdyby odwołać orkiestrę, kwiaty i poczęstunek, i po prostu wysłać czek?

Somerton nie znał odpowiedzi na te pytania. Skąd zresztą miałyby je znać? Byli Taite'ami. Należeli do czwartego pokolenia Głównej Filadelfijskiej Linii. Dlaczego chodzili na bale charytatywne? Ponieważ zawsze to robili i będą to robić w nieskończoność.

Starszy od siostry o cztery lata i niższy o dziesięć centymetrów, Somerton Taite był drobnym, przystojnym blondynem, którego subtelną urodę podkreślały jeszcze zaczesane na mokro włosy i trochę wodniste, błękitne oczy. Był typem męczyzny noszącego wyłącznie garnitury, nigdy sportowe marynarki, a jego tenisowe biele po prostu nie ośmielały się pognieść. Shelby była przekonana, iż brat nawet się nie pocił. W przypadku Taite'ów problem potu po prostu nie istniał.

Somerton zrobił kwaśną minę (bardzo dobrze robił kwaśną minę, zaciskając wargi i lekko je wykrzywiając), po czym usiadł na jednej z szeratonowskich sof, założył nogę na nogę i splótł ręce na piersiach. Policzek z dołeczkiem ledwo dostrzegalnie mu drgał.

Osobiście złamał jedną z zasad Taite'ów, wprawdzie niepisaną, ale to nieistotne. Wziąwszy pod uwagę fakt, że sam określał siebie jako osobę nieśmiałą, był to szczyt zuchwałości. Z pewnością całe pokolenia Taite'ów przewracałyby się w swoim marmurowym mauzoleum, gdyby już przed śmiercią nie byli tak sztywni i niewzruszeni, że przekręcenie się w ogóle było niemożliwe.

On i Jeremy, jego „bardzo bliski przyjaciel”, mieli to szczęście, że bycie gejem było w tym sezonie w modzie.

Właściwie powinien zignorować mały bunt siostry, ponieważ ona zaakceptowała Jeremy'ego bez mrugnienia okiem. Nie dociekał, co o tym zadecydowało, czy było to wynikiem jakichś ukrytych liberalno-demokratycznych skłonności, czy Shelby po prostu zupełnie nie obchodziło, co robi brat. Ta ostatnia możliwość zasmuciła go, więc czym prędzej wyrzucił ją z myśli.

Shelby wyczuła zdenerwowanie brata i uśmiechnęła się do niego, mając nadzieję, że wypadnie przekonująco.

- Och, Somertonie, przepraszam - powiedziała, siadając obok niego i obejmując go ramieniem. - Zapomniałam o mottcie Taite'ów, prawda? „Nie pytamy dlaczego, tylko podejmujemy wystawną kolację.” - Pocałowała brata w policzek, a następnie znów wstała. - Dziś wieczorem będę punktualnie, obiecuję.

Somerton spojrzał na nią. Ręce miał założone na piersiach, a wargi wyduęte.

- Nie, nie będziesz. Każesz nam czekać przynajmniej przez kwadrans. Wuj Alfred będzie sobie umiłał czas, wypijając kolejną szklaneczkę brandy, Jeremy będzie się niepokoić i kilkanaście razy zmieniać krawat, a Parker będzie dzwonić z klubu, podejrzewając, że zostałaś porwana. Myślę, że mogłabyś traktować swego narzeczonego z większym szacunkiem.

- Wiem, wiem - odpowiedziała Shelby, gotowa zgodzić się ze wszystkim, byle tylko mogła już opuścić salon i udać się do swego apartamentu na górze. Pokojówka na pewno przygotowała już dla niej kąpiel i rozłożyła suknię na łóżku. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że całymi dniami nie robi nic innego poza ubieraniem się, rozbieraniem i ponownym ubieraniem. - Ale nie martw się Parkerem, Somertonie. Chciałabym myśleć, że się niepokoi, bo nie może beze mnie wytrzymać nawet przez chwilę, ale oboje wiemy, że to nieprawda. Małżeństwo Taite-Westbrook będzie po prostu kolejną z długiej serii fuzji małżeńskich.

Somerton westchnął, wstał i objął ramieniem siostrę. Kochał ją, naprawdę ją kochał. Ale już jej nie rozumiał.

- Wiesz, że to nieprawda, Shelby. Parker zapewnił mnie, że jest w tobie szaleńczo zakochany i ja mu wierzę. To dobry, uczciwy człowiek pochodzący z porządnej rodziny i jego żona będzie szczęśliwą osobą.

Shelby wyslizgnęła się z objęć brata, zaskoczona swoją porywczością.

- Świetnie. Jeśli tak go lubisz, sam za niego wyjdź.

Somerton uśmiechnął się łobuzersko.

- Jeremy'emu to by się nie spodobało - stwierdził i rozejrzał się nerwowo po pokoju. Sprowadził przyjaciela do domu sześć miesięcy temu, oficjalnie przyznając się do ich związku. Ale to wcale nie znaczyło, że wyzbył się wrażeń, że jego świętej pamięci ojciec zaraz się pojawi i zacznie go okładać trofeum zdobytym w rozgrywkach jachtowych. - Może wuj Alfred wyszedłby za Parkera? Mógłby potraktować to jako przychód.

Shelby objęła brata i uścisnęła.

- Och, naprawdę cię kocham, Somertonie.

- I przyznasz, że jesteś niemądra? Przyznasz, że ty i Parker będziecie mieć we wrześniu piękny ślub, a potem piękne życie? W końcu to ty powiedziałaś „tak”, to ty zgodziłaś się na małżeństwo. Nikt cię nie zmuszał, byś wychodziła za niego za mąż.

Shelby westchnęła.

- Nie, oczywiście, że nie. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Uznaj to za tremę, dobrze? Przypuszczam, że po prostu narzeczeństwo bardziej kojarzyło mi się z romanssem, a mniej z chińskimi wzorami.

Dała bratu jeszcze jednego całusa i poszła na górę, obiecując sobie ubrać się i przygotować do wyjścia na bal, zanim przyjedzie limuzyna. Nawet jeśli miałoby ją to zabić.

## 2

Quinn Delaney oparł się o bok limuzyny, odchylił mankiet smokingu i spojrzął na zegarek. 19.30.

Już od dwudziestu minut obmyślał tortury stosowne dla Grady'ego Sullivana, swego partnera w D& S Security. Bo to była jego wina, że Quinn znalazł się tutaj, pełniąc funkcję ochroniarza Wstrętnych Bogaczy.

Nie tak się umawiali, do licha. To Sullivan zajmował się Wstrętnymi Bogaczami, bo kochał to i kierował firmą. Delaney występował jako ochroniarz biznesmenów, potentatów przemysłowych - przynajmniej do czasu, zanim nie zrezygnował z pracy w terenie na rzecz siedzenia w biurze przy komputerze. Nigdy nie interesowały go zlecenia, które wymagały włożenia smokingu i sprowadzały się do pilnowania bandy wytwornych kretynów, którzy przez całą noc jedli, pili i obgadywali się nawzajem.

Więc jak, do diabła, Grady mógł go tak urządzić?

Quinn zmarszczył brwi, a jego szare oczy zapaliły się gniewem, kiedy przypomniał sobie okładkę czasopisma, którą partner pomachał mu przed nosem kilka godzin temu.

- Popatrz na nią, staruszku. Tylko na nią popatrz. Miss Października. Lubi pudle i lody malinowe, nienawidzi hipokryzji, chce zostać biologiem morskim i pracować na rzecz pokoju na świecie, a jej ulubionym kolorem jest ciepły blask satynowej czerni. Nie wspominając o nogach aż po samą szyję. I jest moja, tylko moja, zanim jej samolot nie odleci jutro rano. Nie możesz wymagać ode mnie, żebym z tego zrezygnował, prawda? A Taite'owie nalegali, by przyszedł któryś z partnerów. Czyli ty. Mam u ciebie dług, kolego. Będę ci winien wielkie wyjście.



Delaney ponownie spojrzął na zegarek, potem na rezydencję za okrągłym podjazdem i pomyślał o meczu Filadelfijczyków, który stracił. Skrzyżował długie nogi i mocniej oparł się o limuzynę.

- Tak. Wielkie wyjście.

Słońce jeszcze rozświetlało czerwcowy wieczór, ale żyrandole wewnątrz domu już zostały zapalone i przez obszerne okna mógł zajrzeć do salonu, który swą wielkością przywodził na myśl pokład lotniskowca.

Dostrzegł trzech mężczyzn. Wszyscy ubrani byli w idiotyczne garnitury, takie jak jego, ale bez wątpienia z lepszymi metkami. Każdy z nich trzymał kieliszek z czymś mocniejszym niż coca-cola, na którą tylko on mógł sobie dzisiaj pozwolić, ponieważ wieczorem pracował. Jeśli to w ogóle można nazwać pracą.

W porządku, może i ci beczynni bogacze potrzebowali ochrony. Może zostali kiedyś obrabowani. Kiedyś, dawno temu. Ale bogacze nie wynajmowali D& S dla ochrony. Oni to robili dla prestiżu, by na przykład móc spytać: „Czy nie będziesz mieć nic przeciwko temu, że mój ochroniarz będzie się czaił za kwiatami, gdy my będziemy tańczyć? ”

I, jeśli wierzyć Sullivanowi, by mieć pewność, że zostaną bezpiecznie odstawieni do domu po tym, jak się na przyjęciu całkowicie zaleją.

Delaney znów się zmarszczył i przecesał palcami trochę zbyt długie, czarne włosy. Wolałby eskortować libijskiego terrorystę-samobójcę.

Odepchnął się od tylnych drzwi limuzyny i dał znak kierowcy, ponieważ trzech mężczyzn równocześnie odwróciło głowy i spojrzało w jednym kierunku.

- Ręce do góry, Jim. Zdaje się, że exodus właśnie się zaczął.

Kilka chwil potem wielkie drzwi frontowe otworzyły się i starszy dżentelmen skierował kroki w stronę podjazdu. Wuj Alfred Taite - stwierdził Quinn, odtwarzając w myślach listę, którą dał mu Grady. Wysoki, około sześćdziesiątki, srebrne włosy i wciąż w pretensjach. Czarna owca w rodzinie, pochleb-

ca, ubogi krewny trzymany na grubej smyczy tolerancji dopóty, dopóki godzi się być dodatkowym, niezwiązanym z nikim dżentelmenem, tak potrzebnym na przyjęciach towarzyskich. Sympatyczny darmozjad towarzyszący „główniej obsadzie” Uśmiechnięty, zabawny i zawsze trochę wstawiony.

Quinn skinął głową mężczyźnie, obserwując, jak się zbliża. Już rozpoznał krok wuja Alfreda, zbyt uważny, jakby kij połknął. Jeśli do jego obowiązków należy powstrzymanie tego gościa przed utopieniem się w wazie z ponczem, to czeka go długa noc.

Następnie pojawił się wysoki, rozpaczliwie szczupły mężczyzna, z burzą czarnych włosów, które wyglądały, jakby zostały obcięte nożycami do żywopłotu, a potem wysuszone w tunelu powietrznym. W swoim smokingu wyglądał jak nieboszczyk w wypożyczonym garniturze wystawiony do pożegnania. Kołnierzyk koszuli odstawał mu od szyi mimo zawiązanej pod nim szerokiej muchy, która podobnie jak szarfa była błękitna. Ten gość nie szedł. On zadzierał nosa.

- Pospiesz się, Somertonie - wdzięcząc się, zaskomlał mężczyzna, który według Delaney'a mógł być jedynie Jeremym Rifkinem. - Wiesz, że pani Peterson krzywi się na spóźnialskich. Okropnie! I czy jesteś pewien, ale to zupełnie pewien, że ta mucha jest w porządku? Cierpię katusze, wiesz przecież, ale zapewniano mnie, że ten kolor jest ostatnim krzykiem mody.

Ponieważ idąc mężczyzna wciąż oglądał się za siebie, doszedłszy do limuzyny, zderzył się z Quinnem. Zachichotał w ramach przeprosin, ułożył usta w „o”, kiedy poklepał umięśnione ramię ochroniarza, po czym wdrapał się na tylne siedzenie.

Quinn obiecał sobie w duchu, że Grady bardzo, ale to bardzo pożałuje.

- Proszę wybaczyć, pan Delaney, nieprawdaż? - odezwał się mężczyzna, który mógł być już tylko Somertonem Taite'em. Wyciągnął dłoń na powitanie. Musiał być krewnym wuja Alfreda - ten sam sztywny chód. Może to jednak nie miało związku z alkoholem, może to dziedziczne.

- Wymogłem na mojej siostrze obietnicę, ale to nigdy nic nie znaczy. Nie dla niej. Nie, gdy zmuszona jest zrobić coś, czego nie chce i kiedy nie chce. Jej opieszałość jest formą buntu, rozumie pan. Aha, nazywam się Somerton Taite. Pan Sullivan poinformował mnie, że dziś wieczorem zajmie pan jego miejsce. Nie będzie miał pan dużo pracy. Gdyby to chodziło tylko o mnie, obyłbym się bez ochrony, ale biżuteria, którą będzie miała na sobie moja siostra... no cóż, firma ubezpieczeniowa nalegała.

- Tak, proszę pana - skwitował krótko Quinn. - Mój partner wszystko mi wyjaśnił. Czy panna Taite długo każe na siebie czekać?

Za odpowiedź posłużyło trzaśnięcie drzwi. Delaney obrócił się i ujrzał pannę Shelby Taite, jak schodzi po schodach, układając jeszcze na przedramionach szafirowy jedwab. Szal? Czy wciąż jeszcze nazywano to szalem? Dla Quinna brzmiało to zbyt staroświecko, zbyt dystygowanie, zwłaszcza w stosunku do niej.

Była uosobieniem bogactwa i luksusu: gęste, jasne włosy splecione były z tyłu w warkocz, smukłe ciało od biustu po stopy spowijał biały jedwab. Na wąskiej szyi miała kolia z brylantów, na lewym ręku bransoletę od kompletu, w uszach parę szafirów wielkości przepiórczych jaj otoczonych brylantami. Na środkowym palcu lewej ręki lśnił brylant, którym mógłby udławić się słoń.

Była piękna. Olśniewająca. Skóra o kremowym odcieniu. Twarz, jakiej pozazdrościłaby niejedna supermodelka. I brązowe oczy, tyleż piękne, co puste - jak pusta świątynia. Ale w końcu każdy ma jakąś skazę, nieprawdaż?

- Tu jestem, Somertonie - zakomunikowała zmęczonym głosem, a jej brat cofnął się, by mogła wsiąść do limuzyny. Jej głos był dosyć niski, lekko matowy i Quinn ponownie zaczął rozważać konieczność zemśczenia się na partnerze. Pilnowanie panny Taite przez kilka najbliższych godzin nie wydawało mu się już takim kieratem.

- I jedynie dwadzieścia minut spóźnienia - zauważył brat, uśmiechając się do niej. - Moje gratulacje, Shelby. Pozwól, że ci przedstawię pana Delaneya, który zajmie dziś wieczór miejsce pana Sullivana.

Pannę Take niespecjalnie to zainteresowało. Rzuciła spojrzenie gdzieś w kierunku Quinna, a następnie znów skoncentrowała się na osuwającym się szalu, nie rejestrując w pamięci nic poza tym, że mężczyzna był wysoki, śniady i stał na jej drodze.

- Wyciągnął pan krótką słomkę, prawda? Cóż za brak szczęścia, panie... hm, panie Clancy - powiedziała chłodno atłasowym głosem, po czym schyliła głowę i wsiadła do limuzyny, eksponując przez chwilę skryte pod jedwabiem, przyprowadzające o zawrót głowy, pośladki.

- Nazywam się Delaney - poprawił ją Quinn, zanim mógł wreszcie zamknąć drzwi za tą wielobarwną zgrają. Co sobie ta damulka myśli? Ludzie lubili go, do cholery. Patrzyli mu w oczy, kiedy z nim rozmawiali. Pamiętali jego imię.

- Ktokolwiek to powiedział, miał rację, Jim - mruknął, zajmując miejsce obok kierowcy, gdy szklana przegroda oddzielała już pracodawców od pracowników. - Bogaci są naprawdę inni.

### 3

Shelby stała na balkonie, patrząc na pograżony w mroku ogród. Ona i Parker już od ponad dziesięciu minut mogli podziwiać romantyczną pełnię księżyca, a narzeczony mówił jedynie o giełdzie i plotce, że Merille Throgmorton właśnie dostała pracę.

Kiedy przestał wreszcie na chwilę monologować, Shelby odezwała się, mając nadzieję na zmianę tematu.

- Jak tam w dole pięknie - w taki majestatyczny i denerwujący sposób, prawda, Parkerze? Wszystko takie schludne i uporządkowane. Zbyt schludne i uporządkowane. Nie chciałbyś zobaczyć tam jednego czy dwóch mleczy?

- Nie bardzo, najdroższa. - Parker Westbrook III oparł się biodrem o żelazną balustradę i założył ręce na piersiach. Wysoki, szczupły, ale odpowiednio muskularny, miał niebieskie oczy i jasne, wypłowiałe od słońca włosy. Odziany w szyty na miarę smoking mógłby pozować do reklamy alkoholu - jednej z tych, w których gdzieś w tle majaczy symbol falliczny. Elegancki, przystojny, subtelnie seksowny. Kiedyś robiło to na Shelby wrażenie. Ostatnio już nie i właściwie wołałaby, żeby Parker sam zakwitł jednym czy dwoma mleczami, co uczyniłoby go bardziej ludzkim.

- Czy naprawdę uważasz, że powinniśmy się tam znaleźć, najdroższa? - zapytał w końcu, bezskutecznie starając się ukryć znudzenie. - Wiesz, te brylanty błyszczą jak latarnie. Ubezpieczone czy nie, znajdują się na twojej szyi i nie podoba mi się, że to do mnie należy teraz chronienie was.

Shelby przesunęła palcem po ciężkim naszyjniku.

- Co, te stare przedmioty? - zapytała przekornie, odnosząc się z taką niefrasobliwością do brylantów swojej babki. - Na-

prawdę myślisz, że ktoś zadałby sobie trud przedzierania się przez tak liczną ochronę, żeby ukraść tych kilka przedmiotów, kiedy znacznie prościej byłoby włamać się do naszego domu i zgarnąć całą kolekcję Taite'ów? Znam kombinację sejfów - powiedziała i przysunęła się bliżej, łudząc się, że narzeczony rozluźni się i choć raz zachowa spontanicznie. - Chcesz ją poznać? Dwadzieścia trzy w prawo, szesnaście w lewo...

- Och, na miłość boską, Shelby - przerwał jej Westbrook i niespokojnie rozejrzał się dookoła, jakby spodziewał się ujrzeć kilku zamaskowanych złodziei trzymających w pogotowiu długopisy i notatniki. - Czy dlatego nalegałaś, żebyśmy tu przyszli? Żeby się wygłupiać?

Shelby z uśmiechem na ustach mogłaby udusić tego faceta, za którego niebawem miała wyjść za mąż. Nie poinformowała go o tym, ponieważ mogłoby to wywołać scenę, a Taite'owie nigdy nie robili scen. Z wyjątkiem wuja Alfreda, ale po nim się raczej tego spodziewano.

Doszła jednak do wniosku, że może to odpowiedni moment, by w końcu zdobyć się na odwagę.

- Właściwie nie - odrzekła, oplatając ramionami szyję narzeczonego. - Wysłałam, żebyśmy mogli się poprzytulać. Nie chcesz się poprzytulać, Parkerze? Ja chcę.

- Noc widzi wszystko - zaśmiał się Westbrook i Shelby nie po raz pierwszy pomyślała, że kiedy się uśmiechał, był naprawdę przystojny, choć w taki beznamiętny sposób. Podobało się jej, że był wysoki, co najmniej dziesięć centymetrów wyższy od niej. Wprawdzie włosy przerzedziły mu się lekko na czubku głowy, ale używał jednego z tych preparatów przeciwdziałających ich wypadaniu. Wiedziała, że lepiej nie próbować przeczesać mu fryzury palcami, aby nie zburzyć starannej aranżacji, maskującej „rzadko zagęszczone tereny”. Grał wystarczająco dużo w squasha, by utrzymywać się w dobrej formie, i był wystarczająco inteligentny, by przed trzema laty, po śmierci ojca, przejąć po nim firmę inwestycyjną.

Krótko mówiąc - był perfekcyjny. Perfekcyjny Parker.

Shelby skrzywiła się, przypomniawszy sobie to idiotyczne „noc widzi wszystko”.

Perfekcyjny Parker powiedział kilka przykrych *słów*.

Jednak on naprawdę był perfekcyjny, przynajmniej gdy chodziło o sprawy dotyczące przyszłości. Z dobrej rodziny, niezależny finansowo i wystarczająco urodziwy, by spółdzić urodziwe dzieci. Akceptowany w towarzystwie. Był dla niej perfekcyjną partią, jak zauważył Somerton i jak zauważył on sam tej nocy, gdy się jej oświadczył.

Zaloty nie trwały długo i nie były zbyt natarczywe, ponieważ znali się od lat. Tak naprawdę Westbrook prawie nie zwracał na nią uwagi aż do momentu, kiedy kilka miesięcy temu nagle ją „odkrył”, tak jak Kolumb Amerykę. Wszystko to było bardzo nieoczekiwane. „Witaj, Shelby. Jak się masz, Shelby? Byłbym zaszczycony, gdybyś podarowała mi ten taniec”.

Somerton był nim zachwycony. Shelby gdzieś w głębi serca czuła, że to nagłe zainteresowanie jej osobą jest trochę podejrzane, ale Parker był taki przystojny. Zawsze mu to oddawała. Obsypywał ją kwiatami i wierszami, i traktował, jakby była z porcelany.

Kiedy zaproponował „fuzję”, starała się spojrzeć na oświadczenia przez różowe okulary. Bardzo się starała widzieć to w ten sposób - tak jak i ich małżeństwo.

Tymczasem on wyskakuje z tym „noc widzi wszystko”.

Próby ubrania ich związku w romans z każdym dniem stawały się coraz trudniejsze.

- Daj spokój, Parkerze. Bądź choć trochę niegrzeczny - nie ustępowała, ocierając się o niego, w nadziei, że dojrzy jakąś iskierkę, jakiś błysk w jego oczach. Musiała się dowiedzieć, potrzebowała się dowiedzieć - czy coś było nie tak z nim, czy z nią? On był beznamiętnym facetem czy to ona nadal była „lodowatą dziewczicą”?

Uniosła dłoń i pogłaskała jego policzek.

- Jesteśmy zaręczeni, pamiętasz? Zapomnij o tym, gdzie jesteśmy. Zapomnij o wszystkim. Pocałuj mnie. Nie chcesz

mnie pocałować, nie czujesz potrzeby pocałowania mnie? Czy nigdy nie pomyślałeś, że umarłbyś, nie mogąc mnie całować, obejmować? Nie chcesz trochę zaszaleć - tu i teraz?

Westbrook uwolnił się z jej objęć. Złożył pocałunki na jej dłoniach i puścił je.

- Ile wypijaś, Shelby? - zapytał, uśmiechając się pobłaźliwie.

- Niewystarczająco dużo, najwyraźniej. - Gwałtownie odskoczyła od niego i biegiem ruszyła przez balkon w kierunku sali balowej. Nieoczekiwanie wpadła na wysoką ścianę dobrze odzianych muskułów.

- Dobry wieczór pani. Właśnie szedłem sprawdzić, jak się pani miewa, by wykonać zadanie ochroniarza i tak dalej.

- Tak, tak. Wszystko jedno. - Głowę miała opuszczoną i nie zamierzała jej podnieść, wolała skoncentrować się na błyszczących butach mężczyzny. Jak on śmiał znaleźć się tutaj i być świadkiem jej zakłopotania?! Czy ten głupiec nie znał słowa dyskrecja? Minęła go upokorzona. Nie chcąc usłyszeć jego cichego chichotu, szybko weszła do sali balowej, gdzie natychmiast o nim zapomniała.



## 4

*In vino veritas.* „W winie prawda.” Po raz pierwszy w swoim życiu Shelby wypić wystarczająco dużo, by ujrzeć całą prawdę, która kryła się w winie.

Kłamały filmy. Kłamały książki. Nie istniała taka rzecz jak romans. Happy end to stek bzdur. A może to ona do niczego się nie nadawała?

Takie oto głębokie myśli zrodziły się w jej głowie, gdy stała w oknie zapatrzona w ciemność.

Sama była jak to okno - zawsze czegoś wyglądająca. Nawet kiedy była na zewnątrz, patrzyła w dal. Patrzyła, ale nigdy nic nie robiła.

Zawsze świetnie ubrana. Zadbana. Odpowiednio chroniona. Obłożona poduszkami.

Owinięta w kokon.

Uwięziona.

W wieku dwudziestu pięciu lat nadal była prawie dziewczyną, mając za sobą jedno nocne rozczarowanie na drugim roku college'u. Była zakochana, mogłaby przysiąc. Zanim nie nadszedł następny dzień. Zanim nie dowiedziała się, że jej „kochanek” chełpił się „upolowaniem lodowatej dziewczyny” przed każdym, kto chciał go słuchać.

A Parker? On traktował ją, jakby była z importowanego kryształu. Oświadczył, że szanuje ją i w związku z tym będzie czekał aż do nocy poślubnej. Co za dżentelmen...

Prywatne szkoły. Prywatne życie.

Rozpieszczona.

Obsypywana pieścotami.

„Zrób to, co należy, Shelby. Stań tutaj. Uśmiechnij się. Pamiętaj, że nosisz nazwisko Taite. Strzeż swej prywatności,

strzeż honoru, nigdy nie zdradź swego rodowego nazwiska.

Korzystnie wyjdź za mąż. Wyjdź za mąż teraz".

Wyjść za mąż? Dlaczego?

- Panno Taite? Czy to już wszystko?

Shelby westchnęła i odwróciła się do pokojówki.

- Tak, dziękuję, Susie. I naprawdę nie musiałaś na mnie czekać.

- Tak, proszę pani. Czy będę jeszcze potrzebna?

- Idź już, idź - powiedziała Shelby, odwracając się z powrotem do okna, do widoku na nicość. Stała jeszcze przynajmniej pięć minut, obserwując, jak chmura zasłania tarczę księżyca, a następnie odpływa, pozostawiając ogród spowity w srebro.

Na dole otworzyły się drzwi i żółte światło zalało kuchenny dziedziniec. Patrzyła, jak jej pokojówka, teraz ubrana w szorty i dzianinowy top, przeszła przez patio i pobiegła schodami w dół, w kierunku trawnika.

Odsunęła firankę, uchyliła wielkie okno i usłyszała męski głos wołający Susie. Dziewczyna pobiegła w stronę postaci stojącej w cieniu drzew. W ciągu jednej chwili znalazła się w ramionach mężczyzny, kołysana, tulona, całowana.

Shelby słyszała ich śmiech, czuła ich radość.

Jakby to było, gdyby Parker czekał na nią w księżycowej poświacie? Wziął ją na rękę, szaleńczo całował, uniósł w stronę drzew, ułożył na ziemi, kochał zachłannie, namiętnie?

Oczywiście, jakby to mogło się kiedykolwiek stać...

## 5

D & S Security zajmowało całe szesnaste piętro dużego, nowoczesnego budynku biurowego na Market Street w centrum miasta. Grady chciał wynająć ostatnie piętro, dwudzieste, na co Quinn gwałtownie zaprotestował, przypominając swemu skłonnemu do przesady przyjacielowi i partnerowi, że im wyższa kondygnacja, tym wyższy czynsz. D& S odniosło sukces, lecz to nie oznaczało, że Quinn zamierzał szastać pieniędzmi na prawo i lewo, a zwłaszcza po to, by dzielić dach z filadelfijskimi gołębiami.

Ale Grady urodził się dla pieniędzy - otrzymał je w staroświecki sposób: odziedziczył je. Gdyby to od niego zależało, D& S nie tylko zajmowałoby *penthouse*, ale w biurach znajdowałyby się antyczne dywany, skórzane meble i oryginalne obrazy na ścianach. Gabinet Sullivana już teraz wyglądał jak przeniesiony z elitarnego klubu - Quinn zawsze spodziewał się ujrzeć w nim siwego dziadka chrapiącego w jednym z rozłożystych foteli w kolorze burgunda.

Quinn dorastał w typowej rodzinie zaliczającej się do klasy średniej, o ile za typowe można uznać przenoszenie się co kilka lat ze stanu do stanu w związku z kolejnym oddelegowaniem ojca. Chodził do szkoły średniej, gdy przybyli do Ardmore na przedmieściach Filadelfii, a kiedy rodzina przeprowadziła się na Florydę, został w Filadelfii, gdzie już drugi rok studiował na Uniwersytecie Pensylwańskim.

Jego siostra zrobiła to samo cztery lata wcześniej i teraz mieszkała w Chicago, natomiast ich rodzice przenieśli się do Arizony, by tam spędzić emeryturę. Co tydzień do siebie dzwonili, odwiedzali się nawzajem podczas wakacji i nie tylko, mimo to Quinn uważał, że jest sam. W wieku trzydziestu dwóch lat - na ile zresztą wyglądał.

Następnego dnia po wykonaniu zadania dla Taite'ów pozwoił sobie przyjechać do biura później, gdyż uznał, że należy mu się kilka godzin wolnego za to, że musiał znosić Wstrętnych Bogaczy. Chociaż nie było aż tak źle. Somerton i jego kochaś zachowywali się zupełnie przyzwoicie, a wuj Alfred dość szybko zatankował do pełna i spędził większą część wieczoru na podpieraniu kolumny sali balowej, zapuszczając wzrok w dekolty wszystkich mijających go dam.

Jedynie Shelby Taite wciąż zaprzętała Quinnowi głowę. Nie mógł się pogodzić z tym, że umyślnie nie chciała go poznać, pofatygować się, by na niego spojrzeć i zapamiętać, jak się nazywa.

I jeszcze ten arogant, bezmózgi fircyk, z którym była zareczona. Delaney próbował wyobrazić sobie tych dwoje w łóżku. Bezskutecznie.

Jak się jednak zdawało, pod lodową skorupą Shelby płonąła ogniem. Naprawdę przywarła do Parkera i przyciskała do niego spragnione, kuszące ciało, pytając, czy kiedykolwiek poczuł, że umarłby, gdyby nie mógł jej pocałować.

Zapewne bardziej by się jej poszczęściło, gdyby wyszeptła w ucho tego durnia wyniki notowań giełdowych.

Delaney naprawdę, ale to naprawdę nie lubił bogatych ludzi, z wyjątkiem Grady'ego. Mieli wszystko na wyciągnięcie ręki i żaden z nich nie wyglądał na szczególnie z tego powodu zadowolonego. Większość z nich posiadała psychoanalityków, rozwodziła się wraz ze zmianą pór roku i twierdziła, że pomaga gospodarce, kupując warte trzy miliony dolarów jachty, ponieważ w ten sposób umożliwia stoczni zatrudnienie robotników. Przeróżające. Tacy właśnie byli bogacze.

Tak naprawdę wszyscy oni potrzebowali solidnego kopniaka w tyłek. Zaś Shelby Taite potrzebowała, mówiąc niewyszukanym językiem zmarnowanej młodości Quinna, naoliwienia śrubek. Potrzebowała gorącego, spoconego, parującego seksu. Kogoś, kto wyciągnąłby spinki z jej zbyt uładzonych włosów, zerwał z niej te dziewicze szaty i szaleńczo, namiętnie kochał się z nią, dopóki jej oczy by nie ożyły.

Nie, żeby Quinn zgłaszał się do tej pracy na ochotnika.

Zakołysał się na piętach, a kiedy winda wspięła się na szesnaste piętro, wyszedł z niej na czarno-białą marmurową posadzkę, którą Grady nazywał niezbędnym wydatkiem, ponieważ dobre wrażenie na klientach można zrobić tylko raz.

W recepcji przy dużym, półokrągłym biurku siedziała Maisie. Na białej marmurowej ścianie za jej plecami widniały mosiężne litery: D & S SECURITY, INC. Napis robił duże wrażenie, zwłaszcza na tych, którzy chcieli ulegać dużemu wrażeniu. Wielu ich klientów chciało.

Maisie miała burzę nienaturalnie czerwonych i nienaturalnie skręconych włosów, a na nich telefoniczny zestaw słuchawkowy. Była niska, trochę pulchna, o bardzo okrągłej twarzy, takiej, jaką mógłby narysować Charles Schultz. Mruczała do słuchawki: „Aha... aha, hmm...” i piłowała paznokcie z francuskim manikiurem.

Kiedy ujrzała Delaneya, uśmiechnęła się do niego, wskazała na słuchawkę i wykrzywiła twarz tak, że wyglądała jak cherubin cierpiący na niestrawność. Pochyliła się do przodu, wcisnęła przycisk pauzy i powiedziała:

- Dzień dobry, kochanie. Spóźniłeś się, ale szaleńcy są na nogach od rana. Mam pytanie: czy D & S chce brać udział w strzelaninie do kilkudziesięciu słoni, kiedy w mieście będzie cyrk? Neeee, nie sądzę. Pozbędę się tego osła. Osła - rozumiesz? A, i poczekaj, aż zobaczysz Grady'ego!

Quinn spodziewał się dalszych wyjaśnień, ale recepcjonistka nagle się skrzywiła i ponownie wcisnęła przycisk pauzy, wracając do przerwanej rozmowy:

- Nie, kochany, darmowe orzeszki ziemne nie wpłyną na naszą decyzję. Aha, hmm... tak, mogę pana zapewnić, że D & S są miłośnikami zwierząt już od dawna. I w tym rzecz, kochanie - chcą pozostać z dala od nich. Ale dziękujemy, że się pan z nami skontaktował. Życzę miłego cyrku.

Maisie stanowiła pierwszą linię obrony firmy i miała idealne predyspozycje do tej pracy: szybka, ostra, posiadała nie-

zbędne w kontaktach z wariatami poczucie humoru i była na tyle cierpliwa, by dać sobie radę z najbardziej wymagającymi klientami.

Delaney zaśmiał się, pokręcił głową i przez szklane drzwi zajrzał do dużego, kwadratowego pomieszczenia bez okien, służącego za centrum dowodzenia D & S Security. Pięć sekretarek obsługiwało kilkudziesięciu ochroniarzy. Nigdy nie narzekały na brak zajęcia, od czego rosło Quinnowi serce - i konto.

Hole po lewej i prawej stronie prowadziły każdy do pięciu biur, dzielonych przez współpracowników niebędących aktualnie w terenie. Innego dnia odwiedziły każde z biur, sprawdził zadania podwładnych, uciął małą pogawędkę, zasiedział się przy złej kawie. Ale nie dzisiaj, nie kiedy wciąż pragnął, żeby Grady zapłacił mu za nocne męczarnie ze Wstrętными Bogaczami.

Uśmiechając się na powitanie do sekretarek - wszystkie były samodzielными asystentkami, przynajmniej w ich politycznie poprawnych charakterystykach stanowisk - szedł szerokim korytarzem, który zamykały podwójne drzwi prowadzące do sali konferencyjnej. Po bokach znajdowały się prywatne gabinety Grady'ego i jego. Wszystkie trzy pomieszczenia miały oszklone ściany, przejrzyste od podłogi po sufit, oraz wspaniały widok na rozległą panoramę Filadelfii - przynajmniej na poziomie szesnastego piętra.

Sekretarka Delaneya, Selma, od prawie dwóch tygodni była na urlopie macierzyńskim. Na widok stosów papierów piętrzących się na jej biurku Quinn wykrzywił twarz. Wiedział, że będzie musiał przez nie przebrnąć wcześniej czy później. Raczej później. Zdecydowanie później.

Na razie zamierzał jedynie sprawdzić swoje wiadomości telefoniczne, a potem pójść do Grady'ego i dusić go tak długo, aż jego język stanie się purpurowy. Nie było to wiele, ale wierzył, że przyniesie mu satysfakcję.

Gabinet Delaneya był nowoczesny i raczej funkcjonalny niż modny - cały w chromach i szkle, w bieli, z dywanem z szarymi i granatowymi akcentami, wyposażony w dwa, dosłownie

dwa komputery przypominające dzieła sztuki. Zamykana na klucz komoda mieściła spory arsenał kabur i karabinów z noktowizorami, jak również lotniczą kurtkę, którą matka podarowała Quinnowi na trzydzieste urodziny. Można dorosnąć, można się wyprowadzić, ale nie można przeciąć nierozzerwalnej pępowiny. Można nawet sobie wmawiać, że zrezygnowało się z pracy w terenie, ponieważ nadszedł na to czas, a nie dlatego, że mamusia się niepokoiła.

Przejrzał wiadomości telefoniczne zanotowane dużym, owalnym pismem Maisie i uznał, że żadna nie jest jakoś niesamowicie istotna. Zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu skórzanego, szarego krzesła. Nadszedł czas na Grady'ego.

- Dzień dobry-wieczór, Quinn - powitała go kilka chwil później Ruth, sekretarka Sullivana, gdy wszedł do jej biura. Ruth była z nimi od początku; stateczna kobieta po pięćdziesiątce, uważająca się za prawą rękę i zastępczą matkę obu szefów.

Zaśmiała się cicho, patrząc na niego.

- O co chodzi, cukiereczku? Ciężka noc na oddziale nianieek? Czy wuj Alfred znów wskoczył do basenu? Grady przysięga, że następnym razem pozwoli się utopić temu staremu pijakowi. Zniszczył trzy smokingi w zeszłym roku, skacząc za nim. I nie chodzi o to, że zadośćuczynienie nie trafia na nasze konto. A, poczekaj, aż zobaczysz swojego partnera. Nie wyjawiał mi, co się stało, ale mam kilka ciekawych hipotez - wszystkie mają związek z Miss Października. I może z trapezem lub czymś takim.

Quinn uniósł wysoko brwi.

- Trapezem? Do czego zmierzasz, Ruth? Chcesz mnie zdeprawować?

- W każdy znany mi sposób, cukiereczku - odparła sekretarka, mrugając okiem, po czym wskazała na drzwi prowadzące do gabinetu Sullivana. - Każ mu cierpieć, Quinn. Jestem prawie pewna, że był bardzo niegrzecznym chłopcem.

Delaney wszedł do gabinetu współnika. Zrobił krok na akсамitnym orientalnym dywanie i instynktownie zatrzymał się, chcąc dać czas oczom, by przystosowały się do ciemności,

następnie obejrzał się za siebie i zamknął drzwi. Wprawdzie pracował teraz głównie przy biurku, ale przyzwyczajenie to przyzwyczajenie, a dobre przyzwyczajenie może kiedyś uratować mu życie - by następnego dnia znowu mógł wgrzać się w liczby.

Grady nie siedział za swym ponadwymiarowym wiśniowym biurkiem ze szklanym ochronnym blatem, tym razem wybrał skórzaną sofę w kolorze burgunda.

Jego masywna postać wypełniała kanapę od brzegu do brzegu, potargana czupryna w kolorze piasku spoczywała na poduszce. Śmiejące się, zielone oczy jasno błyszczały w opalonej, arystokratycznie przystojnej twarzy. Miał na sobie sztywną białą koszulę, rozpiętą pod szyją i z podwiniętymi rękawami, niebieskie spodnie od piżamy, ręcznej roboty pantofle i dobrego pod kolor niebieski temblak na lewą rękę.

- Co się stało? Zapomniała wspomnieć, że ma łaskotki i czarny pas? - spytał Quinn, mijając przyjaciela i przysiadając na skraju stolika do kawy z wiśniowego drewna, stojącego przed kanapą.

Grady powoli podciągnął się do pozycji siedzącej i obrzucił spojrzeniem partnera.

- Bardzo zabawne - nie. Ale i ty nie miałeś zbyt dużo czasu, żeby to przećwiczyć, prawda? Chcesz wyjść, wymyślić inną kwestię i wrócić, żeby mnie torturować?

- Nie, niezupełnie - odpowiedział Quinn, uśmiechając się szeroko. - Ale dam ci ćwierć dolara, jeśli opowiesz mi, co zaszło. Dolara, jeśli masz zdjęcia. Taśma wideo - i cena nie gra roli.

Grady sięgnął do tyłu i wyciągnął zwinięty fragment białej bielizny z jego inicjałami wyszytymi granatową nitką.

- Proszę - powiedział, wyciągając rękę. - Możesz się ślinić.

- Nie, poważnie, Grady, co się stało? Jest złamana czy tylko zwichnięta?

- Naderwana - wyjaśnił Sullivan. Krzywiąc się, wstał, podszedł do biurka, wrzucił do ust dwie tabletki i popił łykiem wody. - To nieprawdopodobna historia, Quinn. W jednej minu-



cie turlamy się radośnie po łóżku, a w następnej jestem zakleszczony pomiędzy łóżkiem a nocną szafką, czując potworny ból ramienia. Miss Października zasłała, co mi za bardzo nie pomogło, bo musiałem o własnych siłach wstać, przedtem zepchnąć ją z siebie - przestań się śmiać, do cholery! - a potem zadzwonić po hotelowego lekarza. Próbowaleś kiedyś włożyć spodnie jedną ręką? Nie polecam. I pozwól, że ci powiem, iż nie było łatwo wciągnąć miss P. z powrotem na łóżko i przykryć jej śliczny tyłeczek prześcieradłem, nim pojawił się lekarz.

Zanim Grady skończył, Delaney sam już się turlał ze śmiechu, a po policzkach płynęły mu łzy. A potem gwałtownie, że omal nie spadł na podłogę, wytrzeźwiał i rzucił spojrzenie partnerowi.

- Jak długo nie będzie cię w interesie? Dwa tygodnie? Cztery? I zanim na to odpowiesz - nie, nie mam zamiaru przejmować od ciebie żadnych Wstrętnych Bogaczy. Jasne?

- Nie martw się, synu - uspokoił go współnik. - Nie ma nic niecierpiącego zwłoki ani w twoim, ani w moim notesie w ciągu najbliższych tygodni. Właściwie powinienes pomyśleć o jakimś hobby, żeby wypełnić sobie wolny czas.

- Tak, jasne, Grady, synu. Pomędzy prowadzeniem tego interesu, opracowywaniem raportów na koniec roku i karmieniem kleikiem za pomocą łyżeczki mojego kalekiego partnera, żeby nie wyślizgnął się ze swych markowych garniturów. Będę u siebie - zakończył Quinn i skierował się ku drzwiom.

Odprowadził go chichot Sullivana.

## 6

Po balach charytatywnych, na drugim miejscu najmniej lubianych zajęć, Shelby stawiała przyjęcia ogrodowe. I proszę bardzo, już następnego dnia po balu, po południu - jedynie z lekkim bólem głowy przypominającym o poprzednim wieczorze - znajdowała się we wnętrzu limuzyny w obszernej spódnicy starannie ułożonej na siedzeniu i w ogromnym, słomkowym kapeluszu na głowie. Bez tego cholernego wyszukanego kapelusza nie mogłoby się odbyć żadne przyjęcie ogrodowe.

- Jim?

- Tak, panno Taite?

Shelby pochyliła się do przodu, bliżej otwartej szyby, dzielącej ją od szofera.

- Czy ty i Susie jesteście tu szczęśliwi?

- Szczęśliwi, panienko? - Jim Helfrich rzucił okiem w lusterko wsteczne, po czym znów skierował uwagę na drogę. - Oboje jesteśmy zadowoleni z pracy. Pani i pan Taite są bardzo mili.

Shelby zdjęła znieawidzony kapelusz i rzuciła go na tylną półeczkę.

- To dobrze, ale tak naprawdę nie to miałam na myśli. Czy jesteście tu t a j szczęśliwi, Jim, w Filadelfii? Skąd pochodzicie?

- Skąd pochodzimy? - Szofer miał denerwujący zwyczaj powtarzania wszystkiego, co do niego mówiono. Prawdopodobnie był także zdenerwowany, ponieważ Shelby nigdy wcześniej nie pytała go o sprawy osobiste, chociaż on i jego córka zatrudnieni byli u Taite'ów prawie od miesiąca. - Ze Wschodniego Wapeneken, panienko. To jest około stu kilometrów stąd, w kierunku Allentown. Jesteśmy jakby wciśnięci pomiędzy

Hokendauqua a Catasauqua, niczym na końcu świata. - Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie w lusterko. - Hmm... dlaczego panienka pyta?

- Bez konkretnego powodu - odpowiedziała ostrożnie Shelby, kładąc ręce na oparciach siedzenia. Więcej. Chciała się dowiedzieć więcej. - Czy to małe miasteczko to Wschodnie Wapeneken?

- Czy jest małe? Tak małe, że nie ma nawet Zachodniego Wapeneken, panienko - odparł Jim z uśmiechem. - Bardzo nie chciałem wyjeżdżać, mówiąc prawdę, ale żona umarła, a fabryka stali została zamknięta, więc musiałem znaleźć pracę tutaj, żeby pilnować mojej Susie. Została przyjęta do Temple, wie panienka, w śródmieściu. Zaliczyła dwa lata w państwowym lokalnym college'u i teraz jest gotowa na swój wielki moment.

- Nie wiedziałam o tym - przyznała Shelby, mocno zawstydzona. Co prawda Susie była jej pokojówką od stosunkowo niedługiego czasu i pracowała jedynie w zastępstwie, ale do tej pory można już było dowiedzieć się o niej czegokolwiek. Czyżby jedynie płynęła poprzez życie, nie tylko nie grając, ale i nie reagując? Tylko egzystując. Nie wspominając o współczuciu dla samej siebie. - Czyli podobało ci się życie w małym miasteczku?

- Według mnie to jedyne miejsce, w którym można żyć, panienko. Dobrzy znajomi, głębokie korzenie. Ach, wszyscy wiedzą, czym się zajmujesz, to oczywiste, ale i zależy im na tobie. Dobrzy ludzie, dobrzy przyjaciele. To ważne. Życie we Wschodnim Wapeneken jest... jest prawdziwe, panienko. Tak, właśnie tak. To prawdziwy świat. Jak tylko Susie zdobędzie dyplom, wracamy tam z powrotem. To nie ulega wątpliwości.

- Dziękuję... hmm... dziękuję ci, Jim - powiedziała Shelby i cofnęła się na siedzenie. Zagryzając dolną wargę, myślała o tym, co usłyszała.

Prawdziwy. Prawdziwy świat.

Uśmiechnęła się. To był jej pierwszy prawdziwy uśmiech od bardzo długiego czasu.

## 7

Shelby uniosła głowę znad książki, którą udawała, że czyta od obiadu, i obserwowała wuja, jak zmierza do mahoniowego stolika z zestawem jego ulubionych pokrzepiających trunków.

Kochała wuja, bardzo go kochała. Był radosny, niemądry, czasem bluźnierczy i absolutnie skandaliczny. Był takim przystojnym mężczyzną z tą gęstą czupryną srebrnych włosów, starannie przystrzyżoną brodą, zaczerwienionymi od alkoholu policzkami i nosem, i błyszczącymi błękitnymi oczyma. I ten łobuzerski uśmieszek. Jakby był eleganckim świętym Mikołajem na rauszu.

- Wuju Alfredzie?

- Hmm? Tak, moja pieśczośzko?

Prawie straciła odwagę, ale jednak zadała to pytanie.

- Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, jak wyglądałoby życie, gdybyśmy byli... normalni?

Alfred Taite oparł się prawym łokciem o kominek, w lewym ręku trzymał szklaneczkę brandy. Spojrzał na bratanicę.

- Zdefiniuj normalność, moja droga.

Shelby wstała i zaczęła spacerować.

- No, wiesz, normalni. - Rozłożyła ramiona, wskazując wspaniałe umeblowanie salonu Taite'ów, całą rezydencję w stylu Tudorów, cały świat. - Coś przeciwnego do tego, co jest anormalne.

- O - powiedział Alfred, wypijając łyk brandy. - Chodzi ci o biedę, nieprawdą? Właściwie staram się o tym nie myśleć. I nie robiłbym tego, gdybym był tobą, Shelby. Nie chciałybyś wiedzieć, jak żyją inni, i z pewnością nikt nie chciałby żyć tak, jak żyją inni. Na samą myśl dostaję dreszczy. To by cię jedynie przygnębiło. Zaufaj mi w tym względzie.

Shelby zacisnęła pięści, próbując znaleźć odpowiednie słowa.

- Nie mam na myśli biedy, wuju Alfredzie, mam na myśli... mam na myśli normalność. Tak, tak właśnie nazwał to Jim. Normalność. Chcę poczuć tę normalność. Chcę doświadczyć życia jako prawdziwy człowiek. Normalny człowiek.

- Nie, kochanie, nie chcesz. Wiem z pewnego źródła, że prawdziwi ludzie wcale nie uważają, że warto wychwalać prawdziwe życie. Powiedziałaś: Jim? A któż to jest Jim?

- Nasz szofer. Z pewnością znasz jego imię.

Wuj Alfred mrugnął do niej i odepchnął się od kominka. Naprawdę nie rozumiał.

- Dlaczego? Czy jest jakiś powód, dla którego powinienem? Wystarczy, że on zna mnie, wie, że powinien przyjeżdżać po mnie, wozić i nie zgubić.

- Jesteś nieznośnym arogantem, wiesz o tym? - zapytała Shelby, uśmiechając się do wuja.

- Na tym głównie polega mój urok, kochanie - odpowiedział i uniósł szklankę w jej stronę. - A teraz, jeśli pozwolisz, wydam się mi się, że szanowny Jim czeka na mnie na zewnątrz. Czy Somerton nie byłby szczęśliwszy, gdybyśmy nazywali tego człowieka James? No, nieistotne zresztą. Czy pamiętasz, komu dziś towarzyszę, kochanie, i, na litość boską, w jakim celu?

Shelby uśmiechnęła się szeroko i pokręciła głową.

- Pani Oberton, wuju Alfredzie. Na letnie przedstawienie do opery, co tłumaczy twój frak.

- A, tak, tak, strój pingwina - powiedział Alfred, starając się odwrócić i obejrzeć z tyłu. - No, cóż, idę zatem. Chyba że chcesz podyskutować jeszcze na temat prawdziwego życia?

Shelby znów potrząsnęła głową.

- Nie, wuju Alfredzie. Nie potrzeba. Myślę, że sama muszę to rozpracować.

Pogłaskał ją po policzku.

- Wspaniały pomysł, kochanie. Tylko nie wymawiaj słowa „pracować”, dobrze? Jesteś Taite, pamiętasz? Praca. Jaki to straszny pięcioliterowy wyraz. Następnym razem pewnie

zechcesz znieważać mój wrażliwy słuch takimi słowami, jak przemysł i dyscyplina, i - bogowie! - sumienie społeczne,

Shelby zagryzła wargi.

- Wuju Alfredzie? Czy wszystkie te słowa nie znajdują się gdzieś w herbie rodu Taite'ów?

- Co za przykre wspomnienie. Somerton nosi ten przeklęty znak na swych śmiesznych blezerach, które wkłada, wybierając się do klubu żeglarskiego, i jest to okropnie zawstydzające. - Alfred spojrzął posępnie na bratanicę. - Jakiż sprawiłaś mi ból, przypominając o tych dokuczliwych obowiązkach Taite'ów. Obowiązek - kolejne straszne słowo. Czasem jesteś taka do mnie niepodobna. Właściwie, Shelby, niekiedy zastanawiam się, czy miałem cokolwiek wspólnego z twoim przyjściem na świat.

- Nie miałeś, wuju Alfredzie.

- A, no tak. Szkoda. Mój brat był taki jak Somerton, łącznie z tym okropnym znamieniem na brodzie - ja noszę zarost, jak wiesz, żeby ukryć moje własne. Miałabyś więcej charakteru, gdybym był przyprawił rogi twemu ojcu - niech mnie licho, jeśliś byś nie miała. Ale, z drugiej strony, nie mógłbym znieść twojej matki - Boże, miej w opiece ich sztywny dusze.

Z twarzy Shelby znikł uśmiech. Nie z powodu komentarza na temat jej rodziców, którzy zmarli przed kilkunastoma laty po spędzeniu życia w całkiem odmienny sposób niż dwójka ich obowiązkowego potomstwa. To uwaga na temat jej braku charakteru tak ją zmartwiła.

- Nie mam charakteru, wuju Alfredzie? Czy naprawdę tak sądzisz?

Alfred odłożył cylinder i pelerynę, które wcześniej wziął do ręki, i podszedł do bratanicy.

- Czy powiedziałem tak? Och, przepraszam, kochanie. Ale sama pograżyłaś się w czarnych myślach, prawda? Z opuszczoną na piersi brodą - na szczęście bez znamienia - i tym podobne. Byłaś nieszczęśliwa. Prawdopodobnie dlatego, że jesteś taka prawa i uczciwa.

- Inaczej niż ty - zauważyła smutno.

- A, tak. Pamiętam moją własną młodość, dawno minioną i nieodżałowaną. Kazano mi opuścić dwie szkoły przygotowawcze i trzy college'e - rekord wśród Taite'ów i to taki, z którego jestem szczególnie dumny. Ale żyłem, kochanie, doświadczałem! Objechałem Europę, podróżowałem dookoła Ameryki, dowiedziałem się wszystkiego o tym prawdziwym świecie, o którym dziś wieczór wspominasz z taką tęsknotą.

Serce Shelby zabiło mocniej. Słowa wuja rozgrzały jej krew, przyspieszyły oddech.

- Robiłeś to? Nie wiedziałam, nigdy bym nie przypuszczała. Uciekłeś, wuju Alfredzie? Wyrwałeś się z tego wszystkiego, poszedłeś własną drogą - doświadczyłeś życia?

- O, z całą pewnością tak, moje dziecko. - Westchnął, nachylił się i podniósł szklankę. - A potem... ustatkowałem się. Jak się jest odciętym od pieniędzy, przebywając w zapomnianym Thunderbird pośrodku pustyni Arizony, człowiek zaczyna się opamiętywać. Teraz piję i zabawiam starsze damy, które noszą za dużo rodowych klejnotów i używają zdecydowanie za dużo perfum. Ale mam moje wspomnienia. Te jedyne mam.

- Wspomnienia - powtórzyła Shelby, zagryzając dolną wargę. Być może, pomyślała, ustatkowanie się nie byłoby takie straszne, jeśli miałyby wspomnienia. Uśmiech znów zakwitł na jej twarzy, a zupełnie szalona myśl, która wcześniej zastukała do jej głowy, teraz odnalazła uchylone drzwi.

Shelby objęła wuja ramionami i ucałowała donośnie w ramię policzek.

- Och, dziękuję ci, wuju. Bardzo ci dziękuję!

Alfred cofnął się, ujął ją za ręce i zajrzał jej głęboko w oczy.

- Dziękujesz mi? Za co?

- Ależ za pomoc w stworzeniu mnie, oczywiście - odparła, ponownie go całując. - Mam trochę twego charakteru. To pewne. I nadszedł moment, żebym coś z tym zrobiła, zanim się ustatkuję.

## 8

Gdyby Shelby poświęciła czas na zaplanowanie każdego ruchu, prawdopodobnie nie zrobiłaby tego. Znalazłaby kilkanaście, kilkadziesiąt powodów, dla których powinna po prostu zapomnieć o wolności - tego słowa szukała i wreszcie je znalazła - i zwyczajnie dalej egzystować, a nie żyć.

Nadal być siostrą Somertona, narzeczoną Parkera, „lodo-watą dziewczicą”. Spędzić lato na chodzeniu na przyjęcia przedmałżeńskie, przyjmowaniu zaproszeń, przymierzaniu sukni. Zająć się organizacją fuzji - to jest ślubu - rodów Taite'ów i Westbrooków, by mógł się stać sensacją roku.

Wciśnięta w jedwabną materię koloru kości słoniowej, uwięziona w sieci koronek, wspaniale poślubiona, wreszcie ustatkowana. Czas zapełni chodząc na przyjęcia, wydając przyjęcia, dobrowolnie pracując w przyszpitalnych sklepikach z pamiątkami przez trzy godziny tygodniowo, przymykając oko na drobne seksualne grzeszki Parkera z szeregiem dyspozycyjnych kobiet, pijąc nieco za dużo wina po obiedzie... i spokojnie tracąc zmysły.

Wobec tego Shelby nie myślała. Nie planowała. W każdym razie nie za dużo.

Głównie działała.

Pięć dni po balu charytatywnym wciągnęła Susie do sypialni, otworzyła na oścież garderobę - taką z przesuwanymi elektrycznymi wieszakami i mieszczącą wystarczająco dużo ubrań, butów, kapeluszy i torebek, by wyposażyc wielki sklep wysyłkowy - i kazała pokojówce wybrać dla niej jakieś „normalne” ubrania.

Susie Helfrich postąpiła dwa kroki ku garderobie, następnie zatrzymała się, zmarszczyła nos i spojrzała na pracodawczynię.

- He? Hmm, to znaczy, słucham?



- Normalne, Susie - powtórzyła Shelby, zamachała rękami raz czy dwa i wskazała na dżinsową spódnicę służącej, jej różowy lekki sweterek i białe sznurowane buty. - Normalne. Takie jak twoje, Susie. Rzeczy, jakie ludzie noszą w... powiedzmy, no na przykład w małych miasteczkach.

Dziewczyna spojrzała na ubrania wiszące na wyściełanych ramiączkach i pokręciła głową.

- Pani nie ma nic takiego, panno Taite. Pani robi zakupy w Nowym Jorku i Paryżu, a nie jak, hmm, większość ludzi w sklepach przy ulicy i na wyprzedażach. Pani ubrania są naprawdę piękne, ale nie ma wśród nich niczego, co mogłabym włożyć u siebie w domu czy idąc do znajomych.

Ramiona Shelby opadły - księżniczka, która pragnęła być Kopciuszkiem, zanim zjawi się jej matka chrzestna.

- Faktycznie nie mam. Dobrze więc, zróbmy, co możliwe z tym, co mamy.

- Mam koszulę DKNY, którą kupiłam w zeszłym roku w T. J. Maxx - rzekła w końcu Susie, wyjmując bladezielony kostium Donny Karan i patrząc na niego krytycznie. - Sądzę więc, że nie byłoby niemożliwe, żeby ktoś miał coś takiego jak to. A Patty O'Boyle, moja przyjaciółka ze Wschodniego Wapeneken, trafia na wiele markowych ubrań na wyprzedażach w Reading.

Shelby skinęła głową, wyrażając aprobatę, nawet jeśli pokojówka zdawała się mówić w obcym języku. Cóż to jest T. J. Maxx?

- Zatem dobrze. Zacznijmy od Donny Karan. Będę potrzebować spódnic, kilku par spodni od Armaniego i pasujące do nich góry. Wybierz wszystko. Żeby starczyło na, hmm, trzy tygodnie lub coś koło tego, plus buty i dodatki. Czy mogłabyś to wszystko spakować dla mnie? Moje walizki są w szafie w holu.

- Wybiera się pani w podróż? - zapytała Susie, przyciskając guzik wprowadzający wieszaki w ruch i oceniając ubrania, które ją mijały. - To miło.

Shelby już przetrząsała szuflady, zajmujące jedną ze ścian garderoby, i garściami wyciągała jedwabną bieliznę.

- Tak, bardzo miło, Susie. I niech to będzie nasza mała tajemnica, dobrze? Ja... ja po prostu czuję potrzebę wyjechania na kilka tygodni, zanim na poważnie rozpoczną się przygotowania do ślubu. Mój brat próbowałby mnie do tego zniechęcić, gdybym mu o tym powiedziała, więc zamierzam po prostu się spakować i wyjechać. Dasz mu list ode mnie, kiedy już wyjadę.

- Czy wszystko u pani w porządku, panno Taite? - spytała Susie, gdy jakaś sztuka bielizny wyślizgnęła się z rąk Shelby i upadła na podłogę. - To znaczy, to nie moja sprawa, ale wygląda pani na, cóż, zdenerwowaną. Czy pomiędzy panią i panem Westbrookiem doszło do jakiegoś nieporozumienia?

- Ha! Z Parkerem? On się nigdy nie sprzecza - odparła Shelby, schylając się po figi. - Och, mógłby zmarszczyć brwi i zapytać, czy dobrze spałam, bo wydają się nieco zwariowana. Ale pokłócić się ze mną? Nie, Susie, tego nie umiem sobie wyobrazić.

- O, rany - jęknęła dziewczyna i pokręciła głową, aż jej brązowy koński ogon uderzył ją po ramionach. - Moja mama i tato mieli kilka ciekawych sytuacji. Ale zawsze się potem godzili, wychodzili razem na kolację, a po powrocie zamykali się w sypialni aż do następnego dnia, do późna rano. Pamiętam, że słyszałam przez ściany ich chichoty. Mama tłumaczyła mi, że mężowie i żony się kłócą i to jest normalne, i wcale nie znaczy, że się nie kochają. - Susie oparła się o ścianę garderoby i zamrugała oczami, pełnymi niespodziewanych łez. - Bardzo się kochali, panno Taite. Tata jest bez niej jakby połową człowieka.

Shelby patrzyła przez dłuższą chwilę na pokójówkę, nie mogąc przemówić. Jej rodzice nigdy się nie kłócili. Mieli kilka wymian zdań, ale bardziej przypominały one syczące spory na temat dobrej woli i kończyły się zazwyczaj wyjściem ojca do klubu, a matki do aktualnego kochanka. Śmierć w katastrofie samolotu była jedyną rzeczą, którą zrobili razem od czasu poczęcia Shelby.

- Zazdroszczę ci twoich wspomnień, Susie - powiedziała w końcu, przechodząc koło piętrzących się na łożku stosów ubrań. - Zacznę wybierać bieliznę, dobrze? I pamiętaj, to jest nasz mały sekret.

Potem dodała jeszcze jedną pełną ubrań walizkę do tych, które spakowała Susie, tak dla pewności, że ma wszystko, co potrzebne. Podróżowanie bez przynajmniej pięciu walizek wydawało się Shelby niemożliwe i w końcu pogratulowała sobie, że obyła się bez wykonanego na zamówienie kufra, który zazwyczaj zabierała na wyjazdy trwające dłużej niż kilka dni.

Punktualnie zeszła na kolację i nerwowo przebrnęła przez trzy główne dania, podczas gdy Somerton i Jeremy sprzecali się z powodu preferowania przez tego pierwszego niewysmażonego steku.

- To barbarzyństwo - stwierdził Jeremy, wzdrygając się. - Spodziewam się, że któregoś dnia przyjdiesz, Somertonie, do domu pomalowany, merdający ogonem, z jakąś dziczyzną w szczękach. Wegetarianizm to jedyny sposób na zdrowe życie.

- Nonsens, Jeremy - odparł z rozdrażnieniem Somerton, rozszerzając nozdrza. - Jestem mięsożerny. Ty też jesteś mięsożerny. Jedyne nie chcesz tego przyznać. Szczerze mówiąc, czuję się dotknięty twoim porównaniem mnie do zwierzęcia. Uważam, że powinieneś mnie przeprosić.

Szczupła, przystojna twarz Rifkina oblała się rumieńcem, a do oczu napłynęły mu łzy.

- Przeprosić? Może w przyszłym tygodniu, Somertonie, kiedy padniesz trupem, bo twoje arterie będą zatkane. Czy pomyślałeś o tym? - Wyprostował się i pociągnął nosem. - Czy pomyślałeś, co stałoby się ze mną, jeśli cokolwiek przytrafiłoby się tobie? Sądziłem, że jesteś trochę bardziej rozważny, Somertonie. Naprawdę tak sądziłem.

- Przeżyłbyś. - Somerton odsunął się do tyłu. - A już z pewnością byś nie głodował. Ostatecznie musiałbyś jedynie wyjść z domu i zacząć się paść.

Jeremy'emu aż zaparło dech. Podniósł do ust lnianą serwetkę.

- No, dzieci - wtrącił się wuj Alfred i zamrugał do Shelby. - Somertonie, przeproś, bardzo cię proszę. Jesteś niegrzecznym chłopcem i wyprowadzasz z równowagi naszą małą kobietkę, której leży na sercu jedynie twoje dobro. Jeremy - zwrócił się następnie do Rifkina, opierając na stole łokcie i w obu dłoniach unosząc kieliszek z winem - zaczęłaś stosować jakieś nowe zabiegi na włosy, nieprawdaż? Wspaniałe, doprawdy.

Nieustępliwy Somerton wciąż mamrotał coś pod nosem, Jeremy, którego uwagę tak łatwo udało się odwrócić, wdzięczył się teraz i popisywał. Natomiast Shelby była zadowolona, że zostawiono ją w spokoju. Bawiąc się ziemniakami na talerzu, mogła ułożyć w głowie liścik, który zamierzała napisać po kolacji.

Następnego dnia o godzinie dziewiątej, kiedy domownicy jeszcze spali lub dopiero jedli śniadanie w swoich pokojach, Jim Helfrich załadował bagaż Shelby do limuzyny, po czym zawiózł ją do śródmieścia na dworzec autobusowy.

Nikommu nigdy nie przyszłoby nawet do głowy, żeby jej szukać na dworcu autobusowym. I gdyby ktoś spytał - a prawdopodobnie zapytają - Jim będzie mógł im powiedzieć jedynie o dworcu, a nie o kierunku jej podróży.

Jej plan może i był improwizacją, jednak Shelby uważała, że jest w nim coś genialnego. Przed południem dotrze do Allentown, a stamtąd ruszy w podróż do zapomnianego Wschodniego Wapeneken.

Usadowiła się wygodniej na pluszowym siedzeniu limuzyny marki Mercedes i pomyślała, że znajduje się w połowie drogi do wolności.

## 9

Dwie godziny później, spocona, zakurzona i nieco zagubiona, Shelby stała już koło dworca autobusowego w Allentown. Podobała jej się przejażdżka - nigdy wcześniej nie podróżowała autobusem, z wyjątkiem jednego lata, które spędziła na obozie jeździeckim. Kierowca był dla niej bardzo miły, zwłaszcza od chwili gdy wręczyła mu dwadzieścia dolarów napiwku za załadowanie do bagażnika stosu jej walizek.

W trakcie jazdy nawiązała rozmowę z młodą kobietą wracającą do Allentown po spotkaniu z chłopakiem. Brenda była osobą bardzo otwartą, gadała za nie obie. Shelby uważała, że całkiem dobrze sobie poradziła. Skłamała, że jedzie do Allentown, by podjąć nową pracę - kierownika w barze sieci McDonald's. Umiała sobie wyobrazić „normalne” zatrudnienie, ale jednak na stanowisku kierowniczym.

Na Brendę czekali na dworcu rodzice i Shelby nagle zdała sobie sprawę, w jakim znalazła się położeniu - sama w obcym mieście i to w nie najprzyjemniejszej jego części.

Podeszła do krawędzi chodnika i popatrzyła w dół ulicy - daleko, na jej końcu dostrzegła znak wskazujący przystanek autobusowy.

Mogła wziąć taksówkę, ale taksówka mogła być śledzona, o czym wiedział każdy, kto kiedykolwiek czytał powieści detektywistyczne, a Shelby przeczytała kilka. Autobus zaś był jak najbardziej anonimowy i pewnie nikt jej nie zapamięta.

Ktoś mógł jednak zapamiętać jej bagaż.

Wszystkie ubrania, jakie zabrała ze sobą, wcześniej wydawały się absolutnie niezbędne, kiedy jednak przewiesiła przez ramiona paski dwóch walizek, kolejną wcisnęła pod pachę i próbowała ciągnąć dwie pozostałe, doznała nagle olśnienia. Prawdopodobnie

nikt we Wschodnim Wapeneken nie potrzebował ani nie posiadał tak obszernej garderoby, w której zmieściłyby się jej ubrania.

I kiedy tak wlokła się noga za nogą, przypomniały jej się obrazy z filmu dokumentalnego, który oglądała na kanale PBS, gdy nie mogła spać. Dokument przedstawiał platformę kolejową jadącą na zachód, a kamera pokazywała pianino, kufry i inne bagaże ginące gdzieś na horyzoncie, mające przed sobą jeszcze długą i trudną drogę.

W myślach zrezygnowała już z walizki, w której znajdowały się buty. Zawsze przecież mogła kupić nowe. Uwielbiała kupować buty.

- Czy potrzebuje pani pomocy?

- Proszę? - Skoncentrowana na stawianiu stopy za stopą, Shelby podniosła wzrok na chudego chłopaka w wieku około siedemnastu lat, blokującego jej przejście.

Brazowe włosy miał całkowicie wygolone, poza szerokim na kilka centymetrów paskiem biegnącym przez środek głowy. Podkoszulek przylegał mu do ciała niczym druga skóra, tak że można było policzyć żebra. Wypłowiełe dzinsy nosił poniżej talii, z krokiem na poziomie kolan, a ich nogawki były szersze niż którakolwiek z sukni balowych Shelby i wlokły się po ziemi, co sprawiało wrażenie, jakby chłopak stał w kałuży materiału.

Miał też tatuaż na prawym przedramieniu z napisem „Killer” bezsensownie otoczony pączkami róż.

Shelby otworzyła usta, żeby mu uprzejmie podziękować, ale zamiast tego ponownie spojrzała w kierunku Hamilton Street. Traciła siłę w rękach, a zostało jej do przejścia jeszcze pół ulicy.

- Właściwie myślę, że mogłabym skorzystać z pomocy, dziękuję - powiedziała do chłopaka, a jej uśmiech zbladł nieco, kiedy upuściła bagaż na ziemię. Następnie wyszukała w torbie dwudziestodolarowy banknot. - Potrzeba jedynie do-transportować to wszystko do przystanku autobusowego na rogu. Będę naprawdę bardzo wdzięczna...

Banknot znikł z jej ręki. Parę sekund później patrzyła przerażona, jak wszystkie pięć sztuk jej bagażu jest ciągniętych po

ulicy. Zaczęła chłopaka gonić, ponieważ nie bardzo jej się podobało, że on raczej ucieka, niż przenosi jej własność.

Kiedy dobiegł do przystanku i skręcił w boczną ulicę, Shelby przerwała pościg i nie będąc w stanie wymyślić nic innego, zawołała:

- Zatrzymać go! Złodziej!

Tak banalnie. Tak żenująco melodramatycznie.

Ale jednak, pomyślała z ulgą, tak efektywnie.

Skręciła za róg i ujrzała wyrostka uniesionego do góry za kark, z nogami dyndającymi nad ziemią, tak że jego spodnie nie zamiatają już chodnika. Obok na kupie leżały jej walizki.

- To należy do pani? - zapytał nieznajomy, który złapał chłopaka.

Shelby mrugnęła, kiwnęła głową raz czy dwa i popatrzyła na wielkiego jak góra mężczyznę, który uratował jej bagaż.

Nie był wyższy od niej, wyglądał na trzydzieści kilka lat i był dobrze zbudowany: wypukła pierś, muskularne ramiona, a pod obcisłymi, wyblakłymi dżinsami sprawiające wrażenie twardych jak skała uda. Brązowe włosy były króciutko ostrzyżone, co nie wyglądało zbyt dobrze przy jego szerokiej twarzy i odstających uszach, ale uśmiech miał miły, a niebieskie oczy szczere. Nosił ciężkie robocze buty, a na jego koszulce widniał napis „Rainy Day Construction”.

Złodziejaszek wił się w żelaznym uchwycie i prawdopodobnie czuł, że natrafił na mur. Dwukrotnie.

- Tak - odpowiedziała Shelby, chwytając oddech. - Tak, to mój bagaż. Bardzo panu dziękuję. Hmm, sądzę, że może już go pan postawić na ziemi.

- Czy jest pani pewna? Mogę wezwać policję, rozumie pani, i ten gnoj..., to znaczy dzieciak wyląduje w areszcie. Jest pani pewna, że nie chce wnieść oskarżenia?

„Killer” natychmiast się uspokoił się i popatrzył na Shelby, szczenięcym wzrokiem błagając, by nie posyłała go do więzienia. On tylko „zabawiał się z panią” i zaraz przyniósłby z powrotem jej walizki. „Śmiertelnie uczciwy, proszę pani.”

Shelby miała dylemat. Chciała, aby chłopak uświadomił sobie, że czyny mają swoje konsekwencje. Ale gdyby to zrobiła, gdyby pozwoliła swemu wybawcy włączyć w to miejscową policję, jej nazwisko pojawiłoby się w jakiejś księdze aresztowań czy czymś takim i Somerton w przeciągu godziny, lub nawet szybciej, dowiedziałaby się, gdzie ona jest.

- Proszę o zwrot moich dwudziestu dolarów, jeśli byłbyś tak uprzejmy - powiedziała. - A potem możesz odejść. Właściwie daj pieniądze temu miłemu człowiekowi, ponieważ sobie na nie zasłużył.

Dwudziestka zmieniła właściciela i „Killer” stanął na chodniku, oceniając, czy ma szansę pobić rekord na setkę - o ile przedtem nie zapłacze się w spodnie i nie skręci karku.

- Jeszcze raz panu dziękuję - rzekła Shelby, kiedy mężczyzna podszedł bliżej. - I naprawdę proszę to zatrzymać. Z pewnością zasłużył pan na to i na wiele więcej.

- Zechce pani wybaczyć, ale nie mogę tego zrobić - oświadczył nieznajomy i wyciągnął ku niej rękę z banknotem. - Moja mama przetrzepałaby mi skórę, gdyby doszło do niej, że za pomoc damie przyjąłem pieniądze. Proszę mi teraz powiedzieć, dokąd się pani wybiera z całym tym bagażem?

Shelby niby wskazała przystanek autobusowy za sobą, ale zaraz zdała sobie sprawę, że nawet jeśli mężczyzna pomógłby jej dojść do przystanku, nie znajdzie nikogo, kto by jej pomógł wypakować walizki z autobusu po dotarciu do Wschodniego Wapeneken.

- Ja... Nie jestem pewna - odrzekła w końcu i przesunęła ręką po włosach, które opadły jej na twarz podczas pościgu za „Killerem”.

Było jej gorąco, była trochę głodna, a nogi miała jak z gumy. Podniecenie, które czuła, opuszczając Filadelfię, ulotniło się, pozostała jedynie przykra świadomość, że w wieku lat dwudziestu pięciu nie potrafi się obronić, znaleźć właściwego środka transportu, samodzielnie podjąć decyzji. Było to bardzo przygnębiające.



- Nazywam się Mack, proszę pani, Gary Mack - przedstawił się mężczyzna, przerywając ciszę, po czym obtarł rękę o spodnie i wyciągnął ją w kierunku Shelby - jak jakiś przerośnięty szczeniak zamierzający splatać figla. - Nie chciałbym się narzucać ani nic w tym rodzaju, ale może znaleźlibyśmy jakieś miejsce, usiedli na chwilę i nakarmili panią? Jest pani nieco błada.

- Ależ dziękuję bardzo, panie Mack - powiedziała Shelby i cofnęła rękę niemal zmiażdżoną w jego uścisku. Była niemądra, że uwierzyła „Killerowi”, ale w Garym Macku było coś takiego, co sprawiało, że nie można było mu nie ufać. - Doprawdy, byłoby uroczo. Och, a ja jestem Shel... hmm, Shelley, hmm, Smith. Bardzo miło mi pana poznać.

Dziesięć minut później Shelby przeżyła kolejny miły moment, gdy została przedstawiona narzeczonej Gary'ego, Brandy Wasilkowski. Ci dwoje zamierzali zjeść razem wczesny lunch, a umówieni byli koło biura zatrudnienia, w którym pracowała dziewczyna. Brandy przyjęła obecność Shelby z pobłażliwym uśmiechem, który mówił, że Gary już wcześniej przyprowadzał zbłąkanych ludzi i że ona już do tego przywykła.

Niska i przyjemnie okrągłutka, Brandy Wasilkowski opadła na wyściełaną ławę w małej restauracji, pocałowała narzeczonego w policzek, a następnie uśmiechnęła się do Shelby. Jej błękitne oczy błyszcząły, orzechowe loki falowały, a mały, zadarty nos demonstrował obsypane pudrem piegi, które były raczej duże niż milutki. Miała okrągłą brodę, szeroki uśmiech i wyraźną słabość do biżuterii, czego dowodziły pierścionki na każdym palcu - nawet kciukach - obu rąk.

Była raczej rówieśnicą Gary'ego niż Shelby, ale jej młodzieźowa, sięgająca kolan sukienka w kwiaty i sandałki mówiły, że według Brandy wiek nie ma nic wspólnego z doborem ubrań.

- Cześć, Shelley - przywitała się i uśmiechnęła. - Czy to Gary przywłókł tu ciebie i tę górę markowych walizek, czy też przyszedł z własnej woli?

- Ależ, kochanie... - zaczął Mack, ale narzeczonej przerwała mu machnięciem ręki, wciąż wpatrując się przez stół w nie-

znajomą, a wyraz jej twarzy zdradzał w połowie rozbawienie, a w połowie zaniepokojenie.

- Gary uratował mnie i mój bagaż - wyjaśniła Shelby - a potem zaprosił na lunch. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Brandy wyciągnęła rękę i chwyciła jedno z menu wetkniętych pomiędzy butlę z keczupem a duży pojemnik z cukrem. Umyślnie nie patrzyła na swych współtowarzyszy, zobaczyła i usłyszała już wystarczająco dużo, by dojść do wniosku, że działo się tu coś dziwnego. Wcześniej czy później dowie się, o co chodzi, na razie jednak bardziej interesował ją lunch. Brandy raczej by zjadła, niż zrobiła cokolwiek innego.

- Nie. Nie mam. Czy zamówiliście już?

Gary wyjął jej menu z rąk.

- Zamówiłem także dla ciebie. Dostaniesz sałatkę wiejską, kochanie, pamiętasz? W każdym razie to kazałaś mi zamówić. Chociaż ja wciąż uważam, że nie ma nic złego w...

- Czyż on nie jest słodki? - wtrąciła szybko Brandy, przerywając mu. - Mówi, że nie jestem gruba. - Odwróciła się do niego i ponownie pocałowała w policzek. - Kłamczuch. Naprawdę cię kocham. Ale jeśli mam wcisnąć się w moją suknię ślubną, muszę zgubić co najmniej dziesięć kilo. Sałatka wiejska, he? Dlaczego zawsze wybierasz zły moment, aby zrobić to, o co cię proszę? Mogłabym zabić dla cheeseburgera.

Shelby spojrzała na rękę Brandy i wypatrzyła mały pierścienek z brylantem na trzecim palcu. Swój brylant zostawiła w domu w szkatułce z biżuterią, gdyż wiedziała, że z powodu tych dwu karatów z pewnością zostałyby zapamiętana.

- Kiedy ślub, Brandy? - zapytała, gdy pojawiła się kelnerka z sałatką wiejską dla nich obu i wielką bułką nafaszerowaną posiekanym mięsem i serem dla Gary'ego.

Mack patrzył przez chwilę na narzeczoną, po czym opuścił głowę i skoncentrował się na topieniu frytek w litrze keczupu.

- A niech cię, nawet nie możesz na mnie spojrzeć, Gary. Wybierz rok pomiędzy dziś a nieskończonością, Shelley. Kupiłam

suknię, kiedy nosiłam rozmiar trzydzieści osiem, jeśli może dać ci to jakieś wyobrażenie, od jak dawna planujemy ślub - powiedziała Brandy, nadziewając na widelec pomidora, a następnie wpychając go sobie w całości do ust.

- Oj, kochanie, nie zaczynaj...

- Nie zaczynać? Tak, Gary, Bóg jeden wie, że nie chcemy niczego zaczynać. - Zaśmiała się, pocałowała go w policzek po raz trzeci i najwyraźniej odzyskała dobry humor tak szybko, jak go wcześniej straciła. - Jesteśmy zaręczeni od dwunastu lat, zgadza się, Gary? - Pochyliła się nad stołem i szepnęła donośnie: - Jest słodki, ale ma trochę spóźniony zapłon, jeśli wiesz, co mam na myśli. To - przerwała i znów odchyliła się do tyłu - oraz fakt, że jego najukochańsza mamusia ciągle wymyśla jakieś wybiegi, jest przyczyną zwłoki.

Mack zaczerwienił się po korzonki włosów.

- Ależ, Brandy, to nieprawda. Mama...

- Nienawidzi mnie - dokończyła Brandy i nabiła na widelec kolejnego pomidora. - Nienawidzi, nie cierpi i czuje odrazę. Jak śmiesz jej odbierać jej malutkie dziecko, zostawiać samotną, biedną, chorą i starą, bla bla bla.

Spojrzała na Shelby i zrobiła grymas.

- Zastanówmy się. Była już zalana piwnica, nowy dach, chory kręgosłup - to było już dwa razy, pamiętasz, Gary - niewytłumaczalne okresy omdleń, psujący się wzrok i wiele innych. Próbowwała też raz agorafobii - wiesz, tego, gdy boisz się wyjść z własnego domu. Trwało to około trzech tygodni, dopóki Tony nie uruchomił połączenia autobusowego do Atlantic City. - Pstryknęła palcami. - *Presto!* Agorafobia całkowicie wyleczona.

- Brandy, ustaliliśmy datę na wrzesień i zamierzamy z boską pomocą przebrnąć przez ten okres - przerwał jej Gary. Wyglądała na naprawdę zawstydzoną. - Poza tym mama wyczerpała już dobre wymówki.

- Szkoda, że nie ma zamiaru paść trupem na dzień przed ceremonią. Mogłabym z tym żyć i zadziałałoby to tylko jeden

raz - stwierdziła Brandy i mrugnęła do Shelby. - No, dobrze, dość już na ten temat. Więc co cię sprowadza do Allentown, Shelley? Oceniając po wyglądzie, powiedziałabym, że planujesz zostać tu przez jakiś czas.

Shelby przeżuwała kawałek sałaty, zamieniając ją w ustach w miążgę, i starała się wymyślić jakieś przekonujące kłamstwo. Dała sobie jednak z tym spokój, gwałtownie przełknęła i powiedziała pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

- Mieszkałam w Nowym Jorku, Brandy, i po prostu poczułam się zmęczona pośpiechem i bieganiną dużego miasta. Tyle hałasu, tyle ruchu.

- I przestępczość - wtrącił Mack.

- Tak! - Shelby pochyliła się do przodu i przycisnęła łokcie do krawędzi stołu, zamierzając wykorzystać podpowiedź Gary'ego. - Zostałam napadnięta. To było straszne, Brandy. Uprawiałam, hmm, jogging w Central Parku i nagle pojawił się ten mężczyzna. Ogromny mężczyzna! W biały dzień. Wyrwał mi torebkę - wiesz, taką, którą przyczepiasz sobie do pasa - i już miał mnie zawlec w krzaki, gdy przybyła policja.

Odchyliła się z powrotem na oparcie, bardzo z siebie zadowolona.

- Cóż, cała się trzęsłam. Zrezygnowałam z posady - hmm, rzuciłam pracę następnego dnia, spakowałam wszystko, co mogłam, i wsiałam do pierwszego autobusu, który opuszczał miasto. I tak się stało, że przyjechałam do Allentown.

- Rany! - westchnęła Brandy. Była naprawdę pod wrażeniem - pod wrażeniem, jaką marną kłamczuchą jest jej nowa znajoma. Gary oczywiście nic nie zauważył. - To takie przerażające.

- Tak. I co się stało, kiedy ledwo wysiadła z autobusu? - włączył się Gary, potwierdzając spostrzeżenie narzeczonej i zaciskając wielkie dłonie w pięści. - Bum! Znowż została napadnięta. Ależ ty masz szczęście.

Shelby radośnie przytaknęła, nie wiedząc, że jej szczęście znowż się miało od niej odwrócić.

W trakcie rozmowy podała kelnerce kartę kredytową, a teraz kelnerka wróciła, trzymając jej platynową kartę w jednym ręku, a nożyczki w drugim.

- Ta karta jest nieważna, kochanie. Dziewczyna z firmy oświadczyła, że karta została unieważniona dziś rano. Powiedziano mi, że powinnam ją przeciąć na twoich oczach - dodała kelnerka przeproszającym tonem. - Przykro mi z tego powodu.

2 otwartymi ustami Shelby patrzyła, jak kelnerka robi to, co zapowiedziała. Jedyne klucze umożliwiające dostęp do gotówki leżał teraz przed nią na stole w dwóch bezużytecznych kawałkach. Była bez pieniędzy. Prawdziwe życie właśnie uderzyło z impetem.

- Ależ... ależ... - wyjąkała i podniosła kawałki, daremnie i bezsensownie starając się je połączyć. A potem, kiedy Brandy wślizgnęła się na siedzenie obok niej i ze współczuciem objęła ją pulchnym ramieniem, zaczęła płakać.

Rzadko musiała robić coś poza wyrażeniem życzenia, które wkrótce było spełnione. Teraz Shelby nie była już tak hojnie obdarowywana przez los. Wiedziała jednak, że mogłaby zrobić gorszą rzecz, niż dać się zabrać do Brandy Wasilkowski.

Za wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności uznała fakt, że Brandy mieszkała na przedmieściach Allentown, we Wschodnim Wapeneken. Wynajmowała mieszkanie na drugim piętrze przerobionego na hotel dawnego budynku szkoły.

W ciągu godziny, jaka upłynęła od wybuchu płaczu przy lunchu, Shelby znalazła się pod opiekuńczymi skrzydłami Brandy i wraz ze swymi pięcioma walizkami wprowadzona została do skromnej sypialni w jej mieszkaniu.

Poczuła nawet, że jest w stanie się uśmiechnąć, kiedy Mack postawił jej bagaż, a obie lokatorki najpierw zrobiły krok w prawo, a potem w lewo, tak by mężczyzna mógł je minąć i wyjść do przedpokoju.

Sypialnia była nieskończenie mała, połowy wielkości garderoby Shelby. Zastawiona była czymś, co było błędnym wyobrażeniem na temat francuskich mebli prowincjonalnych. Wąskie łóżko pokryte było pluszakami, półki na ścianach wypełniały bibeloty zwane Beanie Babies, o których Brandy zdążyła już jej powiedzieć, że kiedyś będą warte niemałą fortunę.

Biorąc pod Uwagę fakt, że Shelby spędziła życie wśród bezcennych dzieł sztuki, przypuszczała, że nieźle udała wrażenie, jakie to na niej wywarło.

Ściany pokoju przytłaczały ją. Pomalowane na ciemnozielony kolor ledwie były widoczne spoza półek, zdjęć kotów perskich i kilku wielkich posterów z piosenkarzami muzyki country. Garth Brooks. Tim McGraw i Faith Hill. Reba McEntire.

Shania Twain. I jeszcze jakaś piosenkarka nieopatrzonego podpisem, jakby każdy automatycznie musiał ją znać albo rozpoznawać po rozmiarze blond peruki i absolutnie wspaniałych pierśsiach pod ozdobioną biżuterią suknią, a powyżej talii osy.

Cóż, pomyślała Shelby, odwracając się od niewyobrażalnego biustu - przynajmniej nie będzie się tu czuła sama. Nikt nie mógłby się czuć samotny w tym pokoju.

Wzięła z kredensu jedną z kilkunastu fotografii i zobaczyła, jaką drogę uśmiechnięta Brandy pokonała przez lata - i przez rozmiary sukienek - zawsze otoczona innymi śmiejącymi się twarzami, które mogły należeć tylko do Wasilkowskich, choćby z powodu piegów.

Shelby wzięła głęboki oddech, powoli wypuściła powietrze i uśmiechnęła się. Była w prawdziwej sypialni, w prawdziwym mieście, mieszkała z prawdziwą osobą i właśnie zaczynała przygodę swego życia. Jak ktoś powiedział w autobusie: „Nie będzie lepiej, niż jest teraz”.

Potem przypomniała sobie dwa kawałki karty kredytowej, którą Somerton unieważnił, i po raz pierwszy poczuła prawdziwy lęk, jaki musieli czuć ci wszyscy mili, normalni ludzie, kiedy kończyły się im pieniądze i kiedy wciąż za dużo dni dzieliło ich od następnej wypłaty.

Ona nigdy nie musiała czekać na czek. Przeklęty Somerton zabrał jej całą przyjemność z przygody!

Użalała się przez chwilę nad sobą, gdy nagle do pokoju wpadł wielki, ciemnosrebrny pers z neonoworóżowym kołnierzykiem, krótko miauknął, wskoczył na jej łóżko i zaczął się leniwie myć. Kot. Zwierzak. Nigdy nie miała zwierzaka. Jakież proste, jakież wspaniałe w swej prostocie, domowe życie wiodła Brandy. A teraz, nawet jeśli tylko przez krótki moment,, wiodła i ona.

Brandy i Gary byli dobrymi ludźmi, o jakich mówił Jim, opowiadając jej o Wschodnim Wapeneken. To, co zrobili, to było znacznie więcej niż urządzenie balu charytatywnego dla mających mniej od nich szczęścia. Oni ją przygarnęli, nakarmi-

li, zapewnili dach nad głową, zatroszczyli się o nią. Jakie wspomnienia było to małe miasteczko - dokładnie takie, jak to sobie wyobrażała.

To było prawdziwe życie i właśnie takie Shelby chciała zobaczyć, doświadczyć go. Nawet jeśli, jak mówił Jim, wszyscy w małym miasteczku uważali, że mają prawo wiedzieć wszystko o osobistych sprawach innych.

I jakby na dowód tego, mimo iż obiecała nie zadawać żadnych osobistych pytań, zanim jej nowa przyjaciółka nie będzie gotowa na nie odpowiedzieć, znad zamówionej do domu pizzy (karmiąc Perską Księżniczkę pepperoni), Brandy zadała ich kilkadziesiąt.

Shelby całkiem nieźle przebrnęła przez ten ogień pytań - albo tak się jej wydawało - zmyślając kłamstwa tak szybko, jak tylko mogła. Ale później w nocy, dzieląc wąskie łóżko z Księżniczką i dużym pluszowym czerwonym psem z klapniętym uchem, usłyszała rozmowę Brandy i Gary'ego w salonie po drugiej stronie holu.

- To są pantofle od Gucciego, Gary. Od Gucciego. A widziałeś jej zegarek? Prawdziwe złoto z brylantami. Nie ze szkiełkami, Gary, z prawdziwymi brylantami. Mówię ci, Shelley nie jest po prostu nauczycielką literatury francuskiej, która uciekła z Nowego Jorku, jak nam powiedziała. Wykładowcy nie zarabiają takich pieniędzy.

- Zarabiają, skoro używają kart kredytowych, dopóki jakaś kelnerka nie przetnie im ich przed nosem - zauważył Mack. - Też ją lubię, kochanie, ale możliwe, że jest w tarapatkach czy coś w tym rodzaju. Może uciekać przed policją. Czy pomyślałaś o tym, zanim zaproponowałaś, by wprowadziła się do ciebie?

- Ona płakała, Gary - przypomniała Brandy. - Po prostu się załamała i zaczęła chlipać. Kryminaliści tak nie płaczą. Była wstrząśnięta, kiedy kelnerka przecięła jej kartę. I zauważyłaś, że jąkała się, wymawiając swoje imię, jakby nie była do niego przyzwyczajona? Albo nie reagowała na nie, nie myślała o nim. Może ucieka od chłopaka, a może i grubiańskiego męża?



- Wygląda, jakby nosiła kiedyś pierścionek na lewym ręku - dodał Gary, sam bawiąc się teraz w detektywa. - No, wiesz, jej ręka jest trochę opalona, ale widać jaśniejszy ślad na palcu. Może i masz rację, kochanie. Ale co z nią robić? Nie może tak po prostu tu zostać, prawda?

- A dlaczego nie? Potrzebuje pomocy, potrzebuje pracy. Jestem doradcą zatrudnienia, pamiętasz? Nie mogła trafić lepiej. Mogę znaleźć jej pracę i pozwolić jej tu zostać, aż zarobi wystarczająco dużo, by wynająć własne mieszkanie i znów stanąć na nogi. Czy może być coś prostszego?

Właśnie. Może być?

W końcu Shelby zasnęła, uśmiechając się do myśli, że w jakiś sposób stała się oto kobietą tajemniczą. Tajemniczą kobietą o dużym szczęściu, która właśnie rozpoczynała coś, co mogło być jedynie wspaniałą przygodą w „prawdziwym” świecie.

## 11

Prawdziwy świat zaczął się o godzinie piątej trzydzieści następnego poranka, kiedy trzy różnobarwiące budziki Brandy zaczęły jednocześnie dzwonić po drugiej stronie cienkiej ściany sypialni.

Shelby podniosła się natychmiast, jak tylko za pomocą kłanienca pozbyła się Księżniczki. Zaczęła nasłuchiwać pomruków i narzekań Brandy, której wstaniu z łóżka towarzyszyło skrzyknięcie sprężyn. Wkrótce jeden po drugim budziki zamilkły.

Cisza nie trwała dłużej niż kilka chwil, Brandy bowiem zapukała do drzwi Shelby, a potem wsunęła głowę, mówiąc: „Dzień dobry”. W dalszej kolejności ukazało się jej niewysokie, korpulentne ciało owinięte aktualnie w kimono ze sztucznego jedwabiu w czarne i czerwone kwiaty.

- Przepraszam za te syreny. Powinna być cię uprzedzić - powiedziała, marszcząc piegowaty nos. - Gary mówi, że obudzić mnie rano to tak, jakby próbować obudzić zmarłego. Chcesz wziąć prysznic pierwsza, a ja zaparzę kawę?

- Hmm... no... tak, jasne - odparła Shelby, przeczesując palcami włosy i starając się przypomnieć sobie, kim jest, gdzie jest i dlaczego tu jest. - Tak... tak będzie bardzo dobrze. Ach, Brandy, czy mój zegarek dobrze chodzi? Naprawdę jest piąta trzydzieści?

- Tak. Straszne, nie? Ale muszę być w pracy na ósmą, a zwykle wstępuję na śniadanie do Tony'ego, zanim nie nadjedzie mój autobus. Ty oczywiście pójdziesz ze mną.

Głowę Shelby wciąż zaprzętała myśl, że obudziła się przed świtem.

- Do pracy? Idę z tobą do pracy?

- Nie, głuptasie, do Tony'ego. Chcesz coś zjeść, prawda?

Chyba nie myślałaś poważnie, że używam kuchni, co? No, chodź już. Szybciutko.

Gdy tylko Brandy poczłapała do kuchni, Shelby znów opadła na poduszki, stwierdziwszy, że ma już dość prawdziwego życia jak na jeden poranek, i planując pospać przynajmniej do dziesiątej. Przekręciła się na drugi bok, włożyła rękę pod poduszkę i skuliła się pod pościelą.

Otworzyła nagle oczy, kiedy mieszkanie wypełnił nosowy męski głos, radośnie śpiewający, że „nikt nie wysiada w tym mieście”. Brandy dołączyła do niego kilka chwil później, fałszywie zawodząc opowieść o miasteczku tak małym, że nie stają tu pociągi, są tylko jedno światła, jeden pies, a kiedy zatrzymuje się autobus, nikt nie wysiada i ludzie jadą dalej.

- Podoba ci się? - zapytała Brandy, znów wtykając głowę do pokoju. - To Garth Brooks, król świata. Wiesz, gdyby ktoś kilka lat temu powiedział mi, że polubię muzykę country, sama bym się z tego śmiała. Teraz biegam na lekcje tańca country odbywające się w alejkach kręgielni w piątkowe wieczory, ale oczywiście Gary nie chce ze mną chodzić, głupek. Hej, chcesz pójść następnym razem? To świetna zabawa, serio. A oto - powiedziała, otwierając szeroko drzwi i wchodząc do pokoju - twoja kawa. Jeśli dobrze pamiętam, pijesz czarną. Dobrze, wezmę prysznic pierwsza i rozgrzeję dla ciebie łazienkę. Ale ostrzegam cię, jeśli nie wejdiesz pod prysznic, zanim pani Leopold z 1 B napełni wannę, będziesz się myć w zimnej wodzie.

Shelby kilka razy otworzyła i zamknęła usta, nie będąc w stanie wymyślić ani jednej odpowiedzi i ostatecznie decydując się na słabe „dziękuję”, kiedy nowa przyjaciółka podała jej kawę w kubku, na którym narysowany był jakiś włochoaty, szerokousty potwór z kreskówki.

Czterdzieści pięć minut później, z dzwiczącą wciąż w uszach puentą kiepskiego dowcipu, wygłoszonego w radiu przez kogoś, kto nazywał się Howard Stern czy Stern, czy coś w tym rodzaju, Shelby podążyła schodami za Brandy. Słońce było już wysoko. Minęły dwie przecznice i znalazły się

przed mieszczącą się na rogu RESTAURACJĄ RODZINNĄ U TONY'EGO, na którą - jak została poinformowana - pięć lat temu została przerobiona stacja benzynowa, a która teraz była najchętniej odwiedzanym we Wschodnim Wapeneken miejscem, gdzie można było zjeść.

- Czarujące - powiedziała Shelby i ruszyła za swoją przewodniczką przez parking w stronę nieciekawych różowych budynków, dostrzegając dwóch mężczyzn w koszulkach w kratę, dwie kobiety w kapeluszach, trzymające w dłoniach książeczki do nabożeństwa oraz umundurowanego policjanta - z pistoletem - wchodzącego przed nimi do restauracji. Nie miała pojęcia, że tak wielu ludzi wstawało tak wcześnie rano.

Brandy natychmiast została powitana przez młodą kelnerkę ubraną w czarny podkoszulek i pasujące do niego legginsy, z rękami pełnymi naczyń, które szybko postawiła przed czterema klientami siedzącymi najbliżej drzwi.

- To, co zwykle, Brandy? - zapytała. - Kim jest twoja przyjaciółka?

- Shelley, to jest Tabby. Shelley zostanie u mnie przez jakiś czas. Aha, pije czarną kawę.

- Czarną, jasne - odpowiedziała kelnerka, nie przerywając pracy; zdążyła zebrać puste naczynia, zostawić na stoliku rachunek i pożartować z klientami, zwracając się do nich po imieniu.

Było ich naprawdę sporo. Tabby i trzy inne, bardzo do niej podobne kobiety były tak samo zabiegane, jako że prawie każde krzesło i każdy boks zajęte były przez ludzi: ludzi rozmawiających, śmiejących się, czytających gazety, pijących gorącą kawę lub po prostu wpatrujących się w dal, próbujących się rozbudzić.

Ten chaos, bo tylko tak można było to nazwać, wydawał się nie do opanowania. Shelby pokręciła głową, usiadła i popatrzyła przez stół na Brandy.

- Jak ty to wytrzymujesz? - zapytała. - Taki hałas o tak wczesnej porze.

- Och, tak jest zawsze u Tony'ego - wyjaśniła Brandy, a tymczasem Tabby stawiała już na stoliku brązowe ceramiczne

ne kubki i napełniała je kawą. - Prawda, Tabby? Shelley, czy chcesz przeczytać menu?

- Hmm? - zapytała Shelby, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że Brandy mówiła do niej. Obserwowała mężczyznę, który sprawiał wrażenie stworzonego raczej do siedzenia niż poruszania się, jak polewał syropem klonowym stertę trzech naleśników posmarowanych już jagodami. - Och. Och, nie, sądzę, że nie. - Uśmiechnęła się do kelnerki. - Wezmę świeżego melona, dziękuję. I może mały plasterek *prosciutto*.

Brandy i Tabby zaśmiały się równocześnie.

- Melon? - powtórzyła Tabby i wyciągnęła notes. - Kochanie, najbardziej owocową rzeczą, jaką mamy, jest sok pomarańczowy. Chcesz trochę? I oczywiście jajka na bekonie. Frytki chcesz normalne czy przypalone?

Shelby poddała się, obserwując jak kelnerka notuje zamówienie.

- To będzie, hmm, w porządku. Dziękuję, Tabby.

Brandy patrzyła na Shelby i uśmiechała się, widząc jej zaniepokojenie.

- Nie masz tego w zwyczaju, prawda, Shelley? Czy w Nowym Jorku jadłaś kiedykolwiek poza domem?

- W Nowym... A! A, tak, oczywiście, że tak. To było... to było bardzo przyjemne. Naprawdę.

- Tak, akurat - powiedziała Brandy, kładąc łokcie na stół. Przez pół nocy zastanawiała się nad jakimś łagodnym sposobem wyciągnięcia z Shelley prawdy i w końcu doszła do wniosku, że nie ma lepszej metody, niż zapytać wprost. - Posłuchaj, Shelley - jeśli to jest twoje prawdziwe imię - nie sądzisz, że nadszedł czas, aby powiedzieć mi prawdę?

Shelby szukała ratunku w popijaniu kawy, która była nadzwyczaj smaczna. Cała restauracja ładnie pachniała. Jej żołądek musiał to przyznać, ponieważ zaburczał, więc doszła do wniosku, że jajecznica nie jest takim złym pomysłem. Przynajmniej żołądek starał się ją ostrzec, że wykorzystywała już limit kłamstw i że zaraz zostanie przyłapaną na zmyślaniu.

- Prawdę, Brandy? Powiedziałam ci prawdę wczoraj w nocy.

- Akurat, dziecinko, mimo że starałam się ją z ciebie wyciągnąć. Zapomniałam wspomnieć, że jestem królową Anglii. - Wyciągnęła rękę przez stolik i ścisnęła palce Shelby. - Uciekłaś, prawda? Co się stało? Wywołałaś jakiś skandal w klubie za miastem? Tatuś odciął ci kieszonkowe? Jesteś w ciąży?

- W ciąży? Dobry Boże, nie! - Shelby cofnęła rękę. - Przepraszam, Brandy. Natychmiast się spakuję i odejdę.

- Och, nie bądź głupia - odparła spokojnie Brandy i opadła z powrotem na oparcie krzesła, kiedy Tabby przyszła z dwoma kopiastymi talerzami jajecznicy z bekonem, tostów i frytek. - Zjedzmy, dobrze? Potem powiesz mi wszystko, co będziesz chciała. A jeśli nie, to też nie ma sprawy. Po prostu chcę ci pomóc.

- Dziękuję, Brandy - powiedziała szczerze Shelby, po czym spojrzała na talerz przed sobą i jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. - Dobry Boże, i ja mam to wszystko zjeść?

- Na głowę bije slim-fast, co? - spytała Brandy ze śmiechem. - Nie wiem, dlaczego sobie wyobrażam, że kiedykolwiek wrócę do rozmiaru trzydzieści osiem. Nie kiedy Tony przygotowuje jedzenie. A teraz jedz, Shelley. Bardzo dobrze ci to robi.

- Szczerze w to wątpię - odparła Shelby, ostrożnie podnosząc widelec i wbijając go w górę pulchnej jajecznicy. Przypomniała sobie poglądy Jeremy'ego na temat cholesterolu - chyba by zemdłał, gdyby zobaczył teraz jej talerz. Kogo ona oszukiwała? Jeremy by zemdłał, nawet gdyby usłyszał o Wschodnim Wapeneken. - Hmm... czy pracownicy obsługi słyszeli o profilaktyce cholesterolu?

- A, co? Chcesz żyć wiecznie? - zapytała Brandy z ustami pełnymi przepysznych, tłustych smażonych kartofli. Ponieważ nie grzeszyła nadmierną subtelnością, a niepewność wręcz ją dobijała, ledwie przełknęła, powróciła do tematu. - Ale jeśli nie zamierzasz jeść, będziesz musiała ze mną porozmawiać. Co wolisz, Shelley?

Shelby odłożyła widelec i otarła usta papierową serwetką.

- Co mnie zdradziło?

Brandy podniosła w górę palec i szybko przeżuła kolejny kęs.

- Co cię zdradziło? Twoje ubrania, buty, ten zegarek na ręku. Jedzenie pizzy nożem i widelcem, głośny płacz. Jesteś jakby nie na swoim miejscu, na przykład... na przykład teraz, jak tak siedzisz u Tony'ego. Przyznaj się, Shelley, jesteś bogata. I uciekasz od czegoś. Lub kogoś.

Shelby popatrzyła na jajka, popatrzyła na Brandy i poddała się.

- Przypuszczam, że powinnam powiedzieć ci prawdę. Myślałam, że umiem lepiej zmyślać, ale teraz widzę, że to było tylko pobożne życzenie z mojej strony. No, dobrze. Nazywam się Shelby Taite i uciekłam z domu, od mojego narzeczonego, od bogatego i luksusowego życia, które powoli zaczynało doprowadzać mnie do obłądu. Wpadłam na szalony pomysł, by zniknąć na trochę i spróbować prawdziwego życia, z prawdziwymi ludźmi - i uczyniłam to.

Panna Wasilkowski spojrzała na Shelby, a jej widelec zatrzymał się w połowie drogi do ust.

- Uciekłaś od dobrego życia? A to ci zamiana.

- I myślisz, że jestem śmieszna, prawda? Ale to by się udało, naprawdę, tyle tylko, że brat unieważnił moją kartę kredytową, spodziewając się, że w ten sposób zmusi mnie do powrotu do domu jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Mam czterysta dolarów i pięćdziesiąt trzy centy w portfelu i naprawdę prędzej się zabiję, niż zadzwonię do Somertona i będę go błagać, żeby mnie stąd zabrał. I mimo że mnie o to nie pytałaś - nie, do dzisiejszego dnia nigdy wcześniej nie byłam w takim miejscu jak to. To znaczy, widziałam raz film dokumentalny na PBS na temat posiłków i zmian na scenie kulinarnej Ameryki, ale... Cóż, myślę, że powiedziałam wystarczająco dużo. - Ponownie opadła na chwiejące się drewniane oparcie krzesła, założyła ręce na piersiach i zamrugała, żeby powstrzymać denerwujące łzy. Była sama niecałe dwadzieścia cztery godziny i już jej się nie powiodło. To było więcej niż przygnębiające. - Tyle. Czy byłam dostatecznie szczerą?

Szczęka Brendy opadła już w połowie wyznania panny Taite. Zdumiona wepchnęła do ust trochę jajeczniczy, podparła widelcem brodę i dopiero wtedy się odezwała:

- O, rany. O, rany. To jak w tym filmie. No, wiesz, Clark Gable i ta dziewczyna - nie pamiętam, jak się nazywała. „Ich noc.” Stary film, strasznie stary. Ta bogata dziewczyna odpływa z jachtu tatusia i ucieka - też wsiada w autobus, jeśli dobrze pamiętam - żeby się dowiedzieć, jak żyją inni ludzie, czy coś w tym rodzaju. Jesteś naprawdę bogata, Shell-Shelby?

- Okropnie - przyznała Shelby, uśmiechając się słabo. - Przykro mi.

- Przykro ci? - Brandy pokręciła głową. - Dlaczego jest ci przykro? Ja uważam, że to świetnie. I jesteś zaręczona? O co tu chodzi? Nie kochasz go?

Spowiedź musiała korzystnie wpływać na duszę, ponieważ Shelby poczuła się lepiej. Dużo lepiej. Wystarczająco dobrze, by powiedzieć, co myślała naprawdę.

- Nie wiem. - Spojrzała na Brandy i wzruszyła ramionami. - Naprawdę nie wiem. Ale nie sądzę, żeby on kochał mnie. My po prostu łączymy dwie rodziny.

- Och, kochanie, to fatalnie.

Shelby sięgnęła do kieszeni po chusteczkę. Współczucie Brandy znów wywołało potok łez. Ale w jakiś sposób te łzy były oczyszczające.

- Fatalnie, prawda? Ale może się mylę - dodała z nadzieją. - To znaczy, Parker mógłby mnie kochać. On chyba tylko nie wie, jak należy to okazać. A Somerton mówi, że wszystko dobrze się ułoży, że to wspaniała partia. I... i wybraliśmy już wzór porcelany.

- Chrzań porcelanę - powiedziała pokrępiąco Brandy. - I jedz śniadanie. Bóg jeden wie, że powinnaś nabrać trochę ciała. O, bardzo dobrze - weź duży kęs. Teraz pomówmy o tym, co masz zamiar zrobić, dobrze? Bo jeśli zamierzasz spędzić poza domem kilka tygodni, żeby się przekonać, czy Parker przyjedzie po ciebie niczym rycerz na koniu, chory ze zgrzyzo-



ty, zapewniając, że nie może bez ciebie żyć, musimy ci *znaleźć* jakąś pracę, prawda?

- Pracę? Brandy, nie możesz znaleźć mi pracy. Mam dyplom z literatury francuskiej. Poza tym w życiu nie przepracowałam ani jednego dnia.

- Nigdy? Jezu. I masz ile? Dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć lat? Chciałabym mieć takie szczęście. Dorywczo pracowałam co najmniej od szesnastego roku życia. Dobrze, ja się tym zajmę. Nie uwierzyłyabyś, jakim durniom znalazłam już pracę. Na pewno posiadasz jakieś umiejętności, Shelby.

- Shelley - przerwała Shelby. - Myślę, że Somerton będzie mnie szukał, więc powinnam pozostać Shelley Smith. Jak sądzisz?

Brandy wzruszyła ramionami, skoncentrowana już na swoim planie.

- Myślę, że powinnaś zrobić tak, jak będzie dla ciebie lepiej. Teraz powiedz mi, co potrafisz, a ja sprawdzę w dokumentach, kiedy będę w pracy. Masz książeczkę ubezpieczeniową, tak? To znaczy, bogaci ludzie nadal ich potrzebują, prawda?

Shelby uśmiechnęła się. Bardzo polubiła swoją nową przyjaciółkę.

- Tak, nadal ich potrzebujemy. I wiesz, Jim miał rację. Nie ma nic lepszego niż małe miasteczka.

-Jim?

- Nasz szofer - wyjaśniła Shelby. - Mieszkał tu, dokładnie we Wschodnim Wapeneken, i opowiadał mi, jak bardzo on i jego córka byli tu szczęśliwi, i że nie mogą się doczekać, kiedy Susie skończy college, bo wtedy będą mogli tu powrócić.

- A, Jim Helfrich - powiedziała Brandy, kiwając głową. - To było naprawdę bardzo smutne, kiedy zmarła jego żona. Wiedzieliśmy, że przeprowadził się do Filadelfii, żeby być bliżej Susie. Wasz szofer, tak? Cóż, ten świat jest naprawdę mały. Szofer. O, rany, ty nie żartowałaś? Naprawdę pławisz się w luksusie?

- Pławię się... No, tak. Chyba można tak powiedzieć. Ciekawa jestem, jak masz zamiar znaleźć mi zatrudnienie. Nic stałego, rozumiesz, ponieważ nawet wuj Alfred nie zdoła

przekonać Somertona, żeby pozwolił mi *działać* na własną rękę dłużej niż kilka tygodni. Bo ja muszę wrócić do domu, Brandy. Wcześniej czy później będę musiała.

- Somerton? To twój brat? Nieważne, oczywiście, że brat. I wuj Alfred. I Parker. Te imiona są niczym z powieści. Nie wiem, Shelley, ale wydaje mi się, że jest wiele osób, które teraz prawdopodobnie bardzo się o ciebie martwią.

Shelby zacisnęła zęby.

- Tak się martwią, że Somerton unieważnił mi kartę - przypominała przyjaciółce. - Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że potrafię być samodzielna i żyć, jak żyje dziewięćdziesiąt procent ludzi na świecie: codziennie chodząc do pracy, żyjąc na własny rachunek. Nie mogę wrócić do domu z podwiniętym ogonem, Brandy. Po prostu nie mogę. Nie, zanim nie doświadczę prawdziwego życia i nie zdobędę jakichś wspomnień.

- Aha, aha, wspomnienia. Zrozumiałam - stwierdziła Brandy i odwróciła głowę w stronę Tony'ego, który właśnie wszedł na salę. - I oto, jak mi się wydaje, Shelley, nadchodzi rozwiązanie twojego pierwszego problemu. Sama nie wiem, dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej, zważywszy na to, że od dwóch tygodni bez przerwy słyszę narzekania Tony'ego na Thelmę. Wiesz: jak ona miała czelność wyjechać, żeby zobaczyć swojego pierwszego wnuka, i temu podobne? A teraz powiedz mi szybko - chodzisz na przyjęcia, prawda? Wyprawiasz przyjęcia? Musiałaś to robić. Bogaci ludzie na okrągło wyprawiają przyjęcia, występują w roli gospodarzy, witają gości i tego typu rzeczy.

- No, tak. Byłam gospodynią na kilku przyjęciach. A w zeszłym roku brałam udział w organizowaniu balu w szpitalu dziecięcym imienia św. Krzysztofa. Dlaczego?

- Zaraz się przekonasz. Tony! Hej, Tony, możesz podejść tu na chwilkę?

Shelby patrzyła, jak wysoki, szczupły mężczyzna około czterdziestki, ubrany w wypłowiałe bermudy, zieloną koszulę Orłów Filadelfijskich i poplamiony biały fartuch, zmierza przez salę w ich kierunku, powłócząc nogami.

Mężczyzna miał około metra dziewięćdziesięciu wzrostu - albo raczej miałby, gdyby nie szedł na nieco ugiętych nogach. Ramiona miał zgarbione, jakby pracował pochylony nad stołem, który był dla niego zbyt niski. Miał piaskowego koloru czuprynę, długą, kanciastą twarz, a jego ubranie nosiło ślady chyba wszystkich potraw, które ugotował.

- Co tam, Brandy? - zapytał, kiedy przyczłapał do ich stolika. - Muszę zaraz wracać, zanim Julio rzuci się na Tabby z nożem. Mówię ci, gdybym miał chociaż jedną kelnerkę, która potrafiłaby zapisać zamówienie, nie chrzaniąc go...

- Kolejny dzień w raj, co, Tony? - przerwała mu Brandy, uśmiechając się szeroko. - Chciałabym, żebyś kogoś poznał. Moja nowa przyjaciółka, Shelley Smith. Jest hostessą.

- Brandy, ja... - westchnęła Shelby, wyciągając rękę. W końcu chciała przeżyć przygodę, tak? A to byłoby naprawdę coś, o czym można by opowiadać wnukom, wspomnienie, które wywoła uśmiech, kiedy będzie siedziała na jakimś recitalu kwartetu smyczkowego, udając, że nie jest śmiertelnie znudzona. Przynajmniej byłoby, jeśli Brandy miała zamiar zrobić to, o czym Shelby myślała, że zrobi. - Jak się pan miewa, panie... hmm...

- Po prostu Tony - odparł krótko mężczyzna, ignorując jej wyciągniętą rękę. - Gdzie byłaś hostessą?

- Gdzie? - powtórzyła Shelby i poczuła pod stolikiem kopnięcie Brandy. - W Filadelfii - odpowiedziała szybko. - Przyjmowałam gości, hmm, byłam hostessą w Filadelfii.

- W Filadelfii, tak? Akurat tam wiedzą, co to znaczy prowadzić taki ruchliwy lokal. Ale dobrze. Potrzebuję kogoś na kilka tygodni, dopóki Thelma nie zdecyduje się przywieźć swojego tyłka z Oklahomy. Praca od południa do dziewiątej, przez sześć dni w tygodniu, we wtorki masz wolne. Możesz zacząć dzisiaj.

- Mogę... dzisiaj? Ależ... ależ pan mnie nawet nie zna.

- Brandy za ciebie ręczy. To mi w zupełności wystarczy.

To powiedziawszy, odwrócił się i pocłapał prosto do Tabby, już po drodze tłumacząc jej, że tost francuski Teksas i zwykły

tost francuski to dwie różne rzeczy i kiedy, do diabła, zaczniesz to rozpoznawać, cholera.

- Hmm... czarujący człowiek - powiedziała Shelby, czując w gardle ucisk.

- Robi tylko dużo zamieszania - stwierdziła Brandy, biorąc rachunek, który Tabby rzuciła im na stolik i zaraz pobiegła dalej, mrużąc pod nosem, że wcale nie potrzebuje wysłuchiwać obelg i że w życiu ma do roboty lepsze rzeczy niż znoszenie takiego gbur. - Wszyscy go kochają, naprawdę. Osobiście myślę, że to tylko poza. Inaczej już wszyscy by od niego uciekli. Opłacił podróż Thelmy do Oklahomy, ale nie chce, by ktoś o tym wiedział. Po prostu staw mu czoła, nie zważaj na żadne głupoty, nie bierz sobie niczego, co mówi, do serca, a wszystko pójdzie świetnie. Po prostu świetnie.

- Po prostu świetnie? Brandy, ja nie mam najmniejszego pojęcia, co robi hostessa w miejscu takim jak to. Ty wiesz?

Lecz Brandy wychodziła już z restauracji.

- Nie, nie bardzo. Ale dasz radę. Oczywiście powinnaś była zapytać, ile ma zamiar ci płacić, ale i tak pewnie wyrzuci cię przed końcem dnia. O, to mój autobus, w samą porę - tylko dziesięć minut spóźnienia. Tu masz klucz do mieszkania. Będę w domu przed szóstą. Właściwie Gary i ja przyjdziemy tu na obiad, więc będziesz mogła nas posadzić i podać nam menu.

- To wszystko, co muszę robić? Sadzać ludzi? - Shelby odprowadziła przyjaciółkę do autobusu. - To chyba nie jest zbyt trudne.

- Pokaż im, mała - powiedziała Brandy, poklepując ją po ramieniu. - Baw się dobrze i przeżyj swoją wielką przygodę!

Shelby stała na rogu, aż autobus znikł z pola widzenia, a potem wolnym krokiem poszła do mieszkania. Była sama tylko jeden dzień, a już miała przyjaciół, miejsce do spania, a nawet pracę.

Teraz zamierzała odkryć, jak to jest, kiedy się jest normalną osobą żyjącą w normalnym świecie. Przeżywała przygodę, będąc prawdziwym człowiekiem. Mogła to zrobić. Zrobi to.

- Pokaż im - powtórzyła i kopnęła kamień czubkiem pantofla od Gucciego, nie mając najmniejszego pojęcia, co to znaczy.

## 12

- Powiedziałem: nie. Nie ma mowy. To jest poza dyskusją.

Grady znów usiadł na krześle przy biurku, umyślnie krzywiąc się, kiedy jego ramię zetknęło się z miękką skórą. Popatrzył na swego wzburzonego, groźnie spoglądającego partnera.

- To nie było pytanie albo-albo - zauważył spokojnie. - To było bardziej pytanie: „No, to kiedy zaczynasz?”

- A odpowiedź brzmi: nigdy - wyskandował Delaney. - I możesz już przestać grać rannego wojownika, ponieważ ani trochę ci nie wierzę. Wstrętni Bogacze są twoi, pamiętasz o tym? A poza *ty* zbliżamy się do końca roku podatkowego i jestem po uszy zagrzebany w robocie papierkowej. Już zwolniłem dwóch zastępczych pracowników i jeśli Selma wkrótce nie wróci, będziemy w niezłych tarapatach.

- Świeta racja. Ale ja nie mogę się tym zająć i dobrze o tym wiesz. Po pierwsze, jestem poszkodowany - nie na linii zobowiązań, zgoda, ale autentycznie ranny. Po drugie, ona mnie zna. Asystuję Taite'om na mieście od trzech lat, a ty sam powiedziałaś, że mógłbyś się założyć, że ona by cię nie rozpoznała, nawet gdyby na ciebie wpadła. A tak na marginesie, bardzo cię to dotknęło - prawda? - że nawet nie dostrzegła wielkiego Quinna Delaneya - czy chodziło o Clancy'ego? W każdym razie nie możemy dopuścić do tego, żeby się wystraszyła i znów uciekła. A, no tak, jeszcze po trzecie, Taite'owie zawsze nalegają na zaangażowanie wspólnika firmy, pamiętasz?

- Świetnie - parsknął Quinn. - Awansuj Maisie. Ona i tak kieruje tym miejscem. Bo ja się tym nie zajmę, Grady. Nie będę się bawił w „polowanie na dziedziczkę”. O ile dobrze się orientuję, kobieta chce zniknąć. Wyświadcmy jej wszyscy

przysługę i pozwólmy jej na to. Poza tym prawdopodobnie jest teraz na Riwierze Francuskiej z jakimś żigolakiem i bawi się w najlepsze.

Sullivan poprawił się na krześle.

- Jesteś pewien? Liścik mógł zostać napisany pod przymusem, sam wiesz. Może jednak została porwana?

Delaney przestał się przechadzać, zastanawiając się nad tym przez moment, następnie podniósł z biurka partnera przysłany faksem list. Faks przyszedł przed godziną, ponad dobę po tym, jak Taite'owie odkryli zniknięcie Shelby. Był krótki i więcej niż zwięzły:

*Me martw się o mnie, Somertonie. Potrzebuję побыć sama przez kilka tygodni.*

*Wuj Alfred rozumie i wyjaśni ci.*

*Proszę cię, Somertonie, pozwól mi na to. Muszę to zrobić.*

- Nazwij to niejasnym przecuciem, Grady, ale nie sędzę, żeby została porwana. Ona oddaliła się bez zezwolenia. Czy ktoś rozmawiał z wujem Trunkiem? - zapytał, odkładając list. Nie, żeby go to obchodziło, nie, żeby był zainteresowany. A więc dziedziczka wymknęła się. No, i co z tego? Może będzie miała szczęście i wróci z jakimś blaskiem życia w tych pustych, brązowych oczach. W tych ślicznych, być może smutnych brązowych oczach. Do diabła! Zawsze zatracał się w takich smutnych oczach.

Sullivan pozwolił wejść sekretarce, kiedy zapukała, i dopiero wtedy odpowiedział:

- Tak, Somerton rozmawiał z wujem. Mówił coś o chęci Shelby przekonania się, jak żyją inni ludzie i jak to jest być normalnym, jak również o pragnieniu pozyskania kilku wspomnień. No, wiesz, wszystko to, co tak dobrze brzmi w teorii, a potem powala, kiedy ktoś taki jak nasza rozpieszczona uciekinierka zderza się z prawdziwym światem, a on oddaje jej cios. Więc tak, zgadzam się, Quinn. Ona uciekła z domu,

a teraz jest celem dla wszystkich czubków. Czy naprawdę myślisz, że ta kobieta zna pierwszą zasadę przeżycia poza swą luksusową mydlaną bańką? Jest jak niemowlak w lesie, Quinn, jest bogatym, rozpieszczonym, zepsutym, prawdopodobnie głupiutkim i zdecydowanie łatwym do wykorzystania kociakiem w wielkim, niebezpiecznym lesie. I nawet jeśli obaj nie wiemy nic więcej, to wiemy, że bogaci potrzebują takich opiekunów jak my. O co chodzi, Ruth?

- Przyszli Taite'owie, chłopcy - oznajmiła sekretarka i skrzywiła się. - I pan Parker Jakiś-tam-czy-inny Trzeci. Ten to naprawdę jest wściekły, mówię wam. Chcecie, żebym ich nieco zatrzymała? A, i byłoby dobrze, gdybyście prowadzili waszą dyskusję poniżej poziomu krzyku, inaczej, niż robiliście to przez ostatnich dziesięć minut. Te ściany są grube, ale nie są dźwiękoszczelne.

- Quinn? - Grady spojrział na partnera, którego oczy miały błyskawice. Po chwili jednak uśmiechnął się, widząc, że jego ostatnie słowa osiągnęły skutek. Delaney miał dwa psy i to głównie z tego powodu, że nie potrafił się oprzeć parze smutnych oczu. I nawet jeśli Grady nie wiedział nic więcej, to zauważył smutne spojrzenie brązowych oczu Shelby Taite, kiedy ją ostatnio ochraniał.

Quinn mógł zignorować urodę cielesną. Mógł uparcie nie zwracać uwagi na bogactwo i pozycję - i zazwyczaj nie zwracał. Ale nigdy by nie przegapił pary melancholijnych brązowych oczu. Właściwie gdyby Shelby Taite miała cztery nogi i ogon, Quinn już od godziny zajmowałby się tą sprawą.

- Więc jak, partnerze? Co robimy? Odsyłamy ich, tracimy intratny kontrakt i prawdopodobnie kilkanaście innych, kiedy Somerton rozpowie swoim przyjaciołom, jak niechętni byliśmy do pomocy? Pozwolimy tej biednej, bezbronnej, małej, bogatej dziewczynce troszczyć się samej o siebie w tym wielkim, strasznym świecie?

- Och, zamknij się. - Quinn zgrzytnął zębami i pokazał ręką Ruth, żeby przyprowadziła Taite'ów i narzeczonego.

Menażeria Taite'ów nie weszła do pokoju tak po prostu - oni wkroczyli. Płynęli przez gabinet Grady'ego jak mała fioletyła bardzo kosztownych jachtów z wiatrem w żaglach.

Pierwszy wszedł Somerton Taite. Jego denerwująco przemysłany chód przepełniony był determinacją, chociaż ściągnięte rysy twarzy zdradzały zdenerwowanie i prawdopodobnie bezsenną noc. Za nim niezdecydowanym krokiem wszedł Jeremy Rifkin, z podejrzaną czerwonymi oczyma, wielką białą chustką przy ustach, powstrzymujący szloch. Somerton natychmiast zaprowadził przyjaciela na krzesło i poklepał go po ramieniu.

Delaney czekał, aż powie do niego: „Siad. Zostań”, ale to nie nastąpiło.

Wuj Alfred najwyraźniej stracił gdzieś swój ster, ponieważ jego marsz przez gabinet był daleki od prostego, przy czym jego niepewnie stąpające nogi ewidentnie prowadziły go do małego stolika w rogu - tego, na którym stały kryształowe karafki z whisky. Natychmiast podniósł wieko kubełka z lodem i uśmiechnął się, odkrywając, że jest pełny.

Jako ostatni przybył Parker J. Westbrook III. Nie przestając wciskać do dyplomatkę papierów, wyszczeniwał polecenia Ruth, która miała załatwić mu kawę - czarną z podwójnym cukrem - i może jeszcze stenotypistkę.

Kiedy Quinn pomyślał, że to już cały gang, do gabinetu wślizgnął się jeszcze jeden mężczyzna, stanął bardzo blisko otwartych drzwi i wyglądał, jakby naprawdę wolał być gdzieś indziej. Gdziekolwiek indziej.

- Witaj, Jim - powiedział Quinn. Ominął Taite'ów i „Trzeciego” i podszedł do zdenerwowanego szofera, by uściskać mu rękę. - Dlaczego tu jesteś? Nie, pozwól, że zgdnę i sprawdzę, czy mam rację. To ty prowadziłeś samochód podczas ucieczki, prawda?

Jim Helfrich kiwnął smutno głową i otarł zroszone potem czoło dużą, czerwono-białą chustką, którą wyciągnął z kieszeni.

- Ja nie wiedziałem - powiedział płacząco. - Przysięgam na Boga, że nie wiedziałem.



- Źle. Ty nie pomyślałeś - rzucił zirytowany Parker, sadowiąc się na kanapie, po raz kolejny otwierając dyplomatkę i wyciągając dokumenty i fotografie, które starannie ułożył na stoliku do kawy. - Dworzec autobusowy. Chryste! Gdybyś należał do mnie, byłbyś już tylko wspomnieniem.

- Do pana, Westbrook? - zapytał Quinn, stając przed Jimem. - Pan posiada ludzi, tak?

Przystojna twarz Parkera pociemniała.

- Wie pan, co miałem na myśli. Ten człowiek jest niekompetentny, a my straciliśmy już wystarczająco dużo czasu - powiedział i cisnął ostatnią partią zadrukowanych kartek. - Czy teraz możemy już się tym zająć? Za dwadzieścia minut mam spotkanie na drugim końcu ulicy.

Delaney zrobił kolejny krok w kierunku mężczyzny.

- Bardzo się pan martwi o narzeczoną, prawda? Proszę mi powiedzieć, na którym ona jest wykresie? Czy przeprowadził pan analizę kosztów, zestawiając ilość czasu, którą zechce pan poświęcić na jej znalezienie, z ilością pieniędzy, które pan straci każdej minuty, kiedy nie będzie pan osiągał obrotów i zawierał transakcji? Zrobił pan to, prawda? Boże, pan rzeczywiście jest...

- Quinn! - wtrącił się Grady, przewidując, że jego partner zaraz znieważy płacących klientów. Ale potem przypomniał sobie, że Westbrook nie był ich klientem. - Przepraszam, starszku. Nie chciałem ci przerywać. Co mówiłeś?

- Nieważne, to niewarte mojej uwagi - odparł Quinn i podrapał się po głowie, zastanawiając się, co Shelby Taite widziała w tym z gruba ciosanym durniu. Nie, żeby go to obchodziło, oczywiście.

Somerton Taite odchrząknął. Siedział koło Jeremy'ego Rifkina, który wciąż łkał cichutko w chustkę i wydawał z siebie jęki, w rodzaju: „Nasza biedna, mała dziewczynka”. Nieczęsto spotyka się kogoś, kto płakałby nad zaginioną wielkoświatową damą.

- Jak poinformowałem pana, telefonując wcześniej, panie Sullivan - zaczął ostrożnie Somerton - moja siostra zaginęła wczoraj rano. My, oczywiście, nie będziemy angażować w to

policji ani prasy, gdyż ostatnią rzeczą, jakiej byśmy chcieli jest to, żeby cały świat patrzył na Shelby, jakby była nagrodą w jakimś konkursie. Dlatego od razu pomyśleliśmy o przeprowadzeniu własnego śledztwa. Szybko jednak zdaliśmy sobie sprawę, że nie jesteśmy odpowiednio wyposażeni do tego, co ostatecznie musi zostać zrobione.

- Jak cudownie i zwięźle to ująłeś, drogi Somertonie - pochwalił go Jeremy i rozpromieniony zwrócił się do zebranego towarzystwa. - Czyż nie było to cudownie zwięźle?

- Dziękuję, Jeremy. Zatem, jak pan się zorientował na podstawie faksu, który przesłałem panu po naszej rozmowie telefonicznej, panie Sullivan, liścik pożegnalny mojej siostry nie jest dla nas bardzo pomocny - pomocny nie był również wuj Alfred, który - jak się zdaje - wierzy, że Shelby po prostu wyjechała, by przeżyć przygodę swego życia, jak to nazwał, a my wszyscy po prostu... po prostu...

- Odczep się, Somertonie. Powiedziałem wam wszystkim, żebyście się odczepili i dali dziewczynie trochę swobody przez jakiś czas, ale wy oczywiście nigdy mnie nie słuchacie - rzucił z kąta wuj Alfred, unosząc szklankę w kierunku Quinna, a potem podsuwając ją sobie pod nos. - Ach, czysta ambrozja. Czy nie uwielbiacie zapachu dobrej whisky o poranku?

- Autobusem - zaskomlał Jeremy, wzdrygając się na swym krześle z przerażenia. - Podróżowała autobusem.

Delaneyowi głowa opadła do tyłu, kiedy spojrzał na Rifkina, a następnie zwrócił się do szofera.

- On żartuje, prawda? Rzeczywiście zawiozłeś ją na dworzec autobusowy, Jim? - Musiał zadać to pytanie, mimo że wiedział, jak zasmuci tego człowieka. - Jak ci to wyjaśniła?

Jim opuścił głowę.

- Jak to wyjaśniła? Nie wyjaśniła, proszę pana. Kazała mi tylko zapakować bagaż, a potem powiedziała, gdzie mam ją zawieźć. Wydawało mi się, że wie, dokąd chce jechać.

- Oczywiście, oczywiście - powiedział Quinn, poklepując mężczyznę po ramieniu. - Nie martw się tym.

- Brud, zapachy i ludzkość - wyjęczał Jeremy. - Ci wszyscy ludzie, stłoczeni razem jak bydło, głowa przy głowie. Och, chyba nie jestem w stanie myśleć o tym ani sekundy dłużej, Somertonie, naprawdę nie mogę.

- Mówiłem, żebyś został w domu - przypomniał mu Taite, z wdzięcznością biorąc filiżankę kawy z tacy, którą podsunęła właśnie Ruth, i podając ją przyjacielowi. - Chyba nie zamierzasz znów się rozchorować?

Rifkin uniósł brodę i pokręcił głową.

- Nie, Somertonie, nie zamierzam. Zamierzam siedzieć tu i wspierać cię w chwili twego cierpienia. Przynajmniej to mogę zrobić.

- I jedynie to - stwierdził wuj Alfred, mrugając do Quinna. - O coś cię zapytam, Jeremy. Co ty na to, żebyśmy chlusnęli do tej filiżanki whisky? Zrobili z ciebie mężczyznę, wyhodowali trochę włosów na twojej piersi? Chciałbyś tego, prawda, chłopcze?

- Nie pomagasz, wuju Alfredzie - zbeształ go Somerton, a tymczasem Rifkin zanurzył się w poduszkach, wtulając się we własny smutek.

Delaney rzucił spojrzenie Sullivanowi, który uśmiechnął się do niego i zdecydowanym ruchem poklepał się po temblaku.

- Tak, właśnie - odezwał się Quinn, zdając sobie sprawę z tego, że będzie musiał poradzić sobie sam, bez pomocy przyjaciela - tenże bowiem trochę za bardzo się ubawił. - Znikła nie tak dawno, chociaż byłoby lepiej, gdy panowie skontaktowali się z nami wczoraj. Jednak jeśli odpowiedzą mi panowie na kilka pytań, myślę, że mogę zagwarantować, że całą i zdrową przywiozę ją do domu dziś przed zmrokiem, a w najgorszym razie jutro wieczorem. Skromnie licząc, gdyż nie sądzę, żeby panna Taite czytała książki na temat znikania bez śladu.,

- Och, nie! - zaprotestował Somerton, kręcąc głową. - O, nie, nie, nie. Nie chcemy, żeby wróciła.

- Słucham? - zapytał Quinn, lecz zanim Taite zdążył coś wyjaśnić, wtrącił się Parker.

- Somertonie, przedyskutowaliśmy to i sądziłem, że to usta-

lone - powiedział, wciąż szeleszcząc papierami. - Ty i twój wuj może sądzicie, że to ciekawe doświadczenie dla Shelby, że przez chwilę będzie mogła polegać na własnym rozumie, i że to jest coś, czego ona pragnie, ale stanowczo nie mogę się na to zgodzić.

Choć nie miał na to najmniejszej ochoty, Quinn poparł Westbrooka.

- Ja także uważam, że powinna zostać sprowadzona do domu natychmiast, gdy tylko ją zlokalizuję, panie Taite. Proszę mi wybaczyć, ale nie sądzę, żeby pańska siostra potrafiła odnaleźć się gdzieś tam, nie wiadomo gdzie, i znosić jakieś niedogodności. Jeśli zechce pan sobie przypomnieć, opuściła miasto autobusem. Ona nie poleciała na Arubę w poszukiwaniu słońca. Prawdopodobnie do tej pory zobaczyła już wystarczająco dużo życia, by powitać pana niczym rozbitek, jak tylko panu wskażę, gdzie można ją znaleźć.

- Ale to jest dokładnie to, co ona chce zrobić - odparł Somerton, a Jeremy znów sięgnął po wilgotną chustkę. - Zobaczyć więcej życia - o to jej chodzi. Jak dowiedziałem się od wuja, Jima, a nawet od pokojówki, właśnie tego Shelby chce. Zapytała Susie, jak ubierają się normalni ludzie, i kazała spakować dla siebie normalne ubrania.

- Versace - powiedział wuj Alfred, podnosząc szklankę w toaście. - Oto, co nosi w tym roku każda dobrze ubrana kobieta, jeśli nie wiecie.

Delaney odrzucił wcześniejszą myśl, że Shelby mogła pomachać Jimowi na dworcu autobusowym, następnie zadzwonić po wynajęty samochód, który zawiózł ją na lotnisko, po czym wyjechać z kraju. Ona wciąż była w Ameryce i to dość blisko, jeśli prawidłowo kojarzył fakty. Jednak to „blisko” mogło być nadal niezmiernie daleko, jeśli była tam sama - kobieta mniej przystosowana do życia niż dwuletnie dziecko. Bezpośredni raturnek nie był rozwiązaniem, jeśli on miał rację i jeśli Somerton miał rację. To była konieczność.

Parker chciał coś wtrącić, ale Quinn rzucił mu piorunują-

ce spojrzenie, nakazując milczenie. Somerton kontynuował wyjaśnianie.

- Zapytała Jima, czy podobało mu się życie w małym miasteczku, jakie ono było i tego typu rzeczy. Nie dziękuję memu wujowi za to, że nabił jej głowę fantastycznymi bredniami, wierzę jednak, że moja siostra wyjechała, by przeżyć przygodę, zanim się ustatkuje i wyjdzie za mąż za obecnego tu Parkera.

- A więc, panie Taite - odezwał się Quinn, wciąż przyszywając wzrokiem Westbrooka - pańska siostra wyjechała wspomagać biednych, tak? Brawa dla niej i brawa dla pana, ale co to oznacza dla nas? Czego oczekuje pan od D & S?

- Chcemy, żebyście ją znaleźli - powiedział Somerton.

- Pragniemy, żebyście ją chronili - dodał Jeremy.

- Chcemy dać mojej bratanicy swobodę, ale mieć pewność, że będzie w pełni bezpieczna, kiedy będzie odkrywać prawdziwe życie czy co też ona sobie wyobraża, że robi - podsumował wuj Alfred. - Proszę pomyśleć o sobie jak o aniele stróżu, jeśli pan woli, panie Delaney. To, co zadowoli tych dwóch, a zezłości Parkera, będzie mi odpowiadać.

Quinn uniosł ręce, jakby chciał odepchnąć ich niemożliwe do zaakceptowania słowa.

- O, nie. Nie, nie, nie, panowie. Myślałem, że panowie chcą, żebym ją odnalazł, abyście mogli bezpiecznie przywieźć ją do domu. Teraz mi mówicie, że mam być jej niańką, dopóki się nie wyszumi i sama nie wróci, ale ja nie mam zamiaru tego zrobić. Nie ma na świecie takich pieniędzy, które by mnie do tego skłoniły.

- No, nareszcie sensowny człowiek - stwierdził z satysfakcją Parker, zebrał dokumenty, ułożył je w dyplomatce, po czym wstał, gotów popędzić już na jakieś spotkanie.

Nawet się nie domyślał, że właśnie jego słowa ostatecznie przekonały Delaneya do oryginalnego pomysłu panów Taite. W końcu czegokolwiek chciał Parker Westbrook, musiało to być zdecydowanie sprzeczne z tym, czego chciał Quinn. West-

brook sprawił, że Quinn gotów był zrobić w tej sprawie wszystko, co tylko możliwe.

- Pozostaje jeszcze fakt, że panna Taite jest dorosła, panowie, co oznacza, że mogę ją odnaleźć, a wy możecie po nią pojechać, ale ona wciąż może nie chcieć wrócić do domu. Byłoby raczej dość trudno zmusić ją do czegoś, jeśli sama tego nie zechce. A więc jak długo? - zapytał, podczas gdy Westbrook niecierpliwie postukiwał nogą i odsunawszy mankiet, spoglądał na zegarek. - Jak długo chcecie, panowie, żeby była poza domem? Czy przewidujecie jakiś limit czasowy, po którym będę mógł zadzwonić i pozwolić panom przekonać ją o konieczności powrotu?

- Ha, powiedziałbym, że limit już został wyznaczony, jeśli zamierzamy upierać się przy tych głupotach, a widzę, że tak właśnie jest - rzekł Parker, ukazując rezultaty jakichś horrendalnie drogich zabiegów dentystycznych. - Pierwszą rzeczą, którą zrobiliśmy, było unieważnienie jej karty kredytowej. American Express, rozumie pan, bez żadnego miesięcznego limitu. Z takim zabezpieczeniem mogłaby robić wszystko bez żadnych ograniczeń. Przypuszczam, że w ciągu kilku dni za-telefonuje i będzie błagać, by obecny tu Somerton wysłał po nią samochód. O Shelby wiele można powiedzieć, ale nie to, że ma pojęcie o oszczędności. Wyda wszystko na nową parę butów, po czym uświadomi sobie, że nie ma pieniędzy na jedzenie. To było perfekcyjne posunięcie i to właśnie powiedziałem Somertonowi.

- Ty skończony ośle! - Quinn zapragnął nagle przefasonować przystojną twarz Parkera. - Jeden telefon i mógłbym ją wyśledzić poprzez płatności kartą kredytową. Teraz nie tylko jest gdzieś tam sama, ale jest sama bez pieniędzy.

- Ojej - jęknął Somerton i szybko wstał. - Nie pomyśleliśmy o tym. Natychmiast to odwołam.

- Biedna Shelby. Samotna i bez środków do życia. - Jeremy lekko się wzdrygnął. - W samej rzeczy, tak, Somertonie. Natychmiast musisz coś zrobić!

Grady, któremu jak dotąd wyraźnie odpowiadała rola obserwatora, wtrącił się do rozmowy:

- To nic nie da, panie Taite. Unieważniona to unieważniona. Jeśli pańska siostra próbowała skorzystać z karty, dowiedziała się już i więcej nie spróbuje. Zadzwonimy oczywiście do firmy obsługującej karty kredytowe, ale nie przypuszczam, żebyśmy usłyszeli coś interesującego. Wygląda na to, Quinn, że ta sprawa musi zostać rozwiązana w stary, wypróbowany sposób.

- W takim razie sądzę, że to może okazać się przydatne - rzekł z uśmiechem Westbrook i podał kilkanaście kopii zdjęć jego i Shelby zrobionych poprzedniej zimy na obiedzie charytatywnym, a także trzystronicową listę nazwisk przyjaciół, numerów telefonicznych i jego przemyśleń na temat miejsca pobytu narzeczonej. - Osobiście uważam, że pańskie usługi nie są konieczne. Mielśmy prawo unieważnić jej kartę kredytową. Shelby wróci rozum w momencie, kiedy jej portfel będzie pusty. I, na miłość boską, człowieku, jeśli ma pan zamiar gdzieś dzwonić, niech pan będzie dyskretny. Nie możemy dopuścić, by na łamach gazet pojawiła się nawet najmniejsza wzmianka o zniknięciu Shelby, prawda? A teraz, proszę mi wybaczyć.

- Co za dureń - podsumował wuj Alfred, kiedy za Parkerem zamknęły się drzwi. - Ciekaw jestem, na ile Shelby uciekła, żeby przeżyć przygodę, a na ile po prostu ucieka od niego. Wyssał z pokoju całe powietrze, prawda?

Jeremy stanął niepewnie na nogach i obiema rękoma ujął ramię Delaneya.

- Znajdzie ją pan, prawda? Będzie pan nad nią czuwał, chronił ją? To takie miłe, kochane dziecko. Nie każdy zaakceptowałby mnie tak spokojnie, rozumie pan?

- Tak, jasne - odparł Quinn, będący pod niemałym wrażeniem szczerego niepokoju Rifkina. - A teraz, panie Taite, czy możemy przejść do interesów? Tysiąc pięćset dolarów dziennie plus wydatki. Składam meldunki panu i tylko panu, i wkraczam do akcji za każdym razem, kiedy uznam, że ma kłopoty. Chce pan, żebym ją odnalazł, pilnował jej i zostawił ją samą,

dopóki nie zdecyduje się wrócić do domu, jeśli dobrze pana rozumiałem.

- Tak, tak, dokładnie tego chcę - potwierdził Somerton. - I przykro mi z powodu pomyłki z kartą kredytową. Obiecuję panu, że żaden z nas nie będzie się już wtrącał. Tylko proszę ją znaleźć, panie Delaney. Proszę ją odnaleźć i czuwać nad nią, strzec jej. My tymczasem zamieścimy wzmiankę na stronach towarzyskich, że moja siostra żegluje gdzieś w okolicach wysp greckich.

- To był mój pomysł - przypomniał, wdzięcząc się, Jeremy. - Każdy powinien czasem pożeglować u wybrzeży wysp greckich, nie sądzi pan, panie Delaney?

- Skoro pan tak uważa, panie Rifkin. I taki jest nasz plan, panie Taite - powiedział Quinn, wyprowadzając wszystkich z gabinetu i prosząc ich, by raczyli poczekać na zewnątrz, gdy on będzie rozmawiał z Jimem.

Pięć minut później do pokoju wszedł Grady, trzymając w ręku jakąś kartkę.

- Dzwoniłem do American Express, Quinn, pociągnąłem za język kilka osób - Shelby próbowała użyć karty wczoraj. Mały obiadek w Allentown. Sprawdziłem - to są tylko dwie przecznice od dworca autobusowego. Oczywiście nie wiemy, dokąd pojechała stamtąd.

- Allentown - powtórzył Quinn, patrząc na szofera Taite'ów. - Jak to daleko od Wschodniego Wapeneken?

- Wschodniego Wapa-co? - przerwał Grady, zdumiony postęпами śledztwa prowadzonego przez partnera.

- Jak daleko? Około dziesięciu kilometrów - odparł Jim, poprawiając się na krześle. - Czy pan naprawdę uważa, że to tam pojechała?

- Tak, Jim. Używając dedukcji, słuchając uważnie twojej relacji z rozmowy z panną Taite, której z pewnością daleko do przebiegłości Maty Hari, i powołując się na moje wieloletnie doświadczenie, do takiego właśnie doszedłem wniosku. Prawdopodobnie za kilka godzin będę się zbliżał do dzikiego Wschodniego Wapeneken.



Helfrich pokiwał głową i westchnął:

- Cóż, muszę powiedzieć, że czuję się teraz dużo lepiej, proszę pana, ponieważ panna Taite mogła zrobić coś znacznie gorszego, niż trafić do Wschodniego Wapeneken. A, panie Delaney, jak już pan tam będzie, proszę wpaść do Tony'ego na obiad. Będzie pan zachwycony.

## 13

Dojazd do Wschodniego Wapeneken zajął mu trochę więcej niż półtorej godziny i to mimo znaków na autostradzie, odsyłających go w trzy różne kierunki, tak że w końcu przegapił zjazd z drogi numer 22.

Sto dziesięć kilometrów od Filadelfii.

Było tak, jakby cofnął się w czasie o pięćdziesiąt lat.

Wschodnie Wapeneken mogło pochwalić się jednym sygnałem stopu, jednym mrugającym czerwonym światłem, włączanym tylko wtedy, gdy straż pożarna otrzymywała wezwanie i *wóz wyjeżdżał na główną ulicę, która, według prawdziwie małomiasteczkowej tradycji, nazywała się po prostu ulicą Główną.*

Delaney wjechał do miasta od strony sąsiedniego Catasaqua. Miejscowości oddzielała rzeka Lehigh. Gdy przejechał most, pierwsze, co przyszło mu do głowy, to to, że został złapany w jakąś pułapkę czasową.

Przejechał Elm Street i ujrzał główną atrakcję małego miasteczka - naprawdę imponujący stadion baseballowy z trzema oddzielnymi boiskami, niezadaszoną widownią, a nawet światłami do wieczornej gry. Doszedł do wniosku, że baseball traktowano tu poważnie. Ale w końcu co, do licha, można było robić w mieście tak małym, że nie posiadało nawet kina, a stację benzynową tylko jedną?

Kierując się wskazówkami Jima, jechał dalej ulicą Główną, aż ujrzał wielki, biały napis: RESTAURACJA RODZINNA U TONY'EGO. Nie był głodny - zjadł w domu, jeszcze zanim zawiózł psy do Grady'ego na okres swojej nieobecności. Ale skoro Helfrich twierdził, że „Tony” był centrum Wschodniego Wapeneken, to właśnie tu Quinn musiał rozpocząć poszukiwania.

Jeżeli Shelby Taite dotarła do Wschodniego Wapeneken. Jeżeli to w ogóle był jej punkt docelowy. Jeśli nie zdecydowała, że zobaczyła już wystarczająco dużo prawdziwego życia, i nie wróciła do wielkiej rezydencji w stylu Tudorów.

Wjechał swoim porsche na parking, zatrzymał się pomiędzy furgonetką marki Ford i caddym rocznik '67, wciąż jeszcze posiadającym oryginalne chromowanie. Wygramolił się z auta i przez kilka chwil podziwiał caddy'ego, zanim nie pojawiły się dwie niskie, starsze kobiety o błękitnych włosach i zgarbionych plecach, ciężko opierające się na swych laskach. Wyższa miała może z metr pięćdziesiąt wzrostu.

Uśmiechnęły się do niego i powiedziały: „Witaj, kochanecczku”, a potem niższa wsunęła się za kierownicę cadillaca. Patrząc raczej przez kierownicę niż ponad nią, wycofała samochód, zmuszając Quinna do szybkiego uskoku w prawo.

Wchodząc do restauracji, wciąż jeszcze się uśmiechał, minął dwa automaty do pokera, które były zapewne równie nielegalne, jak opłacalne. Policjant w ciemnym mundurze, z pistoletem przypiętym do pasa, grał na automacie stojącym bliżej drzwi.

Delaney uznał, że polubi to miasto.

Ale jego uśmiech zgasł - bardzo szybko zgasł - kiedy przeszedł przez małe wewnętrzne foyer ze ścianką po lewej i kasą po prawej stronie i stanął twarzą w twarz z panną Shelby Taite.

- Dzień dobry - powiedziała z promiennym uśmiechem. W rękę miała kilka egzemplarzy menu. - Witamy w Restauracji Rodzinnej u Tony'ego. Dla palących czy dla niepalących?

Co najmniej pięć sekund zajęło Quinnowi odnalezienie języka, a kolejne dwie, nim przypomniał sobie, jak się go używa.

- Hmm.... chętnie dla palących, dziękuję.

- Bardzo proszę. Pan pozwoli za mną.

Nie miał wyboru. Mógł albo pójść za nią, albo odwrócić się na pięcie i uciec - co wydawało się stanowczo niewłaściwe, zważywszy na to, że panna Taite wyglądała na zadowoloną, że go widzi, chociaż była daleka od rozpoznania go.

Przepychał się więc pomiędzy stolikami, mierząc wzrokiem jej markowy kostium z miękkiego szarego jedwabiu, szczupłe nogi, pantofle na wysokim obcasie. Jasne włosy splecione miała w warkocz, na szyi, nadgarstku i w uszach miała piękną złotą biżuterię, wartą około dziesięciu tysięcy dolarów. Pachniała perfumami po dwieście dolarów za trzydziestomililitrową buteleczkę.

I pracowała jako hostessa w zatłuszczonej jadłodajni?

Shelby była u Tony'ego dopiero od dwóch dni, nie wiedziała więc, czy ten klient jest jednym ze „stałych”, chociaż zdecydowanie na takiego nie wyglądał. Właściwie wyglądał, jakby nigdy wcześniej nie widział takiej restauracji. Zupełnie tak jak ona wczoraj. Natychmiast poczuła do niego sympatię. Poza tym był wysoki, śniady i przystojny, i jeśli zamierzała dowiedzieć się czegoś więcej o prawdziwym świecie, to cóż, ten mężczyzna z pewnością mógłby jej pomóc w zaspokojeniu ciekawości.

Wstyd, powinnam się wstydzić - pomyślała i musiała stłumić śmiech. Może przesadziła z frytkami dziś rano albo zbyt dokładnie słuchała opowieści Brandy, ale z pewnością dobrze się bawiła. Świetnie się bawiła. Właściwie przeżywała najlepszy okres w swoim życiu.

Szybko odsunęła dla gościa krzesło - jedno z czterech niepasujących do siebie krzeseł ustawionych wokół małego, kwadratowego stolika nakrytego ceratowym obrusem i upstrzonego czterema papierowymi serwetkami z czterema zestawami sztućców.

- Proszę bardzo, proszę pana. Naszym obiadowym daniem specjalnym są wyśmienite żeberka na pieczonej kajerce i miszeczka fasoli lub jęczmienia, lub włoska zupa weselna, lub kanapka z tuńczykiem i pierogi. Serdecznie polecam żeberka. John za chwilę do pana podejdzie, by przyjąć zamówienie na napoje. Życzę smacznego.

Quinn kiwnął głową. Mógł zrobić tylko to albo otworzyć usta i powiedzieć coś równie inteligentnego, jak: „Aha, hmm,

ahmmahahmm" Co byłoby niewskazane i z pewnością mało profesjonalne, i prawdopodobnie zmusiłoby ją do powiedzenia czegoś jeszcze, a jego zgubiłoby już całkowicie, bo musiałby jej odpowiedzieć jeszcze raz.

Pozwolił zatem przyjąć Johnowi zamówienie i powiedział kelnerce z czerwonymi paznokciami, że weźmie żeberka i zupę fasolową. Rozejrzał się po restauracji, zastanawiając się, czy jest jedyną osobą, która uważa, że Shelby Taite zupełnie nie pasuje do tego miejsca, podobnie jak łabędź do kurnika.

Następnie skoncentrował się i przypomniał sobie, że jest profesjonalistą i ma tu do wykonania robotę. Wyglądało na to, że panna Taite spadła na cztery łapy.

W myślach zaczął przygotowywać pierwszy faks do Sompertona Taite'a, przeżuując w ustach coś, co właściwie było całkiem przyzwoitą zupą fasolową z bekonem. Jak najbardziej domowej produkcji.

Co mógłby napisać? Panie Taite: obiekt zlokalizowany i ma się dobrze. Jak na razie mam tylko jedną wątpliwość: przyjmuje napiwki czy nie.

Powoli Delaney zaczął się otrząsać z szoku, który tak naprawdę miał się nijak do tego, który przeżył wtedy, gdy niespodziewanie musiał rozbrajać kochankę swego ówczesnego klienta, żeby nie zdążyła przeszyć faceta nożem kuchennym.

To właśnie musiał teraz zrobić. Musiał być mężczyzną. Facetem, który potrafi zachować zimną krew w sytuacji kryzysowej. Musiał popatrzeć na sprawę z pewnej perspektywy, stanąć mocniej na nogach, zebrać myśli i wziąć się do pracy.

Co nie będzie takie proste. Nie, kiedy Shelby Taite posyłała do diabła jego uprzedzenia co do Wstrętnych Bogaczy, pomagając starszemu mężczyźnie z chodzikiem i maską tlenową dobić do sekcji dla niepalących - wydzielonego obszaru na tyłach restauracji.

Zapuszczona jadłodajnia. Miejsc siedzących, według wiszącej na ścianie informacji wydziału straży pożarnej, osiemdziesiąt pięć. Średni wiek klientów, według jego pobieżnego sza-

cunku: osiemdziesiąt pięć. Jeśli właściciel dawałby seniorom upust, już po tygodniu musiałyby zamknąć interes.

Wystrój pochodził z wyprzedaży staroci. Kwadratowe stoliki z chromowanymi podporami pośrodku... niecałkiem stabilnymi, jak zauważył, kiedy podczas pisania stół się zabujał. Trzy ławy z obiciami ze sztucznej skóry, zajmujące pół ściany koło wejścia, większy boks w kącie. Różowe ściany, niebieskie wazony ze sztucznymi kwiatami. Na stolikach butelki z keczupem oraz szklane pojemniki z przyprawami. Oferta w rodzaju: „Jeśli tego nie widać, to znaczy, że nie mamy”.

Barok obsługi, czy jak by to nazwać, znajdował się po prawej stronie: sterty brudnych naczyń powkładanych w plastikowe kosze, dzbanki na kawę stłoczone tuż obok stosów plastikowych szklanek i kupy innych przedmiotów, których Quinn nie zamierzał dodawać do swojego spisu inwentarza.

*Zdecydowanie nie z najwyższej półki.* Prawdopodobnie nawet nie z najniższej półki. Całe to miejsce było jak jakiś wieszak na kapelusze, uginający się pod ciężarem sterty niepasujących do niego ubrań.

Zaczął szkicować wewnątrz restauracji, żeby ją lepiej zapamiętać i żeby następnym razem zająć stolik, o którym zdecydował już, że będzie jego - w odległym narożniku, skąd przez cały czas będzie miał doskonały widok na pannę Taite. Może i miał jedynie występować w roli niańki, ale chciał wykonać swą pracę jak należy.

Drzwi usytuowane koło barku obsługi otworzyły się i wyłoniła się z nich kelnerka z jego kanapką. Rzuciła mu ją przed nos, tak że szybko musiał ratować swój notatnik, i życzyła mu smacznego.

Delaney spojrzął na talerz i zastanowił się przez chwilę, co się stało z drugą połową krowy. Obrócił talerz i obejrzał kanapkę z drugiej strony, próbując podjąć decyzję, jak ją zaatakować, a potem spojrzął na stolik obok, gdzie czterech mężczyzn ubranych w dżinsy i podkoszulki wcinało swoje jedzenie.

Widował już wcześniej kanapki ze stekiem, ale nie pamiętał, by jakakolwiek piętrzyła się tak wysoko, że bułka nie miała szansy się domknąć.

Kiedy obiadowy tłum zaczął rzednąć, zauważył coś jeszcze. Prawie każdy, kto podchodził do kasy, miał ze sobą styropianowe opakowanie. W porządku, to było dobre. Nie zakładała właściwie, że zje całą tę przekłętą rzecz. Do diabła, Godzilla po dziesięciodniowym głodowaniu nie byłaby w stanie tego wykończyć.

Przeciął kanapkę na dwie części i zajął się mniejszą. Kiedy zjadł, skupił się na obserwowaniu Shelby Taite.

Ktoś podał jej rachunek i kilka banknotów, a ona bardzo mu podziękowała. Potem popatrzyła zatrwożonym wzrokiem na kelnerkę, która zaraz uwolniła ją od rachunku i wybiła na kasie cenę. Z rękami założonymi do tyłu Shelby obserwowała kobietę, raz czy dwa kiwnęła jasnowłosą głową, starając się zgłębić tajemnice prostego urzędnika.

- Następnym razem sama się tym zajmiesz, kochanie - powiedziała kelnerka, zamykając szufladę i odchodząc. - I nie martw się, Shelley, potrafisz to zrobić.

Shelley? O, to było dobre. Przyjęła pseudonim. Quinn w myślach założył się ze sobą o ćwierć dolara, że nosiła teraz nazwisko Smith. Albo Jones. Shelley Smith. Pasowało to do całej sytuacji. Żałosne.

Ociągał się ze zjedzeniem kanapki, zamówił drugą szklanekę wody mineralnej i udawał, że gryzmoli coś w swym notatniku, tak jakby zamierzał całe popołudnie siedzieć tu i właściwie nic nie robić. Co zresztą było prawdą, noc spędził przy laptopie i modemie, odrabiając zaległości w firmie i opracowując raport na koniec roku podatkowego.

Zagryzł wargi, starając się nie zaśmiać, i obserwował Shelby, która szarpała się z kasą. Zaklął pod nosem, gdy dziewczyna uśmiechnęła się szeroko - w końcu opanowała sztukę pobierania pieniędzy i wydawania reszty. Czy musiała wyglądać na tak cholernie z siebie zadowoloną? Tak cholernie szczęśliwą? Moż-

na by pomyśleć, że właśnie rozpracowała ten diabelny wzór na zimną fuzję.

Kiedy nie mógł już znaleźć pretekstu, żeby pozostać w tym miejscu jeszcze choćby minutę, poprosił o pudełko do zabrania ze sobą, zostawił trzy dolary napiwku na stole i skierował się w stronę kasy.

- Czy smakował panu posiłek? - zapytała Shelby, sięgając po rachunek i dziesięciodolarowy banknot, które jej podał. Rachunek wyniósł sześć dolarów dwadzieścia sześć centów i przez moment Quinn rozważał wręczenie jej dziesięciu dolarów i jednego centa, by móc obserwować, jak stara się obliczyć resztę. Doszedł jednak do wniosku, że to byłoby podłe.

- Posiłek był bardzo smaczny, dziękuję - powiedziała, a ona odwróciła się z westchnieniem do kasy i zaczęła naciskać przyciski wypielęgnowanym palcem. - To bardzo miłe miejsce. Czy długo tu pani pracuje?

- Hmm? - mruknęła, wciąż wpatrzona w kasę. Po chwili uśmiechnęła się szeroko, bo szufladka wreszcie się otworzyła i można było wydać resztę. Więc dobrze, nie był jednym z miejscowych, inaczej nie zadałby tego pytania. Był po prostu bardzo przystojnym mężczyzną, który był tu przejazdem. Tylko dlaczego musiał być taki wścibski? - Czy długo tu pracuje?... A, tak, tak, długo. Urodzona i wychowana we Wschodnim Wapeneken, jak tu mawiają.

Kłamstwa, kłamstwa, wierutne kłamstwa. Delaney uniósł brew, popatrzył na nią i kontynuował.

- W takim razie ta kasa pewnie jest nowa. - Wskazał na urządzenie. - To znaczy, nie mogłem nie zauważyć, że obchodzi się pani z tym przedmiotem, jakby miał panią ugryźć, jeśli wciśnie pani nieodpowiedni przycisk.

- Obserwował mnie pan? Dlaczego?

No, tak, tak było lepiej, doszedł do wniosku Quinn. Nigdy się nie tłumaczył, panno Taite, oto metoda. Tylko atak i zadawanie pytań. Niech pani tak trzyma, a przetrwa pani w tym wielkim, strasznym świecie jeszcze, hmm, może dwadzieścia minut.



- Proszę wybaczyć, siła przyzwyczajenia, jak przypuszczam - odparł, szybko przechodząc do obmyślonej wcześniej historyjki. - Widzi pani, jestem pisarzem. Chyba obserwowanie ludzi jest czymś, co muszę robić. Uwarunkowanie genetyczne i temu podobne.

Ależ ten mężczyzna ładnie pachnie.

- Pisarz? Pewnie do gazety? Czasopisma?

Quinn wyczuł w głosie Shelby panikę. Mógł jej powiedzieć, że pisuje dla filadelfijskiego „Inquirer” i obserwować, jak te śliczne brązowe oczy wypełnia strach przed zdemaskowaniem. Ale nie poczułby się przez to lepiej.

- Kiedyś tak - potwierdził. - Pisywałem do czasopisma, to jest do magazynu podróżniczego, o którym pani pewnie nie słyszała. Teraz piszę książki podróżnicze - jeżdżę po kraju, piszę o ludziach, o widokach, o miejscach trochę zagubionych, tak jak Wschodnie Wapeneken. Sam jestem dla siebie szefem i sam płacę rachunki. Naprawdę się cieszę, że odkryłem to miejsce. Te stare domy, małomiasteczkowa atmosfera, o której wszyscy uwielbiają czytać, nawet jeśli nie wystawią głowy z własnego apartamentu, żeby chociaż spojrzeć w tym kierunku. Chyba można mnie nazwać Charlseem Kuraltem serii książkowej ze stolika do kawy. A, i proszę pozwolić, że się przedstawię. Nazywam się Delaney. Quinn Delaney.

- Bardzo miło mi pana poznać, panie Delaney. Pańska reszta.

Quinn przestał się uśmiechać, czując się tak, jakby właśnie zareklamował wielką serię encyklopedyczną jakiejś paniusi, a ona zatrasnęła mu drzwi przed nosem. Nie wydał się Shelby interesujący przy pierwszym spotkaniu, za to przy drugim wydał się jej już zupełnie beznadziejny.

Stwierdził, że nie lubi tej kobiety. Ani trochę. Gorzej - nie miał już nawet odrobiny współczucia dla tego bogatego biedactwa. Nie teraz, kiedy wydawało się, że spadła na cztery łapy. Nie, zdecydowanie nie lubił panny Take.

- Proszę pana? Pańska reszta?

- A, tak. - Wziął pieniądze, a potem postanowił jeszcze raz

ją nacisnąć. - Proszę powiedzieć, nie zna tu pani w okolicy jakiegoś dobrego miejsca, gdzie można by się zatrzymać? Docho-  
dzę do wniosku, że Wapeneken byłoby dobrą bazą wypadową, skąd mógłbym wyruszać na wycieczki po okolicy, by poznawać lokalny koloryt. Mówiła pani, że mieszka tu całe życie, tak?

Patrzył, jak Shelby skręca się w swoim markowym kostiumie, krzyżącym: „Wyprodukowany wszędzie, tylko nie we Wschodnim Wapeneken”. Mam cię, słodziutka! Da ci jeszcze we znaki moja obecność. Będę tkwił w tym miasteczku z jed-  
nym światłem stopu, dopóki nie będziesz gotowa zadzwonić po brata i pospiesznie wrócić do swego wygodnego życia i swe-  
go sztywnego narzeczzonego.

- Dwie przecznice w górę ulicy, zaraz przy kwiaciarni „Pu-  
szyste płatki” znajduje się stary budynek szkoły. Może pan tam spróbować. Tam... tam są wysokie sufity. - Wpatrywała się w niego. Wiedziała, że się w niego wpatruje. Dlaczego się w niego wpatrywała? - Wie pan, wysokie sufity - powtórzy-  
ła, żeby wypełnić nagłą, denerwującą ciszę, i uniosła rękę nad głowę. - Wysokie. I duże okna. A teraz, proszę mi wybaczyć. Jak rozumiem mam - to jest - muszę napełnić pojemniki cu-  
krem, zanim klienci zaczną przychodzić na specjalność ran-  
nego ptaszka.

- Specjalność rannego ptaszka? Konia z rzędem za tę mało-  
miasteczkową szmirę. Co to jest?

- Wieprzowina i kapusta kiszona. Tylko to może pan zjeść, jeśli przyjdzie pan przed piątą - wyjaśniła Shelby, przywołując się w myślach do porządku. Boże, można by pomyśleć, że nigdy wcześniej nie widziała mężczyzny z szarymi oczyma. I w obu czytała słowo przygoda. Czy dodali coś do wody w tym Wschodnim Wapeneken, że nagle uświadomiła sobie drugie, całkiem interesujące znaczenie tego słowa?

Quinn poklepał się po brzuchu i podniósł styropianowy pojemnik.

- Przyjemny kawałek folkloru do książki, ale myślę, że po-  
przeestanę na tym. Dzięki za informację. I mam nadzieję, że

znów panią zobaczą. Jeśli wynajmę pokój, prawdopodobnie będę się tu stołował.

- Nie będę zdziwiona. Większość mieszkańców Wschodniego Wapeneken tak robi - odparła Shelby, po czym odwróciła się i odeszła. Gdyby tego nie zrobiła, rzuciłaby się jak niemądra w ramiona tego przystojnego nieznajomego i powiedziała coś strasznie banalnego, w rodzaju: „Weź mnie. Weź mnie natychmiast!”

Nieświadom požądania, jakie wzbudził w Shelby, Delaney odszedł, nie mając nic więcej do powiedzenia. Więcej niż trochę wścickły - na nią, na siebie - wszedł do samochodu i ruszył w górę ulicy, aż minął kwaciarnię, a potem wytropił wielki, kwadratowy budynek z czerwonej cegły, ze wciąż widniejącym na szarym granicie nad drzwiami frontowymi napisem: SZKOŁA WE WSCHODNIM WAPENEKEN.

Do drzwi także przybity był napis: *Mieszkania do wynajęcia. Pokoje z meblami i bez. Wynajm tygodniowy, miesieczny.* Pomysłowa pisownia. Nic dziwnego, że zamknęli starą szkołę.

Nacisnął na hamulec, wysiadł i pomyślał chwilę o nowiutkim motelu, który widział, zjeżdżając z autostrady. Następnie, przeskakując po dwa stopnie, wszedł po betonowych schodach do środka. Ponieważ Shelby Taite wiedziała o tym miejscu, z pewnością mieszkała tu. To było coś, co prawdziwi detektywi nazwaliby czystą logiką - nie, żeby Quinn uważał się za prawdziwego detektywa, ale lepsze to niż mówienie o sobie niańka. Dużo lepsze.

W przedsionku znajdowały się trzy rzędy skrzynek na listy, każdy rząd odpowiadał danemu piętru budynku, jak się domyślał, ale nazwiska widniały tylko na sześciu z dwunastu skrzynek. Żadne z nich nie brzmiało Smith lub Jones, co nie było zaskakujące. Quinn wątpił, żeby panna Taite chciała nagaśniać fakt, że tu mieszka.

Nacisnął dzwonek nad skrzynką z wizytówką „Właściciel” i poczekał nie więcej niż minutę, gdy wielka kobieta w kwiecistym szlafrocuku, który mógłby służyć za pokrowiec dla

buicka rocznik '56, wytoczyła się z pierwszych drzwi po lewej stronie przedsiönka.

- Dzieñ dobry, synu - powiedziała, rozsiewając dookoła zapach wiśniowoczerwonej szminki i marlboro. - Potrzebna pomoc?

Boże. Wschodnie Wapeneken było tak banalnym miasteczkiem, że prawie nie mógł uwierzyć w nic, co tu się działo.

- Tak, proszę pani - odparł tonem, który, jak mu się wydawało, nie był groźny ani wielkomięjski. - Właśnie byłem u Tony'ego i hostessa powiedziała mi, że może będę mógł wynająć tu umebrowany pokój na kilka tygodni.

- Hostessa? Ale Thelma wyjechała do... a, tak, ta nowa dziewczyna. Będzie mieszkać u Brandy przez kilka tygodni. Nie dłużej jednak, bo będę musiała podnieść czynsz. Niech pan to powie Brandy. Czyli chce pan pokój, tak? Mam pięć, więc może pan wybierać. Co pan robi we Wschodnim Wapeneken?

Brandy, tak? Zaraz, widział to imię na jednej ze skrzynek na liście. Kłamanie wychodziło mu coraz lepiej i czuł się dużo swobodniej, kiedy ponownie opowiadał swoją historyjkę. Był cholernie zadowolony, że miał rację. Panna Shelby Taite naprawdę tu mieszkała, choć wydawało się to absurdalne.

- Jestem pisarzem, proszę pani, i pobędę tu tylko kilka tygodni, żeby poznać trochę lokalnego kolorytu i może napisać kilka rozdziałów do mojej kolejnej książki.

- Pisarz, tak? Dobrze. - Nagle kobieta zamieniła się w bizneswoman. - Nic jednak nie wiem na temat kilku tygodni. Czynsz jest miesięczny dla pisarzy i muzyków, i innych takich. Z góry. Ma pan referencje?

Quinn uśmiechnął się szeroko, czując się wreszcie jak ryba w wodzie.

- Nie, ale mam w kieszeni pięćset dolarów, gotowych do wręczenia pani, jeśli to wystarczy. - Prawdopodobnie mógł dostać pokój za połowę tej kwoty, ale wszystkie wydatki i tak miał zwracane, a Somertona Taite'a z pewnością stać na zapłaćenie podwójnej ceny.

Właścicielka ruchem głowy nakazała Delaneyowi, by wszedł z nią do jej mieszkania. Zdejmując z wieszaka na drzwiach klucz, zapoznała nowego lokatora z regulaminem:

- Żadnych zwierząt, żadnych głośnych przyjęć, żadnego stawiania butelek z piwem na moich stołach bez użycia tacy, bo ona po to właśnie jest. Krótko mówiąc, proszę zachowywać się tak, jakby pańska mamusia miała zaraz wejść i sprawdzić, bo kiedy jej tu nie ma, jestem ja. Ścieram meble, odkurzam podłogę i szoruję umywalkę w łazience raz na tydzień. Jeśli będzie mi pan to utrudniał, już pana nie ma. Nie było sprzeciwu ze strony moich dzieciaków, nie będzie i ze strony nikogo innego. Jasne?

- Tak, proszę pani - odpowiedział Quinn, nieświadomie prostując się. Rzucił okiem na salon wielkości klasy, zagracony atłasowymi meblami, obsypany białymi koronkowymi serwetkami i zdominowany przez wielkoekranowy telewizor, w którym widać było właśnie półnagą parę kochanków na złotej plaży, jakiej nie uświadczysz nigdzie poza studiem w Hollywood. W powietrzu unosił się zapach szynki i kapusty, gotowanych w niewidocznej kuchni, i Delaney tylko umiarkowanie się zdziwił, widząc wysoką butelkę piwa na tacce na stoliku przed kanapą. - Jasne - dodał, wkraczając w strefę mroku Wschodniego Wapeneken. - Czy coś jeszcze?

- Nie. Tylko pięćset dolarów.

Wyciągnął banknoty, a te błyskawicznie znikły pod kwiecistym szlafrocikiem, prawdopodobnie zaginione na wieki.

- I nazywam się pani Brichta.

- Jestem Quinn Delaney - odwzajemnił się. - Może pani do mnie mówić Quinn.

- A pan może mówić do mnie pani Brichta. Jedynej rzeczy, którą dał mi mężczyzna, nie warto odpuszczać. Mieszka pan w 2 B, po schodach w górę i na lewo. Sprzątam ten pokój w piątki rano, więc w te dni lepiej niech pan będzie na nogach przed siódmą, chyba że chce pan, żebym go oglądała w betach. A teraz wracam do moich telenowel.

- Może powinienem napisać książkę o tym miejscu - powiedział do siebie Quinn, kiedy chwilę później wyjmował miękką torbę z bagażnika porsche. Zaśmiał się i pokręcił głową. - Nie. Kto by w to uwierzył?

Było ich zbyt wielu. I wciąż przychodzili.

Shelby załowała, że zdecydowała się włożyć pantofle z kilkunastocentymetrowymi obcasami, od mniej więcej drugiej, a zaczęła je przeklinać najpóźniej o piątej, bo - jak w tym starym przeboju - „leciała z nóg”.

Ilu ludzi mieszkało we Wschodnim Wapeneken i dlaczego wszyscy chcieli zjeść obiad u Tony'ego? Czy nie mieli domów? Nie mieli kuchni?

Czy Tony nie znał słowa „rezerwacja?”

Nie miała czystych stołów, trzy grupy klientów tęsknie wypatrywały deseru, a dwanaście osób stało w kolejce koło kasy, prawie całkowicie uniemożliwiając jej otwieranie szufladki.

Grupa dwunastu osób siedziała w małym pomieszczeniu dla niepalących w tylnej części restauracji. Wschodnie Wapeneken prawdopodobnie nigdy nie słyszało o ostrzeżeniach Naczelnego Inspektora BHP lub, jeżeli słyszało, nie wierzyło im. Grupa obchodziła czyjeś siedemdziesiąte piąte urodziny i byłoby lepiej, gdyby się pospieszyli i skończyli jeść, ponieważ inna grupa, tym razem szesnastu osób, co najmniej od godziny czekała w drzwiach na urodziny osiemdziesięciosiedmiolatka - Tony udzielił jubilatowi zgody na palenie papierosów w tylnym pomieszczeniu.

A była dopiero piąta po południu!

Pierwszy dzień okazał się przyjemnością, żartem. Bawiła się w hostesę, a wszyscy się uśmiechali i pomagali jej.

Za to drugiego dnia nagle wydało się jej, że rzucono ją w paszczę rekina: wszyscy uważali, że już wszystko potrafi, i ignorowali jej prośby o pomoc.

„Połapiesz się z tym, kochanie.”

„Nie sadzaj ich, zanim nie przygotujemy stołu.”

„Mówiłaś, że gdzie dokładnie w Filadelfii wcześniej pracowałaś?”

To ostatnie usłyszała od Tony’ego niespełna dziesięć minut temu, kiedy wyszedł z kuchni, żeby zobaczyć, jak kursuje pomiędzy stolikami i próbuje odzyskać menu, które się jej skończyły.

Uniosła wysoko brodę i odparła, że chętnie by sobie z nim pogawędziła, gdyby miał czas zostawić kuchnię. Tony odwrócił się na pięcie i odszedł, powłócząc nogami i spoglądając na nią przez ramię z miną wyrażającą osłupienie. A może nawet respekt.

Jedyną rzeczą, z którą Shelby sobie radziła, było kierowanie personelem obsługującym, chociaż wątpiła, żeby Tony chciał się zaliczać do tej kategorii.

Ale to było jedyne jej zwycięstwo.

Wiedziała, że wszystko inne robi źle, *ale nie wiedziała, jak należy to robić prawidłowo.*

Tabby powiedziała, że dzień wczorajszy był wyjątkiem, a nie normą i że jedynym powodem, dla którego w restauracji nie było tłumu, były rozgrywki baseballu odbywające się w szkole średniej na drugim końcu ulicy.

Shelby nie uwierzyła jej, ponieważ wróciła do mieszkania Brandy z umysłem i ciałem wręcz odrętwiałymi z wycieńczenia. Ledwie zdołała wziąć prysznic, nim padła na łóżko.

Nawet nie powiesiła swoich ubrań. Nigdy nie odwieszała ubrań, ale teraz to było co innego, ponieważ gdyby nie odwiesiła ubrań zaraz po ich zdjęciu, musiałyby je odwiesić później, a przedtem prawdopodobnie wyprasować. Przyszła jej na myśl Susie, wszystkie pokojówki, które miała przez lata, i to, jak zawsze rozrzucała ubrania po apartamencie, a potem ktoś musiał je podnosić, i nigdy nie pomyślała o tym nawet raz, nie mówiąc już o dwóch. Ale zanim zdążyła poczuć się źle, zasnęła z nosem wciśniętym w poduszkę, a kiedy obudziła się, ujrzła Księżniczkę śpiącą na jej kostiumie od Armaniego, teraz pokrytym sierścią.



Udało się jej jednak przetrwać ten pierwszy dzień i nawet się nie wzdrygnęła, kiedy budziki Brandy zaczęły dzwonić.

Teraz wiedziała, że dzień wczorajszy był jak spacer po parku, dopiero dziś zmagала się z chaosem.

Cóż, mogła albo wyrzucić jedyne menu, które jej zostało, tupnąć nogą i krzyknąć: „Odchodzę!”, albo wciągnąć się w to i przestać pozwalać, żeby wydarzenia dyktowały jej, co ma robić.

Jeden z Taite'ów musiał być kiedyś w armii, uczestniczyć w wojnie o niepodległość lub w czymś równie dramatycznym, ponieważ nagle Shelby odkryła, że jest urodzonym dowódcą.

- Tabby - powiedziała, kiedy kelnerka przebiegała koło niej do kuchni - musisz posprzątać stolik numer sześć, żebyśmy mogli posadzić tam jakichś ludzi.

- Czyś ty oszalała? - sprzeciwiła się kelnerka i wskazała głową na bar obsługi. Tabby miała sześcioro dzieci i pracowała na dwie zmiany przez pięć dni w tygodniu, żeby mieć co włożyć do garnka. Była znana ze swej skuteczności, ale nie z dobrych manier. - Powiedz Bobby'emu, żeby ruszył tyłek i się tym zajął. Podaje tylko drinki, ponieważ nie powiedziałaś mu, co jeszcze ma robić.

- To on powinien sprzątać stoliki? To dlaczego tego nie robi?

- Kochanie, musisz kazać Bobby'emu, żeby zabrał się do roboty. On ma zajmować się stolikami, a ja podawaniem jedzenia. A ty, kochanie, masz pilnować, żebyśmy pogubili nogi.

- Ja... Ja jestem kierownikiem? - zapytała Shelby i nagle poczuła, że nogi nie boją ją już tak bardzo. Spędziła dzień na napełnianiu pojemników cukrem, solą i pieprzem. Kierownicy sali z pewnością tego nie robią.

Tabby próbowała ominąć Shelby, ale ta wysunęła rękę i złapała ją za ramię.

- Jeśli chodzi o te pojemniki z cukrem...

Kelnerka parsknęła.

- Tak, wszyscy byliśmy ciekawi, kiedy na to wpadniesz. Tym zajmują się chłopaki: Bobby, Tom i Pedro. Fajny dowcip, co?

- Przechabawny - odparła Shelby i stopy zupełnie przestały ją boleć.

Puściła ramię Tabby, powoli obróciła się i wzięła na muszkę Bobby'ego, który opierał się biodrem o bar i popijał wodę mineralną.

- Robercie, posprzątaj, hmm, zrób stolik szósty i rozstaw nakrycia, proszę. Potem stoły dwanaście i czternaście. Natychmiast.

Nastolatek spuścił nos na kwintę.

- Koniec. Wiedziałem, że nic, co dobre, nie trwa wiecznie - wymamrotał, po czym wziął plastikowy koszyk i ruszył w stronę stolika szóstego.

Wtedy Shelby przeszła szybko po sali. Zatrzymując się przy każdym stoliku i szeroko uśmiechając, pytała stałych klientów, jak smakował posiłek, a marudnych, czy otrzymali już rachunki i czy są ze wszystkiego zadowoleni.

To był stary trik i to wykonany przez mistrzynię - kobietę, która opróżniła więcej sal po balach charytatywnych, niż młody Bobby prawdopodobnie zjadł w swym życiu hamburgerów. Opróżnienie tej restauracji miało się nijak do usuwania tłumu pijanych biesiadników z klubu za miastem, jeszcze zanim od komitetu zażądano wniesienia dodatkowej opłaty za wynajmowanie sali balowej.

Shelby wystukała kwoty na kasie, zapisała nazwiska i liczebność każdej z grup drepczących w przedsionku, pochwaliła Bobby'ego za skuteczność i osobiście pomogła jubilatowi z chodzikiem przedrzeć się przez tłum do wyjścia.

Porządek. Tego było trzeba u Tony'ego. Tylko trochę pozorów porządku. Kogoś u sterów.

Mogła to robić. Nie napełniła ani jednego pojemnika cukrem bez zaśmieszenia całego stolika, ale to mogła robić.

I gdyby Tony wiedział, co dla niego dobre, zostałyby w kuchni i pozwolił jej zająć się wszystkim.

O godzinie szóstej trzydzieści otworzyły się drzwi i weszli przez nie Brandy i Gary, a za nimi znajomy osobnik, którego

Shelby widziała po południu i którego frywolnie obsadziła w roli Wspaniałej Przygody.

- Cześć, kochanie - rzuciła Brandy i ukradkiem mrugnęła do przyjaciółki. - Zobacz, co znaleźliśmy, wędrując po korytarzach - naszego nowego sąsiada. 2 B lub 2 C. I będąc naprawdę miłymi małomiasteczkowymi typami, ja i Gary zaprosiliśmy go na obiad. Nazywa się Quinn Delaney. Mówi, że powiedziałaś mu o mieszkaniu, tak? - Przsunęła się bliżej i szepnęła: - Czarny Irlandczyk, załóżę się, i ponętny jak grzech. Może połączy was przyjaźń, figo-fago i inne takie.

- Subtelne, Brandy, bardzo subtelne - syknęła Shelby, nie pomijając o profesjonalnym powitalnym uśmiechu. - Panie Delaney, jakże miło pana znów widzieć. Obawiam się, że spóźnił się pan na specjalność rannych ptaszków.

- Moja strata - odparł Quinn, obserwując, jak policzki Shelby oblewają się rumieńcem.. Nagle przyszło mu do głowy, że miał szczęście nie tylko dlatego, że natknął się na Brandy i Gary'ego, ale również dlatego, że został przez nich wciągnięty w jakiś tajemniczy plan. Tylko o co im chodziło?

Naoliwienie śrubek Shelby było pierwszą odpowiedzią, jaka przyszła mu do głowy, ale rozważnie z niej zrezygnował. Potem uśmiechnął się. A co tam, każda praca powinna przynosić dodatkowe korzyści.

- Tak, więc, hmm... - zaczęła Shelby. Uśmiech tego mężczyzny robił z nią coś dziwnego. - Proszę was wszystkich za mną.

## 15

- Mam wrażenie, Brandy, że skądś go znam - powiedziała Shelby, kiedy poszły do łazienki. Po południu ruch w restauracji zmalął i przez ostatnie piętnaście minut Shelby siedziała przy stoliku Brandy, głównie wpatrując się w Quinna Delaney, ale nie dając mu poznać, że się w niego wpatruje.

- Ja też - powiedziała Brandy, szturchając przyjaciółkę w żebra. - Myślę, że był obiektem erotycznych snów Brandy, odcinki od piątego do ósmego, ciemne i niebezpieczne lata. Boże, Shelley, widziałas te seksowne oczy? Oczy sypialniane, tak nazywała je moja ciocia Betty, a ona się na tym znała, zważywszy na to, że była zamężna trzy razy. Mówiłam ci to? Tak, to prawda. Trzy razy. Wyobrażasz sobie? A ja Gary'ego nie mogę zaciągnąć do ołtarza jeden raz. Nic dziwnego, że zjadłam dwa desery.

Shelby umyła ręce i oceniła swój wygląd, przeglądając się w lustrze nad umywalką.

- Myślę, że masz rację. On wygląda jak z reklamy, prawda? Czarne spodnie, czarna koszula, czarne włosy, szare oczy. Ale czy musi wciąż na mnie patrzeć w taki sposób?

- A w jaki to sposób? - zapytała Brandy, wkładając ręce pod letnią wodę. - Jakby miał cię zjeść po kawałeczku? Bo to właśnie widzę, Shel, i chyba Gary tak myśli, bo przez ostatnią godzinę kopał mnie pod stolikiem. Myślę, że powinnam was zaprosić na kręgle jutro wieczór. Grywasz?

Shelby nieco się zmieszała.

- Kręgle? Nie wiem, nigdy nie grałam.

Brandy urwała dwa kawałki papierowego ręcznika i podała jeden przyjaciółce.

- Nigdy nie grałaś w kręgle? Oj, biedactwo ty moje, żyłaś w ukryciu, prawda? Cóż, więc postanowione. A teraz chodź, wracajmy do stolika, zanim Gary powie coś głupiego, co cię zdradzi. Jest uroczy, ale z pewnością potrafi powiedzieć za dużo.

- Pomyślałabym raczej, że miałyby dużo szczęścia, gdyby zdołał wtrącić choćby słowo - szepnęła pod nosem Shelby, pokręciła głową, uśmiechnęła się i podażyła za Brandy.

Nie zrobiła nawet trzech kroków w sali, gdy jej uszy przewiercił gruby głos Tony'ego.

- Hej, Filadelfia!

Na moment opadły jej ramiona, lecz zaraz wyprostowała się i podeszła do wołającego mężczyzny. Nie mógł jej wyrzucić. Może i robiła wcześniej bałagan, ale przez ostatnich kilka godzin była na szczycie i wiedziała o tym.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Tony? - zapytała i uniosła brodę, ignorując ucisk w żołądku.

Tony rozejrzał się dookoła i spojrzał wymownie na Tabby, żeby ta zostawiła ich samych. Cokolwiek miał zamiar powiedzieć, chciał mieć pewność, że nikt go nie usłyszy.

- Dobra robota - rzucił prawie szeptem, obrócił się na pięcie i poszedł w stronę kuchni.

- A niech mnie! - powiedziała Shelby, patrząc za nim. Ten facet naprawdę był słodki, tak jak powiedziała Brandy.

A ona odniosła sukces.

- Bobby, zajmij się tym stołem, proszę, a potem zabierz te naczynia do mycia. Nie robi to dobrego wrażenia, kiedy tak tu się piętrzą. Dziękuję ci. - Odwróciła się do Tabby, która sumowała rachunek. - Dobrze dziś pracujesz, Tabby - powiedziała pogodnie, prawie wybuchając śmiechem, kiedy głowa kelnerki podskoczyła ze zdziwienia. - Dziękuję ci.

- Pr... proszę.

- Ale, Tabby... - kontynuowała, upajając się swoją nową siłą - bardzo byłabym ci wdzięczna, gdybyś na przyszyłość witała klientów krótkim „Witam” lub „Dobry wieczór”

- Tak. Tak właśnie robię - rzekła kelnerka, wyglądając na zmieszaną.

- Nie, Tabby, nie robisz tego - zaprzeczyła Shelby. - „Jak tam leci?” nie jest chyba odpowiednim powitaniem w restauracji rodzinnej, jak myślisz?

- Jezu - westchnęła Tabby, potrząsając głową. Wsunęła ołówek w koński ogon i ciężko ruszyła do kuchni. - Jakby to miejsce miało klasę czy coś...

- Będzie miało, kiedy już z nim skończę - przyrzekła cicho Shelby, po czym przeszła przez salę i usiadła na krześle dokładnie naprzeciwko Quinna Delaneya.

- Wyglądasz na całkiem z siebie zadowoloną - stwierdził takim tonem, jakby uważał, że może powiedzieć wszystko, co przyjdzie mu do głowy.

Ten człowiek nie miał żadnych oporów, żadnego respektu dla faktu, że byli dla siebie obcymi ludźmi albo prawie obcymi, skoro poznali się dopiero dziś po południu.

- Co się stało? Dostałaś podwyżkę?

- To coś osobistego - odparła zdawkowo Shelby, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu. Oparła na stole łokcie i popatrzyła na Brandy i Gary'ego. - Lubi mnie. Tony mnie lubi.

Brandy spojrzała na Delaneya.

-W tłumaczeniu znaczy to, że nie odgryzł jej głowy. Świetnie, Shelley. Mówiłam, że dobrze ci pójdzie.

- Rzeczywiście, tak mówiłaś. - Shelby oparła się na krześle i westchnęła. - Nie wierzę, że tak dobrze mogę się czuć. Nigdy wcześniej tak się nie czułam, nigdy...

- Więc dlaczego nazwał cię Filadelfią? - szybko przerwał jej Quinn. Przewidywał, że w uniesieniu panna Taite może się zdradzić, więc ją powstrzymał. Nie zastanawiał się, dlaczego to zrobił, dlaczego nie pozwolił, by ta mistyfikacja wreszcie się skończyła i by oboje mogli wrócić do domu, do cywilizacji. Po prostu grał dalej. - Wydawało mi się, że mówiłaś, że urodziłaś się i wychowałaś we Wschodnim Wapeneken.

- Bo tak jest - wtrącił szybko Gary.

- Tak, mówiłam prawdę.

- Hej - przerwała Brandy - kto chce iść na kręgle jutro wieczorem?

Quinn popatrzył na Gary'ego, potem na Shelby i na Brandy, i powiedział:

- Na kręgle? Żartujesz, prawda? - Starał się sobie wyobrazić Shelby Taite w wypożyczonych butach do kręgli, próbującą poruszać się po torze. To nie mogło być prawdą. - No, nie wiem, Brandy...

Ale Shelby była tak wdzięczna przyjaciółce za przerwanie rozmowy, że nie zauważyła, że Delaney próbował właśnie ją ocalić, i powiedziała szybko, że to świetny pomysł i że mogli by pójść już dziś wieczór zamiast jutro. W końcu była prawie dziewięta, a ona nie była wcale zmęczona i... i...

Dwadzieścia minut później trzymała ostrożnie parę czerwono-zielonych butów do kręgli, wciąż pachnących środkiem dezynfekującym, którym popsikał je młody chłopak, i zastanawiała się, kiedy wreszcie nabierze rozumu i zacznie trzymać swój długi język za zębami.

Tor do gry pachniał środkiem dezynfekującym, papierosami, rozlanym piwem i cały był pokryty resztkami hot dogów, które można było kupić w sąsiednim barze przekąskowym. Hałas był tu taki jak w burzową deszczową noc. Wyglądało jak fragment surrealistycznego obrazu, te wszystkie reflektory, drewno, ludzie w śmiesznych koszulach i elektroniczne wyświetlacze z wynikami osób grających już na torach.

- No, dalej, pomogę ci wybrać kulę - rzekł Quinn, ujmując ją za łokieć i prowadząc w kierunku stojaków.

Shelby obejrzała się przez ramię, mając nadzieję, że zlokalizuje Brandy, ale nigdzie nie było jej widać.

- Kulę? - spytała słabo. - Czy naprawdę potrzebna mi kula?

- Jeśli chcesz grać w kręgle, to tak - odparł Quinn, z całych sił starając się nie roześmiać jej w twarz. W tę śliczną twarz, która nie była już zeszpecona martwymi brązowymi oczyma.

Teraz jej oczy były szeroko otwarte i odbijały się w nich reflektory. - Pokaż mi swoją prawą rękę.

- Moją prawą... Och, to śmieszne. Powtarzam wszystko, co mówisz, prawda? Przepraszam. Ale muszę ci się przyznać, że nigdy w życiu nie grałam w kręgle.

- Nie grałaś? - zapytał Delaney, unosząc wysoko brwi i szeroko się uśmiechając. - Kto by przypuszczał?

- A teraz się ze mnie nabijasz - stwierdziła, jeżąc się. - To nieładnie.

- Nie, to nieprzyznanie się, że nigdy nie grałaś w kręgle, zanim Gary i Brandy dołączyli mnie do twojej drużyny, było nieładne. Zetrą nas na miazgę.

- I to cię martwi? Jedna przegrana w... sesji w kręgle?

- W meczu - poprawił. - Nie, nie martwi mnie to. Mam tylko przecucie, że Brandy i Gary mają dużą przewagę, grając w odpowiednich koszulkach, butach i używając odpowiednich kul, więc prawdopodobnie będziemy kupować całe skrzynki piwa. Zrobimy zrzutkę, dobrze?

Shelby nie bardzo wiedziała, co to znaczy „robić zrzutkę”, ale domyślała się, że ma to coś wspólnego z zapłaceniem przez nią składki na piwo. Zapłaciła już za wypożyczenie butów i za wstęp. Teraz jeszcze piwo? Musiałyby pracować dwie godziny lub więcej, żeby zarobić tyle pieniędzy.

Ta myśl wywołała jej uśmiech. Tak. Musiała pracować, żeby wydawać pieniądze. A nie prosić Somertona. Nie tylko korzystać z karty kredytowej. Nie tylko wydawać i wydawać, bez zastanowienia się, ile wydaje.

Jakie to cudowne!

- Jasne - powiedziała, tłumiąc pragnienie potarcia ręką nosa, który to gest widywała u Tabby, gdy ta przebywała w towarzystwie samych chłopaków. - Chętnie zapłacę swoją część. Ale czy w ogóle nie jesteś w tym dobry?

- Ach, jestem w tym dobry, Shelley - odparł Quinn, podnosząc jej dłoń i przykładając do swojej dłoni, aby zmierzyć długość jej palców. - Jestem dobry w wielu rzeczach.



Shelby przeszły mrówki od palców po łokcie. Poczwała ucisk w żołądku. Kolana się pod nią ugięły. Była trafiona. Usłyszała to określenie właśnie dzisiejszego popołudnia, kiedy dwie nastolatki narzekały na swoje randki z poprzedniego wieczora. Ale to się naprawdę stało. Była trafiona. Przez wysokiego, śniadego i fantastycznego mężczyznę. Mężczyznę, który nie wiedział, że warta była trzydzieści milionów dolarów. Mężczyznę, który ją trafił, ponieważ uważał, że była... miła.

Albo niezbyt miła.

To też nie byłoby takie złe.

- Jak... jak znajdziemy dla mnie kulę? - zapytała, kiedy Quinn puścił jej rękę i pochylił się nad stojakiem na, aby ukryć uśmiech satysfakcji. Zapomnieć jego imię? Nie pamiętać go? O, kochana, zapłacisz mi za to.

Włożył palce w kulę, uznał, że otwory są wystarczająco małe, podniósł kulę i podał ją swej partnerce.

- Spróbuj tę.

Shelby popatrzyła na nią przez chwilę, potem ulokowała palce w środku, tak jak on to zrobił. Quinn cofnął rękę i kula spadła na podłogę, tylko o centymetr omijając jego stopę.

- Hej, powinnaś ją trzymać.

- Czym? Moimi palcami? Taką ciężką rzecz? Och, nie żartuj. Nikt by tego nie udźwignął.

- Lżejsza kuła - wymamrotał Delaney, odkładając czarną, którą upuściła Shelby. W końcu dopasował jej kulę dziecięcą, pomalowaną w duże czerwone i niebieskie trójkąty, ale ona nie dostrzegła różnicy. Stwierdziła tylko, że ta przynajmniej jest „ładna”.

Ach, ci bogacze. Pozwól im się zgubić w prawdziwym świecie, a nie przetrwają nawet pięciu minut. Nie skończył, bo uświadomił sobie, że tym razem nie dodał „wstrętnej”, jak miał w zwyczaju.

Tego wieczoru Quinn dobrze się bawił. Naprawdę dobrze. Kula. Widok Shelby, która wyskakuje ze swych butów od Prady i wkłada wypożyczone, sam w sobie wart był wycieczki do

Wschodniego Wapeneken. A kiedy Gary podszedł do toru, pochylił się nisko, wziął rozbieg i ze świstem posłał po torze zielono-białą kulę, zaledwie dwie deski od krawędzi, tak że zmieniła kierunek i trafiła do kieszeni, zbijając wszystkie dziesięć kręgli - Quinn śmiał się w głos.

- I ja mam zrobić to samo? - zapytała Shelby, obu rękami chwytając kurczowo jego przedramię. - Nie potrafisz tak zrobić. Ty potrafisz?

~ Cóż, zobaczymy - odparł filozoficznie, uwalniając się z jej uścisku i podchodząc do rozbiegu, żeby podnieść jedną z wypożyczonych kul. Kilka chwil później Brandy zapisywała jego wynik, a Gary przybił mu piątkę, kiedy wrócił na siedzenie.

- Ej, to nasz przeciwnik, pamiętasz? - upomniała narzeczonego Brandy, lecz on tylko mrugnął i szeroko się uśmiechnął. - Dobrze, Shelley, twoja kolej. Ja muszę pozdejmować te wszystkie pierścionki.

Shelby obserwowała grę, starając się nauczyć jak najwięcej, żeby nie wyjść na kompletną idiotkę, kiedy nadejdzie jej kolej. Ale Gary złożył się prawie wpół, kiedy rzucał, a Quinn stał niemal zupełnie wyprostowany. Który zrobił to prawidłowo? Czy potrafiła powtórzyć któryś z rzutów?

Quinn poruszył brwiami - niegodziwiec - i ukłonił się jej, wskazując ręką linię rozbiegu.

- Widzę, widzę - wymamrotała, mijając go i wycierając spoczone nagle dłonie o spódnicę.

Podniosła swoją kulę, poszukała otworów, wbiła w nie palce, a następnie odwróciła się, by podejść do najdalszego punktu rozbiegu.

Delaney już tam stał, czekając na nią.

- To bardzo proste, Shelley. Po prostu rób to, co ci powiem, dobrze?

- Dobrze - powiedziała, po czym uniosła kulę, podtrzymując spód lewą ręką, a prawą trzymając dokładnie poniżej nosa. - Co teraz?

- Szybko się uczysz. Masz ręce nowicjuszeki i nie sędzę, żebyś

była gotowa do rzutu. Ale zegnij trochę kolana. Powiedziałem trochę, Shelley - nie będziesz się kłaniać królowej. Dobrze, tak jest dobrze. Teraz popatrz na kręgle. Musisz się w nie wpatrywać. Utkwij w nich wzrok. To twój wróg. To każdy, kto zajął ci przed nosem miejsce na parkingu. To twoja nauczycielka z trzeciej klasy, która stawała przed twoją ławką i kiedy mówiła, pluła na ciebie.

Shelby obróciła się i spojrzała na niego.

- Moja nauczycielka w trzeciej klasie była wspaniała. Nigdy by tego nie zrobiła.

Quinn odwrócił ją twarzą w kierunku kręgli, ujął dłońmi jej łokcie, tak że ustami znalazł się przy jej uchu.

- Współpracuj ze mną, Shelley, współpracuj ze mną. Teraz rozluźnij ramiona. To, co masz zrobić, jest bardzo proste. Prawa, lewa, prawa, rzut. Zapamiętasz?

- Prawa, lewa, prawa, rzut. Dobrze. Ale co robię z kulą?

Quinn westchnął. To nie było takie proste. Zwłaszcza gdy był tak blisko, że czuł jej perfumy, czuł na policzku aksamitny dotyk jej jasnych włosów.

- Wypchnij kulę przed siebie na „prawa”. Przesuń ją dołem do ciała na „lewa”. Przesuń ją za siebie na „prawa” i rzuć ją na „rzut”. A, Shelley, nie wypuszczaj jej, zanim nie dojdiesz do słowa „rzut”, dobrze? Zwłaszcza kiedy będziesz ją trzymać z tyłu. Nie jestem już taki szybki w nogach, jak byłem kiedyś. Chcesz spróbować kilka razy bez kuli?

W milczeniu pokręciła głową. Prawa, do góry. Lewa, opuść. Prawa, do tyłu, nie puszczaj. Rzut, puszczaj. Miała sporo do zapamiętania i bez Quinna stojącego nad nią jak kat nad dobrą duszą, gdy ćwiczyła. Kiedy był tak blisko, że mogła czuć jego ciepło, kiedy jego udo znajdowało się za jej nogą, wystarczyło zamknąć oczy, by wyobrazić sobie, że się odwraca, wpada w jego ramiona i zaczyna szaloną przygodę, o której do dziś mogła tylko pomarzyć.

- Dobrze więc. Nie będziemy cię wstrzymywać - powiedział w końcu i pozwolił jej odejść. Potem stanął obok Brandy

siedzącej przy stole wyników. - Uważajcie na głowy - ostrzegł, a Shelby słysząc go, znów usztywniła ramiona. Pocałować Quinna Delaney? Ha! Przecież ona go nawet nie lubiła.

I teraz mu pokaże. W końcu to tylko kula. I tylko kilka kręgli. Tylko kilka kręgli, chociaż oddalonych o około dziesięć kilometrów od kuli, która wciąż była w jej rękach. Przyklejona.

Lekko rozluźniła palce, potem je skurczyła, wzięła głęboki, uspokajający oddech i ruszyła.

Prawa, do góry. Lewa, opuść. Prawa, rozbujaj do tyłu. Rzut, puść przed siebie.

Puść!

W końcu wypuściła kulę, a ta poleciała prawie pod samo niebo, a potem z łoskotem spadła z wysokości około trzech metrów na tor. A potem znów zaczęła się toczyć.

Quinn podszedł do rozbiegu i stanął koło Shelby, kiedy kula toczyła się w stronę kręgli.

Toczyła się i toczyła. I toczyła. Stuk-stuk, stuk-stuk.

- Może coś przekąsisz, zanim w nie uderzy? - zaproponował, a jego oddech połąskotał ją w ucho.

- A co będzie, jeśli się zatrzyma, zanim do nich dotrze? - zapytała Shelby, święcie przekonana, że każda para oczu w kręgielni jest wlepiona albo w nią, albo w kulę z takim trudem posuwającą się w stronę kręgli.

- Nie bardzo wiem - odparł Quinn, zagryzając dolną wargę. - Pójdiesz do kierownika?

- O, Boże - westchnęła Shelby, przyciskając ręce do ust. Wreszcie kula dotknęła kręgli. Właściwie ledwo się od nich odbiła.

- Trzy - powiedział Delaney, kiedy kręgle upadły w zwolnionym tempie, a kula w końcu stoczyła się z toru do rowu. - Nieźle. Całkiem nieźle.

Shelby oderwała ręce od ust i odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Uśmiechnęła się szeroko, a jej oczy zabłyśły.

- Tak, nieźle, prawda? Właściwie to nawet bardzo dobrze jak na mój pierwszy raz.

- Cóż, cieszę się, że ci się podobało - powiedział Quinn, podnosząc jej kulę z podajnika - ponieważ teraz musisz to powtórzyć.

- Powtórzyć? Naprawdę? Ale przecież i ty, i Gary mieliście po jednej kolejce. Nie chcę żadnych specjalnych względów. Chcę być traktowana jak wszyscy inni.

Kiedy Quinn pokrótce wyjaśnił jej zasady gry, Shelby lekko się zaczerwieniła.

- Och. Rzucam drugi raz, bo nie straciłam wszystkich. To chyba sprawiedliwe.

- To będzie długa noc, kochani - stwierdził Quinn, kiedy zostawił Shelby na rozbiegu i wrócił na siedzenie. Czuł się świetnie. Czuł się tak, jakby był z nią na randce. Jakby był jej chłopakiem. Jej mentorem.

Jej mentorem?

Do diabła, co za myśl. Ale nawet interesująca. Chciała prawdziwego życia? Mógł jej dać posmakować prawdziwego życia. Dosłownie.

- Widziałeś? Widziałeś? - krzyknęła podniecona i podbiegła do niego. - Zbiłam jeszcze cztery! Czy to nie cudowne?

Quinn spojrzał w jej śmiejącą się twarz i zobaczył zachwyt w jej oczach. Panna Główna Filadelfijska Linia w ekstazie, bo zbiła kilka kręgów do gry.

- Wspaniale, Shelley - powiedział, wstając i wyciągając ramiona. - To zasługuje na uścisk.

- Tak. Tak, zasługuje, prawda? - odpowiedziała i wpadła w jego ramiona.

Za nimi Brandy i Gary przybili piątkę.

Następnego dnia Quinn obudził się wcześniej i tylko trochę się krzywił, kiedy wyczołgiwał się z łóżka. Jego „mięśnie od kręgli” boleśnie protestowały.

Co za noc! Zgrali trzy gry, za każdym razem Shelby miała najniższy wynik. Ale kiedy w grze finałowej zdobyła osiemdziesiąt siedem punktów, była więcej niż szczęśliwa. Nie trzeba było wiele, żeby sprawić jej satysfakcję. Była tak rozradowana, jak dziecko pozostawione w sklepie świętego Mikołaja.

Dziwne. To była kobieta, która podróżowała do Włoch dla *kaprysu, która mogła kupić i sprzedać* połowę Judzi w Filadelfii. Przyzwyczajona do wszystkiego, co najlepsze, mająca świat u swych stóp. I oto poprzedniego wieczoru - rozpromieniona z powodu małego komplementu Tony'ego, podskakiwała i klaskała w ręce kiedy wreszcie skończyła grę, i jadła lody włoskie z takim zadowoleniem, jakie inni okazaliby w stosunku do najlepszego kawioru.

Zwykłe przyjemności. Osoba, której życie wypełniały najbardziej wyszukane rozrywki, zachwyciła się drobnymi przyjemnościami.

Musiał się pilnować, pamiętać, że dla Shelby Taite wszystko to było jedynie zabawą, zabawą, którą w dowolnym momencie mogła skończyć, aby wrócić do swego wygodnego życia. Czy bardzo się martwiła o brak pieniędzy i pracę, wiedząc to?

I jak długo będą ją bawić te zwykłe przyjemności? Kiedy zaczniesz tęsknić za klubem za miastem i śniadaniami podawanymi do łóżka, i tańcami aż po świt z bogatym, przystojnym narzeczonym, którego zostawiła?

Jaka była prawdziwa Shelby Taite? Była bogatą młodą damą z towarzystwa czy pełną entuzjazmu, szczęśliwą, chichoczącą

dziewczyną, która obejmowała go, bo udało jej się strącić kilka kregli?

A on - czy zdoła upilnować swe serce, skoro tak dobrze pasowała do jego ramion? Nie wiedział. Ale zamierzał się tego jak najprędzej dowiedzieć.

Wziął szybko prysznic, dopóki była jeszcze ciepła woda - już się nauczył po wczorajszym wieczorze, kiedy chyba wszyscy w budynku używali wody w tym samym momencie - po czym włożył swoje zwykłe, czarne ubranie.

Przygotował kawę w małym automatycznym zaparzaczu, mając świadomość, że nawet nie da jej się porównać z kawą u Tony'ego. Ale Tony'ego nie było dziś w menu.

W menu była dziś Filadelfia. Filadelfia i Somerton Taite, któremu obiecał osobiście złożyć sprawozdanie. Miał też nadzieję, że uda mu się wyplatać z całej tej sprawy, zanim znów stanie przed Shelby, zjrzy w jej ufne brązowe oczy i przypomni sobie, jakim jest draniem.

Półtorej godziny później wprowadzono go do salonu rezydencji Taite'ów. Somerton stał koło kominka. Jeremy Rifkin, odziany w pasiasty szlafrok, siedział z nogą założoną na nogę i popijał herbatę. Wyglądający bardzo wytwornie w spodniach w czerwono-zieloną kratę i białym pulowerze wuj Alfred stał za stolikiem z trunkami i z niezadowoloną miną spoglądał na pusty pojemnik na lód.

- Delaney - powiedział Somerton i postąpił krok naprzód z wyciągniętą ręką. - Szybko pan dojechał. Spodziewaliśmy się pana dopiero za pół godziny. Parkera, obawiam się, coś zatrzymało.

- Co za rozczarowanie - rzekł Quinn i uśmiechnął się, słysząc parsknięcie wuja Alfreda.

- Podoba mi się ten chłopak, Somertonie - oświadczył wuj Alfred i zajął się nalewaniem wódki do szklanki z sokiem pomarańczowym. - Szkoda, że dla nas pracuje. Shelby miałyby trochę frajdy.

Quinn szybko odwrócił głowę i spojrzał w rozbawione oczy starszego pana. Co ten człowiek miał na myśli? Co widział? Co wiedział?

Na szczęście nikt tak naprawdę nie słuchał wuja Alfreda, a zwłaszcza Jeremy, który wykorzystał sposobność, by pociągnąć Somertona za rękaw i poprosić, by był tak miły i zamówił dodatkową kawę, ponieważ mieli gościa.

Zanim lokaj przyniósł dzbanek świeżej kawy, Quinn zdołał już zapanować nad sobą. Zajął pozycję koło kominka, ponieważ Somerton usiadł koło Jeremy'ego, rozkładając na jego kolanach lnianą serwetkę.

- Przyjechałem przedstawić zebrane informacje na temat pańskiej siostry - zaczął pospiesznie; wyciągnął notatnik, ale nie zwracał sobie głowy otwarciem go. - Obiekt, Shelby Taite...

- Wiemy, o kogo chodzi, chłopcze - przerwał wuj Alfred. - Więc może zaczniesz bez tych wszystkich „obiektów” i innych absurdów.

- Tak jest - powiedział Delaney, chcąc mieć za sobą to spotkanie tak szybko, jak to tylko możliwe. - Panna Taite, pańska siostra, przebywa w mieszkaniu niejakiej Brandy Wasilkowski. Rachunek bankowy i inne zebrane dane upewniły mnie, że panna Wasilkowski jest osobą, na jaką dokładnie wygląda: młodą kobietą o umiarkowanych zasobach pieniężnych, szczerze troszczącą się o wszystkich, którym powodzi się gorzej od niej. Tym razem jest to panna Taite.

- Gorzej od niej? Moja siostra? Nie rozumiem.

- Wcale nie sądziłem, że pan zrozumie - odparł Quinn. - Tak jednak widzę tę sytuację. Pańska siostra została przygarnięta przez dobrą samarytankę i nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Znalazła zatrudnienie jako hostessa w lokalnej restauracji i całkiem dobrze jej się powodzi. Właściwie może być pan dumny z jej zaradności.

- Ma pracę? - Wodnistobłękitne oczy Somertona prawie wyszły mu z orbit. - Jaka... jaka przedsiębiorczość, doprawdy.



Hostessa, mówi pan? W najlepszej restauracji, jak się domyślam? Z najwyższej półki?

- W najlepszej restauracji w całym Wschodnim Wapeneken - odrzekł Quinn, wymyślając sobie w duchu od najgorszych kłamaców, ponieważ lokai Tony'ego był jedyny w okolicy. - Według mnie panna Taite świetnie sobie radzi w tym wielkim i strasznym świecie i dlatego - powiedział, biorąc głęboki oddech - składam rezygnację ze stanowiska jej ochroniarza. Moje biuro skontaktuje się z panami w celu wystawienia ostatecznego rachunku.

- Somertonie, słabo się czuję - jęknął Rifkin, chwytając rękę przyjaciela.

- Nie teraz, Jeremy - upomniał go Taite, raptownie wstając i podchodząc do Quinna, aż jego zaczesane na mokro blond włosy się rozwichrzyły. - Panie Delaney, nie rozumiem. Z pewnością nie może pan myśleć o zostawieniu mojej siostry... tam samej, prawda? Widział ją pan. Ona nie ma pojęcia, co robi, na co się naraża jako samotna kobieta we wrogim świecie.

- Jak niemowlę w lesie - wtrącił Jeremy. - Jak mały niedźwiadek na krze lodowej...

- Tak, mój drogi. Dziękuję, rozumiemy. Więc, panie Delaney, z pewnością może pan z nią zostać jeszcze trochę, dopóki nie przeżyje tej... przygody i nie wróci do nas do domu?

Wuj Alfred, który po spożyciu alkoholu poruszał się całym żwawo, stanął teraz pomiędzy bratankiem a Quinnem.

- Och, ucisz się, Somertonie. Pozwólmy mówić temu chłopakowi - rzekł, wpatrując się w Delaneya. - Jest coś jeszcze, prawda?

Wujek Trunek okazał się wyjątkowo bystry.

- Tak, proszę pana - odparł Quinn, uśmiechając się szeroko. - Jest coś jeszcze. Nie mam zamiaru pozwolić panie Taite pójść na dno lub utrzymywać się na powierzchni o własnych siłach, kiedy przeżywa swój najlepszy okres i wreszcie wie, że „prawdziwe życie”, że posłużyć się jej słowami. Muszę odmówić wykonania zlecenia z powodów etycznych.

Wuj Alfred klepnął go po plecach, tak że niemal go przewrócił.

- Zuch chłopak! A teraz posłuchajmy czegoś o mojej małej Shelby. Prawdziwa kobieta, prawda? Zbiła cię z pantałyku, co?

- Czy zbiła mnie z pantałyku? Prawie, proszę pana - przyznał zdeprymowany Quinn, obserwując w oczach Somertona kolejno zakłopotanie, kompletną pustkę, a wreszcie przebłysk zrozumienia.

- Ma pan zamiar... romansować z moją siostrą? - zapytał w końcu, robiąc krok w tył. - Przecież pan wie, że jest zaręczona.

Quinn zacisnął zęby. Skan Anula, przerobiła pana.

- Wiem jedynie, że ona jest we Wschodnim Wapeneken, a Parker Westbrook jest tutaj - lub właściwie - nie ma go tutaj, bo bardziej zajmują go interesy niż los narzeczonej.

- Somertonie, Somertonie! Czyż to nie najmilsza nowina? - Jeremy klasnął w ręce i skoczył na równe nogi. - To jak... jak „Kopciuszek”. - Wykrzywił się. - Tylko że na odwrót, jak sądzę.

Somerton znów zmarszczył brwi.

- Ale... Ale co ja powiem Parkerowi?

- Proszę mu powiedzieć, że cały czas pracuję, bo tak jest - poradził Quinn i spojrzał Taite'owi prosto w oczy. - Ale jeżeli chociaż trochę kocha pan swoją siostrę, proszę mu nie mówić, gdzie przebywa. Obiecuję panu, że nie stanie się jej żadna krzywda. Uważam jednak, że powinniście wszyscy pozwolić dziewczynie dorosnąć i samodzielnie podjąć kilka decyzji.

- Somertonie - zaczął Jeremy, głaszcząc ramię przyjaciela - czy nie mówiłem ci? Czy nie mówiłem, że od kilku miesięcy Shelby patrzy nieobecny wzrokiem? Mówiłem, prawda? A teraz wyjechała sama i przeżywa przygodę. Z pewnością nie możesz jej tego odmówić? - Zadrzał lekko. - Chociaż muszę przyznać, że nie jestem zachwycony, słysząc, że ona - co za potworność - pracuje.

Somerton obrócił się do Rifkina.

- Przygoda? Czy tak właśnie to postrzegasz? Kiedy ten... ten bezwstydnny człowiek ma czelność tu przyjść i po prostu zakomunikować, że zamierza uwieść moją siostrę?

- Wypiję za to - oświadczył wuj Alfred i uniósł szklanke z sokiem pomarańczowym, mrugając przy tym do Delaney. - Najlepsza rzecz, jaka mogła się przytrafić, moim zdaniem.

- Nie pytałem cię, wuju, o zdanie - odburknął Somerton. Przycisnął dłoń do skroni i zaczął chodzić. - Muszę pomyśleć.

- Proszę tak zrobić, panie Taite - powiedział Quinn, odstawiając filiżankę z kawą na tacę. - Proszę pomyśleć o swojej siostrze i o tym, czego ona chce, i dlaczego wyjechała.

- Ona... ona go nie kocha - stwierdził nagle Jeremy i opadł na kanapę. - No, tak, oczywiście. Co myśmy narobili?! Wciąż rozprawialiśmy o ślubie, podczas gdy ona go nie kocha! Och, Somertonie, nasze biedactwo, kochana dziewczynka. Jakie to okropne!

- Bingo, mój mały, bingo! - pogratulował Rifkinowi wuj Alfred. - I w samą cholerną porę. Czy naprawdę obaj sądziliście, że uciekła tylko po to, by zobaczyć, jak żyją inni ludzie? Nie obchodziłoby jej, jak żyją inni ludzie, Somertonie, gdyby była szczęśliwa w swoim życiu, prawda? Jeśli ja to rozumiem po pijanemu, z pewnością wy możecie zrozumieć to na trzeźwo.

Somerton potknął się o kanapę i usiadł koło Jeremy'ego.

- Byłem głupcem, ślepym głupcem! Myślałem po prostu, że przeżywa przygodę, bawi się w życie, ponieważ wuj Alfred nakładł jej do głowy jakichś głupot. Nie sądziłem, nie rozumiałem... Parker! Przyjechałeś, jak widzę.

Delaney spojrział na mężczyznę, który zdecydowanym krokiem wszedł do salonu, w prawym ręku ściskając dyplomatkę. Nie mógł jej, do cholery, zostawić w samochodzie? Co, do diabła, trzymał w niej takiego ważnego? Co mogło być - co było dla niego ważniejsze niż Shelby?

- Wybaczcie mi, proszę, spóźnienie, Somertonie, panowie - powiedział z kurtuazją, nalewając sobie od razu filiżankę kawy. - Ale skoro już jestem, czy możemy zaczynać?

-Już skończyliśmy - odparł wuj Alfred, rzucając bratankowi spojrzenie. - Prawda, Somertonie?

Taite przestał obgryzać paznokcie - nie robił tego od dzieciństwa.

- Co? A, tak. Skończyliśmy, Parkerze. Shelby ma się dobrze, a pan Delaney będzie nadal zajmował się jej ochroną. Czyż nie tak, panie Delaney?

- Tak, proszę pana, właśnie tak. Będę ją obserwował bardzo uważnie i obiecuję, że nie spotka jej żadna krzywda.

- Trzymam cię za słowo, synu - powiedział wuj Alfred, mijając go w drodze do stolika z alkoholami, gdzie zamierzał dolać sobie wódki. Nigdy nie jest za późno, żeby napić się czegoś kolorowego.

Quinn pochylił głowę w stronę Parkera, który otwierał i zamykał usta jak ryba.

- Panie Westbrook, miło było znów pana widzieć. A teraz, jeśli mi pan wybaczy, mam pracę do wykonania.

- Pracę? Oj, niegrzeczny, niegrzeczny - zganił go Jeremy, prawie przy tym tańcząc. - Somertonie, sędzę, że byliśmy pesymistami. Czy to, co się wydarzyło nie jest wspaniałe?

Parker popatrzył na wszystkich po kolei.

- Co tu się dzieje, do licha? To wszystko, Delaney? Tak według pana wygląda sprawozdanie? Że ma się dobrze? Czy za to Somerton panu płaci? Bo - pozwoli pan, że to powiem - mnie to nie wystarczy. Ani trochę mi to, do cholery, nie wystarczy! Chcę szczegółów. Żądam szczegółów.

- Pan mi nie płaci, panie Westbrook - warknął Quinn, mając wielką ochotę rozerwać tego elegancika na kawałki.

- Nie, nie płaci - zapiszczał Jeremy, chichocząc. - Ani nikt inny... Oj!

Na szczęście Parker Westbrook rzadko słuchał, co mówił Jeremy czy ktokolwiek inny.

- Bardzo dobrze, panowie. Widzę, że muszę wynająć własnych detektywów.

- Nie robiłbym tego, gdybym był na pańskim miejscu - rzucił ostrzegawczo Quinn, w momencie gdy Westbrook wstał, zamierzając ostentacyjnie wyjść. - Panna Taite jest na

krótkich wakacjach od rzeczywistości - czy raczej w rzeczywistości - sam jeszcze nie wiem, co to jest. Jestem w tym miasteczku nową twarzą. Jak dotąd akceptują mnie tam. Ale jeżeli pan się w to wtrąci, jeśli jakiś zwalasty detektyw zdradzi się, że pan ją obserwuje, śledzi... Cóż, nie sądzę, żeby usłyszał pan wtedy weselne dzwony. A przecież tego pan chce, prawda, Westbrook? Żeby panna Taite wróciła do domu, a ślub odbył się według planu?

Parker wyglądał, jakby przeżuwał przez chwilę własny język, a potem szybko kiwnął głową.

- Dobrze, Delaney. Widzę, że nie mam innego wyjścia, jak tylko pozwolić panu ochraniać pannę Taite. Ale nadal chcę, żeby wróciła do domu w ciągu miesiąca albo wcześniej, jeśli to możliwe. Nie widzę powodu, dla którego miałaby zostać tam dłużej. W końcu i kwiat przekwita, kiedy żyje z dnia na dzień, co z całą pewnością ona robi teraz.

- Odżywia się dobrze - zapewnił go Quinn. - Osobiście zdam raport za tydzień. Dziś niech wystarczy panom informacja, że panna Taite jest zdrowa, ma się dobrze i wygląda na to, że spadła na cztery łapy.

- Na razie - szepnął wuj Alfred, przechodząc obok Quinna. - Tym lepiej dla ciebie, synu. Wreszcie któryś z nas, Taite'ów, zdecydował się na małą przygodę.

- Tak, proszę pana - powiedział Quinn, nie chcąc wdawać się w długą rozmowę o tym, czego według Alfreda Taite'a potrzebowała jego bratanica.

Następnym przystankiem Delaneya było biuro D & S. Maisie przywitała go jak zwykle szerokim uśmiechem, mimo że recepcję okupowało co najmniej kilkanaście garniturów o różnym stopniu pogniecenia.

- Co się dzieje? - zapytał, pochylając się nad jej biurkiem.

- Zarząd Biblioteki Swindale Memorial - odparła Maisie, nadal skutecznie omijając wzrokiem petentów wpatrzonych w nią z czymś, co wyglądało na wzbierającą furię. - Chca,

żebyśmy ochraniali ich wystawę sztuki, ale jakoś nie dociera do nich, że nie jesteśmy organizacją dobroczynną. Chcą nas za darmo. Nic z tego. Grady zdecydował, że zależy mu na zysku. Wrócili dziś rano, żeby jeszcze raz go zaatakować, i teraz każe im czekać. A jak ty się masz, kochanie? Wyglądasz jak zwykle tak dobrze, że można by cię schrupać.

- Jakoś się mam, dzięki - odparł Quinn, wciąż stojąc tyłem do wściekłych członków zarządu. Gdyby wiedzieli, że jest partnerem w D & S, obsiedliby go jak sępy. - Więc on jest w środku? Naprawdę?

- Naprawdę - odpowiedziała recepcjonistka i oparła się na krześle, szykując się do odebrania telefonu, który właśnie zaczął dzwonić. - Ale tutaj tego nie słyszałeś, zgoda?

Odnalazł Grady'ego w sali konferencyjnej, rozciągniętego na stole do masażu, w towarzystwie jakiejś fantastycznej młodej osobki, pochylonej nad nim i pracującej nad mięśniami jego pleców.

- Czy powinieneś to robić z naderwanym ramieniem? - zapytał, zamykając za sobą drzwi, w wyniku czego Sullivan aż podskoczył.

- Cholera, Quinn, nie umiesz pukać? Właśnie zaczynałem się relaksować.

- Tak, cóż, zdarza się - powiedział Delaney, dając masażystce znak, żeby opuściła pomieszczenie na parę chwil. - Mamy problem. Albo mieliśmy. Jeszcze nie wiadomo. Zrezygnowałem dziś rano ze sprawy Taite'ów.

- Co zrobiłeś? Au! - Grady chwycił mocno partnera za rękę i dźwignął się do pozycji siedzącej. - Wiem, że jest sztywna, Quinn, jedna z tych Wstrętnych Bogaczy, ale żeby aż taka straszna?

- Nie jest sztywna. - W momencie kiedy wypowiadał te słowa, Quinn wiedział już, że popełnił błąd. Jego przyjaciel bardzo szybko kojarzył.

Grady przybliżył rękę do ucha.

- Co? Nie słyszałem, co mówisz? Nie, nie mogłem tego

dobrze usłyszeć. Bronisz tej małej dziedziczki? Ale dlaczego, muszę sobie zadać pytanie, mój dobry przyjaciel Quinn miałby bronić damy - i rezygnować z najłatwiejszej pracy, jaką mógłby znaleźć? Czy to możliwe? Czy to się naprawdę dzieje? Ach, uspokój się, moje serce.

- Połóż na nim skarpetkę, Grady. - Delaney zgrzytnął zębami i opadł na najbliższe krzesło. - Musisz wiedzieć, że nie prowadzę już tej sprawy, ale nie rzuciłem pracy. To się staje sprawą osobistą, a nie mogę brać pieniędzy za coś, co jest sprawą osobistą.

- Osobistą? Och, więcej, więcej. Chcę szczegółów, Quinn. Na ile jest to osobiste?

- Wystarczająco, żebym nie mógł przyjąć zapłaty za opiekowanie się nią, czy jak chcesz to nazwać.

- Mam wiele pomysłów, jak mógłbym to nazwać, stary brachu. A jak ty to nazywasz?

Delaney podrapał się po głowie.

- Nie wiem. Ale jestem zainteresowany. Ona jest zainteresowana.

- Zainteresowani? Dobrze, pójdźmy tą drogą. Oboje jesteście zainteresowani. To oznacza naturalnie, że nie tylko odnalazłeś pannę Taite, ale nawet jesteś z nią w osobistym kontakcie. Na ile osobistym? Nieważne zresztą, już o tym mówiliśmy, prawda? Oto, co robią z człowiekiem te środki przeciwbólowe. Czyli wracasz do Wschodniego Wapenekken przekonać się, co z tego będzie?

- Ona szuka rozrywki, Grady, i jest zdeterminowana, żeby jakąś znaleźć - odpowiedział Quinn, niezbyt zadowolony, że wierzy w to, co mówi. - Przynajmniej ze mną będzie w miarę bezpieczna.

- Co za człowiek. Jak się poświęca, jak się oddaje. Wiesz,, dałbym się nabrać, gdyby nie to, że ją widziałem, pamiętasz? Wcale się nie poświęcasz. I co dalej? Przeżyje z tobą szalone, namiętne chwile, a kiedy zmęczy ją ta zabawa, wróci do swej wygodnej rezydencji i - narzeczonego?

Quinn zacisnął zęby. Wstał i odepchnął krzesło.

- To ja zawsze odchodzę, Grady, pamiętasz? To właśnie robię.

- A co, jeśli ona się w tobie zakocha? Co wtedy, Quinn? A co, jeśli ty się w niej zakochasz?

- To się nie zdarzy. Po prostu broń dalej fortu i uważaj, że jestem na wakacjach, dobrze?

- Nie przez przypadek zatrzymałeś się w Hotelu Złamanych Serc, prawda? - zapytał Sullivan i powoli ułożył się ponownie na stole do masażu. - Bo jeśli nie, może powinienesz to przemyśleć. A teraz, jeśli możesz, zawołaj tu Ginny, żebym mógł poleżeć i zdecydować, czy zrezygnowałeś z tej sprawy, żebyś nie musiał się czuć jak zdrajca - i czy pozwala ci to być zdrajcą.

Delaney wyszedł, nie zamykając drzwi, minął się z masażystką i skierował do wyjścia. Dobiegł go cichy śmiech Grady'ego. Nie obchodziło go to. Chciał tylko znaleźć się z powrotem we Wschodnim Wapeneken w porze lunchu.



Shelby nigdy nie przypuszczała, że robienie zakupów może być przygodą. Dopóki nie wybrała się do sklepów z Brandy.

Zakupy w towarzystwie Brandy przypominały misję typu „szukaj i zniszcz” Shelby przekonała się o tym, kiedy podążała za przyjaciółką w T. J. Maxx.

Manewrując wózkiem w zatłoczonych alejkach, Brandy świdrowała równocześnie oczami wieszaki, w ułamku sekundy wybierając i odrzucając.

- Tak. Nie. Zły kolor. O, to jest fajne. Chodź, sprawdzimy przecenione wieszaki.

Shelby wędrowała za nią, przypominając sobie elegancko wyposażone pomieszczenia pokazowe, kieliszki z szampanem, ubrania prezentowane przez modelki.

I ekspedienci. Shelby pamiętała ekspedientów. Pomocnych ekspedientów.

- Gdzie są ekspedienci? - zapytała, kiedy Brandy bawiła się w grę w „wypychanie” z jakąś kobietą, która miała czelność wjechać wózkiem z przeciwnego kierunku, kiedy ona była już w połowie alejki.

- Sprzedawcy - poprawiła ją przyjaciółka, - Pracuję w zatrudnieniu, pamiętasz? Już nie nazywamy ich ekspedientami. To poniżające.

- Przepraszam. Więc gdzie są sprzedawcy? To znaczy, co będzie, jeśli będę chciała jakąś rzecz przymierzyć, a ona będzie miała niewłaściwy rozmiar?

- Wtedy ja spróbuję wydostać się z przymierzalni i przynieść ci odpowiedni rozmiar, głuptasie. Jedynym sprzedawcą, jakiego zobaczysz, będzie kasjer. Jak, według ciebie, utrzymują tu takie niskie ceny?

- Właściwie nie pomyślałam o tym - przyznała Shelby. - Chociaż i tak oszczędzają niemało pieniędzy, nie wykładając podłóg dywanami. Ani też ich nie myjąc.

Brandy wzięła czarną letnią bluzkę, która była właściwie wyciętym topem, machnęła nią w kierunku przyjaciółki, kiwnęła głową i wrzuciła do wózka. - Nie pojmujesz tego, prawda? To jest robienie zakupów.

- Czy ja to kupuję? - zapytała Shelby, wskazując bluzkę. - Nie, nie sądzę, żebym to kupowała. Wiem, co to jest. Ale to jest takie... takie jakieś obce.

- Moje ty biedactwo - podkpiwała Brandy, poklepując ją po policzku. - To wszystko, co nie jest przynoszone i wkładane do ręki czy na nogę - to musi być naprawdę bolesne. Chcesz ciasteczko?

Shelby skrzywiła się.

- Bardzo zabawne. I pozwól, że obejrzę tę bluzkę. - Sięgnęła do wózka, uświadamiając sobie, że pierwszy raz w życiu martwi się o cenę. Próba odczytania metki przypominała odszyfrowywanie chińszczyzny. - Nie rozumiem. Na niej jest pełno naklejek.

Przyjaciółka wzięła podaną jej metkę i zaczęła wyliczać.

- To jest cena, za jaką powinni sprzedawać, a to jest cena, jaką płacisz. Albo raczej cena, jaką byś zapłaciła, gdyby to nie zostało przecenione, więc płacisz tyle, ile jest na górnej czerwonej naklejce. *Comprende?*

Shelby jeszcze raz spojrzała na metkę i chwyciła bluzkę, sprawdzając markę na metce wszytej w dekolcie.

- Ale... ale to jest... mój Boże, Brandy, co markowe metki robią w miejscu takim jak to?

- A czym się przejmujesz? Właśnie zaoszczędziłaś sześćdziesiąt dolarów. Tak?

- Tak - powiedziała cicho Shelby i uśmiechnęła się. - I mogę wziąć także szorty, prawda?

- Szorty, topy, wszystko, czego zapragnie twoje serduszko. Nawet buty.

- Buty? - To było to. Shelby była w nich zakochana. Stała na palcach - niemal weszła w powietrze jak pies myśliwski, który złapał trop. - Gdzie?

Godzinę później była dumną właścicielką czarnej bluzki, trzech innych obcisłych topów, dwóch par dżinsowych szortów i dwóch par tenisówek: białych i czerwonych. I wciąż jeszcze miała wystarczająco dużo pieniędzy w kieszeni, by kupić skarpetki.

Ach, kapitalizm. Miała zupełnie nowy pogląd na ten ustrój.

Godzina, którą spędziły z Brandy w sklepie z przecenami, szybko minęła i Shelby przeraziła się, kiedy spojrzała na zegarek i uświadomiła sobie, że za pół godziny ma być u Tony'ego.

- Dzisiaj ma być bardzo dużo pracy, jak mi powiedziała Tabby. Właściwie powiedziała, że soboty są najgorsze, jeśli dobrze ją zrozumiałam.

- Dobrze rozumiałaś. Ale wpadniemy jeszcze do McDonalda - oznajmiła Brandy, kiedy odjechały z parkingu. - Nigdy nie jadłaś w McDonalddie, prawda, Shelley?

- Znienawidzisz mnie, kiedy powiem, że nie? Ale słyszałam o tym. To się liczy, prawda?

- Boże, dziewczyno, tyle cię ominęło. Nic tylko karczochy i kawior. Biedactwo. Muszę o tym pamiętać, bo kiedy będę sławna i bogata, prawdopodobnie nigdy więcej nie zjem frytek z McDonalda. To mnie wyleczy. Więc - niespodziewanie Brandy zmieniła temat - pocałował cię? Zostawiliśmy was samych w holu, żeby mógł cię pocałować, jak się mogłaś domyśleć.

Shelby zajęła się poprawianiem pasa, gdyż sposób prowadzenia samochodu i rozmowy przez przyjaciółkę był trochę denerwujący.

- Poszliśmy tylko na kręgle, Brandy. To nie była nawet randka. Niezupełnie. A może była?

- Jeśli cię nie pocałował, to chyba nie. Partacz.

Shelby oparła się o siedzenie i przypomniała sobie, jak Quinn na nią patrzył, kiedy stali przed drzwiami jej mieszkania. Jak już wyciągał rękę, by odnaleźć jej dłoń, a potem nagle

cofnął się i powiedział, że ma nadzieję, iż dobrze się bawiła tego wieczoru. Jakby była odpychająca czy coś takiego.

- Tak - powiedziała do Brandy, gdy wjechały na parking przy McDonalddie. - Partacz.

Wkrótce zapomniała o rozczarowaniu, chrupiąc frytki, które wyprawiały z jej podniebieniem takie rzeczy, jakich bażanty nigdy nie byłyby w stanie.

- Są przepyszne - stwierdziła z pełnymi ustami i sięgnęła do torebki po następne. - Nie mogę zrozumieć, jak mogłam dotąd bez nich żyć.

Brandy sięgnęła ręką nad stołem i poklepała ją po ramieniu.

- Ach, pasikoniku - rzekła z udawaną powagą - dopiero pokażę ci rzeczy, które warto poznać.

Następną rzeczą, jaką Brandy pokazała Shelby, była jazda po trzech zatłoczonych pasach ruchu z kubkiem napoju w jednym ręku i hamburgerem w drugim. Udało im się dotrzeć do restauracji w momencie, gdy zaczynała się jej zmiana, co musiało coś znaczyć. Niewiele, wzięwszy pod uwagę fakt, że po drodze mogły przynajmniej trzy razy zginąć, ale chyba jednak coś znaczyło.

Shelby już wysiadała z samochodu, kiedy Brandy ją zatrzymała.

- A! Mówiłam ci? Dziś wieczorem idziemy na minigolfa. We czworo. Wczoraj wieczorem Gary załatwił to z Quinnem, chociaż nie przyszło mu do głowy, żeby mi o tym powiedzieć przed twoim pójściem do łóżka. I proszę cię, nie mów mi, że nigdy nie grałeś w minigolfa. To tylko trawnik, jeśli nie wiedziałeś.

Shelby pomyślała o swoich wynikach w grze w kręgle. Pomyślała o dwustu trzydziestu ośmiu punktach, które zdobył Quinn-pozer. Pomyślała o srebrnych pucharach i innych nagrodach, jakie zdobyła, grając w golfa w klubie wiejskim. W zeszłorocznej rywalizacji na trawiastym polu była to srebrna waza do ponczu, jak sobie z dumą przypomniała. Uśmiechnęła się. Trawniki, dobre sobie!

- O, tak, Brandy. Grałam w golfa, ale nie musimy o tym mówić Gary'emu i Quinnowi. Tak, to zapowiada się interesująco. No, to jak - ja i ty przeciwko mężczyznom?

Przyjaciółka zmierzyła ją wzrokiem.

- Taka jesteś w tym dobra?

- Dobra, Brandy? Jestem więcej niż dobra - zapewniła ją Shelby, zamykając drzwi od samochodu i uśmiechając się szeroko. Szła do pracy. Do prawdziwej pracy. W najprawdziwszym świecie. Gdzie przeżywała właśnie prawdziwą przygodę.

A dziś wieczór, do diabła, będzie miała prawdziwą randkę!

Tabby postawiła na stole dwa talerze i pomknęła przyjąć od kogoś zamówienie. Quinn spojrział na kanapkę ze stekiem, tak wielką, że wypełniała cały talerz, a potem na górę frytek na drugim i doszedł tylko do jednego wniosku. Jeśli będzie jadał u Tony'ego trzy posiłki dziennie przez miesiąc, będzie ważył sto pięćdziesiąt kilo. Lekko licząc. Dobrze więc, że powrócił do starego zwyczaju i przed poranną podróżą do Filadelfii trochę pobiegał.

Do restauracji weszły pani Brobst i pani Fink. Krzyknęły do wszystkich radosne powitanie, po czym usiadły przy tym samym co zazwyczaj stoliku. Wyglądały jak pomarszczone niemowlaki w butach ortopedycznych, ale ich jasne oczy błyszczały jak u nastolatków na zabawie. Na siwych głowach obie miały słomkowe kapelusze w kwiaty, a w rękach trzymały wypchane portfele.

- Dzień dobry, synu - powiedziała pani Brobst do Quinna, który odwzajemnił powitanie.

- Jak się sprawuje dziś samochód? - zapytał, mając na myśli wiśniowego caddy'ego rocznik '67, który w rękach pani Brobst mógł stać się bronią.

- Bardzo dobrze. Wczoraj potraciliśmy wiewiórkę, kiedy odjeżdżałyśmy, prawda, Bettyann? To taki mały szary potworek, który więcej nie będzie już wyjadał nasion moim ptakom. Nie opłaca się ze mną zabawa w spychanie, młody człowieku, i to właśnie powiedziałam Bettyann. Niech pan o tym pamięta następnym razem, gdy będzie pan biegał po ulicy w bieliźnie i zobaczy pan, że jedziemy. A teraz niech pan je, zanim wystygnie. Niech pan nie zwraca na nas uwagi.

- To prawda - zgodziła się radośnie pani Fink. - I tak jest pan dla nas za stary. A to nie była bielizna, jaką noszą chłopcy, Amelio, to były szorty do biegania. Już ci to tłumaczyłam.

I powtarzam ci, musisz sprawdzić ten aparat słuchowy, bo inaczej ochrypnę, krzyząc wciąż do ciebie.

Delaney zasłonił uśmiech serwetką. Podziwiał obie damy i ich miłość do życia, mimo że zbliżały się już do dziewięćdziesiątki.

Rozpoznawał już i innych klientów restauracji - jeśli nie po imieniu, to po wyglądzie. Oczywiście znał więcej imion niż Shelby, która, chociaż niewątpliwie była kobietą piękną, inteligentną, obecnie ciężko pracującą, nie była w stanie zapamiętać na raz więcej niż dwa imiona.

Wszystkie starsze panie nazywała „paniami”, dzieci „kochaniami”, a stałych gości - gang ponurych mężczyzn w średnim wieku, którzy wyglądali, jakby mieszkali w budce na rogu - „bywalcami”. I starsze panie uśmiechały się, dzieci chichotały, a bywalcy rumienili się i opuszczali wzrok.

Mimo iż nie mogła zapamiętać ich imion, doskonale pamiętała, co jedli i co pili, bo mieszkańcy Wschodniego Wapeneken nie byli niczym innym jak przyzwyczajeniem. Mogła już biegać od stołu do stołu z dzbankiem normalnej kawy w jednym ręku, dzbankiem bezkofeinowej w drugim i prawidłowo każdemu napełnić kubeczek. A wszystko z uśmiechem i naturalnym wdziękiem, który wciąż odwracał uwagę Quinna.

Siadał w rogu i jadł. I spisywał nieużyteczne notatki w notesie. I wypijał litry kawy. I jadł. Śniadanie, lunch, obiad.

I obserwował Shelby.

Tej niedzieli wpadła tuż przed południem. Miała zarumienione policzki, rozpuszczone i potargane włosy, a w oczach radość graniczącą z figlarnością. Zauważyła go, jak tylko weszła. Na moment utkwiła w nim wzrok. Pomachała do niego ręką i zajęła się pracą.

Pracą. Delaney wciąż nie mógł tego rozgryźć. Dziedziczka, która jeszcze nie siekała pietruszki, lecz była już tego bliska. I wyglądała, jakby kochała każdą minutę dnia pracy. Jedną po drugiej wysadzała w powietrze każdą jego opinię o Wstrętnych Bogaczach. Sam nie wiedział, czy mu się to podoba, czy nie. Wiedział jedynie, że jest nią zafascynowany.

Nie poddawała się. Nie płakała, wzywając pomocy „wuja” czy „braciszka” ani nic takiego. Zawijała eleganckie rękawy i dawała nura w obcy świat Tony'ego. I już zaczęła owijać sobie wszystkich wokół małego palca.

- Witaj, kochanie - powiedziała właśnie, biorąc dwa dzbanki z kawą i zwracając się do małego cherubinka o blond włosach, dziewczynki jedzącej lunch ze swą wyglądającą na zatroskaną babcią. - Jak dziś ślicznie wyglądasz. A wyglądałabyś jeszcze ładniej, gdybyś usiadła prosto i rozłożyła na kolanach serwetkę.

Mały cherubinek, który właśnie zadrezczał babcię jękami i płaczem, wyprostował się i sięgnął po serwetkę. Babcia rozpromieniła się. A Shelby ruszyła dalej. Quinn tylko czekał, aż ślady jej stóp rozświetli czarodziejski pył.

Po drodze mijała Tabby, która mruczała coś do siebie.

- Dzień dobry, Tabby. Jak się dzisiaj masz?

- W porównaniu z czym? - odpowiedziała automatycznie kelnerka i poszła w stronę kuchni - czy raczej najpierw poszła jej głowa, a pół metra za nią reszta ciała.

Shelby pokręciła głową i uśmiechnęła się do pleców koleżanki.

- Drogie panie - zwróciła się do pani Brobst i pani Fink. - świetnie dziś panie wyglądają. Muszę wyznać, że uwielbiam wasze kapelusze. Takie twarzowe. Jaka szkoda, że więcej pań takich nie nosi, a przecież to znak rozpoznawczy damy. Bezkofeinowa, zgadza się?

- Jakaż ona miła - wrzasnęła pani Brobst, kiedy Shelby odeszła, prowokując gniewny gest pani Fink, któremu towarzyszyły słowa: „Na miłość boską, Amelio, włącz swój aparat słuchowy, żebyś mogła usłyszeć, jak wrzeszczysz!”

Shelby płynęła pomiędzy stolikami, aż dotarła do narożnego boksu. Siedziało tam sześciu mężczyzn - wszyscy mieli zmierzwione, siwiejące włosy, skórzane kurtki z czaszkami, „piwne” brzuchy oraz ręce i paznokcie, których już się nie da doczyścić. Ojcowie rodzin, dwóch było już nawet dziadkami. Dopóki nie zamknięto fabryki stali w Bethlehem, wszyscy pracowali, teraz



żyli z zasiłku. Pozostała im tylko kawa u Tony'ego i wspomnienia. W opinii Quinna byli nieszkodliwi jak kocięta, chociaż większość obcych ludzi nie zbliżyłaby się do nich, żeby się o tym przekonać.

Shelby natomiast zupełnie nie zwracała uwagi na ich wygląd, wyszczerzone czaszki i tatuaże.

- Ach, moi stali bywalcy. Jak się panowie dziś mają? - zapytała, kiedy podali jej kubki do napełnienia kawą.

- Gorąco. Cholernie za gorąco jak na czerwiec - odparł standardowo jeden z nich.

- Tak. Zabierz mnie znów do Da Nang. Cholernie gorąco - przyznał drugi mężczyzna, o którym Delaney wiedział, że nazywał się George.

- Panowie, panowie - skarciła ich Shelby i pokręciła głową. - Proszę uważać na słowa. Sądziłam, że już to przedyskutowaliśmy wczoraj. Są tutaj panie i dzieci, pamiętają panowie? A teraz, co panowie do mnie mówili?

Z otwartymi ustami Quinn obserwował, jak dwóch wielkich, wciąż silnie umięśnionych mężczyzn z zawstydzeniem opuściło głowy i wymamrotało przeprosiny.

Shelby ruszyła dalej, kompletnie nieświadoma, że właśnie upomniała dwóch z sześciu byłych komandosów, którzy, jak Quinn dowiedział się od Gary'ego, mieli razem z kilkadziesiąt medali za odwagę. To nie był ten typ mężczyzn, którzy uważają na to, *co* mówią. Ci brzuchaci faceci w średnim wieku prawdopodobnie wciąż potrafili zabić człowieka na dwanaście różnych sposobów, bez kropli potu na czole.

Śmiali się i żartowali z kelnerkami. Nigdy nie przegapili okazji, żeby klepnąć żującą gumę Tabby po tylnej części ciała. Rycze-li głośno z własnych dowcipów i co najmniej raz w ciągu ostatnich dni głośno się między sobą pokłócili. Ale byli jak milutkie kociażki, kiedy podchodziła do nich uśmiechnięta Shelby.

Strefa mroku. Quinn czuł, że przeprowadzając się do Wschodniego Wapeneken, cofnął się o krok czy dwa w strefę mroku.

Patrzył, jak Shelby skończyła obchód sali, po czym wzięła dwa kubki i podeszła do jego stolika, cierpliwie czekając, aż on wstanie i odsunie dla niej krzesło. Nie powiedziała ani słowa. Miała po prostu w sobie coś takiego, co kazałoby mężczyznom zaryzykować życie, żeby otworzyć przed nią drzwi samochodu, odsunąć krzesło.

- Jak się masz? - zapytała, napełniając kubki kawą. Następnie oparła się o krzesło i uśmiechnęła. - Bardzo dobrze się wczoraj bawiłam. Jeszcze raz dziękuję.

Zawsze pedantyczna, zawsze stosownie wyglądająca, nawet jeśli siedziała na środku restauracji Tony'ego. Dama w białych rękawiczkach i z młodzieńczymi liścikami zapisanymi na najlepszej jakości lnianych serwetkach z monogramem.

- Nie ma za co dziękować, Shelley. Ja też świetnie się bawiłem. Czy Brandy mówiła ci o naszych planach na dziś wieczór? Jeśli nie będziesz zbyt zmęczona, naturalnie. Minigolf. Grałaś kiedyś?

Shelby uśmiechnęła się, ponieważ sformułował pytanie w taki sposób, że nie musiała go okłamywać.

- Nie. Nigdy nie grałam w minigolfa. Czy to jakiś problem? Wiem, że nie byłam zaledwie pomocna zeszłego wieczoru w kręgielni. Właściwie już powiedziałam Brandy, że dziś panie grają przeciwko panom, ponieważ zachowałeś się jak dżentelmen, przegrywając wczoraj z kretelem.

Delaney zwietrzył pismo nosem, ale tylko odwzajemnił uśmiech.

- Zgoda. Jeśli nie masz nic przeciwko.

- Nie, nie mam, szczerze - zapewniła go i przestała się uśmiechać. Spojrzała w lewo w stronę narożnego boksu, pochyliła się do przodu i cicho powiedziała: - Nie wiem, czy powinnam o tym mówić, ale...

Zawiesiła głos, a on pochylił się ku niej, czekając na dalszy ciąg.

Wciągnęła powietrze i wypuściła je gwałtownie. Myślała, żeby powiedzieć o tym Brandy, ale przyjaciółka nic nie mogłaby poradzić, więc to nie miało sensu. Nie wiedziała, dlaczego

przyszło jej do głowy, że właśnie Quinn mógłby pomóc. Po prostu tak pomyślała. Wyglądał na taką osobę, która potrafiła dać sobie radę, cóż, prawie ze wszystkim. Nawet gdyby miał powiedzieć tylko, żeby się nie martwiła.

- Prawdopodobnie jestem w błędzie, bo nie można mieć pewności, jeśli usłyszysz tylko urywek, ale...

- Shelley, wyrzuć to z siebie.

Ponownie spojrzała w stronę narożnego boksu, a potem szybko opuściła głowę, udając zainteresowanie solniczką.

- Dobrze, ale pamiętaj, że prawdopodobnie to nic takiego. Zupełnie nic. Oni są bardzo mili, jeśli ma się czas, żeby to zauważyć. Są prawdopodobnie kompletnie nieszkodliwi. Wiesz - jak Tony. I nie wolno ci nic nikomu powiedzieć. To po prostu strasznie niemądre.

- Przysięgam - obiecał i położył rękę na sercu. - A teraz mów.

- Słyszałam wczoraj ich rozmowę. Wczoraj po południu, kiedy przyszli wszyscy na kawę i to wspaniałe ciasto czekoladowe, które ta miła dziewczyna piecze w domu i dostarcza trzy razy w tygodniu. Wiesz, próbowałam jednych z najlepszych deserów czekoladowych w... cóż, wiele deserów czekoladowych i ten był najlepszy... Mówię bez związku, prawda?

- Zgubiłaś drogę raz czy dwa, ale znów na nią weszłaś - odparł Quinn i uśmiechnął się. - Pozwól, że ci pomogę, dobrze? Podśledzałaś wczoraj George'a i innych, zgadza się?

Zmarszczyła czoło.

- George'a? Kto to jest George?

- Nieważne. Kontynuuj, proszę.

- Zatem chodzi o bywalców. Sądzę, że już na to wpadłeś. Podśledzałam ich wczoraj, jak mówili o... - pochyliła się jeszcze bardziej, aż mógł poczuć zapach jej perfum - o zabiciu burmistrza!

Wyrzuciwszy to z siebie, wyprostowała się, wzięła kolejny głęboki oddech i czekała na reakcję Quinna. Poczuli się znacznie lepiej, kiedy mu to wyznała, ponieważ teraz to nie był już tylko jej problem, ale i jego.

Delaney milczał przez chwilę, zastanawiając się nad słowami Shelby, po czym kiwnął na nią palcem, żeby jeszcze raz się nachyliła.

- Zabicie burmistrza? Shelley, przecież to Amelia Brobst jest burmistrzem.

Jej gładkie czoło znów się zmarszczyło.

-Kto?

Westchnął, z trudem starając się powstrzymać śmiech.

- Amelia Brobst. Osiemdziesiąt pięć lat i jawne przyznawanie się do mordowania miejscowych wiewiórek.

-Nie.

- Tak. Zrób to powoli, nie zwracając na siebie uwagi, i odwróć się. Ma metr pięćdziesiąt, waży około czterdziestu kilo - Czyngis-chan w słomkowym kapeluszu w rózę.

Shelby policzyła po cichu do trzech i upuściła na podłogę serwetkę, schyliła się, żeby ją podnieść, i obejrzała się.

- Nie - powiedziała, patrząc na Quinna. Jej śliczne brązowe oczy były okrągłe jak spodki.

- Tak, Shelley. Pani Brobst jest burmistrzem Wschodniego Wapeneken od sześciu lat, od kiedy zmarł jej mąż. Nawiasem mówiąc, on był burmistrzem przez trzydzieści siedem lat.

- Skąd ty to wiesz?

Quinn uśmiechnął się, zadowolony z siebie i swego wymyślnego naprędce kłamstwa.

- Jestem tu, żeby pisać o lokalnym kolorycie, pamiętasz? I tylko raz poszedłem do miejscowej biblioteki. Powiedz mi więc, dlaczego bywalcy mają zamiar ją zabić? Co takiego zrobiła? Przejechała swoim czołgiem po ich motocyklach?

Shelby rzuciła kolejne spojrzenie na Amelię Brobst, która miała poważne trudności z doniesieniem ciężkiego kubka z kawą do ust bez rozlania jego zawartości. Shelby miała o tym porozmawiać z Tonym. Kubki są dobre i wygodne dla panów, ale panie powinny korzystać z normalnych filiżanek ze spodeczkami. Z cienkiej chińskiej porcelany, może w kwiatki. To był drobiazg, ale drobiazgi miały znaczenie,

zwłaszcza jeśli ktoś próbował prowadzić popularną restaurację.

Najwyraźniej Shelby nie widziała jeszcze ksiąg rachunkowych Tony'ego...

Otrząsnęła się, usiłując skoncentrować się na sprawie. Uśmiechnęła się do starszych pań i odwróciła z powrotem do Quinna.

- Mają zamiar zabić ją? To niedorzeczne!

- Hej! - zawołał Delaney, podnosząc rękę. - Nie patrz tak na mnie. To ty to powiedziałaś.

Jej ramiona opadły.

- A, tak. Ja, prawda? - Znów się wyprostowała. - To ma związek z pomnikiem ofiar wojny i tym, że burmistrz zabrania wystawienia go w parku. Wydaje mi się, jeśli dobrze usłyszałam - bo naprawdę bardzo, ale to bardzo się starałam nie słuchać - że burmistrz uważa, iż pomnik, który już tam stoi, odnosi się do każdej wojny. Bywalcy tak nie uważają.

Quinn kiwnął głową.

- Dobrze. Teraz zaczyna to mieć sens. Poniekąd. Bywalcy, jak ich nazywasz, są weteranami wojny w Wietnamie. Prawdopodobnie chcą wystawić specjalny pomnik. Ale to nie znaczy, że zamierzają zabić malutką Amelię. Tylko tak mówią, nic więcej. Mężczyźni to robią. Rozmawiają.

- A czy wszyscy mówią o przecinaniu linek hamulcowych? - zapytała Shelby, unosząc brew i wpatrując się w Quinna.

Przez chwilę nic nie mówił. Był kiedyś policjantem. Był ochroniarzem. Teraz pracuje przy biurku i nie był w terenie od ponad roku. Z jednej strony chciało mu się śmiać z obaw Shelby, ale z drugiej strony już niczego nie był pewien.

- To brzmi dość poważnie - przyznał.

- Więc uważasz, że mogą próbować zrobić jej krzywdę?

- Kiedy indziej do tego wrócimy. Przeprowadzę małe śledztwo na własną rękę.

- Ale będziesz ostrożny, dobrze?

Na twarzy Delaneya zakwitł uśmiech.

- Ależ, Shelley. Jestem wzruszony, naprawdę. Że mi się zwierzyłaś. I że się o mnie martwisz.

Shelby poczuła, że robi się czerwona.

- Teraz kpisz sobie ze mnie - rzuciła oskarżycielsko, żałując, że jego uśmiech wywoływał u niej takie nieoczekiwane reakcje i prowokował takie niepasujące do damy myśli - myśli, na jakie żadna zaręczona kobieta nie powinna sobie pozwalać.

Odsunęła krzesło, pokazując mu ręką, że ma nie wstawać. Musiała odejść, zanim sięgnie do jego czoła, by odgarnąć mu włosy. Zanim zdradzi się w jakikolwiek sposób.

- Lepiej pójdę zapisać na tablicy, jakie jest dzisiejsze danie specjalne, zanim zrobi to Tony. Wciąż mu powtarzam, że „filet” odnosi się do ryby, a „filet mignon” to coś innego.

Quinn zdecydowanie odrzucił myśl o posadzeniu sobie Shelby na kolanach i namiętym jej całowaniu, zamiast tego przywołał obraz wysokiego, acz zgarbionego i powłóczęcego nogami mężczyzny w wiecznie brudnym fartuchu.

- Nie sądzę, żeby on się tym przejmował - powiedziała.

Shelby wzięła dzbanki po kawie i stanęła sztywno wyprostowana.

- Cóż, powinien - odparła. - Ale masz rację. Wczoraj mi powiedział, że jak długo umie to gotować, jego klientów nie obchodzi, jak to się pisze.

W drugim końcu sali rozległ się wrzask.

- O, głos mistrza - rzekła, starając się nie krzywić, kiedy niezbyt miły ton głosu jej pracodawcy zaczął przybierać na sile, co miało związek z niepoprawnie zsumowanym przez Tabby rachunkiem. - Jeśli mi wybaczysz, sądzę, że muszę wyciągnąć kolejny cierń z łapy króla.

- Oczywiście. - Quinn podniósł się z krzesła. Szybki refleks, stwierdził w duchu, kiedy odeszła. Patrzył na nią przez chwilę, przy czym zdał sobie sprawę, że bywalcy umilkli. Oni także obserwowali idącą przez salę Shelby. Nie patrzyli z ukosa, nie szturchali się nawzajem łokciami, robiąc po cichu uwagi. Tylko patrzyli. Jeden z nich wyjął nawet papierową serwet-

kę z kieszonki koszuli, wygładził ją i rozłożył sobie na kolanach.

Shelby zatrzymała się koło cherubinka, odstawiła na stolik dzbanek i wyłowiła z kieszeni dwie ćwierćdolarówki. Dziewczynka wzięła monety, podziękowała i pobiegła do automatów do gry, które znajdowały się w przejściu prowadzącym do łazienek, pozwalając babci w spokoju napić się kawy.

- Dziękuję ci, Shelley - powiedziała kobieta z wdzięcznością.

- Mój wuj zawsze mnie uczył, że dobre zachowanie powinno być wynagradzane - rzekła Shelby, puszczając do niej oko. - Jeśli więc była pani bardzo grzeczna, zasłużyła pani na małą nagrodę.

Babcia zaśmiała się i jeszcze raz podziękowała Shelby.

Bywalcy powrócili do swego jedzenia, trzymając na kolanach serwetki.

A gdy Tony, który właśnie zaczął swoją starą śpiewkę: „Ludzie, za co ja muszę was znosić”, ujrzał zbliżającą się Shelby, zamknął usta, rzucił ostatnie bezsilne spojrzenie Tabby i czym prędzej poszedł do kuchni.

- Co za pisk! Myślisz, że słyszał kiedyś o dobrych manierach? Nieważne, jestem ci dłużna, kochanie - powiedziała Tabby, dając Shelby w ramię przyjacielskiego kuksańca, od którego ta prawie się zatoczyła.

Quinn spojrział na swój talerz i odkrył, że jakimś cudem udało mu się zjeść całą kanapkę ze stekiem. Podniósł kubek z kawą i podszedł do narożnego boksu, informując gestem, że chciałby usiąść. Zapytał o „wielkie maszyny, które widział na parkingu”. Nie było to zbyt oryginalne, ale wystarczyło, żeby zacząć rozmowę.

Bywalcy zaprosili go do swego stolika, George odsunął nawet kopnięciem puste krzesło, tak by Quinn mógł na nim usiąść.

Do Wschodniego Wapeneken dotarła cywilizacja.

Cywilizacja i plotka o ewentualnym morderstwie?

Niesamowite.

Patrzyła na wiatrak. Patrzyła, jak kręcą się jego skrzydła. Obserwowała otwór w dole wiatraka, który pojawiał się, znikał i znów się pojawiał, kiedy mijały go skrzydła.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na Brandy, pochyliła się bliżej i wyszeptała:

- Żartujesz, prawda?

Brandy była zmieszana. Chwyciła Shelby za łokieć i odciągnęła ją od pierwszego dołka minigolfa.

- Żartuję? Jak to żartuję? O co chodzi? Myślałam, że jesteś w tym dobra. Założyłam się z Garym o pół godziny drapania w stopy, że ogamy ich do koszuli. A teraz nabierz trochę rumieńców, cukiereczku, i uderz tę cholerną piłkę.

Shelby zaparła się nogami i nie dała się ruszyć.

- Powiedziałam, że umiem wprowadzić piłkę do dołka. Powiedziałam, że umiem grać w golfa. A to jest... to jest... - Rozejrzała się po terenie. Spojrzała na wyszczerzonego aligatora, do którego otwartej paszczy wprowadzało się piłkę. Na drewnianą babunię na małym bujanym foteliku, na przemian blokującą i odsłaniającą dołek. Osiemnaście rozrzuconych dołków z przeszkodami, ukrytymi dołkami, zawijasami i zakrętami. Były nawet dwa dołki z wodą. - To jakieś szaleństwo.

- Błąd. To minigolf. Boże, jesteś naprawdę ograniczona, prawda? No dobrze, zacznę pierwsza, a ty mnie obserwuj.

Kiedy Shelby i Brandy szeptały między sobą, Quinn korzystał z nadarzającej się okazji i podziwiał nogi Shelby. Nawet lekko się zaśmiał, ujrawszy jej zabawne czerwone tenisówki. Do diabła, ależ te nogi były długie. I proste. Ta dziewczyna miała nogi jak Chita Rivera. Cyd Charisse. Ann-Margret. Nogi, które były spełnieniem marzeń mężczyzny.



A ta czarna bluzka? Owszem widywał już wcześniej czarne bluzki, nawet takie, które kończyły się dziesięć centymetrów nad obcisłymi, wyblakłymi džinsowymi szortami. Ale nigdy nie widział takiej na Shelby Taite i oglądanie jej na tej zimnej blond piękności było wystarczającym powodem, by poczuł zadowolenie ze złożonej rezygnacji. W przeciwnym razie Somerton Taite musiałby go zabić za to, o czym myślał i na co miał nadzieję, że się ziści.

Obserwował, jak jej kucyk, który związała tego dnia czymś puchatym i czerwonym, podskakuje w górę i w dół, kiedy przytakiwała Brandy. Do licha, Somerton prawdopodobnie nawet nie rozpoznałby swojej siostry.

Gary wyciągnął z podwiniętego rękawa podkoszulka paczkę papierosów, wyjął jednego i przypalił go ciężką metalową zapalniczką z namalowaną na niej panienką. Spojrzał na Delaneyę i zmrużył oczy, żeby nie wleciał do nich błękitny dym.

- No, i jak ci się wydaje? Planują jakąś strategię?

- Nie wiem - odparł szczerze Quinn. Sam wygląd Shelby był wystarczającą strategią. Sporo czasu mu zajmie skoncentrowanie się na uderzeniu w piłkę, skoro marzył jedynie o wzięciu panny Taite na ręce i zabraniu jej w miejsce, w którym nie byłoby ani Brandy, ani Gary'ego, ani całej reszty świata.

- Może Brandy próbuje ją namówić, żeby odłożyła torebkę - zgadywał Grady, wskazując na dużą siatkową torbę, którą Shelby miała przerzuconą przez ramię. - Shelley powinna była zostawić tę siatkę na zakupy w samochodzie.

- Nie trafi do dołka, nosząc ją - stwierdził Quinn i zastanowił się, czemu to powiedział. Shelby robiła wszystko, na co miała ochotę. Już się zaczął do tego przyzwyczajać. Spokojnie i bez zamieszania, szła grzecznie przez życie niczym atłasowy walec, spodziewając się, że każdy po prostu zrozumie, że ona musi zrobić to, co musi.

Patrzył, jak Brandy coś mówi, Shelby kiwa głową, a potem obie wracają do pierwszego podwyższenia, do gumowej podstawki z wbudowaną płaską gumową podkładką.

- Zaczynam pierwsza - oznajmiła Brandy i ruchem głowy nakazała Gary'emu zejść jej z drogi.

- Ale imię Shelley jest zapisane na tablicy wyników jako pierwsze - nieśmiało zauważył Mack. - To mi wszystko pomieszka.

Brandy przytrzymała główkę kija na podstawie, odwróciła się i przez dłuższą chwilę patrzyła beznamiętnym wzrokiem na swego narzeczonego.

- Przerażasz mnie czasem, Gary, wiesz o tym?

Delaney zagryzł dolną wargę, starając się nie rozeźmiać, i podszedł do Shelby, która patrzyła na wiatrak z takim skupieniem, jakie zwykle każdy rezerwuje dla lufy pistoletu wycelowanego w jego stronę.

- Całkiem to zabawne, prawda? - powiedział, ośmielając się niepostrzeżenie objąć ją w talii. Jej nagiej talii. Przez chwilę pomyślał, że jego ręka zajmie się płomieniem... ale co tam.

- Aha, tak. Jasne - odrzekła Shelby, obserwując przyjaciółkę, która przykładała się do piłki. Następnie spojrzała przed siebie, na kręcące się skrzydła wiatraka. - Trzyma kij zupełnie nie tak - powiedziała cicho, jakby do siebie, a potem przypomniała sobie, że miała udawać, że nie wie, co należy robić. I zresztą nie wiedziała tego. Kompletnie nic nie rozumiała. Trawniki, które kończą się po lewej stronie. Wiatraki. Nic nie rozumiała.

- A, teraz już wszystko pojmuję - oznajmił Quinn, cofając rękę i specjalnie stając przed nią w momencie, gdy Brandy uderzała piłkę. - Wiedziałaś, że umiesz to robić, prawda? To dlatego zaproponowałam Brandy, żebyście były partnerkami. Nie, żeby dać mi wygrać, ale by mieć pewność, że przegram. No, dalej, Shelley, przyznaj się. Jesteś jak cicha woda, tak?

- Cicha woda? - powtórzyła pytająco, próbując wychylić się zza niego i zobaczyć, jak Brandy uderza. - Do licha, Quinn, zasłaniasz mi widok! Co się stało?

Spojrzał do tyłu ponad ramieniem.

- Udało się jej. Teraz wykonuje mały taniec, a Gary robi kwaśną minę nad kartką z wynikami. Twoja kolej.

Shelby podeszła do podstawki z takim entuzjazmem, z jakim francuski arystokrata wchodził po schodach na gilotynę. Ustawiła stopy nie szerzej niż na szerokość ramion, mocno zakołysała biodrami, tak że jej siatkowa torba zatrzymała się na plecach i oparła o ich dolną część.

- Mógłbym to przytrzymać - zaferował się Delaney.

- Nawet za milion lat - oświadczyła, wciąż patrząc na piłkę - nie poprosiłabym cię o żadną przysługę.

- W istocie, ty nie poprosiłabyś - zgodził się i zrobił krok w tył.

Shelby ujęła lewą dłońią kij, kilkakrotnie poruszyła palcami, a potem zacisnęła je wokół uchwytu. Przyłożyła prawą rękę i przepisowo spłotła palce. Spojrzała w stronę wiatraka. Spojrzała na jego skrzydła. Zaczęła liczyć. Policzyła raz jeszcze.

Spojrzała na piłkę i wciąż licząc, uderzyła ją.

Brandy natychmiast pobiegła zobaczyć, gdzie wylądowała piłka, i po chwili zapiszczała zza wiatraka:

- Dołek za pierwszym razem! W porządku! Już czuję to drapanie w stopy.

Shelby uśmiechnęła się do Quinna, zrobiła krok w tył i wskazała głową, że teraz jego kolej.

- Cicha woda - szepnął jej do ucha, mijając ją, a potem schylił się, żeby umieścić piłkę na podstawce.

- Cicha woda, ale w gorszej sytuacji - odparowała, podnosząc torbę i czując nagły przypływ energii. - Twoja kolej, Quinn. Najpierw musisz przemówić do piłki. To stary numer, lecz możesz zacząć od: „Cześć, piłko”

- Ha, ha - sztucznie zaśmiał się Delaney, spoglądając z ukosa na wiatrak.

Pięć sekund później Brandy stwierdziła:

- To szaleństwo. Też trafił do dołka za pierwszym razem. Widzę, że będziemy tu mieć niezłą wojnę.

- Ale bez kwater i bez jeńców - zauważył Quinn i dołączył do Shelby, która była tak bliska parsknięcia, jak tylko wypadało być potomkowi Głównej Filadelfijskiej Linii.

Dotarli do siedemnastego dołka, remisując, oboje z najlepszym indywidualnym wynikiem, ale panowie wygrywali o jedno uderzenie. Przez cały czas Delaney cierpiał katusze, obserwując Shelby, jak odchodzi daleko, sprawdza przeszkody, a nawet posuwa się do mrugania do Brandy, a potem zrywa trawę i rzuca ją w górę w celu sprawdzenia kierunku wiatru.

Prawie połamał zęby od ich zaciskania. Był już wystarczająco niezadowolony, że z nim remisuje. Czy musiała remisować z nim, nosząc tę głupią torebkę?

- Może byś wreszcie uderzyła tę cholerną piłkę? - burknął, podążając za nią betonową ścieżką do dołka, który koniecznie musiała obejrzeć.

Cały mecz patrzył na nią, jak nachyla się nad kijem. Patrzył, jak zarzuca tę głupią torebkę na plecy, a następnie chuśta nią, nim uderzy piłkę. Zastanawiał się, czy zdawała sobie sprawę, że porusza przy tym także tymi przeklętymi szortami. Zastanawiał się, czy się zorientowała, czy zauważyła, co się z nim dzieje za każdym razem, kiedy wykonywała ten seksowny gest „chodź tu”. Zastanawiał się, kiedy wreszcie będzie z nią sam, do diabła.

Shelby czuła na sobie spojrzenie Quinna. Czuła na sobie jego wzrok przez cały wieczór. Próbowała sobie wmówić, że chodzi jedynie o jej ubranie, może nawet o te czerwone tenisówki. Ale tak naprawdę wcale w to nie wierzyła. Musiał odczuwać ten sam silny pociąg, jaki i ona czuła. Jak mógłby go nie czuć? Czy zastanawiał się już nad tym, jak pozbyć się Brandy i Gary'ego, żeby mogli zostać sami? W każdym razie miała taką nadzieję.

Póki co umyślnie go ignorowała. Schyliła się, by obejrzeć trzy wyjścia dołków, które wyłaniały się spod postaci starszki w bujanym fotelu. Uderzy z prawej strony, a piłka wyleci centralnym otworem, zmierzając prosto do pucharu. Uderzy ją z lewej, a piłka wypadnie na bok i odpowiednie uderzenie za drugim razem będzie niemożliwe.

Musiała trafić za pierwszym uderzeniem. Brandy zdążyła już jej wyjaśnić, że każdy musi wbić piłkę do ostatniego dołka za pierwszym razem, bo takie są zasady. Uderzyła tak, że

piłka wpadła na rampę i znikła w zagłębieniu. Och, gdyby tak Quinn spuścił ją i nie wrzucił piłki na rampę, tylko zostawił ją w środkowym dołku... Tak naprawdę jednak nie łudziła się, że nie uda mu się wrzucić piłki na rampę.

To musiało być teraz. Teraz lub nigdy. A ona naprawdę, ale to naprawdę chciała wygrać. Nie wiedziała dlaczego - po prostu chciała.

- Dobrze, już wiem - powiedziała i wstała, gwałtownie się odwracając. Ponieważ Quinn stał nad nią pochylony, z całym impetem uderzyła go w pierś, pozbawiając równowagi. Odtąd wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Delaney kilkakrotnie zamachał ramionami niczym wiatrak, po czym wpadł tyłem w środek pułapki wodnej siedemnastego dołka.

Nic nie mogła na to poradzić. Właściwie może by i mogła, ale wcale nie chciała. Popatrzyła więc z góry na niego, jak tak siedział w płytkiej kałuży, pokręciła współczująco głową i powiedziała:

- Przepraszam. Jednak uważam, że wylądowanie w pułapce wodnej warte jest dwóch uderzeń. Wygrałyśmy, Brandy. Gary, przynieś ten przyrząd do masażu stóp.

Ostatecznie Delaney dokończył grę, mając zawiązany wokół bioder rozpinany sweter, który zakrywał mokrą plamę. Jak można było przewidzieć, Shelby uzyskała najlepszy wynik i prawo do darmowej gry.

Mimo wszystko Quinn nie stracił dobrego humoru. Siedzenie w zimnej wodzie i spoglądanie w górę na Shelby, której brązowe oczy promieniały, a ona sama śmiała się tak bardzo, że musiała usiąść obok niego na betonie - warte było nawet trzykrotnego wpadnięcia w wodę, a może i czterokrotnego.

Kiedy wracali do domu furgonetką Gary'ego, siedzący na jakichś starych gazetach, którymi właściciel wykładał podłogę samochodu, Quinn nadal był oszołomiony i zdumiony.

Oto Shelby Taite, dziedziczka, której rodowód sięgał zapewne czasów „Mayflower” - albo i wcześniejszych, siedzi sobie na tylnym siedzeniu furgonetki, chichocząc jak dziecko, które

pierwszy raz w życiu zobaczyło cyrk, i ani przez chwilę nie pomyśli o swym rodowym nazwisku czy sytuacji życiowej. Czy też - kiedy pozwoliła Quinnowi uścisnąć dłoń w ciemności - o swym narzeczonym.

To była jej rozrywka. Przygoda. Musiał o tym pamiętać. Musiał pamiętać, że on tylko był w pobliżu, pod ręką, i że obiecał jej rodzinie, że nie spotka ją żadna krzywda.

Ale nie pomyślała o sobie, o tym, że może być bardziej zauroczony niż zainteresowany, że może okazać się to poważniejsze, niż sądził. Że mógł skończyć, cierpiąc, zwłaszcza jeżeli panna Taite naprawdę postrzegą go wyłącznie jako część wielkiej przygody, którą zamierzała przeżyć, zanim wróci do rodziny i do narzeczonego.

Jeszcze raz ścisnął jej palce, a potem puścił i wysunął w milczeniu ramię, mając nadzieję, że ona to zrozumie i oprze się o niego.

Shelby przysunęła się bliżej, przytuliła i położyła dłoń na jego piersi. Nie powiedzieli ani słowa, nie spojrzeli na siebie. Po prostu siedzieli tak w ciemności, słuchając jak Brandy i Gary śpiewają razem do melodii country, która płynęła z radia.

Gary miał naprawdę dobry głos, w przeciwieństwie do Brandy. Jednak piosenki były melodyjne, a rytm zaraźliwy, więc Shelby wkrótce zaczęła uderzać dłonią w pierś Quinna w takt muzyki. W takt jego szybko bijącego serca. W takt wszystkich pytań tłukących się w jego głowie.

Kiedy furgonetka wjeżdżała na parking za domem, zdecydował się odezwać.

- Gdybyś poszła ze mną i poczekała, aż włożę jakieś suche ubranie, to moglibyśmy pójść na spacer. - A ponieważ zabrzmiało to trochę mętnie nawet dla jego uszu, dodał: - Myślę, że Gary i Brandy chcieliby zostać sami.

Shelby myślała podobnie. Skoro była teraz współlokatorką Brandy, a Gary nadal mieszkał ze swoją matką, to przez ostatnich kilka dni ci dwoje tak naprawdę nie byli sami. A mając w pamięci wyraz twarzy przyjaciółki, gdy ta mówiła o masażu

stóp, doszła do wniosku, że dziś wieczór byłaby tak samo mile widziana w mieszkaniu jak plaga karaluchów.

- Dobry pomysł - powiedziała i uwolniła się z jego ramion, kiedy furgonetka się zatrzymała. - Piękny dziś wieczór na spacer.

Cała czwórka, a w zasadzie dwie pary weszły po schodach. Brandy i Gary poszli w stronę pokoju 2 C, a Quinn otworzył drzwi pokoju 2 B i poczekał, aż Shelby wejdzie pierwsza. Będąc już w środku, popatrzyła na niego nieśmiało - chyba nieśmiało? Nie przebiegle?

Wszedł za nią do pokoju, zapalił światło i przygotował się na jej śmiech. Nie zawiodła go.

- Quinn, tu wszędzie są falbanki! - wykrzyknęła, obchodząc dookoła mały salon połączony z kuchnią. - I koronkowe serwetki... i... i te kwiaty na kanapie. A co to jest? - zapytała, podnosząc różową, falbankowo-koronkową rzecz skrywającą toster.

- Przyjemny toster - wyjaśnił. - Pani Brichta zrobiła to sama. A ponieważ przychodzi tu sprzątać, nie chcę go chować, żeby nie zrobić jej przykrości. Albo jej nie zdenerwować - dodał po namyśle. - W łazience jest jeszcze jeden, wciśnięty za rolki zapasowego papieru toaletowego. Od góry przyklejona jest mała kaczuśka. Czarujące.

Nie przestając się śmiać, Shelby usiadła na kanapie - w purpurowe kwiaty na czarnym tle.

- Och, Quinn. Ale jak ty możesz przy tym wszystkim pracować?

- Nie jest to łatwe. A teraz poczekaj tu. Za chwilę wracam.

By się czymś zająć, Shelby zaczęła spacerować po pokoju. Dotykała serwetek, podziwiała wiszące na ścianach ryciny z dziećmi o wielkich oczach. A potem pod ozdobionym falbankowymi zasłonami oknem dostrzegła stół. Stał na nim komputer, a obok niego leżały jakieś dokumenty, wyglądające na bardzo oficjalne.

Notatki Quinna do książki - pomyślała i spojrzała w stronę zamkniętych drzwi sypialni. Przygryzła dolną wargę i jeszcze raz spojrzała na stertę papierów.

Co to mogło szkodzić? Przecież nie pisał o tajemnicach państwowych ani o niczym tego typu. Poza tym z jego notatek mogła się czegoś dowiedzieć o Wschodnim Wapeneken, wyglądało na to, że jest całkiem dobry w poznawaniu tego małego miasta.

Właśnie sięgała po leżącą na wierzchu teczkę, kiedy Delaney otworzył drzwi od sypialni.

Trzy sekundy później trzymał ją w ramionach i całował. Całował ją i odciągał od stołu w stronę kanapy.

Shelby nie oponowała. Jakaś słabość ogarnęła jej ciało, tak że nie mogła ustać - a zresztą nie było ku temu powodu. Pozwoliła Quinnowi pchnąć się na kanapę, objęła go wpół i pocałowała.

Całowała go mocno, całowała go długo, pragnęła smakować go, czuć jego usta na swoich, jego ciało blisko swego.

To, co na początku było najszybszą z możliwych do wymyślenia dywersji, wkrótce zmieniło się w wyraźne i realne zagrożenie. Quinn je rozpoznał, ale nie bardzo wiedział, jak sobie z tą sytuacją poradzić. Trzymał Shelby w ramionach, pełną życia i chęci, i nagle tak bardzo jej zapragnął, jak nigdy dotąd nie sądził, że może pragnąć kogokolwiek.

Nakrył ustami jej wargi i pieścił je językiem, aż się rozchyliły i wpuściły go do swego aksamitnego wnętrza. Ciała ich obojga tak do siebie pasowały, jakby były dla siebie stworzone. Quinn sięgnął dłonią do jej piersi i zadrżał, kiedy Shelby wygięła się ku niemu, wychodząc mu naprzeciw.

I wtedy nieoczekiwanie odezwał się w nim głos sumienia. Podziałał jak kubeł zimnej wody wylany na głowę. Co on wyprawia? Jak może ją całować, dotykać? Kochać się z nią...

Ona żyła w kłamstwie. On żył w kłamstwie.

Nie jest i nie będzie częścią jej przygody.

Nie może powiedzieć jej prawdy, nawet gdyby ona wyznała mu swoją.

To się nie uda. Nie mogło się udać. Skończyłoby się na tym, że znienawidziłaby go. A tego nie chciał. Widział już jej brązowe oczy, kiedy były puste, i widział je, kiedy błyszczały w złości, widział je też, jak promieniały w zachwycie.



Nie przypuszczał, że mógłby znieść ich spojrzenie wyrażające krzywdę, rozczarowanie i ból, a taki byłby skutek wyznania przez niego prawdy.

Powoli więc odsunął się i napotkał pytający wzrok Shelby, nieco jeszcze zamglony od emocji. Pocałował ją ostatni raz i pomógł jej wstać.

- Przepraszam - powiedział, kiedy wygładzała bluzkę, i nagle uświadomił sobie, że nie tylko on się wycofuje, ale i ona także. Patrzyła w dół, na podłogę, wszędzie, byle nie na niego. - Nie chciałem tego.

- Tak - odezwała się, kiwając głową i wciąż unikając jego wzroku. - Ani ja. To pewnie przez tę gorącą rozgrywkę w mini-golfa, co? Musiałam jakoś odreagować. Cóż...

- Przypuszczam, że nie chcesz już iść na ten spacer?

Znów kiwnęła głową, na próżno marząc, by jej oczy nie wypełniły się łzami.

- Nie, chyba nie chcę. Jest już późno, prawda? I... i jutro muszę iść do pracy. Więc lepiej już pójdę...

- Oczywiście - rzekł Delaney i odprowadził ją do drzwi. - Nie zapomnij zapukać, kiedy dojdiesz do drzwi obok.

Shelby uśmiechnęła się smutno. Zamrugała powiekami, żeby powstrzymać łzy, a potem podniosła głowę i spojrzała w jego ciemnoszare oczy.

- Tak, tak zrobię. Cóż, dziękuję ci, Quinn. Naprawdę dobrze się...

- A, co tam, do diabła! - Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Trzymał ją blisko przez długą chwilę, aż zaczęła uwalniać się z jego objęć. - Zobaczę cię jutro? - zapytał z ustami w jej włosach.

- Jutro. Tak. Tak, byłoby miło - odpowiedziała, po czym wymknęła się na korytarz, zostawiając go samego z wyrzutami sumienia.

Zamknął drzwi, kiedy upewnił się, że bezpiecznie weszła do mieszkania 2 C. Potem przeszedł przez pokój i wziął do ręki teczkę z napisem: TAITE, SHELBY. KLASYFIKACJA: SZCZEGÓŁY NIETYPOWEGO OCHRONIANIA

Schował ją oraz pozostałe papiery do aktówki i wsunął pod kanapę.

Sprawa była zamknięta. Ale było bardzo blisko.

Poszedł do kuchni, wyciągnął z lodówki wysoką butelkę piwa i omijając kanapę, opadł na wielkie brązowe krzesło, na którego oparciach i zagłówku leżały serwetki. Wziął do ręki pilota, planując pooglądać telewizję, ale odłożył go z powrotem.

Będzie tylko on sam i jego sumienie.

A noc zapowiadała się bardzo długa...

Shelby weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi.

- Bardzo cię przepraszam, Brandy, że wracam tak późno. Nie chciałam, ale... - Zatrzymała się pośrodku salonu i rozejrzała dookoła. - A gdzie jest Gary?

- A kto to wie? I kogo to obchodzi? - odrzekła Brandy i opadła na krzesło, obejmując się ramionami. Dziś wieczór miała na sobie farmerską sukienkę w białe i niebieskie kwiaty, która wzdęła się i przypominała teraz gigantyczny grzyb. - Nie chcę go widzieć nigdy więcej.

Shelby obejrzała się na drzwi. Pomyślała o swoich problemach, z powodu których czuła się bardziej zmieszana niż zniechęcona, a potem spojrzała na przyjaciółkę.

- Ale co się stało? - zapytała, klękając przed jej krzesłem.

- Nic. Wszystko. Chodzi... chodzi o mamę - burknęła Brandy. - Mama powiedziała Gary'emu, że zapomniała go poinformować, iż zapisała się na rejs na ten weekend, kiedy ma się odbyć nasz ślub. Że się zapisała i wpłaciła bezzwrotną kaucję już kilka miesięcy temu, zanim ustaliliśmy datę. A ten... wielki, głupi, durny kretyn kupił to. Kupił tę idiotyczną historyjkę, którą nawet dwulatek by przejrzał i wyśmiał - Odrzuciła głowę na oparcie krzesła. - Nie mogę w to uwierzyć, Shelley. Ona ciągle to robi, a Gary ciągle daje się nabrać.

Shelby spuściła głowę. Co można powiedzieć zaręczonej kobiecie, którą porzucano przy ołtarzu - przynajmniej w przenośni - więcej niż kilkanaście razy w ciągu ostatnich dwunastu lat?

- Chyba widziałam, że w lodówce chłodzi się jakiś alkohol - powiedziała w końcu, wstając.

Po kilku chwilach wróciła z kuchni z butelkami. Uznała, że kieliszki nie będą konieczne.

- Proszę, wiśniowy cooler. Wypij, Brandy, ja też wypiję. Myślę, że nam obu jest to potrzebne. Za mężczyzn - wszyscy mogą iść do diabła.

Brandy podniosła głowę z oparcia krzesła i pochyliła ją do przodu, prezentując przy okazji swój drugi, całkiem przyjemny podbródek.

- Ty też? Wyglądało na to, że wy dwoje wymknęliście się, żeby być sami. Czy coś jest w tym powietrzu? Co się stało?

- Co się stało? - powtórzyła Shelby i usiadła na dywanie, opierając głowę o kanapę. - Nie wiem, Brandy. Przysięgam na Boga, że nie wiem. Pojawił się znikąd, pocałował mnie - praktycznie mnie zgniótł - a potem mnie wyrzucił. I przeprosił, Brandy, co jest chyba najgorszą obelgą, jaką mogę sobie wyobrazić. A potem znów mnie pocałował i powiedział, że zobaczymy się jutro. - Podniosła butelkę i pociągnęła łyk. - Szczerze w to wątpię.

- O, Boże... - Brandy ześlizgnęła się na podłogę i oparła głowę o krzesło. Wypiła kolejny łyk. - Ale on nie... To znaczy... Nie zrobił tego, prawda?

Shelby podniosła butelkę, spojrzała na poziom alkoholu i zdecydowała, że nie zdoła się upić.

- Nie zrobił czego?

- No wiesz - tego. Mówiłaś, że cię prawie zgniótł, tak?

- Och, nie, Brandy, nie kochaliśmy się, jeśli o to pytasz. Gorzej - dodała prawie do siebie i kolejny raz podniosła do ust butelkę.

Brandy zachichotała.

- Dobrze całuje, co?

Shelby przytaknęła.

- Jeszcze teraz czuję mrówki na plecach.

- Ale zatrzymał się. Jest džentelmenem.

- Na pewno jest. Wiem tylko, że w jednej chwili całowaliśmy się, a w następnej słyszałam już tylko rutynowe: „Proszę kapelusz, proszę futro” Co jest ze mną nie tak, Brandy? Parker nie chce iść ze mną do łóżka. Quinn właśnie mnie wyrzucił. Do licha, Brandy, chcę jeszcze jednego coolera.

- To nie z tobą jest źle - zawołała za nią Brandy. - To z mężczyznami. Zawsze chodzi o mężczyzn. Zaufaj mi w tym względzie - dzięki Gary'emu stałam się ekspertem. Ja też napiję się jeszcze tego wiśniowego. O, kurczę, telefon. Wiesz, kto to, prawda? To Gar, będzie próbował mnie przeprosić, tłumacząc, że mama nie miała na myśli niczego złego. - Wstrząsnął nią dreszcz. Poruszyła nogami pod sukienką. - No, zaraz mu powiem...

W tym momencie Shelby wbiegła do salonu. Położyła rękę na stojącym na stoliku do kawy telefonie i zablokowała przyjaciółce drogę.

- Nie - rzekła, potrząsając głową. - Nie odbieraj, Brandy. Niech się odezwie automatyczna sekretarka. Niech się dzisiaj pomęczą. Zasłużył na to.

- Ale... ale to Gary - powiedziała zmieszana Brandy. - On zawsze dzwoni pierwszy, kiedy się pokłócimy. A ja zawsze odbieram. I, cholera jasna, zawsze mu wybaczam, naiwna. Tak... tak właśnie robimy, Shelley.

- Nie dzisiaj - przerwała surowo Shelby. - Nadszedł czas, żebyś przestała robić to, czego się od ciebie oczekuje, i zaczęła robić rzeczy nieoczekiwane. Może to nim wstrząśnie na tyle, że zrozumie, że jesteś ważniejsza niż rejs jego matki. O, odzywa się sekretarka. Jak się robi głośniej, żebyśmy mogły posłuchać?

Brandy pogłośniła, po czym opadła na krzesło, objęła rękami kolana i wpatrzyła się w telefon.

- ... I zostaw wiadomość po sygnale - powiedział jej własny głos.

- Brandy? - głos Gary'ego był głośny i wyraźny - tak głośny, że Brandy ściszyła urządzenie. - Brandy, kochanie, wiem, że tam jesteś. No, dziecinko, odbierz... - Nastąpiła pauza, w czasie której Gary czekał, ale Shelby nadal trzymała rękę na słuchawce i wpatrywała się ostrzegawczo w Brandy. - Wiem, że jesteś wściekła, kochanie, i nie winię cię za to. Ale ona pokazała mi bilety. Są na ten sam weekend, kiedy planowaliśmy ślub, naprawdę. A to jest jakaś grupa z kościoła, więc jeśli ona się wycofa, wszyscy stracą zaliczkę... czy coś w tym rodzaju. Jest jej przykro,

naprawdę. Nawet się popłakała. Szczerze, kochanie, ona jest po prostu chora z...

Brandy pochyliła się, żeby podkręcić gałkę.

- Ona jest chora? To mnie chyba zaraz zemdli - wymamrotała i zamknęła oczy. - Znów to samo, Shelley, jak zwykle to samo. Ona będzie to robić do momentu aż wykorkuje, a do tego czasu ja będę już spacerować po alejkach z chodzikiem. Ale, do diabła, jeszcze będę tańczyć na grobie tej starej damy!

- Przynajmniej masz kogoś, kto chce się z tobą ożenić, nawet jeżeli jego matka jest z piekła rodem - zauważyła Shelby, zaczynając odczuwać skutki wypicia dwóch drinków.

- Jak to? Przecież masz Parkera, tak? On chce się z tobą ożenić.

- Myślisz, Brandy, że chce? Naprawdę chce? Jak inaczej mam to powiedzieć?

- No... nie wiem. Że się kochacie?

Shelby zakrztusiła się coolerem.

- Kochamy... kochamy się? Brandy, my się nigdy nie kochaliśmy. Wiesz, byłam bliższa kochania się z Quinnem dziś wieczór niż z Parkerem przez dwa lata.

Brandy zajrzała przez otwór do butelki.

- No, tak. To rzeczywiście załamujące.

Shelby popatrzyła na przyjaciółkę i zaśmiała się słabo.

- Tak, to załamujące, prawda? Chcesz jeszcze jednego drinka? Ja tak. Zaczyna szumieć mi w uszach. Ale chcę pić dalej, aż zdrętwieją mi zęby.

- To brzmi jak plan - stwierdziła Brandy, z trudem wstając na nogi. - Przyniosę dla nas coś do chrupania, dobrze? To dlatego noszę te idiotyczne sukienki. Żeby ukryć fakt, że ja i moje chrupki znamy się już od dawna.

Razem uzbierały czteropak coolerów, miskę precelków i chipsów, i nieotwartą paczkę krakersów serowych - paczkę oszczędnościową.

Wracając do salonu, Brandy podniosła pilota i włączyła telewizor. Ściszyła dźwięk, kiedy rozpoczęła się emisja starego filmu klasy B.

- Założę się, że to coś ckiego i głupiego - powiedziała, wskazując na ekran. - Tego nam teraz trzeba.

- Jak powiedziałyby mój wuj - i przy każdej okazji, i bez żadnej okazji - wypiję za to.

- Wiesz, Shelley, jesteś w porządku - oświadczyła Brandy, patrząc na swą nową przyjaciółkę trochę zamglonymi oczyma. - Mogłaś się okazać sztywna, ale taka nie jesteś. Właściwie jesteś bardzo fajna. Oho, znowu telefon. To może trwać całą noc.

- Nie odbieraj - ostrzegła Shelby, kiedy Brandy wyciągnęła rękę w stronę telefonu.

- Nie odbiorę - obiecała. - Zrobię tylko głośniej. O, zaczyna się...

- Brandy? Odbierz, Brandy. No, dalej, wiem, że tam jesteś.

- Hmm - mruknęła Brandy, uśmiechając się. - Wygląda na to, że tym razem jest trochę zirygowany, nie? No i dobrze. Najwyższy czas, żebym skończyła z tym głupimi przeprosinami na klęczkach, co? Niech się pomęczą.

- Brandy? Jeśli nie odbierzesz, więcej nie zadzwonię. Mówię to poważnie, kochanie. Nie zadzwonię. Nie zniosę dłużej tych wojen, kochanie. Każesz mi stawać między tobą a mamą. A to nie jest dla mnie łatwe, wiesz, Brandy? Cholera, Brandy, odbieraj! A, do diabła z tym...

Klik.

- O, to było niezłe - stwierdziła Brandy, polując w salaterce na przypalone chipsy, które lubiła najbardziej. - Teraz jest na mnie wściekły, że miałam odwagę wściekać się na niego, że jest taki głupi. Jak każdy mężczyzna. Bardzo się cieszę, że nie pozwoliłaś mi odebrać telefonu, Shelley. To jest nawet pouczające, prawda? My mamy rację - my, kobiety, tak jest - ale to nie znaczy, że to nasza wina, że mamy rację. - Pokręciła głową. - Czy to według ciebie ma jakiś sens, czy zacznę być bardzo, bardzo pijana?

- A jakie to ma znaczenie? - zapytała Shelby, pochłonięta własnym smutkiem.

- Pewnie żadne. Dobrze, wyłączam też dzwonek telefonu. Masz rację, Shelley, powinien teraz podusić się we własnym

sosie. Może kiedy obędę się bez jego masażu stóp i jego... cóż, może, kiedy nie będę taka cholernie dostępna przez cały czas, wtedy trochę zmądrzeje. Poza tym *to* nie jest nic nowego - przerabialiśmy to już milion razy. Myślę, że w tym momencie powinniśmy się skoncentrować na tobie. Więc wyrzuc to z siebie, Shelley. Co jeszcze cię gnębi? Przecież widzę, że jest coś jeszcze poza tym, że Quinn cię pocałował, aż przeszły ci po plecach ciarki.

- Co mnie gnębi? Wszystko, Brandy, to właśnie mnie gnębi. Chodziłam do tych samych szkół, do których chodziła moja matka, dostawałam takie same stopnie. Należałam do tych samych klubów, pracowałam na te same cele charytatywne. Nie poszłam do pracy po college'u, ponieważ Taite'owie nie chodzą do pracy. Po prostu robiłam nadal to, co mi kazano. Pójdź tam, usiądź tu, podpisz ten czek, zaręcz się z Parkerem, bo...

- Bo go kochasz? - odpowiedziała pomocnie Brandy.

Shelby pokręciła głową.

- Nie, nie sądzę, że to jest to. Myślę, że zaręczyłam się, ponieważ nadszedł czas, żebym wyszła za mąż. Moja matka wyszła za mąż, kiedy miała dwadzieścia pięć lat. Somerton urodził się, kiedy miała dwadzieścia sześć. Zrobiła, co jej kazano. Wyszła za mąż, sumiennie urodziła potomka płci męskiej i głównego spadkobiercę. Cztery lata później, w czasie jednej z tych sławnych dystyngowanych hulank moich rodziców, zostałam poczęta. Urodziłam się, żeby dorastać tak jak moja matka, a Somerton został zaprogramowany - tak, zaprogramowany - żeby dorastać dokładnie tak jak tata. Cóż, Somerton się wyłaniał i może ja też powinnam!

- A jak Somerton się wyłamał? - zapytała Brandy, ciesząc się, że może porozmawiać, gdyż jej siła woli już słabła i była niemal gotowa odebrać telefon, gdyby Gary ośmielił się zadzwonić jeszcze raz.

Ale Shelby nie słuchała.

- Taka cholernie posłuszna. Posłuszna mała Shelby - oto ja. Nie rób tego, nie rób tamtego. Słuchaj wszystkich, rób to, czego



chcą oni, czego spodziewają się po jednym z Taite'ów. A teraz wychodzę za męża, ponieważ nadszedł już czas, żebym wyszła za męża. Boże, Brandy, mdli mnie.

- Wyłamał się jak? - zapytała Brandy powtórnie, ponieważ wydawało się jej, że to może być ważne. Usłyszała bardzo ciche kliknięcie włączającej się sekretarki i szum kręcącej się taśmy. Gadaj sobie zdrów, bałwanie, pomyślała. Może wreszcie coś zrozumiesz.

Shelby spojrzała na poziom napoju w trzeciej butelce coolera i zgrabnie obniżyła go o kolejnych pięć centymetrów. Wuj Alfred miał rację - pijana głowa to szczęśliwa głowa, przynajmniej do momentu, aż nie wytrzeźwieje - a na to wuj Alfred nie pozwalał swojej głowie przez ostatnich kilka dziesięcioleci.

- Już mógł mnie znaleźć do tej pory, wiesz.

- Kto? Twój brat?

- Nie, Brandy, nie Somerton. Parker. Już by mnie odnalazł, gdyby chciał mnie odnaleźć, gdyby po prostu nie był zadowolony, że mnie nie ma, i nie miał nadziei, że może zerwać zaręczyny. Tylko że on tego nie zrobi. Zbyt wiele pieniędzy na niego czeka, jeżeli się ze mną ożeni. Ponieważ Parker jest praktyczny - oto, jaki jest Parker. Praktyczny Parker. - Czknęła. Było to coś, czego nie zrobiła chyba przez całe swoje spędzone pod kloszem życie. - Palant. Praktyczny Palant Parker podniósł plik... czegoś tam na literę P. Aliteracja. Zawsze mi się podobała alite... alyteracja.

- Ojjoj, ktoś tu nam się upił - powiedziała Brandy, wyjmując pustą butelkę z luźnego uścisku Shelby. - A teraz, zanim odpłyniesz, powiedz mi o Somertonie, Shelley. W jaki sposób się wyłamał?

- Somerton? - zapytała Shelby. Jej umysł zostawił już nieprzyjemną osobę Parkera Westbrooka III i powrócił do Quinna Delaneya oraz do faktu, że pocałował ją, a potem wyrzucił ze swego mieszkania. Właśnie wtedy, kiedy prawie miała powiedzieć, że do diabła ze wszystkim, i pójść z nim do łóżka. Czy on o tym wiedział? Wyczuł to? Wyrzucił ją, bo jej nie pragnął... czy dlatego, że pragnął jej za bardzo?

Uśmiechnęła się nieśmiało i zdecydowała na tę ostatnią możliwość, ponieważ dzięki niej czuła się szczęśliwa. Zasłużyła na to, żeby być szczęśliwą, do diabła. Szczęście osobiste mogło nie być wpisane w Harmonogram Życia Taite'ów, jednak ona wierzyła, że w jakiś sposób na nie zasługiwała. Koniec, kropka. Ponieważ wszystko wydaje się teraz bardziej przyjemne. Bardziej puchate. Jak Księżniczka, która wspięła się na jej kolana i teraz mruzczała zadowolona. Księżniczka wiedziała. Nadszedł czas na odrobinę szczęścia, do licha.

- Kochasz mnie, Księżniczko, prawda?

- Tak, Księżniczka cię kocha. A teraz o Somertonie - nalegała Brandy, nie pozwalając Shelby zasnąć, zanim nie udzieli jej kilku odpowiedzi. - Myślę, że to może mieć znaczenie. Jeśli on wyłamał się w jakiś sposób, to może nie będzie tak źle, jeśli i ty się wyłamiesz. Więc powiedz mi, co on takiego zrobił?

Shelby pozwoliła opaść głowie na wygodną kanapę, a nogom zjechać pod stół do kawy.

- Wprowadził do domu Jeremy'ego. Oto, co zrobił. Zagrał wszystkim na nosie i wprowadził Jeremy'ego prosto do starej rodzinnej rezydencji. Tata zapewne wciąż obraca się w ogrodzie. W mauzoleum rodzinnym, rozumiesz. W naczyniu z napisami. Pryncypialny papa pochowany z podpisami. Przykre.

- Dobrze - powiedziała wolno Brandy. Była odurzona, ale nie tak pijana jak Shelby, która albo miała za słabą głowę do alkoholu, albo raczej za mało doświadczenia, jeśli Brandy miałyby zgadywać. - Powiedz mi teraz, kim lub czym jest Jeremy.

Shelby podniosła głowę i kilka razy zamrugała, starając się skoncentrować.

- Kim jest Jeremy? Ależ to najsłodsze, najbardziej głupiutkie, cudowne małe kochanie.

- Aha. Więc to pies. A co twoi nadęci przodkowie mają przeciwko psom?

Automatyczna sekretarka kliknęła i taśma znów zaczęła się kręcić. Brandy nawet tego nie usłyszała.

- Spójrz na to, Brandy - zawołała Shelby, zwracając uwagę na film wyświetlany w telewizorze. - Ona ma rewolwer, jakiś zły facet zagonił ją za róg, a ona nie strzela. On ją zaraz zabije, a ona i tak nie zamierza do niego strzelić. Czy to ma jakiś sens, Brandy? Dlaczego wszyscy uważają, że kobiety są takie głupie? Tak się boją wszystkiego, tak się boją, że raczej zrujnują swoje życie, niż zaczną o sobie myśleć. Zastrzel drania! - krzyknęła do telewizora, tak że Księżniczka zeskoczyła z jej kolan i uciekła.

- Dobrze, słodziutka. Zabij drani. Zabij ich wszystkich. No, a teraz wróćmy do Jeremy'ego, dobrze? Staraj się patrzeć na piłkę, czy jak to tam powiedziałaś wczoraj na polu golfowym. Czy Jeremy jest psem?

Shelby usiadła i spróbowała się skupić. Naprawdę nie powinna była pić. Alkohol nie działał na nią dobrze. Jutro rano prawdopodobnie będzie bolała ją głowa, tak jak po balu charytatywnym. Jeden raz się upić to głupstwo, ale upić się dwa razy to kompletna głupota. W duchu przyrzekła sobie, że już nigdy nie będzie pić.

- Nie, nie, nie. Jeremy nie jest psem. On jest... bratnią duszą Somertona. Jest jego towarzyszem życiowym. Wiele dla niego zna... znaczy. I jest taki słodki. Somerton jest bardzo szczęśliwy. Jestem bardzo dumna z mego braciszka. To dlatego myślę, że on zrozumiał. I dlatego zostawiłam mu liścik. On to zrobił. Dlaczego ja też nie mogłabym tego zrobić?

- Chciałaś chyba powiedzieć, że też mogłabyś przeżyć przygodę - poprawiła ją Brandy, śmiejąc się. - Ale masz rację, Shelley. Somerton prawdopodobnie rozumie to bardzo dobrze. Jeśli powiedziałaś mu, jak bardzo jesteś nieszczęśliwa, zrozumiał. Powiedziałaś mu?

- Powiedziałam mu, żeby sam wyszedł za Parkera, skoro uważa, że jest taki cudowny, a on na to, że Jeremy miałby obiekcje - odparła Shelby, przypominając sobie rozmowę z bratem. A potem zachichotała. - To zabawne, prawda? Somerton nie umie żartować, po prostu mu to nie wychodzi. Ale to było śmieszne, co?

- Przeszabawne - zgodziła się Brandy, gryząc kciuk. - Wiesz co, Shelley? Wydaje mi się, że świetnie potrafisz udzielać rad innym - mnie i Gary'emu, Tony'emu, Tabby i wszystkim w restauracji, nawet tej dziewczynie w filmie - ale boisz się zrobić to, na co masz ochotę ty sama.

- Nie, to nieprawda - zaprotestowała Shelby. Opadła na kanapę i po chwili szepnęła: - Tak, boję się.

Brandy jakby się zreflektowała i zaczęła ją pocieszać.

- No, właściwie nie boisz się. To znaczy, przynajmniej zrobiłaś pierwszy krok, prawda? Uciekłaś, przyjechałaś tutaj, znalazłaś pracę, mieszkanie... chłopaka...

Shelby uśmiechnęła się i objęła ramionami.

- On naprawdę cudownie całuje - powiedziała, wdychając. A potem spojrzała na przyjaciółkę szeroko otwartymi oczyma. - Tak naprawdę to nie mogę go nazwać chłopakiem, prawda? To znaczy, w końcu odesłał mnie do domu.

- Ale zaproponował, że zobaczycie się jutro, tak? Więc można powiedzieć, że jest twoim chłopakiem. Jeśli go chcesz.

Shelby podniosła precelka, który spadł jej na kolana, i włożyła go do ust.

- Jeśli go chcę... - Odwróciła się do Brandy. - Myślę, że chcę. Pragnę go. Tak. On jest taki... taki zupełnie inny niż Parker. Czy wiesz, co by się stało, gdybym wepchnęła Parkera do pułapki wodnej? Nie, nie wiesz, przede wszystkim dlatego, że Parker nigdy by nawet nie pomyślał o pójściu na minigolfa. Cóż, pozwól, że ci powiem, że nie byłby zachwycony. Nie Perfekcyjny Parker. Ale Quinn... tylko się zaśmiała i powiedziała, że wszystko jest w porządku...

- Co za facet. Prawdziwy dżentelmen z tego gościa, a jeszcze te sypialniane oczy - podsumowała Brandy. Nie uszło jej uwagi, że przyjaciółka zaczyna mrugać i powoli przegrywać z alkoholem.

- Wiem - powiedziała z satysfakcją Shelby. - Co za facet... Wydaje mi się, jakbym go znała od zawsze, wiesz? To znaczy, tego pierwszego dnia u Tony'ego wydał mi się taki zna-

jomy. Myślisz, że to oznacza, że jest mężczyzną z moich snów?

- Możliwe - odrzekła Brandy, chwytając swą współlokatorkę za ramię i stawiając ją na nogi. - A skoro mówimy o snach, sądzę, że już najwyższy czas, żebyś poszła do łóżka i trochę pośniła. W końcu to był bardzo długi dzień.

- Tak, proszę pani, jak pani sobie życzy, proszę pani. Czy Księżniczka może znów dziś ze mną spać? Księżniczko, chodź tu, Księżniczko... - zawołała Shelby. Szła niezdarnie z głową opartą o orzechowe loki swej przewodniczki. - Czy to nie był nasz najlepszy wieczór, Brandy?

Starsza o prawie dziesięć lat i może nawet nie we wszystkim mądrzejsza, ale z pewnością w wielu sprawach bardziej doświadczona, Brandy westchnęła, uśmiechnęła się smutno, kiedy usłyszała kolejne kliknięcie sekretarki, i powiedziała:

- Tak, cukiereczku, cholernie dobrze się dziś bawiłyśmy.

## 21

Grady Sullivan pochylił się nad kijem i spojrzął na pusty kubek po kawie, który leżał na orientalnym dywanie trzy metry od niego. To był ostatni dołek w PGA, a on prowadził, remisując. Gdyby spudłował tym razem, musiałyby stoczyć zabójczą dogrywkę z Tigerem Woodsem, na szczęście drugie uderzenie zaprowadziło go na trawnik.

Tiger nie trafił wcześniej z dziewięciu metrów, czym wyraził swoją pogardę dla rywala, nie wierzył bowiem, aby ten zdołał trafić z dwunastu metrów. Jeśliby więc Grady trafił teraz, okazałyby się starym wygą i zostałyby zwycięzcą. Najlepszym gościem. Królem świata.

Tłum zamilkł. Nawet ptaki na drzewach przestały śpiewać, wychyliły się tylko spośród gałęzi, by obserwować. Obserwować.

Wysoko nad nimi, siedzący w kabinie helikoptera komentatorzy ESPN przypominali widzom telewizyjnym, że na poprzednich mistrzostwach Sullivanowi powinęła się noga przy uderzeniu z podobnej odległości. Komentatorzy wątpili, by udało mu się trafić dzisiaj, nawet za drugim razem - zwłaszcza że wrócił do grania po kontuzji naderwania ramienia, której doznał podczas niezwykłego wypadku w domu. Właściwie ekipa telewizyjna skierowała się już na pole, na którym miała się odbyć zabójcza dogrywka przy szesnastym dołku.

Ale Grady o tym nie myślał. Myślał jedynie o swym uderzeniu. Tym jedynym uderzeniu. I o nagrodzie pieniężnej. I o wpi-sie, jaki otrzyma. I o wszystkich kobietach, które będą chciały wraz z nim celebrować zwycięstwo. Nie był samolubny. On tylko chciał to wszystko zdobyć.

Jeśli dobrze pamiętał, na dywanie było małe wyrzucenie, dokładnie w miejscu, gdzie wystawała cynobrowa nić, którą

należało przyciąć. A to oznaczało, że uderzenie mogło pójść trochę w prawo.

To było to. Król świata lub błazen świata. Kim zostanie?

Odchylił kij do tyłu, ostatni raz spojrział na kubek do kawy i uderzył piłkę.

- A tłum zaczął wiwatować - wykrzyknął Grady, skromnie kłaniając się pustemu pokojowi.

- Nie chciałabym zakłócać świętowania - odezwała się od progu sekretarka - ale twój partner jest na linii. Co to było tym razem? Open czy Dessert Classic? Bóg jeden wie, że to nie mogły być mistrzostwa. Zawsze ci się na nich powija noga. Ale nie martw się - i tak nie wyglądasz dobrze w zieleni.

- Oto nasza Ruthie - powiedział Sullivan, opierając kij o biurko. - Zawsze mój największy fan. Mówiłaś, że dzwoni Quinn? Czemu się melduje? Wydawało mi się, że jest na wakacjach. I skąd wiedział, że nas zastanie w biurze? Jest niedziela.

- To prawie koniec roku podatkowego - przypomniała Ruth, wskazując na kilka stosów piętrzących się na biurku Grady'ego, po czym przeszła przez gabinet i skonfiskowała kij golfowy. - I zanim nie uporasz się z co najmniej dwoma stertami, nie będzie grania. Jasne?

- Tak jest, proszę pani - odpowiedział Sullivan. Obszedł biurko, zasiadł za nim i zrobił minę do pleców sekretarki, która demonstracyjnie opuściła gabinet, niosąc kij w taki sposób, jakby w każdej chwili mógł przemienić się w węża.

Nacisnął przycisk głośnika w telefonie, usiadł wygodnie na krześle i położył nogi na biurku.

- Tu bar i grill Grady'ego - powiedział, patrząc na piętrzące się dokumenty. - W czym mógłbym pomóc?

Z głośnika dobiegł głos Delaneya.

- Na początek mógłbyś wyłączyć ten cholerny głośnik. Wiesz, że tego nie znoszę.

Grady westchnął, opuścił nogi na podłogę i podniósł słuchawkę.

- Proszę. Teraz zadowolony?

- Powiedz mi, że nie jestem zdrajcą.

Sullivan odsunął od głowy słuchawkę, popatrzył na nią przez chwilę, a następnie znów przyłożył ją do ucha.

- Powiedz to jeszcze raz.

- Poprosiłem, żebyś mi powiedział, że nie jestem zdrajcą. To po to do ciebie dzwonię, cholera, żebyś mi powiedział, że nie jestem zdrajcą. Więc powiedz to.

- Nie jesteś zdrajcą.

Po drugiej stronie zapadła cisza, wreszcie Quinn się odezwał:

- Nie możesz tego powiedzieć szczerze, prawda? A wiesz dlaczego, Grady? Dlatego, że jestem zdrajcą. Zdrajcą z oprawionym w ramki certyfikatem i legitymacją.

- Nie bądź dla siebie taki surowy, człowieku. Wprawdzie zostawiłeś mnie tu samego w krytycznej chwili, z robotą papierkową po sam sufit. Mogę to jednak przeżyć. Zajmuję się rewidentami i poluję na formularze, o których nawet nie wiedziałem, że istnieją. Próbuję rozgryźć twój system księgowania i te faksy, które ciągle mi przesyłasz. A wszystko po to, żebyś mógł wyjechać i romansować z dziedziczką, która, tak się składa, jest przy okazji piękna, ma nogi do szyi i zabójczą figurę - i wcale nie mówię o jej koncie bankowym. Hej, zaczekaj chwilę. Jesteś zdrajcą.

- Pocałowałem ją wczoraj wieczorem.

Teraz dopiero Delaney skupił na sobie całą uwagę partnera. I miał tego świadomość. Usiadł wygodnie w fotelu, odruchowo rozprostował leżącą na oparciu serwetkę i czekał.

- I?... - odezwał się w końcu Grady. - To znaczy - to niemożliwe. Pocałowałeś ją? I to wszystko? Do diabła, Quinn, ta historyjka na pewno nie przyciągnęłaby mnie z powrotem przed telewizor po przerwie reklamowej. Nie możesz mi powiedzieć trochę więcej?

- Słowo etyka nigdy nic dla ciebie nie znaczyło, prawda?

- A co ma do tego etyka? Oddałeś im pieniądze, tak? Teraz działasz na własną rękę, bez związku z D & S. Oczywiście, jeżeli do tej pory nie poinformowałeś jej, że początkowo zostałeś zatrudniony, żeby ją niańczyć, podczas gdy ona bawiła



się w prawdziwe życie... - Sullivan zmarszczył brwi, patrząc na kalendarz stojący na biurku. - Powiedziałaś jej, prawda?

- Nie, nie powiedziałem jej. Wczoraj w nocy była w moim mieszkaniu i rozglądała się po salonie, kiedy zdejmowałem mokre ubranie...

W głowie Grady'ego zapaliła się czerwona lampka.

- Mokre ubranie? A jak twoje ubranie zrobiło się mokre? Tutaj mamy suszę, wiesz przecież, a pogoda we Wschodnim Jak-mu-tam-do-cholery jest taka sama. Omijasz fragmenty, co? To nie fair.

- Spróbuj mnie wysłuchać, dobrze? - poprosił Quinn, podając się. Zaczął chodzić po kwiecistym dywanie. - Wyszedłem z sypialni, a ona właśnie sięgała po teczkę na swój temat. Głupi! Jak mogłem być tak głupi, żeby ją zostawić na wierzchu?

-Już od roku nie pracujesz w terenie, brachu. Wygląda na to, że tracisz ten pazur. Ale ja nie. Więc pozwól, że zaryzykuję odgadnięcie dalszego ciągu. Zobaczyłeś ją i zobaczyłeś teczkę. Chwyciłeś dziewczynę, pocałowałeś i odwróciłeś jej uwagę od teczki. Ja bym tak zrobił. No i jak, jak mi idzie do tej pory?

Delaney przeczesał dłonią włosy.

- Nie tak dobrze, jak mnie, dopóki nie zrozumiałem, jakim jestem draniem. I jak, do licha ciężkiego, Grady, mam jej to teraz powiedzieć,?

Sullivan włączył głośnik i odłożył słuchawkę. Wstał i zaczął się przechadzać - on w Filadelfii, a jego przyjaciel we Wschodnim Wapeneken.

- Mówisz poważnie, prawda?

- Grady, wyłącz ten głośnik, do cholery!

- Nie mogę, muszę chodzić. Wiesz, że muszę chodzić. Poza tym jeżeli myślisz, że Ruth trzyma ucho przy drzwiach mego gabinetu, to się mylisz. Ona prawdopodobnie siedzi w swoim biurze, trzyma nogi na stole, zajada czekoladki i nagrywa to wszystko w jakiś sposób, tak że jutro rano będzie mogła wręczyć kopię każdemu w biurze. Wiesz, że tylko ona tak naprawdę pojmuję, jak działają te telefony.

Usłyszeli ciche kliknięcie i połączenie stało się bardziej wyraźne.

- O, Boże - jęknął Quinn, opadając znów na krzesło. - Tylko tego mi brakowało. Wiesz, że ona do mnie później zadzwoni, wyciągnie ze mnie szczegóły, a potem powie mi, co mam robić.

Grady uśmiechnął się szeroko.

- Co oznacza, że mnie nie potrzebujesz. Czy to nie wspaniałe, jak się to wszystko układa? Ale gdybyś mógł mi wyjaśnić ten całkiem miły wzrost w zyskach w drugim kwartale, naprawdę byłbym...

- Do widzenia, Grady.

- Do... - Sullivan spojrział na głośnik i usłyszał ciągły sygnał. - Wyłączył się. Łobuz. Niech mnie, wyłączył się. - Podszedł do drzwi, uchylił je i wystawił głowę, chcąc poznać opinię sekretarki. - I co?

- Jest zakochany - stwierdziła kategorycznie i uśmiechnęła się szeroko. - I jest w fatalnej sytuacji. To będzie zabawne.

- Tak, ja też tak myślę - rzekł Grady, cofając głowę. Za chwilę wysunął ją ponownie. - Czy mogę teraz poprosić o mój kij?

- Tylko jeżeli chcesz go tam, gdzie chyba naprawdę byś go nie chciał - ostrzegła Ruth, śmiejąc się.

- Zapomnij, że o tym wspomniałem - powiedział Sullivan i krzywiąc się, wrócił do tych złośliwych, wyginających się stosów papierów.

W tym *samym* momencie we Wschodnim Wapeneken Quinn zmarszczył brwi, słysząc dźwięk melodii elektronicznego dzwonka do drzwi na parterze. Wyszedł na korytarz i spojrział w dół na schody. Ujrzał stojącego tam Gary'ego, który wyglądał na nieco zagubionego.

- Co jest, Gary?

Mack spojrział w górę i pokazał Delaneyowi, żeby ten otworzył wewnętrzne drzwi. Kilka chwil później, pokonawszy schody, Gary zmierzał już w kierunku mieszkania 2 C.

- Nie wpuściłaby mnie - wyjaśnił krótko. - Wczoraj się pokłóciliśmy. I to poważnie. Teraz nie odbiera telefonów i nie reaguje na domofon. - Podniósł pięść, gotów przystąpić do walenia w drzwi, ale Quinn chwycił go, obrócił i pchnął w stronę swojego mieszkania.

- Ej, co ty robisz? - zapytał Gary, kiedy Delaney zamknęła drzwi i przekręciła klucz.

- Ratuje ci życie, jak mi się zdaje - odparł Quinn i ruchem głowy nakazał mu usiąść na krześle, które sam właśnie zwolnił. - Nigdy nie uganiaj się za kobietą, Gary, a zwłaszcza, kiedy ona nie chce, by się za nią uganiać. To jest w kodeksie.

Mack, który miał za sobą prawie bezsenność i nawet warknął na matkę, gdy skomentowała, że nie zjadł całego śniadania, popatrzył na Quinna pytającym wzrokiem.

- Kodeks? - Pokręcił głową. - Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

Delaney usiadł na kanapie i uśmiechnął się do swego zmieszanego gościa. Same mięśnie na tym chłopaku, a w tym momencie zwłaszcza między uszami.

- To proste, Gary. Nigdy nie idź za kobietą, która nie chce, żebyś za nią szedł. A w paragrafie drugim, punkt A - nigdy nie idź za kobietą, która chce, żebyś za nią poszedł. W przeciwnym razie jesteś stracony. A teraz powiedz, który z tych punktów pasuje dziś do Brandy?

Gary zwiesił głowę.

- Nie chce ze mną rozmawiać. - Spojrzał na Quinna. - To znaczy, wyrzuciła mnie wczoraj w nocy. Wyrzuciła mnie! Nie odbierała telefonu, nie reagowała na domofon. Więc tak. Nie chce ze mną rozmawiać. - Na szczerej twarzy Macka pojawiła się mina, która miała wyrażać głębokie zamyślenie. - Chyba że naprawdę chce, żebym się do niej przyczołgał, co właśnie próbuję zrobić. Mogłoby tak być, prawda?

- A więc taki jest twój dylemat: czego ona chce. Może powiesz mi, co się stało, to zobaczymy, czy da się coś na to poradzić.

Quinn nie wiedział, dlaczego to robi, ale dzięki temu mógł przestać rozmyślać o Shelby. O tym, jak trzymał ją w ramionach. O tym, jak smakowały jej usta. O tym, jak bardzo jej pragnął i prawdopodobnie potrzebował. I jak bardzo ona go znienawidzi, kiedy dowie się prawdy.

Gary zagryzł dolną wargę i skinął głową. Zawsze był dobry w przytakiwaniu. Wyjaśnianie nie było jednak jego mocną stroną, o czym Delaney przekonał się w ciągu następnych minut.

- No, dobrze. Byliśmy w jej mieszkaniu i wszystko było w jak najlepszym porządku - zaczął Gary, marszcząc czoło. - Masowałem jej stopy. Brandy uwielbia, kiedy masuję jej stopy. A ja jej mówiłem o tym świetnym pomysle mojego kolegi z pracy. Pracowaliśmy nad projektem remontu w alejce w parku. Wielki dom, wiele zmian. Dwie sypialnie, salon, trzy łazienki, jeśli potrafisz w to uwierzyć.

- Gary, to wszystko jest bardzo ciekawe, ale dokąd to nas prowadzi?

- No, tak - zgodził się trochę urażony Mack. - Bo to wtedy Jim - on jest moim kumplem z pracy, hydraulikiem rozumiesz - zakontraktował to, co zrobiliśmy, bo tak jest taniej, a te wszystkie przepisy i inne, więc musisz zatrudnić prawdziwego hydraulika. I wtedy Jim powiedział, że ta pani z tego domu jest naprawdę wku... hmm, że jest bardzo zdenerwowana z powodu tych toalet ze słabym strumieniem, które montujemy w łazienkach. One są beznadziejne, wiesz, ale takie są nakazy federalne. Wszystkie nowe toalety muszą być ze słabym strumieniem i to jest naprawdę bez sensu. Jak powiedział Jim, jaki jest sens używania mniejszej ilości wody, skoro musisz splukać dwa, a może i trzy razy? Ale tego sobie życzy rząd federalny, mówi Jim, i ja...

Quinn zanurzył palce we włosach.

- Skup się, Gary. Skup się.

- No, dobrze. - Gary chrząknął i zaczął jeszcze raz. - Więc mu mówię, że Kanada nie ma takich przepisów co do toalet. Wciąż robią te same. Cholernie dobre. Jedno pociągnięcie

i masz z głowy. Więc Jim mówi do mnie: „Wiesz, Gar, można by zbić majątek, gdybyśmy zrobili to, jak trzeba”, a ja na to: „O czym ty mówisz, Jim?”, a on mówi, że moglibyśmy pojechać do Kanady moją furgonetką, kupić kilkadziesiąt toalet, przywieźć je tutaj i sprzedawać je po jakieś dwa tysiące dolarów za sztukę ludziom takim jak ta pani, która się naprawdę wku... e, zdenerwowała na te rupiecie ze słabym strumieniem.

Delaney podrapał się po głowie, rozmyślając nad nielegalnymi toaletami i strażami granicznymi, i warunkami więziennymi, a głównie nad reakcją Brandy.

- I Brandy nie spodobał się ten pomysł? - zapytał i uznał, że to bardzo prawdopodobna wersja.

Gary zaczął skubać koronkową serwetkę leżącą na oparciu.

- Powiedziała, że chce jechać nad wodospad Niagara na nasz miesiąc miodowy i że jedyną wodą, jaką chce oglądać, gdy leci, jest ta po kanadyjskiej stronie wodospadu. - Znalazł luźną nić w koronce i zaczął ją szarpać, ale Quinn szybko zareagował i ocalił serwetkę. Gdyby pani Brichta to odkryła, prawdopodobnie zamordowałyby go.

- I wtedy się pokłóciliśmy - zakończył Gary, westchnął teatralnie albo przynajmniej na tyle teatralnie, na ile mógł sobie pozwolić mężczyzna zbudowany jak atleta.

Quinn kiwnął ze zrozumieniem głową.

- O toalety z kontrabandy.

Mack spojrział na niego szczerze zdziwiony.

- Nie - zaprzeczył. - O ślub. Nie słuchałeś?

- Najwyraźniej nie - zgodził się Delaney i doszedł do wniosku, że nadszedł czas na kilka zimnych piw z lodówki. - Mów dalej, Gary. Teraz słucham.

To zajęło kolejnych dziesięć minut, ale wreszcie Quinn zrozumiał całą sytuację.

- No, to po tobie - zawyrokował, opróżniając piwo i spoglądając na Gary,ego. - To już absolutnie po tobie.

- Tak, wiem - powiedział Mack i odstawił pustą butelkę na stół. Quinn pojął, że musi znowu wstać i tym razem przynieść

tackę, by postawić ją pod butelką. Pani Brichta rzeczywiście go wytrenowała, pomyślał. Wróciwszy na kanapę, zaczął się wpatrywać w swego gościa, a ten z kolei w niego.

- I co mam zrobić? - zapytał w końcu Gary.

Delaney nie miał zielonego pojęcia.

- A co chcesz zrobić?

- Chcę, żeby mama i Brandy były przyjaciółkami - odparł - ale to jest niemożliwe. Och, nie obwiniam Brandy, naprawdę jej nie winię. Mama potrafi być trochę trudna, jak mi się zdaje, ale jest wdową, jest samotna, a ja jestem jej jedynym dzieckiem. Potrzebuje mnie, wiesz? Ale Brandy nie potrafi tego zrozumieć.

Quinn, który także miał wielkie trudności ze zrozumieniem tego wszystkiego, zebrał puste butelki i poszedł odnieść je do kuchni, żeby mieć czas na zastanowienie się. Mając w pamięci swoje własne problemy, pomyślał najpierw, że jest prawdopodobnie ostatnią na świecie osobą, która powinna udzielać rad opuszczonemu kochankowi. Wolał jednak zajmować się problemami Gary'ego, niż spędzać czas na analizowaniu swoich własnych.

- Coś ci powiem, Gary. Daj Brandy kilka dni, żeby się uspokoiła, a potem zapytaj ją, czy nie chciałaby może, byście kupili bilety na ten sam rejs i wzięli ślub na morzu. To mogłoby zadziałać, co?

Mack prawie Zakrztusił się własną śliną.

- Mama i Brandy na tym samym statku? Czyś ty zwariował? Co dziesięć minut krzyczano by: „Człowiek za burzą”. Jezu, Quinn, wydawało mi się, że chcesz mi pomóc, ale jeśli tylko na tyle cię stać...

Delaney spojrział na zegarek.

- Jest jedenasta. Drużyna Filadelfijczyków gra dziś u siebie. Co byś powiedział na to, żebyśmy we dwóch pojechali na ten mecz?

- Iść na mecz? Ale Brandy i ja zawsze w niedzielę robimy zakupy spożywcze. Mamę zabieram rano, a Brandy po południu. Robimy tak od zawsze.

- Ale Brandy nie odbiera telefonu. Nie odpowiada na domofon. Gdybyś zostawił ją dziś w spokoju i zrobiłaby zakupy sama, to może następnym razem, kiedy do niej zadzwonisz, miałaby większą ochotę na rozmowę z tobą. Czy może masz zamiar warować pod drzwiami frontowymi jak jakiś wychłostany szczeniak, zanim ci nie wybaczy?

- No, tak. Tak zazwyczaj właśnie robimy - odparł bezmyślnie Gary, po czym wyprostował ramiona. - Masz rację, Quinn. Trzeba wiedzieć, czy chcą, żebyś się kręcił w pobliżu, czy nie chcą. A ja zawsze się kręciłem i Brandy o tym wie. - Jego stanowczość osłabła na chwilę. - Oczywiście ona zawsze mnie wpuszczała - do dzisiaj.

Quinn podszedł do Gary'ego i poklepał go po ramieniu.

- Tym razem jest naprawdę wściekła, Gar. Mogę się założyć. Wiem, jak bardzo czeka na ślub. Nie sądzisz, że najlepiej będzie, jeśli zostawisz ją na chwilę samą, żeby się uspokoiła? No, Gary, mecz zaczyna się o pierwszej. Mecz ligowy, z Jankeesami. Tak się składa, że znam kogoś, kto ma bilety na wyższe rzędy na cały sezon. Wpadniemy tam, pobiegnę po bilety i załatwione.

- Uspokoi się? Myślisz, że się uspokoi? - pytał Mack, wstając i podciągając spodnie. - Tak, to właśnie robi. Zawsze tak jest. Jankesi, mówisz? Górne rzędy! I moglibyśmy pojechać twoim porsche? Cholera, Quinn, co my tu jeszcze robimy? Idziemy.

Delaney wyciągnął pęk kluczy, obejrzał klucz od swego mieszkania, czyli ten, którego użyje, żeby zdobyć bilety na górny rząd, i poszedł za Garym.

To było łatwiejsze niż pójście do Tony'ego na lunch. Łatwiejsze niż zobaczenie się z Shelby.

W momencie gdy zamykał drzwi do mieszkania, rozdzwonił się telefon. To była Ruthie. To musiała być Ruthie. Dzwoniła, żeby go przypalać żywym ogniem i naciskać, by odkrył przed Shelby swe prawdziwe oblicze i poniósł wszystkie konsekwencje. Z pewnością nie dzwoniła do niego, żeby mu poradzić, by

począł i zobaczył, co mogłoby się między nimi wydarzyć. Żeby zobaczył, czy to była miłość - dobry Boże, miłość! - czy też Shelby była nim zainteresowana tylko w ramach przygody, a on pozostawał pod jej urokiem dlatego, że... dlatego... no, do diabła, nie wiedział, dlaczego tak go pociągała.

Lecz zamierzał się dowiedzieć. A nie mógłby się dowiedzieć, gdyby w tym momencie powiedział jej prawdę. Ruthie nie zrozumiałaby tego, ale on to rozumiał.

Nie zważając więc na uparcie dzwoniący telefon, zamknął drzwi na klucz.

To było tchórzostwo. A on był zdrajcą.

Ale pomyśli o tym wszystkim później, kiedy spotka się z Shelby po pracy...



Shelby przez prawie całą niedzielę zajmowała się powstrzymaniem Brandy od zupełnego rozklejenia się. Przyjaciółka siedziała przy stoliku u Tony'ego, mocząc łzami jedwabne kwiatki w wazonie, i starała się powrócić do życia po tym, jak po raz drugi - i z pewnością ostatni! - próbowała znaleźć ukojenie na dnie butelki wina. Zaabsorbowana obsługiwaniem klientów i dostarczaniem Brandy chusteczek, Shelby nie zdążyła nawet zauważyć, że Quinna nigdzie nie było.

Quinn i Gary gdzieś zniknęli. Zdrajcy.

Nieobecność Gary'ego uznała jednak za raczej korzystną, ponieważ Brandy była już niemal gotowa poddać się i przebaczyć narzeczonemu, i od nowa zacząć ten komiczny rytuał, który nie pozwalał jej trafić przed ołtarz przez dwanaście długich lat. Shelby nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale czuła, że jej życiową misją jest powstrzymanie przyjaciółki przed popełnieniem tego błędu.

Lecz to oznaczało niańczenie jej u Tony'ego przez cały dzień i to ze zdwojoną energią, zwłaszcza po tym, jak Brandy całkowicie się załamała i zadzwoniła do domu Gary'ego, a słuchawkę podniosła jego mama.

- Ależ, kochanie, nie wiem, gdzie on jest - odparła słodkim głosem pani Mack. - Wspominał, że ma gdzieś z kimś pojechać. Może na randkę? A jak ty się trzymasz, kochanie? Wciąż przybierasz na wadze? To takie smutne.

Tak, Shelby miała pełne ręce roboty. A Brandy miała pełne usta. Indyk i wszystkie przystawki. Dwa kawałki placka cytrynowego z bezą. Na obiad ekler. Shelby zastanawiała się już tylko nad jednym: w jaki sposób podniesie przyjaciółkę z krzesła i doprowadzi ją do domu po zamknięciu restauracji.

Spodziewała się przynajmniej, że Quinn będzie siedział na schodach domu i czekał na nią. W końcu powiedział przecież, że dziś się z nią zobaczy. Ale jego porsche wciąż nie było, a okna były ciemne.

Kiedy więc Shelby i Brandy pokonały wreszcie schody, sprawdzili automatyczną sekretarkę i przekonali się, że nie było żadnych wiadomości, bez namysłu zaczęły się do łóżek.

Mężczyźni. Tylko to jedno słowo powiedziała Brandy, raz czy dwa, przez cały ten bardzo długi dzień. Tylko „mężczyźni”.

Do poniedziałku rano przyszła jednak już do siebie. Poprzedniego wieczora zdjęła słuchawkę telefoniczną z widełek i nie odłożyła jej aż do wyjścia z domu. Zamierzała od razu pójść na autobus, bez wstępowania na śniadanie do Tony'ego, ponieważ zaczynała nową dietę. Piątą w tym roku. Taką, w której jadło się tylko proteiny, dopóki na specjalnym pasku testowym uryna nie zaczynała barwić się na niebiesko. Shelby nie słuchała już dalej - nie po tym fragmencie z paskami testowymi.

Odprowadziła Brandy do drzwi, dała jej całusa w policzek i popatrzyła, jak przyjaciółka schodzi w dół po schodach. Potem na jakąś minutę utkwiała wzrok w zamkniętych drzwiach mieszkania Delaney, by wreszcie cofnąć się do siebie. Odłożyła słuchawkę na widełki i poszła wziąć bardzo długi prysznic.

Wyszła boso z łazienki pół godziny później. Z jednego ręcznika zrobiła na głowie turban, a drugi zawinęła wokół ciała.

- Witaj, Księżniczko, kochanie - powiedziała do ciemnosrebrnego persa, który właśnie wyszedł z jej sypialni.

I wtedy to zobaczyła.

To. Wielkie, ogromne to.

Mysz. Księżniczka trzymała mocno w zębach mysz. I szła prosto w jej kierunku, zamierzając dać jej wciąż wijącego się gryzonia w prezencie.

Shelby wydała z siebie jak najbardziej kobiecy pisk i pognała do telefonu. Przypuszczała, że jej stopy nie dotykały podłogi, kiedy biegła przez hol do salonu, ale nie była tego taka

pewna. Wskoczyła na kanapę, chwyciła telefon i wybrała przycisk z zapamiętanym numerem biura Brandy.

- Brandy! - krzyknęła kilka lat później, po wysłuchaniu standardowego rozwlekłego powitania: „Jeżeli chcesz otrzymać formularz 11 A, wybierz 1; jeżeli chcesz umówić się na spotkanie, wybierz 2”, które niemal doprowadziło ją do łez. Zanim Brandy odezwała się wreszcie („Jeżeli chcesz rozmawiać z jednym z naszych doradców, zostań na linii i poczekaj na zgłoszenie się operatora”), zwinęła się w kłębek na oparciu kanapy i co kilka sekund ośmielała się spojrzeć w stronę holu, by się upewnić, że Księżniczka wciąż trzyma w pysku mysz. Trzymanie w pysku myszy było niedobre i Shelby o tym wiedziała. Ale nietrzymanie w pysku myszy oznaczało, że mysz jest gdzieś indziej, a to - jak doszła do wniosku Shelby - byłoby jeszcze gorsze.

- BrandyKsiężniczkamawpyskumysz - wyrzuciła z siebie bez tchu.

- Co?

Shelby przewróciła oczyma i wtedy zobaczyła, że Księżniczka idzie w jej stronę.

- Powiedziałam, że Księżniczka ma w pysku mysz. W pysku, Brandy. I ona się rusza. Nie, poczekaj. Teraz się nie rusza. Myślę, że nie żyje, biedactwo. Prawdopodobnie zmarła na atak serca. Ja bym zmarła. Co ja robię? Brandy? Brandy, przestań się śmiać. To nie jest śmieszne.

Przyjaciółka przestała się śmiać na tyle, że mogła powiedzieć:

- Och, kochanie, właśnie, że jest śmieszne. - A potem znów zaczęła chichotać. - Boże, tego mi było trzeba dziś rano.

Shelby odsunęła słuchawkę od głowy, popatrzyła na nią i znów przycisnęła ją do ucha.

- Ale nie mnie! Co ja mam zrobić? Ona jej... ona jej nie zje, prawda?

- Nie sądzę - odparła Brandy, bezskutecznie próbując się uspokoić. - Posłuchaj, po prostu podejź do niej, pociągnij lekko mysz za ogon, a wtedy Księżniczka może ją wypuścić.

Shelby pomyślała nagle o rezydencji w stylu Tudorów. O tych wszystkich pracownikach, na których można było polegać, że nie dopuszczą nawet myśli o myszy w domu.

- Chyba nie chcesz, żebym ja dotknęła tej myszy? Chyba żartujesz.

- Mogłabyś zadzwonić do Quinna. Jest pewnie w domu.

Shelby zamknęła oczy i wyprostowała się trochę.

- Masz gumowe rękawice, Brandy?

- O, brawo. Pod zlewem. Takie duże, żółte. Włóż jedną, podejdź do Księżniczki, złap za ogon - za ogon myszy, cukiereczku, a nie kotki - i powiedz Księżniczce, żeby puściła. Ja poczekam.

- Dobrze. - Shelby odłożyła słuchawkę, spuściła nogi z oparcia kanapy i zmierzyła wzrokiem dystans pomiędzy łóżkiem a zlewem kuchennym. Była w stanie to zrobić. Albo zrobi to, albo będzie musiała pozwolić Księżniczce zjeść mysz. Fu! Albo zadzwoni do Quinna i poprosi go o pomoc, mimo że nie dotrzymał słowa i nie zobaczyli się wczoraj. Podwójne fu!

Znalazła rękawiczkę, włożyła ją i podeszła ostrożnie do Księżniczki, przy każdym kroku wbijając nagie palce stóp w dywan.

- Dobra Księżniczka. Grzeczna Księżniczka. Daj Shelby myszkę, Księżniczko. Bardzo dobrze... Cholera!

Brandy śmiała się histerycznie, kiedy Shelby znów podniosła słuchawkę.

- Niech no zgadnę - nie udało się?

- Warknęła na mnie, Brandy. Nie wiedziałam, że koty warczą. I co ja teraz zrobię?

Brandy zastanowiła się przez moment.

- Woda. Idź do zlewu, napełnij szklanke i wylej ją kotce na głowę. Będzie musiała wtedy puścić, a ty szybko podniesiesz mysz.

- Brandy - zaczęła Shelby najspokojniej, jak umiała - wiele rzeczy potrafię robić szybko, naprawdę. Ale nie mogę szybko podnieść myszy.

- Shelley, przestań już. Ja tu umieram - odrzekła Brandy, śmiejąc się. - Dobra, zmiana planu. Wylej wodę Księżniczce na głowę, a potem szybko ją podnieś, wrzuc do sypialni i zamknij drzwi. Wtedy będziesz mogła podnieść mysz powoli.

Shelby zrobiła, co jej kazano, mimo że nie była tym zachwycona. Napełniła szklankę wodą i wylała całą zawartość na głowę Księżniczki. Kotka wypuściła mysz.

- Do diabła!

- A tym razem co? - zapytała Brandy, przełączając telefon tak, żeby jej koledzy w biurze mogli posłuchać. - Cicho, ludzie, przestańcie się śmiać. Nie słyszę, co mówi. No, dalej, Shelley. Co się stało?

- Puściła mysz, ale kiedy ją podniosłam, taką moką i oślizgłą, po prostu wyrwała mi się z rąk i znów wzięła mysz. Co mam zrobić teraz?

W słuchawce odezwał się męski głos.

- Shelley? Jestem Stan, przyjaciel Brandy. Posłuchaj, możesz zrobić tylko jedną rzecz - zignorować kotkę. Usiądź na kanapie, pokręć palcami młynka, popatrz w sufit - no, wiesz, ignoruj ją. A kiedy upuści mysz, wstaniesz powoli, podejdziesz do niej, wciąż patrząc w sufit, a może nawet pogwizdując, i szybko rzucisz się na mysz. Zapewniam, że to się uda.

- To wygląda na niezły plan, Shelley. Zadzwoń do mnie potem - powiedziała Brandy i przerwała połączenie, ale Shelby zdążyła jeszcze usłyszeć salwę śmiechu i słowa: „Pogwizdując? Stan, ale z siebie żartowniś! ”

Shelby popatrzyła na Księżniczkę, która po prostu sobie siedziała, ociekała wodą i co chwilę warczała. I wciąż trzymała w zębach mysz. Shelby odłożyła telefon. Uśmiechnęła się do kotki. Oparła się o kanapę.

- Nonszalancka - powiedziała do siebie. - Po prostu siedź tu i bądź nonszalancka. - Jeszcze raz uśmiechnęła się do Księżniczki, a potem wzięła do ręki czasopismo i zaczęła udawać, że je czyta. Zanuciła. Nucenie było uspokajające.

Dwie minuty później Księżniczka otworzyła pysk i upuściła mysz.

Shelby policzyła do dziesięciu, a potem powoli odłożyła czasopismo. Zdjęła nogę z nogi. Wstała. Z wysoko uniesioną głową zaczęła iść w stronę kuchni. Nonszalancko.

Znajdowała się pół metra od Księżniczki, kiedy ta znów podniosła mysz, zawarczała, uderzyła puszystym ogonem i przeniosła się przed telewizor.

- Cholera, cholera, cholera! - zakłęła Shelby. - Spóźnię się do pracy, jeśli to potrwa jeszcze trochę. I co teraz? - zadała sobie pytanie i w tym momencie usłyszała pukanie do drzwi.

Znając jej szczęście, to musiała być pani Brichta, która przyszła sprawdzić, co u nich słychać - co mogłoby dowodzić macierzyńskiej troski, gdyby nie to, że pani Brichta nie przejawiała macierzyńskich uczuć.

- Chwileczkę! - krzyknęła Shelby, jedną ręką podtrzymując turban, a drugą poprawiając ręcznik, który miała zawiązany nad biustem.

Uchyliła drzwi i ujrzała Delaneya, który stał tam i uśmiechał się do niej.

- Cześć. Dzwoniła Brandy i mówiła, że potrzebny ci rycerz w lśniącej zbroi. Jestem chętny.

W pierwszym odruchu chciała zatrzaskać mu drzwi przed nosem. Zrezygnowała z tego pomysłu w ciągu dwóch sekund, ponieważ potrzebowała pomocy i dobrze o tym wiedziała. Cofnęła się i otworzyła szerzej drzwi.

- Chodzi o Księżniczkę. Ma mysz i nie chce jej puścić.

- Wiem - powiedział Quinn, starając się patrzeć na kotkę, ale jakoś udawało mu się patrzeć jedynie na Shelby. Pod ręcznikiem miała piękne jasne włosy. Pod drugim ręcznikiem miała... Całe mnóstwo innych rzeczy, o których nie powinien myśleć w tym momencie. - Gdzie Brandy trzyma jedzenie dla kotki?

- Ja nie... myślę, że pod zlewem. A dlaczego?

- Dlatego, że Księżniczka jest dobrze odżywionym kotem, a dobrze odżywione koty nie jadają myszy. One się nimi bawią. I to właśnie robi Księżniczka. Bawi się myszą.

- To obrzydliwe - stwierdziła Shelby, wzdrygając się i przypominając sobie nagle, że od piersi do kolan okrywa ją jedynie ręcznik kąpielowy. - Przyniosę to jedzenie dla kotki.

Dwie minuty później Księżniczka zajadała się indykiem z podrobami, mysz biegała wolna gdzieś po podwórku za domem, a Quinn stał w korytarzu, ponownie pukając do drzwi mieszkania Brandy i zastanawiając się, jaka w tych dniach jest nagroda za pozbycie się myszy.

- Pomyślałem, że wrócę i ci to powiem. Wielka mysz nie była martwa, tylko udawała trupa. Przeżyła, by odnaleźć drogę powrotną innym razem.

Shelby czuła, jak uśmiech wykwita na jej ustach.

- Nie była martwa? Och, jak to dobrze słyszeć. To znaczy, nie chcę myszy w mieszkaniu, ale i nie chciałam, żeby umarła. Dziękuję, Quinn. Bardzo ci dziękuję. Cóż, muszę się już ubierać, więc...

Podeszła do drzwi, żeby je zamknąć, ale on położył na nich rękę, przytrzymując je otwarte.

- Chciałem cię przeprosić, że się nie spotkaliśmy wczoraj, chociaż mówiłem, że się spotkamy.

Shelby szukała w głowie odpowiedzi i zdecydowała się na coś, co usłyszała raz od Tabby.

- To nic takiego, Quinn. Nie martw się tym i, hmm, nie zwracaj sobie głowy. A teraz, naprawdę muszę...

- To przez Gary'ego. Wczoraj fatalnie się czuł - kontynuował Delaney, wciąż trzymając rękę na drzwiach. - Zapewne wiesz, że on i Brandy pokłócili się? W każdym razie zabrałem go na mecz Filadelfijczyków, żeby nie pogarszał sprawy.

Shelby zrobiła krok w tył i spojrzała na Quinna zmrużonymi oczyma.

- T y go stąd zabrałeś? Przez cały dzień musiałam zajmować się Brandy i jej depresją typu zjedz-wszystko-w-zasięgu-

-wzroku, bo ty zdecydowałeś, że Gary nie powinien się z nią spotkać lub porozmawiać? Nie powinieś był się w to mieszać.

- Tak - rzekł, mijając ją i wchodząc do salonu. - A ty się w to nie wmieszałaś? Gary mi powiedział, że zawsze dzwoni do Brandy po tym, jak się pokłóca, i potem spędzają całą noc przy telefonie, rozmawiając o ich problemach i rozwiązując je. Tylko że ona nie odbierała w niedzielę telefonu. Dlaczego, twoim zdaniem, nie odbierała telefonu, skoro na tym właśnie polega ta gra, w którą się bawią już od dwunastu lat?

- Nie mam pojęcia - odparła Shelby, unikając jego wzroku. - Och, no dobrze, wtrąciłam się. Tak jak i ty. Ale ktoś musiał się w to włączyć i przerwać ten absurd. Oni się kochają, Quinn, naprawdę się kochają. Ale jeżeli każde z nich reaguje wciąż w ten sam sposób na te same stare bodźce, pociąga za te same sznurki i otrzymuje wciąż te same reakcje, to, cóż, pozostaną zaręczeni do osiemdziesiątego szóstego roku życia.

Delaney przewrócił oczyma.

- Bodźce. Przyciski. Reakcje. Czy ja słyszę tu echo głosu jakiegoś profesora psychiatrii?

Shelby podciągnęła gwałtownym ruchem ręcznik kąpielowy.

- No i co z tego, że słyszysz? Mam rację i sam o tym wiesz. Ta starsza kobieta urządza im życie, ale i Brandy na to pozwala, i Gary na to pozwala.

- A ty masz zamiar to wszystko zmienić, tak?

Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

- Może. A co ty masz zamiar zrobić poza zabieraniem Gary'ego na mecze baseballu?

Podszedł do niej bliżej i uśmiechnął się.

- Nic - odparł, kręcąc głową. - Nic nie zamierzam robić. Zabrałem Gary'ego tylko wczoraj, dzięki czemu miał czas zastanowić się, co powinien dalej zrobić, a może nawet spojrzeć na tę sprawę z innego punktu widzenia. W tym momencie myśli o tuzinie róż. Innymi słowy, przed nim jeszcze długa droga, ale się stara. I sugeruję, żebyś ty też się z tego wycofała,



Shelley. Ludzie nie lubią, gdy ktoś wtrąca się w ich życie, nawet jeśli ma najlepsze intencje.

Shelby poczuła gorąco na policzkach, ponieważ komentarz Quinna przypomniał jej, że sama uciekła od tych wszystkich ludzi, których dobre intencje rządziły jej życiem przez tak długi czas.

- Chyba masz rację.

Podszedł jeszcze bliżej, ujął ją pod brodę i skierował jej twarz ku swojej.

- A poza tym wydaje mi się, że wystarczy nam to, co się dzieje między nami, prawda?

- Ja... nie wiem, co masz na myśli - skłamała i zdała sobie sprawę, że jej nogi zaczynają się trząść.

- Wiesz, Shelley - powiedział niskim, zmysłowym głosem. - Bo przecież coś się między nami dzieje, coś, czego żadne z nas nie chce zignorować. Jedyne pytanie to dlaczego tak się czujemy i co zamierzamy z tym zrobić. W tym momencie myślę, że chcę cię pocałować.

Koniuszkiem języka Shelby zwilżyła wyschłe nagle usta. Był to odruch zdradzający jej zdenerwowanie, ale na niego miał zupełnie inny wpływ. Poczul się bardziej ośmielony i tym silniej zapragnął skosztować jej ust.

- Shelley? Mogę cię pocałować? Proszę.

I pocałował ją. Kiedy położył ręce na jej nagich ramionach i nachylił ku niej głowę, omdlała w jego objęciach. Jedyne, co zobaczyła, to czerń jego włosów, intensywnie szare oczy i delikatny uśmiech na jego pełnych wargach. I wtedy zamrugła oczyma i zamknęła je. Poddała się wrażeniom, które nie miały nic wspólnego z patrzeniem.

Pocałunek zaczął się delikatnie, zupełnie inaczej niż ten w niedzielę wieczór. Quinn całował ją, jakby się w ogóle nie spieszył, jakby miał cały dzień tylko na całowanie jej, na smakowanie, budzenie w niej dzikiego pożądania.

Jego ręce wciąż spoczywały na jej ramionach, pieszcząc delikatne ciało, które wygładziła balsamem. Poczul, jak jej ramiona obejmują go, sięgają jego ramion, przyciągają go bliżej. I bliżej.

Była jego, by brać. On był jej, by dawać. Była delikatna i uległa, ale płonęła wewnętrznym ogniem, który parzył go od piersi po uda, kiedy przycisnął się do jej gładkiego ciała. Jej usta uchyliły się, dając mu wolną drogę.

Quinn uniósł głowę, spojrział na nią, na jej przymknięte oczy, wilgotne usta i znów ją pocałował. Chciał ją całować tak długo, aż zgasną gwiazdy, a niebo stanie się na zawsze czarne.

Pragnął ją obejmować, kochać ją, posiadać. Cofnął się trochę, odnalazł ręką węzeł na ręczniku i zaczął go rozwiązywać. Jego ruchy były mniej pewne niż kiedykolwiek w życiu. Ale także nie mógł sobie przypomnieć żadnej rzeczy, którą zrobił w życiu i która byłaby dla niego tak ważna.

I wtedy zadzwonił telefon.

Quinn przerwał pocałunek, przyciągnął Shelby bliżej do siebie i wyszeptał jej we włosy:

- Nie odbieraj. Udawaj, że nie dzwoni.

Pozostała w jego objęciach i zamknięta w nich pozwalała kąsać swą szyję. Jednak przy szóstym dzwonku odepchnęła go i wymamrotała słabo:

- Przepraszam, Brandy wyłączyła automatyczną sekretarkę. - Podeszła do telefonu. - Halo? Brandy? Co? - Odwróciła się i spojrzała na Delaney, który starał się zapanować nad swym oddechem. - Och. Och, tak. Przyszedł Quinn i myszy już nie ma. Ja... Przepraszam, że nie oddzwoniłam, ale Quinn wciąż tu jest i... Tak, można tak powiedzieć. Nie, wszystko w porządku, naprawdę. Nie przeszkadza mi, że zadzwoniłaś. Co? Kiedy? Ile róż? - zapytała, spojrzała na Quinna i podniosła rękę, jakby chciała powiedzieć: „Przepraszam, ale ona wciąż mówi”.

- Nie szkodzi, Shelley. I tak mam coś do zrobienia - rzucił Delaney i zaczął iść w stronę drzwi. Musiał albo wyjść, albo ją posiadać. Nawet jeżeli nadal nie powiedział jej prawdy, nawet gdyby w chwili jej poznania miała go spoliczkować i kazać mu iść do diabła.

Może później. Może dziś wieczór. Mógłby jej to powiedzieć dziś wieczorem, a potem niech się dzieje, co chce. Dziś

wieczór, zanim nie zabrną za daleko, zanim oboje nie zabrną za daleko. Jeżeli już nie zabrnęli.

- Tak, Brandy. To wspaniałe z jego strony. Więc mu przebaczyłaś? Do widzenia, Quinn - powiedziała i zakryła dłonią słuchawkę. - Hmm... później?

- Później. Obiecuję - odparł i schylił się, by podnieść pocztę wsuniętą przez listonosza pod drzwi, ponieważ wszystkie skrzynki na dole były na głucho zamknięte. - Tylko połóż to na stole - dodał i odszedł. Pomyślał o zimnym prysznicu. Może o dwóch zimnych prysznicach.

Shelby patrzyła, jak odchodzi, i zastanawiała się, dlaczego mu na to pozwala, skoro marzy jedynie, by ją zaniósł do otoczonego przez piosenkarzy country łóżka i szaleńczo, namiętnie się z nią kochał.

Podczas gdy Brandy wciąż opowiadała, jaki Gary jest cudowny, Shelby podniosła pocztę i zaczęła niespiesznie ją przeglądać; nie było w niej nic poza rachunkami dla Brandy i jakimś reklamami.

Nagle zobaczyła kopertę z jej nazwiskiem i adresem wypisanym drukowanymi literami, bez nadawcy. Wciąż trzymając słuchawkę między uchem a ramieniem, otworzyła kopertę i wyciągnęła pojedynczą kartkę papieru również zapisaną dużymi drukowanymi literami. Pośrodku kartki widniała tylko jedna linijka:

*WYJEDŹ Z MIASTA. SĄ BEZPIECZNIEJSZE MIEJSCA.*

- Hmm, Brandy? Muszę kończyć - powiedziała najspokojniej, jak tylko mogła. - Tak, mam jeszcze mokre włosy i wciąż są zawinięte w ręcznik. Prawdopodobnie będę musiała umyć je jeszcze raz, żeby jakoś wyglądały, gdy pójdę do pracy. Tak, dobrze - dodała, pochylając się już ze słuchawką, gotowa do odłożenia jej na widełki. - Hmm... później. Cześć.

Potem usiadła na kanapie. Drżały jej ręce i cała się trzęsała. Jeszcze raz przeczytała tych kilka słów.

Już od godziny Quinn siedział przy narożnym stoliku u Tony'ego i udawał, że je lunch. Tak samo jak facet w porwanych dżinsach, wyblakłym podkoszulku i ręcznie robionych skórzanych butach.

Właśnie te buty go zdradziły. To oraz fakt, że cały czas patrzył na Shelby. Nie chodziło o to, że nikt inny na nią nie patrzył. W markowym ubraniu, z gładko uczesanymi włosami, figurą modelki i innymi rzeczami, o których Quinn śnił nocą, zdecydowanie przyciągała wzrok.

Ale ten facet był jakiś inny. Po pierwsze nikt go nie znał, chociaż on bardzo starał się sprawiać przeciwne wrażenie, pozdrawiając wszystkich w restauracji, jakby mieszkał we Wschodnim Wapeneken od urodzenia. Ponieważ tutejsi ludzie byli przyjacielscy, odpowiadali na jego pozdrowienie. Lecz popatrzysz na swoich towarzyszy przy stole, szeptali potem: „Kto to? Znamy go?”

Delaney pogratulował sobie, że udało mu się wtopić w krajobraz miasta, nie wywołując takiego zamieszania.

Mężczyzna w ręcznie robionych butach był tak subtelny jak furgonetka Macka, która przejeżdżała przed frontowym oknem Tony'ego. Przynajmniej tak uważał Quinn.

Dziesięć minut wcześniej wyszedł na zewnątrz i obejrzał sobie samochody na parkingu. Caddy rocznik '67 pani burmistrz Brobst zajmował dwa miejsca zaraz przed wejściem. Dalej stały trzy motocykle, jedynie trzy, ponieważ trzech bywalców czekało, aż trzej pozostali wrócą z biura zatrudnienia. Rozpoznał jeszcze trzy inne samochody, które widywał przed restauracją już wcześniej, ale tylko dwa potrafił skojarzyć z klientami Tony'ego.

Trzeci samochód, nowiutkie bmw, należał do Butów Ręcznej Roboty. Tyle tylko, że do dziś Quinn nie widział tego mężczyzny w restauracji. Podrapał się po karku, przeszukując wspomnienia z dni spędzonych u Tony'ego i udając, że zapisuje coś w notatniku. Cały czas wpatrywał się przy tym w Shelby. I nagle to skojarzył.

W zeszłym tygodniu był inny facet. Wysoki, szczupły, koło trzydziestki, bez żadnych znaków szczególnych. Jeden z tych nierozpoznawalnych świadków, opisywanych później jako „średniego wzrostu, średniej budowy ciała, ubrany w khaki - nie, może jednak w dżinsy. I w koszulę. Tak, miał na sobie koszulę, jestem tego pewien - czy pomogłem jakoś?"

Facet właśnie wszedł do środka, zamówił kawę i ciastko, porozmawiał chwilę z Tabby i wyszedł. Porozmawiał z Tabby? Do licha, to było lepsze i bardziej pouczające niż oglądanie CNN przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Quinn zerknął na zegarek, a następnie, rzuciwszy ostatecznie spojrzenie na Buty Ręcznej Roboty, wstał i zapłacił rachunek. Przed wyjściem pomachał Shelby na do widzenia. Ona kiwnęła mu głową i powróciła do liczenia małych kartek z wypisaną specjalnością zakładu, które miała przypiąć do każdego menu. Sprawiała wrażenie osoby niezwykle zajętej, jakby liczenie tych kartek było pracą przekraczającą jej możliwości.

Teraz, gdy o tym pomyślał, przypomniał sobie, że była trochę błada i raczej wyciszona - nawet w rozmowie z Amelią Brobst, do której nie docierało przecież nic poza wrzaskiem. Powinien był to zauważyć wcześniej, do licha, ale zbyt był zajęty obserwowaniem jej ruchów, podziwianiem jej długich nóg, przypominaniem sobie ostatniego pocałunku i cieszeniem się na dzisiejszy wieczór, kiedy znów będą razem.

W tym momencie zarówno policyjny, jak i ochroniarski radar w jego głowie zaczął się obracać i nie był już Quinem Delaneyem-pełnym nadziei kochankiem, ale Quinem Delaneyem-obrońcą niewinnych. Zanim doszedł do wyjścia, trzymał już w ręku telefon komórkowy.

- Z Somertonem Taite'em, proszę - powiedział stanowczym głosem do osoby, która odebrała telefon w rezydencji. - Nie ma znaczenia, kto dzwoni, do diabła, daj mi go do telefonu. Natychmiast.

Somerton odezwał się chwilę później.

- Panie Delaney, czy to pan? Nie umiem sobie wyobrazić nikogo innego, kto byłby równie niegrzeczny dla mojej służby. Czy coś się stało?

- Można tak powiedzieć - odparł Quinn, szukając w kieszeni kluczyków do porsche. - Proszę wezwać Westbrooka, za godzinę ma być w pańskim salonie. Musimy porozmawiać. - I zanim Taite zdołał zadać jakieś pytanie, przerwał połączenie.

Miał od razu iść do zaparkowanego za budynkiem szkoły samochodu, w ostatniej chwili jednak zmienił decyzję i ruszył ku frontowym schodom, zamierzając zabrać z mieszkania kurtkę, ponieważ wyglądało na to, że za jakąś godzinę może padać deszcz.

Nie wszedł dalej niż do holu swego mieszkania, gdy uznał, że powinien być powiedzieć Shelby, że nie będzie go przez resztę dnia. Po tym, jak zniknął w niedzielę, mógłby się jej poważnie narazić, gdyby dzisiaj znów to zrobił. Napisze liścik i wsunie go pod jej drzwi.

I wtedy radar w jego głowie znów odebrał sygnał. Nie wiedział jak. Nigdy nie wiedział jak. Ale nauczył się już słuchać instynktu.

Przez chwilę popatrzył w dół schodów, na wypadek gdyby pani Brichta kręciła się po korytarzu lub odbywała jeden z tych swoich kontrolnych obchodów, a potem wyciągnął z portfela kartę kredytową i podszedł do drzwi mieszkania 2 C. Zamki w tym domu, jak zdążył się już zorientować, były niemal jak zabawki, wystarczyło więc parę obrotów i mocniejszych pchnięć i znalazł się wewnątrz mieszkania Brandy. Gdyby tylko wiedział, co tu robi.

Niewiele czasu spędził w salonie, bo widział go już wcześniej, nie spodziewał się też znaleźć tu nic, co należałoby do

panny Taite. To nie był jej pokój. Każdy stolik Brandy wypełniony był ozdóbkami, od niegustownych po całkiem znośne. Mimo wszystko jednak to miejsce było ciepłe i przyjazne, Shelby mogła trafić dużo gorzej.

Coś dotknęło jego nóg, więc spojrzął w dół i ujrzał ocierającą się o niego Księżniczkę.

- Nie ma myszek? - zapytał, schylając się, by podrapać kotkę pod brodą. „Włączył” w ten sposób mruczenie, które brzmiało jak perski motocykl wymagający podregulowania. - Może ci jakąś złapię, jeżeli obiecasz, że zademonstrujesz ją Shelby, kiedy będzie w domu sama i ubrana tylko w ręcznik - rzekł do kotki, a potem ruszył w stronę holu i sypialni.

Prosta dedukcja podpowiedziała mu, że łożo wielkości królewskiego należało do Brandy, a zwykłe, wąskie łóżko do Shelby.

Wszedł do pokoju, pokręcił głową na widok jego dekoracji i bezskutecznie próbował wyobrazić sobie Shelby śpiącą pośrodku łóżka z dużym pluszowym psem, który leżał na starannie ułożonej pościeli.

Na biurku dostrzegł srebrny komplet składający się ze szczotki i grzebienia, a obok buteleczkę drogich perfum. W kącie wciśnięte były granatowo-niebieskie pantofle. Inny róg pokoju wypełniała góra walizek. Na zimnym grzejniku pod oknem wisiał różowy koronkowy staniczek, prawdopodobnie Shelby wyprała go w umywalce w łazience.

Zabawne, ale nigdy wcześniej w takiej sytuacji nie czuł się jak intruz, nigdy nie oddzielał osoby od pracy, nigdy nie łączył inwigilowanej osoby z konkretną twarzą. Uczestniczył w swej karierze w kilku rewizjach, zawsze znał ich przyczyny, a nawet wiedział, co prokurator okręgowy, który załatwił nakaz, miał nadzieję znaleźć.

Ale tym razem było inaczej. Już nie był policjantem. Nawet nie był teraz w pracy. To było zwykłe włamanie i najście. Nie potrafił jednak wytłumaczyć, dlaczego uważał, że przeszukanie osobistych rzeczy Shelby może mieć jakieś znaczenie. Nie

wiedział, co chciał znaleźć. Wiedział jedynie, że u Tony'ego wyglądała inaczej. Może nawet była przestraszona.

Pokręcił głową, odwrócił się i ruszył do wyjścia, przewracając stojącą na biurku torebkę. Zauważył już wcześniej, że Shelby nigdy nie brała ze sobą do restauracji torebki, a klucz od mieszkania nosiła w kieszeni.

- Cholera! - zaklął, schylając się, by pozbierać rozrzuconą zawartość, i zastanawiając się, czy to był czysty przypadek, czy też podświadomie miał nadzieję, że zdarzy się coś takiego i będzie miał „powód”, by obejrzeć torebkę Shelby.

Jednak bez względu na to, jakim czuł się draniem, słyszał dzwonięcie w uszach i nie mógł tego zignorować. Nie mógł zapomnieć, że Shelby Taite była dziedziczką, wartą przynajmniej kilkanaście milionów dolarów, i że przez cały czas, kiedy przebywała sama w tym obcym, dzikim świecie i przeżywała swoją „przygodę”, była potencjalną ofiarą porwania.

Co by było, gdyby znów postanowiła opuścić miasto i jeszcze raz po cichu się wynieść? A co, jeśli w jej torebce znajdowały się już bilety na autobus? Co wtedy? Jak by to zniósł? A co, jeśli do kogoś pisywała? Do kogoś, kto obliczał już zyski, jakie mógłby osiągnąć, gdyby sprzedał jej historię jakiemuś brukowcowi?

Było wiele powodów, dla których Delaney powinien był sprawdzić zawartość torebki panny Taite. Tak wiele powodów, a równocześnie żadnego naprawdę dobrego, poza tym, że on się o nią troszczył. On naprawdę - naprawdę - się o nią troszczył.

Podniósł szminkę, puderniczkę, złote pióro, okulary przeciwsłoneczne Palomy Picasso w czerwonym etui, jedwabną chusteczkę z wyhaftowaną ciemnoróżową nitką „S” w rogu. Przez długą chwilę patrzył na portfel, ważył go w dłoni, a potem powiedział sobie, że przesadza i jest wścibski. Włożył go, nie otwierając, z powrotem do torebki.

W ostatniej chwili, kiedy już sobie gratulował, że postąpił etycznie, poczuł coś sztywnego w zamykanej na suwak przegródce z boku torebki.

I uległ pokusie.



Godzinę i jeden mandat za przekroczenie prędkości na rogatkach Pensylwanii później, przestąpił próg rezydencji Taite'ów, zanim lokaj zdażył je w pełni otworzyć, i wszedł do salonu. Z jego uszu nadal wydobywał się dym.

- Gdzie on jest? - zapytał bez żadnego wstępu, widząc jedynie dwóch Taite'ów i Jeremy'ego Rifkina, rozrzuconych po pokoju niczym łapacze gołębi, którzy czekają, aż ptaki wlecą do gołębnika.

- Ma pan na myśli Parkera? - zapytał uprzejmie Somerton.

- Tak - potwierdził Quinn, zdając sobie sprawę, że zacisnął pięści. - Właśnie jego mam na myśli. Parkera Westbrooka stukniętego trzeciego. Gdzie on jest?

- Ojej, ktoś tu został wyprowadzony z równowagi - zauważył wuj Alfred. Nalał szklaneczkę szkockiej i przyniósł ją gościowi. - Proszę, chłopcze, sądzę, że ci się to przyda.

Quinn pokręcił głową.

- Nie, dzięki.

- Dobrze, więc ja tego potrzebuję - oświadczył wuj Alfred i odszedł, popijając szkocką.

- Somertonie, wydaje mi się, że pan Delaney jest z jakiegoś powodu zdenerwowany - wtrącił Jeremy, jakby był jedyną osobą w pokoju, która zauważyła, że Quinn zaraz wybuchnie. - Och, proszę, niech pan nie pozwoli, żeby coś złego stało się naszej Shelby.

Quinn spojrział na Somertona i dostrzegł na jego twarzy jedynie troskę o siostrę. Pomyślał, że Taite może być jedyną osobą, która zachowa otwarty umysł, kiedy on rozerwie Westbrook na strzępy.

- Z Shelby wszystko w porządku - zapewnił i zauważył, że jej brat wyraźnie odetchnął z ulgą. - Ale ma kłopoty.

- Och, mój dobry Boże! - wykrzyknął Jeremy, wachlując się obiema rękami. -Wiedziałem, po prostu to wiedziałem. Somertonie, czy nie mówiłem ci? Ma kłopoty. - Przestał się wachlować i spojrział na Quinna. -Jakie kłopoty, panie Delaney? Sądziliśmy, że pracuje w renomowanej firmie.

- Czy chodzi o pieniądze? - zapytał Somerton. - Wiem, iż nie możemy naprawić tego błędu, jaki popełniliśmy z kartą kredytową, ale jeśli chodzi o pieniądze, jeśli jest w pałacej potrzebie...

- Nie chodzi o pieniądze - uciął krótko Quinn. - Właściwie, może być pan dumny ze swojej siostry. Pracuje, dobrze zarabia i nie trwoni pieniędzy, jak to się wydaje temu pijanemu żeglarszowi Westbrookowi. Ale ktoś... - zawahał się i dokończył powoli - ktoś jeszcze jest w mieście i śledzi ją. A teraz proszę mi powiedzieć, czy przez jakiś przypadek nie posłał pan innego ochroniarza? Prywatnego detektywa?

- Ach, to chyba ja, Delaney - oznajmił Parker Westbrook III, wchodząc do pokoju, czy raczej teatralnie wkraczając, co weszło mu już w nawyk. Opalony i uśmiechnięty, miał na sobie szyty na miarę garnitur w drobne, błękitne prążki i białą koszulę z zawiązanym starym krawatem ze szkoły średniej. Quinn z trudem się hamował, żeby go nie rąbnąć.

- Parkerze - powiedział Somerton, podchodząc do mężczyzny, żeby go przywitać. - Wysłałeś prywatnego detektywa, żeby śledził Shelby? Przecież ustaliliśmy...

- Nie - przerwał mu Westbrook - to ty ustaliłeś. Ja nic nie ustalałem. To była idiotyczna kapitulacja wobec tego... tego twojego najemnika. Zdecydowałem się jednak nie mieć z tym nic wspólnego. Dobry Boże, Somertonie, jestem jej narzeczonym, a ty mi nawet nie powiedziałaś, dokąd ona uciekła. Zatem tak, wynająłem własnych detektywów. Najwyższej jakości, z najlepszymi rekomendacjami. Wyśledzili Shelby w tym strasznym małym miasteczku, zwanym Wschodnim Wapeneken, gdzie, wbrew zapewnieniom twojego człowieka, pracuje w jakiejś załuszczonej jadłodajni i to po wiele godzin, prawdopodobnie za minimalne wynagrodzenie.

- Minimalne wynagrodzenie - powtórzył wuj Alfred, wzdrygnął się i pociągnął kolejny łyk szkockiej.

Somerton spojrzał na Delaneya.

- Wydawało mi się, że mówił pan...

Quinn zamachał rękami, jakby chciał przekreślić słowa Westbrooka. Niech licho porwie tego człowieka, który każe mu się teraz bronić.

- To bardzo przyzwoite miejsce, panie Taite. Dobrze prosperuje i znajduje się tylko dwie przecznice od mieszkania, które pańska siostra dzieli z panną Wasilkowski. Jestem stałym klientem restauracji, poza tym wynająłem mieszkanie naprzeciwko mieszkania panny Wasilkowski, zaraz po drugiej stronie korytarza. Dzięki temu mam pannę Taite pod stałym nadzorem i ochroną przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

- Dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu - powtórzył wuj Alfred, zmierzając do stolika z trunkami. - Kochasz to, prawda? Macho, nie uważasz, Jeremy?

- Tak, wuju Alfredzie - zgodził się Jeremy, odwracając wzrok ku Somertonowi. - Chyba macho. Aż przeszły mnie ciarki.

Quinn słuchał tej krótkiej wymiany zdań, próbując zebrać myśli. Wciąż chodziło mu po głowie, żeby wykopać Westbrooka przez jedno z wielkich okien rezydencji Taite'ów, ale zwalczył to pragnienie i odzyskał kontrolę nad swymi instynktami.

- Chcę, żeby ich pan odwołał, Westbrook - oświadczył, starając się zignorować wuja Alfreda, który trzymał szklaneczkę z brandy przy uchu i wciąż powtarzał:

- Dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

- Nie - odpowiedział Parker, założył ręce na piersiach i się uśmiechnął. Szyderczo. Delaney rozpoznawał taki uśmiech, jak tylko go zobaczył.

- Posłuchaj, Westbrook, dziś rano namierzyłem twojego człowieka. Zajął mi to dziesięć sekund. Wpadł tak dyskretnie, jak zebra na tle czerwonego namiotu. Ile czasu, według pana, zajmie pannie Taite zorientowanie się, że ktoś jej posadził na ogniu stróża?

Nie wspomniał o liście, bo nie mógł o nim wspomnieć. Z dwóch powodów. Po pierwsze, Somerton pojechałby prosto do Wschodniego Wapeneken i osobiście zabrałby Shelby

do domu, a była to ostatnia rzecz, jakiej chciała Shelby, i ostatnia rzecz, jakiej chciał Quinn, jeśli chciał być z sobą szczerzy. Po drugie, było coś podejrzanego w tym liście, coś zbyt sprytnego, zbyt bezpośrednio odpowiadającego sytuacji i chciał się dowiedzieć, kto za tym stoi. Po trzecie, miał nadzieję, że tym kimś był Parker Westbrook III. Rany, naprawdę miał nadzieję, że to Westbrook.

Z pewnością nie chciał, do licha, żeby to byli bywalcy, którzy byli jego jedynymi innymi podejrzanymi. Należało się liczyć z tym, że się domyślili, iż Shelby podsłuchiwała ich rozmowę na temat zlikwidowania burmistrza. O Shelby można było powiedzieć wiele rzeczy i dziewięć na dziesięć z nich było cudownych. Ale miała twarz, z której można było wszystko wyczytać. Bywalcy musieli poznać po sposobie, w jaki się do nich uśmiechała, po sposobie, w jaki na nich patrzyła, że ona wie, co planują. Lub o czym marzą. Quinn nie przypuszczał, żeby zdobyli się na cokolwiek innego poza teoretyzowaniem. W końcu - Amelia Brobst? To było niedorzeczne.

- Parkerze, chyba muszę nalegać - powiedział Somerton, stając sztywno przed Westbrookiem, chociaż i głos, i broda trochę mu drżały. - Mam do pana Delaney'a pełne zaufanie i do tej pory wszystko układało się dość dobrze. Wprowadzenie twoich ochroniarzy czy prywatnych detektywów, czy też czegokolwiek równie nietaktownego może jedynie spowodować Shelby, gdy odkryje, co zrobisz, do przedłużenia swojej... swojej przygody. A nikt z nas tego nie chce, prawda?

Jeremy, siedzący za nim na kanapie, klasnął uszczęśliwiony w dłoń.

- Och, Somertonie, to było takie bystre z twojej strony. Czy to nie było bystre z jego strony? Studiowałem słownik w nadziei, że wzbogacę moje słownictwo i to jedno z moich najbardziej ulubionych słów. Bystry: posiadający przenikliwą percepcję myślową. Doprawdy, wspaniałe słowo. A ty Parkerze? Ty jesteś niebystry. Ojej, czy to aby właściwa forma tego słowa? Naprawdę powinienem...

Zatrzymując dla siebie swoją opinię, Quinn patrzył, jak przystojna twarz Westbrooka przybiera kolor przejrzałej śliwki. Rozwścieczony wychylił się zza Somerton i warknął:

- Zamknij się, ty cholerny bazarzu!

To, co się wówczas wydarzyło, pozostanie w kolekcji najlepszych wspomnień Quinna na wiele lat. Ponieważ Somerton, znany ze swego bekhendu, ale poza tym z niczego innego o charakterze fizycznym, zacisnął dłonie, zamachnął się... i uderzył pięścią Parkera Westbrooka III prosto w usta.

Wuj Alfred zawył z aprobatą, a Somerton zaczął tańczyć po pokoju, przyciskając rękę do ust, ssąc kostki i jęcząc.

Jeremy po prostu padł zemdlny na kanapę z jednym okiem otwartym, by móc obserwować, czy to już koniec, czy będzie druga runda.

Delaney mógłby podnieść Westbrooka, otrzepać go i wyprawić w swoją drogę.

Gdyby chciał być miłym człowiekiem, tak by się stało. Jednak w tym momencie nie chciało mu się być miłym człowiekiem, i wobec tego tylko stał i patrzył, jak Westbrook podnosi się, otrzepuje ubranie i wyciąga chusteczkę po tym, jak się zorientował, że jego dolna warga krwawi.

- To nie... to nie do pomyślenia, że będę wkrótce członkiem tej rodziny - powiedział, dotykając dolnej wargi. - Zapomnę o tym, co tu zaszło, Somertonie.

Taite kilka razy poruszył głową w górę i w dół, po czym odparł, zgrywając waśniaka:

- Tak, zapomnij o tym, Parkerze. I zwolnij tych cholernych detektywów. Mówię to poważnie.

- Lepiej posłuchaj tego zucha - poradził wuj Alfred i podał bratankowi płócienną serwetkę, którą napełnił lodem, żeby ten przyłożył ją sobie do ręki. - Jesteśmy źli do szpiku kości - my, Taite'owie. To nie daje ci gwarancji bezpieczeństwa, jeżeli jeszcze raz znieważysz tę małą kobietkę, ponieważ to jest nasza mała kobietka. - Wuj Alfred odwrócił się do Quinna. - Wracaj tam i pilnuj naszej Shelby, Delaney. A, i upewnij się,

że się dobrze bawi - dodał, puszczając oko. - Jeżeli wiesz, co mam na myśli.

- Tak, proszę pana - odrzekł Quinn, po czym opuścił rezydencję. Pragnął jak najszybciej wrócić do Wschodniego Wapenken, by zdążyć zjeść obiad z Shelby w czasie jej przerwy w pracy.

Mimo wszystko bardzo mu się podobała ta krótka wycieczka do rezydencji Głównej Linii.

## 24

- Nie powiedziałaś mi, czy dowiedziałeś się czegoś od bywalców - odezwała się Shelby, kiedy razem z Quinnem wracali wieczorem do domu. - Nie chodzi o to, że według mnie coś jest nie tak. To znaczy - bywalcy i burmistrz? Nie, to po prostu głupie.

Czerwcowe niebo usiane było gwiazdami, wiszący nad Wschodnim Wapeneken księżyc w pełni oświetlał drogę i rozjaśniał twarz Shelby.

Wyglądała na zaniepokojoną.

Quinn objął ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie. Szli wyboistym chodnikiem, który był milczącym - i spornym - świadectwem ostatniego i najgorszego pomysłu zmarłego męża Amelii Brobst - obsadzenia drzewami ulic miasta. Drzewa rozrosły się i dawały przyjemny cień, ale ich korzenie wypychały płyty chodników wzdłuż i wszerz całego Wschodniego Wapeneken. Jednak ten słabo widoczny, nierówny chodnik stanowił świetny pretekst do trzymania za rękę czy obejmowania ramieniem w talii młodej kobiety.

- Myślę, że lubią dużo mówić - odparł uspokajająco, a może wcale nie tak bardzo. W końcu, jeżeli ktoś otrzymuje listy z pogrózkami, czuje się nieco pewniej, gdy domyśla się nadawcy. - Ale nigdy nic nie wiadomo - dodał, w nadziei, że ta małutka „asekuracja” pozwoli jej się trochę uspokoić.

Skinęła głową, patrząc pod nogi.

- Trochę się nad tym zastanawiałam - powiedziała. Nie przyznała się, że bardzo długo dziś nad wieloma sprawami rozmyślała ani że bardzo była i nadal jest zdenerwowana. - To ich sprawa, rozumiesz. I mogłabym się założyć, że jeśli znajdą pieniądze na pomnik, to pani burmistrz pozwoli im postawić go w parku.

- Naprawdę? - zapytał Delaney, starając się nie uśmiechać. Dlaczego jeszcze na to nie wpadł? Postawić kogoś takiego jak Shelby Taite przed problemem, a pierwszym rozwiązaniem, które naturalnie przyjdzie jej do głowy, będzie zorganizowanie zbiórki pieniędzy. A może nawet zorganizowanie balu.

Próbował sobie wyobrazić bywalców na balu. Łysych lub z długimi, wiszącymi strąkami. Z „piwnymi” brzuchami. Z tatuażami na całym ciele. Bez kilku zębów. Proszących, by orkiestra zagrała coś Willie Nelsona. Nie. Nie mógł sobie tego wyobrazić.

Zaproponował inne rozwiązanie.

- Myślę, że mogliby zorganizować kiermasz wypieków albo coś w tym rodzaju. Jednak, Shelley, musieliby sprzedać dużo ciast i ciasteczek, żeby zebrać wystarczającą ilość pieniędzy na pomnik.

- Ścianę - poprawiła go. - Rozmawiałam z bywalcami dziś po południu. Oni chcą ścianę, podzieloną na dwie części. Jedna dla tych, którzy służyli, a druga dla tych, którzy zginęli. Czy wiedziałeś, że liczące jedynie około pięciu tysięcy mieszkańców Wschodnie Wapeneken straciło sześciu ludzi podczas tej wojny? A trzydziestu siedmiu brało w niej udział. Uważam, że to dość zdumiewające i smutne.

- Smutne - tak, ale nie zaskakujące - powiedział Quinn. - Do wojska szły dzieciaki, które nie chciały iść do college'u, dzieciaki, które pracowały w miejscowych młynach i fabrykach. Mógłbym się założyć, że więcej było wtedy synów, którzy poszli w ślady ojców i pracowali w fabrykach, niż tych, którzy mogli zdobyć odroczenie z college'u. Masz rację, Shelley, ale i rację mają bywalcy. Powinni mieć pomnik.

Chyba że któryś z nich przysłał ci tajemniczą wiadomość - dodał w myśli.

- Tak się cieszę, że się zgadzasz. Więc kupisz bilet na naszą kolację?

- Wasze co? Nie było mnie tylko przez jedno popołudnie. Czy coś mnie ominęło?



Doszli do budynku szkoły. Shelby spojrzała na schody frontowe, a potem na Quinna.

- Och, zapomniałam. Gary, któremu całkowicie wybaczone, składa dziś wieczorem wizytę, i powiedziano mi, żebym nie przychodziła do domu przed dziesiątą. Czy chcesz porozmawiać tutaj? - zapytała, wskazując schody.

- Moglibyśmy - odparł, uśmiechając się. - Ale na górze mam kilka zimnych piw w lodówce.

Uśmiechnęła się do niego.

- Dobrze - powiedziała powoli i wiedział, że była to równocześnie odpowiedź na jego kolejne pytanie. Pytanie, które wisiało pomiędzy nimi od początku, pytanie, na które w połowie odpowiedzieli dziś rano.

Będąc już w jego mieszkaniu, usiadła na kanapie, zdjęła pantofle i podkuliła nogi. Ręce położyła na tylnym oparciu kanapy i patrzyła, jak Quinn wyciąga z lodówki dwa piwa, a potem jeszcze wysoką szklankę z szafki. Ozdobiona niebieskimi ptaszkami szklanka była w typowym dla pani Brichty stylu.

Shelby nie była pewna, co tu robi ani co zamierza zrobić. Wiedziała tylko, że jest jej tutaj dobrze, z Quinnem, gdy rozmawia swobodnie i wcale nie musi się zachowywać najlepiej, jak potrafi. Pragnęła zachowywać się, jak potrafi najgorzej - przynajmniej w odniesieniu do zaręczonych dam.

Czy Quinn był jej przygodą? Czy dlatego musiała opuścić Filadelfię? Czy szukała prawdziwego życia, czy może prawdziwego mężczyzny? Innymi słowy, przeciwieństwa Parkera Westbrooka III. Mężczyzny nie pozbawionego uczuć i nieobawiającego się ich okazać; mężczyzny, który pragnąłby ją chronić i cieszyłby się z jej towarzystwa; mężczyzny, na którym zupełnie nie robiłoby wrażenia ani jej pochodzenie, ani bogactwo; mężczyzny, który chciał i mógł się z nią kochać.

Mężczyzny, w którym tak głupio się zakochała, mimo iż wiedziała, że gdy wyjawí prawdę, on albo ucieknie jak najdalej i jak najszybciej potrafi, albo uśmiechnie się łakomym uśmiechem, a ona w jego szarych oczach zobaczy blask dolarów.

Czy mogła liczyć na inną reakcję? Czy istniała jakaś trzecia możliwość, której nie dostrzegą? Czy mógłby i on być w niej zakochany? Czy może podróżował, pisał książki i przeżywał erotyczne przygody w każdym z miast?

Delaney usiadł koło Shelby. Nalał trochę piwa do szklanki i podał jej.

- Opowiedz mi więc o tej kolacji, którą planujecie.

Zmarszczyła na sekundę brwi, starając się sobie przypomnieć, o czym wcześniej rozmawiali. Co nie było takie proste, kiedy Quinn siedział tak blisko niej, zapach jego wody po goleniu łaskotał ją w nos, a emanujące od niego ciepło czuła każdym milimetrem skóry.

- A... - rzekła po chwili - kolacja. - Pociągnęła łyk zimnego piwa, skrzywiła się, kiedy go posmakowała, i przypomniała sobie, że nigdy przedtem nie zwracała uwagi na piwo. Postawiła szklankę na małym stoliku do kawy - na tacce. - Cóż, zastanawiałam się nad tym od kilku dni - ale nie bardzo poważnie, rozumiesz. I dzisiaj, kiedy Tony wydawał się być w dość dobrym nastroju, zapytałam go.

- O możliwość urządzenia w restauracji kolacji połączonej ze zbiórką pieniędzy? I zgodził się? Trudno w to uwierzyć.

- Wcale nie - odparła poważnym tonem Shelby. - Brandy powiedziała, że w środku jest słodki jak cukierek, i miała rację. Mimo kanciastej, nieprzystępnej powierzchowności Tony jest wspaniałym, wielkodusznym człowiekiem. Natychmiast się zgodził. No, zgodził się, kiedy mu wyjaśniłam, jaki otrzyma procent z zysku.

- Procent z zysku? - Quinn spojrzął badawczo w jej twarz. Czy to był początek, na który czekał? Czy powinien ją przycisnąć i zapytać, skąd ona coś takiego wie? I czy powinien to zrobić teraz, zanim będą się kochać? Zanim weźmie ją w ramiona i przekona się, że to ona właśnie jest tą jedyną na świecie kobietą, od której nie mógłby nigdy odejść, nie mógłby jej zostawić?

Schyliła głowę i wygładziła zmarszczkę na bluzce.

- Czytałam o tym w czasopiśmie, które znalazłam w salonie Brandy - wyjaśniła, wciąż unikając jego wzroku.

- Aha - powiedział Delaney i pomyślał, że Shelby przynajmniej wie, że kiepsko kłamie, i poczuł się całkiem dobrze, kiedy uświadomił sobie, że nie mogła mu patrzeć w oczy i równocześnie kłamać. Czy to coś znaczyło, czy był aż tak zdesperowany, że czepiał się najmniejszego nawet źdźbła trawy, na jakie natrafił?

- Tak. I zorganizujemy trzy tury, więc jeżeli będziemy mieć komplet osiemdziesięciu pięciu klientów, to osiągniemy spory zysk - i bywalcy, i Tony. Restauracja i tak w piątki jest zawsze zatłoczona, a miasto jest tak małe, że nie musimy się specjalnie martwić o reklamę. Wystarczy napis od frontu i oczywiście Tabby. Jest jednak jeszcze kilka spraw, które trzeba dopracować.

- Z pewnością byłaś dziś bardzo zajęta, kiedy wyjechałem zbierać informacje. Ale mówisz, że kilka spraw trzeba jeszcze dopracować? Jakich na przykład? - zapytał Quinn, szczerze zdumiony przedsiębiorczością Shelby: tym, jak pracowała jej głowa, tym, jak jej obecność wpływała na ludzi - że nawet taki nieprzystępny gbur jak Tony stawał się przy niej potulny.

- Cóż, po pierwsze, powiedziałam Tony'emu, że naprawdę powinien przemyśleć sprawę wypożyczenia prawdziwych płócien w związku z tym wydarzeniem. Wiesz, obrusów, a zwłaszcza serwetek. Tłumaczyłam mu, że serwetki to wizytówka. Mówiłam mu, że papierowe serwetki także są wizytówką, ale...

- Ale kto by się tam zastanawiał, co chcą przedstawić - dokończył Quinn ze śmiechem.

- Tak! Skąd wiedziałeś?

Delaney odkaszlnął.

- Uznaj to za trafny strzał - odrzekł i nagle zapragnął ją objąć, całować, kochać. Była taka niewinna mimo całej zarozumiałości i dumy Głównej Linii. - I Tony się poddał?

- Jeśli chodzi ci o to, czy będziemy mieć prawdziwe płótna, to tak, zgodził się - odparła z zadowoleniem Shelby. - Jednakże

muszę się przyznać do małego niepowodzenia, jeżeli chodzi o bywalców. Pomyślałam, że czarne krawaty byłyby stosowne...

- Czarne krawaty? Na bywalcach? - Natychmiast przypomniały mu się wszystkie wcześniejsze myśli na temat bywalców. - Żartujesz, prawda?

Shelby poczuła, że się rumieni. Była taka miła dla bywalców, a oni byli tacy mili dla niej. To nie byli ludzie, którzy mogliby jej wysłać anonimowy list i starać się ją nastraszyć, żeby wyjechała ze Wschodniego Wapeneken. Ale jeżeli nie oni, to kto? Ta myśl tak bardzo ją przeraziła, że wręcz rzuciła się w wir przygotowań kolacji dobroczynnej, a list włożyła do jednej z szuflad w głowie i zamknęła ją na klucz.

- Wykazali mi błąd w moim myśleniu - powiedziała w końcu, zaczynając dostrzegać humor całej sytuacji. Aż się uśmiechnęła, kiedy przypomniała sobie okropny wyraz twarzy bywalców, gdy poruszyła temat oficjalnego ubioru. - Powiedzieli, że nie byłoby w stanie wypożyczyć oficjalnego stroju i kupić biletu na kolację. A ponieważ Tony nie ma koncesji na alkohol, a klienci mogą przynosić alkohol ze sobą, powiedzieli, że według nich byłoby dużo lepiej, gdyby zamiast czarnych krawatów przynieśli dwie beczki. Bywalcy mają bardzo niewyrafinowane upodobania.

- To rzeczywiście szkoda - zgodził się Quinn, kończąc piwo i odstawiając butelkę na tacę. - Chybabym zapłacił podwójnie, żeby zobaczyć George'a w sztywnym, sterzącym kołnierzyku. Więc kiedy ta impreza?

Shelby nadal unikała jego wzroku, bawiąc się fałdką bluzki.

- Ponieważ zawsze jest wtedy duży ruch, zaplanowaliśmy to na piątkowy wieczór - odparła, myśląc, że wieczór ten będzie zarazem jej ostatnim we Wschodnim Wapeneken.

Musiała wracać do domu.

Somerton był cudowny, że nie wezwał gwardii narodowej czy kogoś w tym rodzaju, żeby ją odnaleźć, ale Thelma wracała po spotkaniu z nowym wnukiem, zatem Shelby nie miała pracy i naprawdę nadszedł czas, by jechać do domu. Chcia-

ła spędzić tu trzy, może cztery tygodnie. Będzie niecałe dwa. Zostanie we Wschodnim Wapeneken jeszcze tylko kilka dni. Jeszcze tylko kilka dni będzie z Quinnem.

Wracała do domu.

Dokładnie w momencie, kiedy znalazła sposób, by pogodzić Brandy i Gary'ego raz na zawsze.

Zaraz po zbiorce pieniędzy, którą uzupełni anonimową wpłatą, kiedy znów będzie miała dostęp do swoich pieniędzy.

Po tym, jak będzie się kochać z Quinnem Delaneyem pierwszy i ostatni raz i powie mu prawdę.

Wróci do Filadelfii i oświadczy Parkerowi, że nigdy nie wyjdzie za niego za męża, a potem zamknie się w swym apartamencie i będzie płakać przez miesiąc.

Chyba że powie Quinnowi teraz, dziś wieczór? Zerknęła na niego kątem oka, zastanawiając się nad tym pomysłem.

Ale co miała mu powiedzieć? Że jest całkiem poważną dziewczynką, która postanowiła się zabawić i doszła do wniosku, że pójdzie z nim do łóżka będzie dla jej przygody tym, czym dla tortu jest udekorowanie wisienką?

Raczej byłoby to trudne.

Czy mogła mu powiedzieć o liście? Wyznać, że na początku obawiała się, że to bywalcy go wysłali, ale potem dostrzegła śmieszność tego podejrzenia?

Czy mogła mu powiedzieć, że po wykluczeniu bywalców doszła do wniosku, że we Wschodnim Wapeneken musi być ktoś, kto w jakiś sposób dowiedział się, kim ona jest? I że po pierwszym liście może być następny, w którym szantażysta prawdopodobnie będzie się domagać jakiejś bajońskiej sumy w zamian za zachowanie milczenia?

Czy mogła mu powiedzieć, że wydaje się jej, że się w nim zakochuje, że naprawdę się w nim zakochuje i że nie mogłaby się z nim kochać, nie wyznawszy mu całej prawdy?

I tym samym dać mu pretekst do powiedzenia jej, że ma się wynosić i już nigdy nie przekraczać jego progę... i nigdy się nie przekonać, jak to jest być w jego ramionach?

- Shelley? Ziemia do Shelley. Wracaj, Shelley.

- Hmm, co? A, przepraszam. Bujałam w obłokach. Mówiłeś coś?

- Zapytałem tylko, czy wszystko w porządku, czy może chciałabyś mi o czymś powiedzieć? - Quinn domyślał się, że taki właśnie miała zamiar, że najprawdopodobniej debatowała sama ze sobą, czy powiedzieć mu o liście. Ale w momencie, kiedy słowa te wyszły z jego ust, wiedział, że popełnił błąd, ponieważ Shelby usztywniła się i splotła dłonie na kolanach.

Wyciągnął ku niej ręce i ujął jej dłonie. Uniósł je, jedną po drugiej, do ust.

- Prawdopodobnie nie powinniśmy rozmawiać, nie sądzisz? - zapytał i zajął głęboko w jej pełne wyrazu brązowe oczy. Oczy, które zapamięta aż do śmierci. Oczy, w których nigdy więcej nie chciałby widzieć pustki.

- Prawdopodobnie... prawdopodobnie nie - powiedziała cicho, a jej oddech stał się nieregularny. Scarlett O'Hara miała słuszną rację. Będzie się nad wszystkim zastanawiać jutro. A dziś wieczorem... dziś wieczorem myślenie było ostatnią rzeczą, którą chciałaby robić.

Quinn delikatnie wziął ją w ramiona, nie chcąc jej wystraszyć. Podejrzewał, że był już taki ktoś, kto zaniósł ją do łóżka, ale być może nikt nie kochał jej w taki sposób, na jaki naprawdę zasługiwała.

- Jesteś pewna? - wyszeptał. Jego usta były tuż przy jej. Zamknęła już oczy. To było głupie pytanie, ponieważ gdyby odpowiedziała „nie”, musiałby gdzieś pójść i zabić się za to, że zadał tak potencjalnie groźne pytanie.

W odpowiedzi Shelby uniosła dłoń ku jego twarzy, pogłaskała go po policzku i nieśmiało się uśmiechnęła. Powitalny dotyk. Drżący, zachęcający uśmiech.

Czuł się podle, kochając się z kobietą, która nie miała pojęcia, kim on jest. Sumienie protestowało coraz głośniejszymi głosami. Kazał mu iść do diabła.

Drgnął, kiedy ich usta się spotkały, kiedy ich ciała się zetknęły, kiedy wsunął pod nią ramię i zaniósł ją do sypialni.

Uwolnione od spinek, gęste włosy Shelby rozsypały się na kwiecistej kołdrze. Quinn najchętniej zrzuciłby ubranie, ale nie chciał się od Shelby oddalać, nie mógł pozwolić, by została sama nawet przez chwilę. Położył się obok niej na materacu, objął ramionami i całował ją znowu i znowu, i znowu.

Nigdy dotąd nie smakował tak słodkich ust, nigdy nie dotykał tak gładkiego i giętkiego ciała. Tak oddanego. I tak domagającego się od niego wszystkiego. Wszystkiego i jeszcze więcej...

W jakiś sposób przeszkadzające ubrania znikły, jedno po drugim, aż zostali nadzy, wtuleni w siebie, złączeni pocałunkiem. Ich ciała nawzajem się poznawały, ich dłonie wędrowały, odkrywały. I odnajdywały. Skan Anula, przerobiła pona.

- Jesteś taka piękna - wymruczał jej do ucha, próbując uspokoić oddech i dając jej jeszcze jedną szansę powstrzymania go.

- Kochaj mnie - szepnęła i niezbyt wprawnie, ale niezwykle prowokacyjnie pchnęła ku niemu biodra. - Proszę cię.

Wciąż miała zamknięte oczy. Usłyszała siebie samą, jak błaga Quinna, i nagle poczuła się upokorzona. Miała wrażenie, jakby jakaś jej część oddzieliła się i jak nieprzyjazny obserwator stanęła z boku, domagając się kary za takie impulsywne zachowanie. Ale inna jej część, ta dopiero odkryta i ogarnięta namietnością, uzbrojona była w dużo silniejsze argumenty: weź wszystko, co chcesz - teraz, kiedy możesz. Weź wszystko, co mam. Zasługujesz na to. Potrzebujesz tego.

Czuła pocałunki Quinna na swojej szyi, na piersiach. Czuła, jak chwyta je wargami, muska językiem. Przyciskała go do siebie, jej dłonie biegały po czarnych jak noc włosach, poznawały umięśniony tors. Chciała brać, wciąż brać, a samej dawać, dawać. Jego dłonie odnalazły jej najwrażliwszy punkt i wznosiły na szczyty jej rozedrgane, owładnięte pożądaniem ciało.

Quinn wiedział, że Shelby jest gotowa go przyjąć. Więcej niż gotowa. Jej ciche, gardłowe jęki doprowadziły go do granicy wytrzymałości już dawno temu. Powstrzymywała go jedynie obietnica, którą złożył sam sobie, że pozwoli jej doświadczyć wszelkich rozkoszy w drodze do spełnienia.

Pochylił się i czule Shelby pocałował, a następnie przykrył ją swoim ciałem, rozsuwając jej nogi. Wszedł głębiej, a ona do niego przywarła. Wsunął język w jej usta i rozpoczął się pojedynek języków, naśladujący zbliżanie i cofanie się ciał. Nagle jakby cały świat eksplodował, stanął w płomieniach, rozerwał się na milion kawałków, które pędziły przez wszechświat z podwójną prędkością światła. Wszystko. Kochanie się z Shelby było wszystkim, pełnią, całkiem nowym doświadczeniem. Quinn dał się porwać miłosnemu uniesieniu, marząc, by się nigdy nie skończyło. Wiedział już, że jest człowiekiem straconym i że nigdy, przenigdy nie będzie mógł odejść od tej kobiety.

- Kochaj mnie, proszę - westchnęła Shelby w jego usta.

I kochał ją. Och, Boże, dopomóż mu. Boże, dopomóż im obojgu.

Kochał ją..



Shelby wróciła do swojego mieszkania tuż przed północą. Ciągłe jeszcze miała rozmarzone oczy. Ich drugie zespolenie było tak powolne i czułe, i takie żarliwe na końcu...

- Czy możesz mi coś powiedzieć? - poprosiła skulona na kanapie Brandy. - Jeżeli Snapple popadłoby w prawdziwe tarapaty, co zresztą jak mi się wydaje, nastąpiło już jakiś czas temu, to czy mogłabyś ich wykupić? To znaczy, bardzo lubisz ich mrożoną herbatę. Jesteś a ż t a k bogata?

- Ojej, nie wiem - odpowiedziała Shelby i poszła do kuchni po butelkę mrożonej herbaty, ponieważ Brandy przypomniała jej, jak bardzo jest spragniona. I głodna. Po drodze wzięła też paczkę czekoladowych ciasteczek Tastycake. - Ile to mogłoby kosztować? Bo masz rację - ja rzeczywiście lubię te rzeczy. Ale to mało prawdopodobne, żeby Tastycake miało kiedykolwiek jakieś problemy, ponieważ nie sądzę, żebym mogła przeżyć bez ich czekoladowych ciasteczek. - Opadła na kanapę. - A wydawało mi się, że tyle wiem. Brandy, jak ja w ogóle mogłam przez dwadzieścia pięć lat żyć bez snapple i tastycake?

- Ja nie umiem się bez nich obyć nawet minuty. Moje ciało jest tego najlepszym dowodem - oświadczyła Brandy i napiła się ze swojej butelki, spoglądając na przyjaciółkę. - Masz zamiar kupić akcje?

Shelby opuściła głowę i zarumieniła się.

- Powinnam zacząć kontrolować własne pieniądze, prawda? Wcześniej nie przywiązywałam do tego specjalnej wagi, zawsze ktoś inny się o to troszczył. Ale tak, zdecydowanie powinnam. I obiecuję kupić akcje obu firm. Jesteś teraz zadowolona?

- Dotarliśmy zatem do sedna - podsumowała Brandy, szeroko się uśmiechając. - A teraz, kiedy już cię zrelaksowałam

i nie musisz się niczym przejmować - odpowiedz, czy dobrze zgaduję, że wracasz właśnie z mieszkania Quinna, z którym to prawdziwie i wspaniale kochałaś się przez, hmm, dwie lub trzy godziny?

- Brandy!

Brandy poprawiła ułożenie nóg i nieco obciągnęła różowo-żółty szlafroczek, by przykryć kolana.

- Co? Jesteśmy przyjaciółkami czy nie jesteśmy? Doskonale wiesz, co ja robiłam dzisiaj wieczoru. Więc musi być sprawiedliwość. Jak było?

Shelby pozwoliła głowie opaść na poduszki leżące na kanapie i zamknęła oczy.

- Było... było cudownie. Cudowniej, niż miałam kiedykolwiek nadzieję, że będzie; cudowniej, niż mogłam sobie to kiedykolwiek wyobrazić. - Uniosła głowę i spojrzała na uśmiechniętą szeroko przyjaciółkę. - Myślę, że go kocham. Czy to nie cudowne? - Zamrugała kilka razy, żeby odegnać niespodziewane łzy. - I straszne.

Brandy podrapała się w skroń i skrzywiła lekko, rozważając dylemat przyjaciółki.

- Ponieważ nie powiedziałaś mu prawdy, tak?

Shelby westchnęła i skinęła głową.

- Bycie bogatym to takie nieszczęście.

- Tak - potwierdziła sarkastycznie Brandy. - Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to musi być straszne - nie trzeba nigdy pracować i nigdy się nie martwić. Podróżować po świecie, jadać najlepsze jedzenie, kupować bez patrzenia na metki. To naprawdę tragiczne.

- I ty poczułabyś się tym zmęczona - stwierdziła Shelby. Położyła się na kanapie i sięgnęła po jedwabną poduszkę z frędzlami, z wyhaftowanym na jednej stronie napisem: „Miłość jest lepsza w Atlantic City”.

- Z pewnością, cukiereczku - za jakieś, hmm, pięćdziesiąt lub osiemdziesiąt lat. Ale zdecydowanie mogłabym się męczyć tak długo. Mogłabym nawet kupić mamie Gary'ego pałac

w Hiszpanii albo Katmandu, a może nawet na Hawajach. Tak, na Hawajach. Nigdy tak naprawdę nie chciałam pojechać na Hawaje. Hiszpania i Katmandu mają jakiś urok.

- Jesteś szalona - powiedziała ze śmiechem Shelby i przycisnęła do siebie poduszkę. Wciąż czuła obejmujące ją ramiona Quinna, żar ich ostatniego, tęsknego pocałunku, kiedy odprowadził ją na drugą stronę korytarza i powiedział jej dobranoc.

- Za to ty masz naprawdę problem - powiedziała Brandy, uważnie przyglądając się swojej współlokatorce. - Kochasz go? To znaczy, jeżeli go nie kochasz, to problem nie jest taki poważny. Ale nie sądzę, żebyś sięgała szczytów z kimś, kogo byś nie kochała. Nie dlatego, że jesteś bogata, ale dlatego, że jesteś taką... taką damą. Hmm, zdaje się, że sama sobie odpowiedziałam na pytanie. Kochasz go.

- Kocham go - cicho przyznała Shelby. - Brandy, czy uważasz, że happy endy się zdarzają?

- A! I popatrz, kogo o to pytasz, kochanie. Jestem zaręczona z Garym i jego mamą od dwunastu lat. Udało mi się szczęśliwie dotrzeć do wieku średniego, więc gdzie tu szukać happy endu?

Półzartobliwa odpowiedź Brandy nie dawała Shelby spokoju przez całą noc, tak że niemal się ucieszyła, kiedy Quinn nie pojawił się u Tony'ego na śniadaniu. Zjadła je w towarzystwie przyjaciółki, którą następnie odprowadziła do autobusu, a potem ruszyła w stronę domu.

Znajdowała się w połowie drogi między restauracją Tony'ego a budynkiem szkoły i właśnie przechodziła przez jezdnię, kiedy nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się i z piskiem opon zatrzymał koło niej samochód.

Wewnątrz siedziało dwóch nieznajomych mężczyzn. Pasażer wyskoczył z auta i podbiegł do niej. Złapał ją za ramię i próbował pociągnąć w stronę otwartych drzwi sedana.

- Pali się! - krzyknęła Shelby, licząc na to, że taki okrzyk skuteczniej przyciągnie czyjąś uwagę, aniżeli zwykły wrzask.

Po chwili wydała z siebie jeszcze jeden okrzyk, którego nauczyła się podczas weekendowych zajęć z podstaw samoobrony w żeńskim kółku studenckim.

Nieoczekiwanie przypomniała się jej jedna z lekcji. „Powiedz agresorowi, że nie będziesz ofiarą. Powiedz to jemu i sobie, krzycząc »nie« tak głośno, z taką mocą, jak to tylko możliwe. ”

- Nie! - krzyknęła, jak potrafiła najgłośniej. - NIE! - Chwycała palce, które wręcz miażdżyły jej przedramię, i zaczęła odginać kciuk napastnika, próbując sprawić mu taki ból, by musiał ją puścić.

- Hej! - zaskomlał mężczyzna, puszczając ją na chwilę, by zaraz znów złapać drugą ręką. - To boli.

- I dobrze - stwierdziła Shelby i uzupełniła wyłamywanie kciuka szybkim i mocnym kopnięciem napastnika w nogę. Zaskomlał jeszcze raz.

Nie zdążyła się przekonać i właściwie wcale ją to nie obchodziło, czy byłaby w stanie walczyć tak długo, aż mężczyzna by się poddał, bo właśnie w tym momencie ujrzała nadbiegającego Quinna. Jego kosz z praniem poleciał na czyjś trawnik, a jego twarz wykrzywiła nieopisana wściekłość.

- Wsiadaj! Wsiadaj! On się zbliża! - krzyknął kierowca.

Drugi napastnik spojrział na chodnik i powiedział coś dziwnego:

- W samą porę, do cholery! - Wskoczył do samochodu, który szybko odjechał, kiedy Delaney dobiegł do Shelby.

- Tablica rejestracyjna z Pensylwanii, przeczytałem częściowo: Adam - trzydzieści osiem - coś tam. Brązowa toyota sedan, 1999. Prawdopodobnie wynajęta - wyrzucił z siebie Quinn, kiedy się zatrzymał. Powiedział to głównie do siebie, pomyślała Shelby, lecz sprawiał wrażenie, jakby nie było mu obce zapamiętywanie takich informacji.

Zanim zdążyła się nad tym zastanowić, była już w jego ramionach, a on zasypywał ją pytaniami: czy nic jej się nie stało, czy nie jest ranna, czy rozpoznała mężczyznę, który próbował ją porwać.

- Po... porwać mnie? - Shelby odepchnęła Quinna i spojrzała mu w twarz, dopiero teraz przeżywając szok. - Czy to właśnie się stało? Ktoś próbował mnie porwać? Dlaczego?

Delaney znał tylko jedną możliwą odpowiedź na to pytanie. Shelby znała tę samą możliwą, prawdopodobną odpowiedź na to pytanie.

Ta odpowiedź miała na końcu mnóstwo zer.

Ale żadne z nich nie wypowiedziało jej na głos.

- Nie wiem, Shelley - szybko skłamał Quinn. - Ale mam zamiar zadzwonić na policję. Może była i inna zuchwała próba uprowadzenia w okolicy. Nie widziałem nic na ten temat w gazetach, ale czasami policjanci zatuszowują takie sprawy, żeby nie wystraszyć ludzi. Zapamiętałem jednak fragment tablicy rejestracyjnej, co może okazać się przydatne.

- Tak... tak sądzę - powiedziała Shelby i dopiero wtedy zauważyła, że cała drży. Właściwie dzwoni zębami. Właśnie prawie została porwana - takie były najgorsze obawy Parkera! Walczyła, tak jak zawsze sobie obiecywała, że będzie walczyć, że nigdy się nie podda i nigdy nie powie: „Proszę, nie”, i nie pozwoli, żeby stało się jej coś strasznego.

Ale dotykała go. Czuła jego gorący, kwaśny oddech na twarzy. Wyłamała mu palec. Kopnęła go. Boże! Naprawdę zrobiła to wszystko? A co by się stało, gdyby Quinn się nie pojawił?

- Myślę... myślę, że chciałabym teraz usiąść.

Delaney objął ją ramieniem w talii i obrócił, zamierzając zaprowadzić ją do mieszkania, ale zaprotestowała.

- Nie. Chcę usiąść natychmiast - zdążyła powiedzieć i upadła na chodnik. Poczowała, jak Quinn wsuwa rękę pod jej kark i układa głowę na swoich kolanach.

- Powoli i głęboko oddychaj, kochanie - odezwał się łagodnie. - Wdech nosem, wydech ustami. I nie zamykaj oczu, bo zakręci ci się w głowie.

- Obawiam się, że za... za późno na tę radę. Przepraszam - usłyszała swoje mamrotanie i nagle pod jej powiekami rozbłysły oślepiające fajerwerki, a potem cały świat pograżył się w ciemności.

Kiedy odzyskała przytomność, zorientowała się, że leży na kanapie w mieszkaniu Brandy. Zaczęła się zastanawiać, co się stało i jak się tu dostała. Spojrzała w górę i skrzywiła się, ponieważ jej żołądek się buntował. Ujrzała Quinna stojącego nad nią i trzymającego w ręku klucz. Dotknęła ręką kieszeni bluzki i zrozumiała, że on trzyma jej klucz. Dziwiło ją, czemu widok Quinna nie porusza jej tak bardzo, jak podczas jej walki z porywaczem.

I wtedy sobie przypomniała.

„Wsiadaj! Wsiadaj! On się zbliża! ”

„W samą porę, do cholery! ”

Ci mężczyźni znali Delaneya? Rozpoznali go? I co miało znaczyć to „w samą porę? ” Wyglądało to tak, jakby się go spodziewali, a on się spóźniał. Ale spóźniał się na co? Żeby pomóc im ją porwać czy żeby udawać, że ją broni?

- Myślę... myślę, że... poproszę o szklankę wody - powiedziała i odwróciła wzrok od jego zaniepokojonej twarzy. O ile rzeczywiście była zaniepokojona. Skąd mogła to wiedzieć, jak miałyby to stwierdzić? Czy mogła powiedzieć, że był uczciwy i szczerzy, ponieważ wziął ją do łóżka? Boże, przecież właśnie to mówią te wszystkie głupie i bezmyślne ofiary...

- Proszę - rzekł Quinn, wróciwszy z kuchni ze szklanką w połowie napełnioną wodą. Uniósł Shelby głowę, żeby mogła się napić. - Wracałaś i odpływałaś kilka razy. Oczywiście nie mam nic przeciwko noszeniu cię na rękach, ale chyba powinienem wrócić i pozbierać moje pranie.

- Twoje?... A, no tak, teraz sobie przypominam. Byłeś w samoobsługowej pralni? Dlatego nie przyszedłeś na śniadanie. - Oparła się o poduszki. - Może rzeczywiście idź pozbierać swoje rzeczy, zanim zrobi to ktoś inny.

- Dzwoniłem już na policję - oznajmił - ale ponieważ wiedziałem to samo, co ty, policjant powiedział, że mogę przyjść i złożyć zeznanie później. Chyba że ty chcesz z nim porozmawiać? Jeżeli rozpoznałaś kogoś z nich lub mogłabyś ich opisać.

Shelby pokręciła głową i zaraz tego pocałowała, ponieważ poczuła łomotanie w skroniach.

- Nigdy wcześniej nie zemdlałam - powiedziała i spojrzała na niego, żałując, że go nie zna, że tak naprawdę go nie zna. - To właśnie zrobiłam, tak? Zemdlałam?

Delaney uśmiechnął się do niej.

- Jak najbardziej zemdlałaś, kochanie - potwierdził. - Ale zrobiłaś to w bardzo elegancki sposób, a nawet przeprosiłaś, zanim nagle osunęłaś się w moje ramiona. Podobał mi się ten fragment. - Nachylił się, żeby pocałować ją w koniuszek nosa. - Ja i moja bielizna zaraz będziemy tu z powrotem, dobrze?

- Dobrze - odpowiedziała, słabo się uśmiechając. Patrzyła, jak Quinn idzie do drzwi, i dostrzegła na stole plik korespondencji, który musiał wcześniej tam położyć. Jak tylko wyszedł, wstała - powoli - i podeszła do stołu, żeby przejrzeć pocztę. Dwa czasopisma, rachunek telefoniczny, rozliczenie karty kredytowej, trzy reklamówki.

Nie było żadnego listu adresowanego do niej i pisanego drukowanymi literami. Sama nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. A jeżeli list był pierwszym ostrzeżeniem, a próba wprowadzenia drugim?...

Co w takim razie może być trzecim?

Och, jak bardzo chciałyby porozmawiać o tym z Quinem. Ale co by mu powiedziała? Czy mogła mu powiedzieć, że jeden z napastników prawdopodobnie go rozpoznał, że wyglądało to tak, jakby czekali, aż się pojawi? Ponieważ dopiero teraz się nad tym zastanowiła - tak naprawdę się zastanowiła - i doszła do wniosku, że wcale nie była takim mistrzem samoobrony, jak jej się wcześniej wydawało. Ten mężczyzna zdołałby wepchnąć ją do samochodu, gdyby mu naprawdę o to chodziło.

Czy rzeczywiście chciał ją porwać? Czy tylko kazano mu ją nastraszyć?

I dlaczego?

Ostrożnie odłożyła korespondencję na stół, tak jak zostawił ją Quinn, i wróciła na kanapę. Zaczęła rozmyślać...

Delaney pojawił się we Wschodnim Wapeneken przypadkowo. Lecz czy to tylko zbieg okoliczności, że oboje przyjechali do miasta w odstępie jednego dnia? Czy miało to może jakiś związek z tym, że Shelby Taite, dziedziczka, uciekła z domu i znalazła się w obcym świecie sama, bez ochrony?

Somerton, teraz o tym pomyślała, zachowywał się całkiem spokojnie jak na człowieka, który raczej wolałby ujrzeć swą siostrę zamkniętą w atłasowej klatce małżeństwa z Parkerem niż żyjącą na własny rachunek i rozwijającą skrzydła. Czyż nie udowodnił tego, unieważniając jej kartę kredytową?

Ale co jeszcze mógłby zrobić? Gdyby była na jego miejscu i dowiedziała się, że uciekł, żeby się odnaleźć czy przeżyć przygodę, czy cokolwiek innego, co by zrobiła?

- Nie odcięłabym go od pieniędzy - zamruczała do siebie. - To było podłe.

Napiła się łyk wody i rozmyślała dalej. Nie poszłaby na policję. Tego była pewna. W końcu Somerton był pełnoletni. Mógł pojechać gdziekolwiek chciał i kiedykolwiek chciał. 2 pewnością to nie była sprawa dla policji.

Ale czy zostawiłaby go, ot tak, samego? Życząc mu tylko wszystkiego dobrego i mając nadzieję, że wspaniale spędzi czas i wróci do domu szczęśliwszy?

Cóż, nie zdobyłaby się na to. Nie w odniesieniu do Somertona, którego kochała z całego serca i o którym wiedziała, że miał takie same szanse na przeżycie w prawdziwym świecie, jak Księżniczka w prawdziwej dżungli. Zamknęła oczy i westchnęła. Tak więc zrobiłaby coś. Z całą pewnością. Zadzwoiłaby do D & S Security i poprosiłaby ich, żeby go odnaleźli - to właśnie by zrobiła. Nie prosiłaby, żeby go odstawili do domu niczym jakiegoś wagarowicza, tylko żeby go odnaleźli i poinformowali ją, czy u niego wszystko w porządku.

I możliwe, że poprosiłaby ich, żeby go dotąd pilnowali, aż nie zrobi tego, co uważa za konieczne, i nie wróci do domu.

Niespodziewanie rozsypane puzzle ułożyły się w wyraźny obraz i Shelby aż zacisnęła dłonie w pięści i uderzyła nimi w kolana.



Przypomniała sobie ten trochę drwiący uśmiech i uniesione ciemne brwi. Swe zawstydzenie, kiedy się o niego otarła, nawet na niego nie patrząc, co nie pozwoliło jej go teraz rozpoznać. Wziął jednorazowe zastępstwo za Grady'ego Sullivana i przez cały bal nie zasłużył nawet na jedno jej spojrzenie, bowiem ona marzyła jedynie o powrocie do domu i położeniu się do łóżka. O znalezieniu się gdziekolwiek, byle z dala od tamtego miejsca.

Grady Sullivan. Quinn Delaney. D & S. Somerton zawsze wymagał obecności jednego ze współników. Teraz wszystko wydawało się takie oczywiste.

- Delaney! - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - D & S. To nie był zbieg okoliczności - powiedziała głośno, a jej dolna warga zaczęła drżeć. - A ty nie jesteś mężczyzną z moich snów. To nie dlatego wydałeś mi się dziwnie znajomy. Niech cię licho porwie, Somertonie, i ciebie, Quinnie Delaneyu. I niech porwie mnie za głupotę i niezwracanie uwagi na nazwiska i twarze. Jesteś moim ochroniarzem. A niech cię, Quinn, jesteś moim o c h r o n i a r z e m !

Po policzkach popłynęły jej łzy. Zerwała się z kanapy i pobiegła zaryglować drzwi, żeby Quinn nie mógł wejść. Usłyszała trzask zasuwu dokładnie w momencie, kiedy on przekręcał klamkę.

- Shelley? Czy wszystko u ciebie w porządku?

Musiała zachować zimną krew i się nie zdradzić. Nie zdradzić się, dopóki nie będzie wiedziała, co ma robić dalej.

- Ja... czuję się dobrze. Pomyślałam tylko, że powinnam zamknąć się na zasuwę - krzyknęła przez drzwi. - My... we Wschodnim Wapeneken nie zwracamy dostatecznej uwagi na zachowanie bezpieczeństwa, nie sądzisz? Przez wiele dni Brandy wcale nie zamykała drzwi na klucz. Nie uważasz, że to niemądre?

Zagryzła wargi, kiedy uświadomiła sobie, że paple bez sensu. Wzięła więc głęboki wdech, zamknęła oczy i wyrecytowała:

- Dziękuję, Quinn, jeżeli jeszcze tego nie powiedziałam. Bardzo ci dziękuję. Ale teraz wolałabym побыć trochę sama,

jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Chcę wziąć długą kąpiel i zmyć z siebie ślady rąk tego mężczyzny.

- Dobrze - odparł niepewnym tonem. - Czy chcesz, żebym poszedł do Tony'ego i powiedział mu, że dzisiaj nie przyjdiesz? Jestem pewien, że zro...

- Nie! - sprzeciwiła się Shelby. - To znaczy, nie, dziękuję. Naprawdę lepiej będzie, jeśli pójdę do pracy, zamiast siedzieć tu i rozmyślać. Zobaczymy się później?

Odpowiedziała jej cisza i przyszło jej do głowy, że być może Quinn rozważa wyważenie drzwi, w końcu jednak się odezwał:

- Zobaczymy się podczas lunchu, jak zawsze. A jutro masz wolny dzień, pamiętasz? Moglibyśmy pojechać na piknik lub porobić coś innego,

- Lub coś innego - powtórzyła cicho. Zamknęła oczy i oparła się o ścianę, słuchając odgłosu zamykanych drzwi po drugiej stronie korytarza. - Cholera, cholera, cholera! - zaklęła i przebiegła przez salon, zdejmując z siebie ubranie. Wszystko zaczynało się układać w sensowny wzór, nawet jeżeli wydawało się, że wszystko się rozpada. Nagle wszystko zaczynało mieć sens.

Quinn został wysłany, żeby ją odnaleźć, a potem został tu i pilnował jej.

Podczas gdy ona miała się „wyszumieć”.

Ciekawe, czy dostanie premię za to, że uczestniczył w jej rozrywce? Odkręciła kurki z wodą i wyspała do wanny sole kąpielowe. W jaki sposób zapisze to na swojej liście wydatków? Ile sobie za to policzy?

Ale jedno trzeba temu facetowi przyznać. Naprawdę wiedział, jak zdobyć dodatkowe punkty za swego klienta.

Wynajął pokój dokładnie po drugiej stronie korytarza. „Żeby cię lepiej widzieć, złotko.”

Tak bardzo chciała pobyć przez jakiś czas sama, żyć na własne konto, tak jak inni ludzie, normalni ludzie. W rzeczywistości jednak nigdy nie była sama. Nigdy nie była sama, od pierwszego dnia. Nie zdając sobie z tego sprawy, otoczona

była niewidzialnym kokonem, zawsze był ktoś blisko niej, obserwował ją, czekał na jej potknięcie, gotów ją podnieść.

Ochroniarz. Niańka.

To przecież to samo.

Zmyślił, że jest pisarzem - pisarzem, ha, ha! - żeby mieć usprawiedliwienie, że nic nie robi, i żeby przez cały dzień móc siedzieć u Tony'ego i pilnować jej. Bez przerwy ją obserwować.

Był tak cholernie dobry w tej grze, że udało mu się zmylić nawet Brandy i Gary'ego, którzy zaprosili go na kolację. Nawet go dla niej zarezerwowali, aranżując jakby randkę w ciemno.

Tak, teraz Shelby wiedziała już, kto był ślepy w tym scenariuszu.

I ten przerażający list. I ten napad. Policja nie uważa za stosowne z nią porozmawiać? Nic dziwnego, skoro Delaney najprawdopodobniej w ogóle ich o niczym nie powiadomił,

Teraz wszystko było takie jasne. Tak przerażająco przejrzyste. Quinn wysłał list. Quinn zaaranżował tę sfuszerowaną próbę porwania, a wszystko po to, by ją przestraszyć, żeby się spakowała i wróciła do domu, i znów była słodką, posłuszną, stłamszoną Shelby.

- O co chodzi, Quinn, tak się już wynudziłeś we Wschodnim Wapeneken? Tak się już znudziłeś moją osobą? Czy moje pocałunki były takie odrażające? Czy okazałam się aż takim rozczarowaniem w łóżku?

Przycisnęła rękę do ust, starając się stłumić szloch, który narastał jej w gardle, opanować histerię, która mogła ją pokonać.

- Poszedłeś ze mną do łóżka - powiedziała, wycierając łzy, które nie chciały przestać płynąć. - Jak mogłeś to zrobić, Quinn? Jak mogłeś zrobić coś takiego?

*JEŻELI NIE POSŁUCHASZ, TO ZOBACZYSZ.  
WYJEDŹ NATYCHMIAST.*

Quinn przeczytał list, który wcześniej zabrał z mieszkania Brandy. Nie chciał, żeby Shelby go odkryła i się przestraszyła. Zmiał pojedynczą kartkę i rzucił ją gdzieś w stronę swego pro-wizorycznego biurka.

- Głupi, melodramatyczny śmieć - warknął, padając na kanapę. Dotknął dłonią policzka i potarł zarost, którego jakoś nie zdążył jeszcze ogolić.

- Niebezpieczny śmieć - dodał, myśląc na głos. Spojrzał na telefon, który stał przed nim, kabel biegł wzdłuż dywanu, a gniazdko znajdowało się w ścianie koło jego biurka. Patrzył na aparat telefoniczny prawie od godziny i zastanawiał się. Zdawał sobie sprawę, że potrzebuje pomocy, chociaż bardzo nie chciał o nią prosić.

Grady nalegałyby, żeby przywiozł pannę Taite do domu. Dzisiaj. To było zdroworozsądkowe i logiczne. Podkreślałyby, że jego podstawowym obowiązkiem wobec klientki - o czym Quinn zresztą dobrze wiedział - było zapewnienie jej bezpieczeństwa - i kropka. Pozwolić, żeby Shelby spacerowała po Wschodnim Wapeneken po dwóch ostrzegawczych listach i jednej niezbyt zdecydowanej próbie uprowadzenia? To było sprzeczne ze wszystkim, o czym wiedział, że byłoby stosowne i etyczne. Zwłaszcza że on był tu, na miejscu i w ciągu godziny mógł zabrać ją z tej niebezpiecznej okolicy i przywieźć z powrotem do rezydencji Taite'ów, która otoczona była solidnym żelaznym ogrodzeniem.

Tak to wyglądało z profesjonalnego punktu widzenia.

Z ludzkiego punktu widzenia wyglądało to zupełnie inaczej. Jego serce podpowiadało mu, że był zakochany w Shelby. Do licha, on był w niej zakochany.

Jakie to dziwne. Z całą pewnością nie była kobietą jego marzeń i daleko jej było do tego. Jego jedyne krótkotrwałe spotkanie w college'u z czymś, co, jak sądził, było prawdziwą miłością, zakończyło się porażką, kiedy ojciec Barbary zaproponował mu dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za opuszczenie miasta.

Oto, do czego doprowadzało zadawanie się z superbogaczami: ciepły uśmiech, serdeczny uścisk dłoni i ostrzeżenie, że nawet jeśli był naprawdę miłym gościem, nie był jednym z nich. Nie pasowałby, nawet nie miał co próbować. Dlatego bardzo ci dziękuję za eskortowanie Barbary do domu ze szkoły, ale żegnaj.

Teraz, patrząc wstecz starszymi oczyma, mając większe doświadczenie, Quinn rozumiał, że Barbara nigdy go nie kochała. Nie mogła go kochać, w przeciwnym razie sprzeciwiłaby się ojcu, uciekłaby z nim do Marylandu i w diabły zostawiłaby majątek.

Tak, akurat. On prosił ją jedynie, żeby zrezygnowała z rodziny, domu, wygodnego życia, jej klubu za miastem i przyszłości dla studenta drugiego roku college'u z pięciuset dolarami w banku i studencką pożyczką w wysokości pięciu tysięcy dolarów. A, i bez pracy, jedynie z mglistym pomysłem, że mógłby zająć się prawem. Albo zostać policjantem.

To właśnie ojciec Barbary zarzucił mu jako pierwsze. Jego żięć policjantem?! Quinn nawet nie drgnął, kiedy w odpowiedzi na to niedoszły teść podniósł sumę do trzydziestu tysięcy dolarów.

I mimo iż jego miłość wygasła, a serce pokryła mu twarda skorupa, w końcu Barbarze przebaczył. Prosił ją, żeby zrezygnowała ze zbyt wielu rzeczy, podczas gdy w zamian nie mogła się spodziewać tak dużo.

Jednak to, co go drażniło, co niczym zadra wciąż tkwiło pod skórą, to przekonanie bogatych, że mogą kupić wszystko,

na czym im zależy. Pieniądze rozwiążą każdy problem, każdy kłopot. Spotykał się z tym także, pracując przez lata w policji, kiedy jako niskiemu stopniem policjantowi drogówki proponowano za niewypisywanie mandatu pieniądze albo ostrzegano go, że winowajca osobiście zna burmistrza Filadelfii.

Do momentu gdy został przeniesiony do wydziału kradzieży i zabójstw, jego niechęć do bogatych została tak solidnie ugruntowana, że nic, co widział lub słyszał, nie było w stanie tego zmienić. Po trzech latach pracy w tymże wydziale wrosło to w niego aż do kości. Bogaci byli inni. Mogli kupić sprawiedliwość lepszego gatunku i mogli się wykupić z kłopotów, które ubogiego człowieka osadziłyby za kratkami.

To był jeden z powodów, dla których porzucił służbę. Był to prawdopodobnie powód decydujący. W tym czasie Sullivan zaproponował mu spółkę. Oczywiście, Grady był bogaty. Urodził się z tym. Ale Quinn wierzył, że przyjaciel był wyjątkiem potwierdzającym regułę, jeśli chodziło o Wstrętnych Bogaczy.

Więc co on teraz robi, siedząc tu jak jakiś skończony duzeń, nieszczęśliwie zakochany w jednej z nich?

Podniósł słuchawkę, wystukał numer i poczekał, aż Maisie przebrnie przez powitalne przemówienie.

- Jak się masz, kochanie? - zapytał. - Proszę cię, powiedz mi, że nie ochraniamy w tym tygodniu żyraf ani nie pilnujemy wyprzedaży książek w szpitalu.

- Och, przecież nie pozwoliłabym wam na to, chłopcy - odpowiedziała recepcjonistka, śmiejąc się. - A wiedziałeś, że język żyrafy ma około pół metra długości? To daje trochę do myślenia, prawda?

- Nie na trzeźwo - odparł Delaney, uśmiechając się do słuchawki. Niech Maisie trochę go rozweseli, nawet na krótko. - Więc co nowego?

- Cóż, kochanie, zobaczmy. Grady zdobył nowego klienta, co oznacza, że Burns i Arquette są w tym tygodniu w Arabii Saudyjskiej.

Quinn uniósł brwi.

- W Arabii Saudyjskiej? To nie takie straszne.

- Jeżeli lubisz upał, ropę i piasek, to chyba nie, kochanie. A, i Selma odeszła. Powiedziała, że raczej nie będzie mogła wrócić do pracy i zostawić swojego słodziutkiego, malutkiego chłopczyka w żłobku.

- Co? Selma? Moja sekretarka? Wspaniale. I co ja mam teraz zrobić?

- Cóż, kochanie. Po pierwsze, kupiłam prezent dla jej dziecka i podpisałam wizytówkę twoim imieniem. Zapomniałeś o tym, jak wiesz. To zapewne dlatego nie ma komu zająć się twoimi sprawami. A po drugie, postaraj się nie śmiać, kiedy zobaczysz zdjęcia małego Zachary'ego Semple'a. Ostatni raz takie uszy widziałam u Cocker spaniela. Chcesz, żebym cię połączyła z Gradym?

Pokręcił głową, z jednej strony rozżalony, że Selma go zostawiła, a z drugiej strony starając się nie śmiać z opisywanego przez Maisie potomka Semple'ów. Potwierdził, że chce rozmawiać z Gradym.

Chwilę później jego partner był już na linii.

- Usługi ochroniarskie i matrymonialne Sullivana - przedstawił się, kiedy recepcjonistka poinformowała go, kto dzwoni. - Wynajmij ochroniarza lowelasa i zacznij lepsze życie. Jak możemy panu pomóc?

- Byłoby lepiej, gdybyś się udławił własnym językiem - zrewanżował się Quinn. - Posłuchaj, mam tu trochę trudną sytuację. Nie jest to rozmowa na telefon, ale potrzebuję twojej pomocy.

Usłyszał, jak przednie nogi krzesła Grady'ego stuknęły o podłogę, i wyobraził sobie, jak przyjaciel przestaje się uśmiechać, bierze do ręki ołówek i przetrząsa biurko w poszukiwaniu skrawka papieru.

- Mów. Jestem gotów.

- Chciałbym, żebyś mi odnalazł tablicę rejestracyjną, ale znam tylko fragment numeru. Tablica z Pensylwanii. Załóżę się, że należy do wypożyczonego samochodu, ale musimy to sprawdzić, dobrze?

Kiedy podał mu częściowo zapamiętany numer, markę i model samochodu, oparł się o kanapę i czekał, aż partner zacznie go naciskać o szczegóły. Nieoczekiwanie Grady zapytał jedynie:

- Czy coś jeszcze?

- Tak - powiedział Quinn, zamykając oczy. - Ale to będzie trudne i raczej nielegalne, jak mi się wydaje. Chcę, żebyś dokładnie sprawdził Parkera Westbrooka Trzeciego.

- Żartujesz, prawda?

- Nie, nie żartuję. Od kołyski aż po przyszły miesiąc i wszystko, co się zdarzyło pomiędzy tymi datami. Chcę pełne sprawozdania finansowe, co jada, z kim sypia, z kim rozmawia - osobiście i telefonicznie, włączając w to telefon komórkowy. Plotki, insynuacje, opinie osobiste, wszystko, co uda ci się wyciągnąć ze wszystkich. Użyj wszelkich swoich kontaktów w klubie za miastem, żeby podsłuchać plotki. Od A do Z, Grady, mydło i powidló, dzwoń, gdzie chcesz - ale wszystko nieoficjalne, żeby nie można było nas po tym w żaden sposób wyśledzić. Jak dużo czasu ci to zajmie?

Sullivan, który zapisał wszystko na kawałku papieru, szybko zapamiętał fragmentaryczny numer tablicy rejestracyjnej i wrzucił papier do niszczarki, która stała pod jego biurkiem.

- Nie mogłeś mnie poprosić, żebym powęszył trochę w Gabinetie Ovalnym w Waszyngtonie? Albo o coś, co byłoby trochę łatwiejsze niż przełamanie potężnej zмовы milczenia, która trzyma Główną Linie razem? O co chodzi? To brzmi poważnie. Quinn Delaney nie prosi o złamanie prawa, jeżeli nie jest to coś naprawdę ważnego. Czy nasza dziewczyna jest bezpieczna?

- Jest bezpieczna - zapewnił go Quinn, patrząc na drzwi prowadzące na korytarz. - Nigdy nie jest poza zasięgiem mego wzroku. I nie chcę w to wchodzić głębiej, niż wszedłem do tej pory. Jedynie drapię śwędzące przeczucie, bawię się domysłami.

- Aha - skomentował Grady. - Ostatnim razem, kiedy to robiłeś, skończyłeś po niewłaściwej stronie trzydziestki ósemki, a twoja mama wymogła na tobie przyrzeczenie, że raz na zawsze przestaniesz pracować w terenie i zaczniesz odtąd



przerzucać papierki. Czy twoja noga nadal boli cię jak diabli, kiedy pada deszcz?

Przypominając sobie tamten dzień, kiedy musiał rozbroić fanatycznego wyznawcę jakiejś ponurej religii, który planował ocalić świat poprzez zamordowanie gwiazdora rockowego, którego był ochroniarzem, zaczął się drapać po lewym udzie, w miejscu, gdzie został postrzelony.

- Nie - odpowiedział lekko - ale rwie jak cholera, ostrzegając mnie za każdym razem, kiedy mam mieć za ciebie pojedyncze zastępstwo, bo akurat idziesz na jakąś supergorącą randkę.

- Tak, jakbyś tego nienawidził - odparł Grady, śmiejąc się. A potem znów zrobił się poważny. - Daj mi trzy dni i zadzwoni - ale do domu, dobrze? To jeśli chodzi o tę łatwiejszą część, czyli o sprawdzenie tablicy rejestracyjnej i to bez pytania najpierw: „Matko, czy mogę?” Druga sprawa może potrwać trochę dłużej, jeżeli szukasz tego, o czym myślę. Zawsze trudniej jest odnaleźć takie zagrzebane informacje, a ci ludzie umieją je naprawdę głęboko zakopać.

Delaney usłyszał, jak drzwi mieszkania Brandy otwierają się i zamykają, spojrzął na zegarek na rękę i przeklął.

- Niech to licho, muszę lecieć. Nie dłużej niż tydzień, Grady, dobrze?

Wskoczył w buty i udało mu się jeszcze dogonić Shelby, która weszła na chodnik, a potem skręciła i ruszyła w kierunku restauracji Tony'ego.

- Jak się miewasz? - zapytał, zrównawszy z nią krok.

- Poszedłeś na policję? - zapytała, patrząc na niego wzrokiem bez śladu ekspresji, którego miał nadzieję nie zobaczyć nigdy więcej. - I co powiedział oficer?

Nie poszedł na policję. To by tylko wszystko pogmatwało. Wiedział o tym. Do licha, Shelby też o tym wiedziała, zważywszy na to, że starała się utrzymać swoją tożsamość w tajemnicy. Więc o to chodziło? Martwiła się o policję?

- Nic takiego, tylko że oficer, który pracuje na pół etatu, będzie musiał przez następnych kilka dni trochę częściej jeź-

dzić na patrolu. Na razie prosi, żebyśmy nie mówili o tym nikomu, bo możliwe, że to pojedynczy wypadek. Rozumiem to w ten sposób, że nie chce alarmować mieszkańców.

Był bardzo dobrym kłamcą. Takim wiarygodnym. Uwierzyłyby mu bez mrugnięcia okiem, gdyby nie wiedziała tego, co wiedziała. Skinęła głową i szła dalej. Zdumiewało ją to, że wciąż była w stanie stawiać jedną nogę za drugą. Że wciąż mogła się poruszać, funkcjonować. Mimo iż jej serce i jej zaufanie rozspętały się w milion kawałków.

- Nie powiem o tym nikomu - obiecała. - Nawet Brandy. Zwłaszcza Brandy, jak mi się zdaje. Tylko by się zdenerwowała.

To była prawda. Przyjaciółka zdenerwowałaby się, a nawet więcej niż zdenerwowała. Prawdopodobnie chciałyby natychmiast dzwonić do Somertona, żeby przyjechali tu jacyś uzbrojeni strażnicy i eskortowali Shelby do domu. A to była ostatnia rzecz, jakiej chciała Shelby.

Nie zamierzała uciekać. Taite'owie nie uciekają. Prawdopodobnie nigdy nawet nie musieli uciekać, ale to nie należało do sprawy. Shelby Taite postanowiła nie poddawać się i pozostać z uniesioną głową aż do momentu, gdy sama zdecyduje się wyjechać. Nikt, żaden szantażysta wysyłający listy z pogróżkami, żaden niewprawny porywacz, żaden wścibski ochroniarz - a nawet jej własne nieszczęście - nie spowoduje, że podwinie ogon i ucieknie.

Nie zrobi tego, dopóki nie znajdzie sposobu, by udowodnić swoje podejrzenia co do Quinna. I nie każe mu za to zapłacić. Słono zapłacić.

Zdając sobie jednak sprawę z tego, że jest on profesjonalistą i że prawdopodobnie nie da się go tak łatwo oszukać, przypięła do twarzy promienny uśmiech i poprosiła:

- Powiedz mi coś więcej na temat tego pikniku, o którym mówiłeś wcześniej. Zapowiada się interesująco.

Delaney poczuł nagłe swędzenie na karku. Dlaczego jego radar znów się włączył? Co się, do licha, działo? Shelby udawała, że to nieudane uprowadzenie było tylko łatwym do za-

pomnienia incydem. Nie płakała mu na ramieniu ani nie wspomniała o liście z pogróżkami. Nie poprosiła go o pomoc ani też nie załamano się i nie wyznała mu swojej prawdziwej historii.

Nie zrobiła żadnej z tych rzeczy, a na dodatek jej usta się uśmiechały, natomiast brązowe oczy pozostały puste, obojętne, jak oczy kobiety, którą spotkał pierwszy raz w dzień balu charytatywnego. Patrzyła na niego, ale nie widziała go.

Czy mogła coś wiedzieć? Czy poranny incydent mógł w jakiś sposób przywrócić jej pamięć, przypomnieć jej jego twarz i nazwisko, i sprawić, że skojarzyła je z D & S?

Nie, to było niemożliwe. Jeżeli nie rozpoznała go do tej pory, nie potrafiłaby zachować spokoju, dokonawszy takiego wstrząsającego odkrycia, tylko dlatego, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Na pewno automatycznie pomyślała, że zazwyczaj nie podróżowała sama bez kogoś z D & S, a zwykle był to Grady.

Poza tym jednym razem, kiedy był z nią Quinn...

Stanął przed drzwiami do restauracji i otworzył je, wskazując głową Shelby, żeby weszła pierwsza.

- Jest jedenasta trzydzieści, a twoja zmiana zaczyna się dopiero za pół godziny. Zamierzałaś zjeść wcześniejszy lunch, tak?

- Tak - odpowiedziała. Spojrzała na odręczny napis na tablicy z listą specjalności dnia i zmarszczyła brwi. - Zupa kartofelkowa? Chyba Tabby startuje w wyborach na prezydenta - spróbowała zażartować. - Rozmawiałam z Tonym o dodaniu do menu obiadowego dwóch niskotłuszczowych, niskokalorycznych sałatek i chciałabym teraz jednej spróbować, bo dzisiaj będą po raz pierwszy. Chcesz się do mnie przyłączyć?

- Do lunchu tak, ale nie do sałatki - odpowiedział ze szczerością Quinn. - Myślę, że na zawsze jestem przywiązany do tłuszczu, kalorii, skrobi, cholesterolu i tych lekko przyrumienionych cebulek, które Tony dodaje do kanapek ze stekiem. Czy coś z tego należy do podstawowych składników żywieniowych?

- Tylko jeżeli życzysz sobie śmierci - odrzekła Shelby, wciąż na pozór radosna, panująca nad sobą. I wciąż patrząca na niego tymi smutnymi brązowymi oczyma.

Kiedy pospieszyła po gąbkę, żeby poprawić napis na tablicy, Delaney minął ściankę działową i narożnik i zajął miejsce przy tym co zwykle stoliku, po drodze machając do czterech bywalców.

- Hej, Delaney. Dobry - zawołał za nim George. - Cho no tutaj na minutkę, co?

Wstał zza stolika i przyłączył się do George'a i pozostałych mężczyzn siedzących w narożnym boksie. Usiadł na krześle, które zawsze stało po przeciwnej stronie stolika, na wypadek gdyby Tony chciał na chwilę usiąść i pogadać.

- Co tam, chłopcy? - zapytał, wskazując głową papiery rozłożone na całym stole i na stojące na nich cztery kubki i dwa białe termosy. Bywalcy pijali kawę litrami, więc Tony znalazł szybszy sposób obsługiwanania ich i przynosił im termosy, a nie tylko kubki.

- Wiesz o kolacji w piątek, tak? - zapytał George, a Quinn kiwnęła głową. - Widziałeś informację od frontu? A inne, które kumple rozwieszają po całym mieście? - Quinn znów przytaknęła. - A widziałeś banner Harry'ego, który powiesił na swojej maszynie?

- Cóż, tak daleko jeszcze nie doszedłem - przyznał Delaney - ale ten pomysł brzmi wspaniale. Więc o co chodzi? Jest jakiś problem?

- Tak, jest, jak samo licho - potwierdził George, opuścił głowę na beczkowaty tors i potrząsnął nią. - Ona chce, żebym wygłosił przemówienie - wymamrotał, tak że Quinn musiał wyteżyć słuch, żeby zrozumieć, co mówi.

- Ona? Chyba chodzi o Shelley, tak? Przemówienie?

- Tak, tak, tak. Przemówienie. Czy nie to powiedziałem?

- Spokojnie, George - powiedział Harry, poklepując przyjaciela po ramieniu - po tym z wytatuowaną kotwicą i zaplecionym na niej węzłem. Potem spojrział przez stolik na Quinna. -

Nie widziałem go w tak złym stanie od czasu jego ślubu. Zemdlał tuż przed ołtarzem. Zdejmował bez mrugnienia okiem snajperów, ale kiedy przyszło do powiedzenia „tak”, facet zwałił się na ziemię jak drzewo. Kto by to przypuszczał?

- Zamknij się, Harry - rzucił George i popatrzył prosto na Delaneyę. - Ona mówi, że ktoś musi coś powiedzieć na takiej imprezie. I to nie raz, ale na wszystkich trzech ustawieniach, turach - czy jak tam to ona nazywa. Więc pomyślałem, że skoro jesteś pisarzem i w ogóle...

Jak do tego doszło? Trafiony własną kulą? Być może. Jednego był pewien - to było więcej niż kompletne pograżenie się. Nie mógł napisać przemówienia. Do licha, w college'u przebrnął przez angielski tylko dlatego, że spotykał się z córką nauczyciela. Miał głowę do liczb. Fakty, cyfry, sprawozdania. Ale nie przemówienia, które mają opróżnić czyjeś kieszenie.

- Jasne - powiedział beztrosko, obserwując George'a spod przymkniętych powiek. - Z największą przyjemnością - skłamał. - Czy to są twoje notatki? - zapytał, zbierając kilka kartek i składając je razem.

- Tak, to moje notatki. Po prostu kilka rzeczy o chłopakach, wiesz. O tych, którzy nie wrócili. Chcę, żebyś ich pokazał z jak najlepszej strony, dobrze?

Quinn spojrzał na pierwszą od góry kartkę. Na szczęście był to komputerowy wydruk, zrobiony prawdopodobnie przez żonę George'a, która pisała także codzienne menu dla Tony'ego. Przeczytał na głos:

- Bender William, lat dziewiętnaście. Artylerzysta. Zaginiony w akcji, w terenie, od 1971. Grał na drugiej bazie w Warriors we Wschodnim Wapeneken. Ministrant w kościele świętego Michała. - Tak zwięźle, tak prosto. A jednak tych kilka linijek mówiło tak wiele.

Spojrzał na bywalców, na ich twarze o podwójnych podbródkach, z nosami przypominającymi nieco kartofle - na twarze mężczyzn, którzy większość czasu spędzali poza domem, a resztę na piciu piwa. Zajrzał im głęboko w oczy po raz pierwszy i zo-

baczył w nich niemal stuletnie doświadczenie. Pomyślał, że kiedyś wszyscy byli dziewiętnastoletnimi chłopakami, którzy grali w baseball, może śpiewali w kościele, prawdopodobnie zabawiali się ze swymi dziewczynami na tylnym siedzeniu chevy'ego rocznik '57 i którzy stanęli twarzą w twarz z horrorem wojny, zanim jeszcze osiągnęli wiek uprawniający do głosowania.

- Zajmę się tym, George - obiecał cicho i mówił to poważnie.

- Hej! Wracać tu! Nikt nie wychodzi bez płacenia!

Quinn obrócił się, słysząc krzyk Tabby, która wskazywała na dwóch chłopców w wieku około trzynastu lub czternastu lat, którzy śmiejąc się, kierowali się do wyjścia.

Shelby, która wciąż pracowała nad tablicą ze specjalnościami dnia i prawdopodobnie poprawiała po Tabby nie tylko jej pomysłów pisownię, stanęła wyprostowana przy zamkniętych drzwiach, kiedy Delaney wyskakiwał zza narożnika. Rozpostarła ramiona i zablokowała wyjście. Wyglądała jak ugrzecznoniona, ponadwymiarowa wersja jednego z tych pluszowych zwierzątek, które przyssawkami przyczepia się do okna w samochodzie - chociaż nie sądził, żeby mógł jej to kiedykolwiek powiedzieć.

- Z drogi, paniusiu - powiedział do niej jeden z chłopców i uniósł rękę.

Wielki błąd.

Shelby porzuciła swą pozę i postąpiła dwa kroki do przodu, stając nos w nos z nastolatkiem. Uniosła brodę, a jej zmrużone oczy błysnęły złowrogo.

- Chłopcze, nie mogłeś wybrać gorszego dnia, żeby mnie zdenerwować - wycedziła.

I wtedy, gdy Quinn chwycił drugiego nastolatka za kark, wysunęła nogę i zrobiła coś raczej dziwnego, niezgrabnego, ale w niejasny sposób przypominającego judo. Chwyciła uniesione ramię chłopaka i po chwili przerażony nastolatek patrzył na nią już z podłogi.

- Ooo! Super - powiedział z uznaniem wyrostek złapany przez Quinna.

Delaney zjrzał przez przejrzyste szklane drzwi do małego przedsionka, gdzie miejscowy szef policji zapamiętale grał z automatem w pokera.

- Chcesz, żebym powiadomił Barneya Fife'a czy wypuścisz ich na wolność, jeżeli zapłacą za posiłek?

- I przeproszą - dodała Shelby, wciąż całkiem z siebie zadowolona, nawet jeżeli sama była także bardzo zaskoczona tym, co zrobiła. Dwukrotnie w ciągu jednego dnia, na litość boską. - Na piśmie - dodała, a leżący na podłodze chłopak zawył. - W formie eseju na temat: „Dlaczego uczciwość jest ważna”.

- I bezpieczniejsza - dodał Quinn i zaśmiał się.

Trochę pomrukując i nieudacznie zgrywając chojraków - co było dość trudne w dżinsach z szerokimi nogawkami, które ciągnęły się kilka centymetrów po ziemi - chłopcy zapłacili rachunek i obiecali dostarczyć swoje wypracowania do piątku.

- I dobrze wiemy, kim jesteście - zawołał za nimi Quinn, ostrzegając ich w ten sposób, że sprawdzi, czy wypracowania dotarły na czas. Winowajcy stanęli w miejscu, odwrócili się i opuścili ramiona.

- Wiemy? - zapytała zmieszana Shelby.

- O, tak, Shelley, wiemy. Tylko posłuchaj. - Uniósł głowę i krzyknął przez ściankę: - Czy ktoś zna tych dwóch chłopców?

Usłyszeli chóralne „tak”, które zabrzmiało jak zbiorowa odpowiedź ludzi biorących ślub.

Delaney uśmiechnął się szeroko, a twarze nastolatków pobladły.

- Do zobaczenia w piątek - powiedział i zaśmiał się, kiedy chłopcy odwrócili się i pobiegli. Nadal nie wiedział, gdzie mieszkali, ale to nie miało żadnego znaczenia. We Wschodnim Wapeneken każdy znał każdego i matki tych chłopców prawdopodobnie i tak usłyszą o małej eskapadzie swych synków jeszcze przed kolacją.

Shelby zamknęła kasę i pochyliła się nad nią. Quinn usłyszał jej nierówny oddech. Położył ręce na jej ramionach i odwrócił ją do siebie.

- Hej, jesteś bohaterką. Dlaczego płaczesz?

- Nie wiem - odpowiedziała szczerze. - Ale sędzę, że miałeś rację. Nie jestem w stanie dziś pracować. Ci chłopcy... To chyba za dużo dla mnie jak na jeden raz. Chcę wrócić do siebie.

Delaney walczył z pragnieniem przytulenia jej, wiedział, że pojedyncze łyży mogą zamienić się w prawdziwy potok, jeżeli zrobi to tu, w restauracji. Shelby była silna, niesamowicie silna, ale miała już dosyć, w końcu zaczęła się poddawać.

-Już się robi - powiedział pokrępijając i poszedł do Tabby, żeby ją powiadomić, że teraz ona wszystkiego pilnuje, dopóki Tony nie znajdzie kogoś w zastępstwie.

- Tak, chciałbyś - odrzekła kelnerka, balansując trzema taca-mi. - Weźmie pewnie do pomocy jedną z tych pań z kościoła - dodała, nawiązując do starszych kobiet, które prawie każdy po-siłek jadły w restauracji i często pomagały podczas prywatnych przy-jęć w sali na tyłach restauracji. - Lepiej zabierz Shelley do domu - dodała, wskazując ją skinieniem głowy. - Wygląda, jak-by miała zaraz zwrócić swoje śniadanie.

Shelby pozwoliła mu obejmować się w talii przez całą dro-gę do mieszkania. Kiedy szli, opierała głowę na jego ramieniu. Czerpała od niego siłę i otuchę, ponieważ tego potrzebowała, pragnęła, nie potrafiła sobie wyobrazić, że przy kimkolwiek innym mogłaby się czuć tak bezpieczna.

Nawet jeżeli nie cierpiała go za to, że był kłamliwym dono-sicielem...



Zrzuciwszy z nóg buty, Shelby odpoczywała na kanapie. Obserwowała Quinna, który przyrządzał jej herbatę.

Wyglądał tak słodko, tak po domowemu. Słodziutki i drań. Opiekuńczy i kłamca. Dbający i kochający, i niesamowicie słodki. I kłamliwy skurczy...

- Dwie łyżeczki cukru, zgadza się? - zapytał, stawiając na stoliku do kawy czarną, plastikową tackę z jaskraworóżowym napisem „Miłość jest lepsza w Maryland”. Zdaje się, że Brandy i Gary próbowali, jak to jest z tą miłością w różnych miejscach. - I włożyłem pieczywo do toster. Domyślam się, że powinnaś coś zjeść, ale nic ciężkiego.

I Shelby, co zupełnie bezsensowne, usłyszała, że znów przeprasza. Czyż nie spędziła całego życia na przepraszaniu za to, że nie była idealna? Prawdopodobnie dlatego tak trudno było jej ten nawyk przełamać.

- Dziękuję, to bardzo miłe. Bardzo przepraszam, że jestem takim ciężarem.

Quinn podał jej parujący kubek, wziął drugi dla siebie, po czym usiadł przed kanapą i założył nogę na nogę.

- A za co ty, do licha, przepraszasz? Za to, że prawie zostałam pobita? Że powstrzymałam dwóch punków, którzy chcieli oszukać Tony'ego? Że płakałam, co tym samym jest przeprosinami za to, że jesteś człowiekiem? Myślę, że jesteś naprawdę cudowna, jeżeli rzeczywiście chcesz wiedzieć.

Shelby poczuła, że cała się usztywnia.

- Masz rację. Nie powinnam przepraszać, prawda? W porządku, cofam te przeprosiny i zastępuję je podziękowaniem za to, że mnie dziś uratowałeś. Dwa razy.

Uśmiech, który ujrzała w oczach Quinna, poruszył jej serce.

- Tak, ja też jestem cudowny, prawda? Właściwie jesteśmy parą bohaterów. I zasłużyliśmy na nagrodę.

Shelby wciąż mu się przyglądała, zdumiona tym, jak bardzo chciała go pocałować, znaleźć się w jego ramionach i dziko, namiętnie kochać się z nim... i to mimo iż wiedziała, że ją oszukał, straszliwie ją oszukał.

- Nagrodę?

Wyjął kubek z jej rąk i pociągnął ją, by stanęła na nogach.

- Tak, Shelley, nagrodę. A teraz, ponieważ jestem pewien, że powiesz mi, iż czujesz się zobowiązana pracować jutro, mimo że masz dzień wolny, możemy zaplanować dzień dzisiejszy...

- Oczywiście - odparła Shelby - kobieta, która nigdy nie składała żadnych obietnic ani nie dawała słowa, jeżeli nie miała pewności, że ich dotrzyma. Ale skąd on to o niej wiedział? Skąd ona wiedziała, że on zachowywał się dokładnie w taki sam sposób? I czy to przede wszystkim dlatego postanowił znaleźć się we Wschodnim Wapeneken? Przyjął posadę ochroniarza Tate'ów i teraz po prostu kończył zadanie? I czy to nadal była dla niego praca? Czy człowiek mógł kochać się z „zadaniem“?

Wielu by mogło. Jednak Quinn, pomyślała, prawdopodobnie nie mógłby. Z pewnością nie mógłby. Potrafiła to stwierdzić teraz, kiedy miała więcej czasu, żeby zastanowić się nad tym na spokojnie, a nie pałając gniewem.

A to oznaczało, że mu się podobała. Nie była dla niego jedynie zadaniem do wykonania, była czymś dużo poważniejszym niż praca. Uśmiechnęła się, nieświadoma, że Quinn ją obserwuje, i nagle poczuła się dużo lepiej.

Ale jednak okłamał ją. Nadal ją okłamywał. Tak jak i ona okłamywała jego. Jak, na Boga, każde z nich przejdzie kiedyś przez tę straszną prawdę?

- Shelley? Wyglądasz, jakbyś była bardzo daleko stąd - powiedział Delaney, ściskając jej ręce. Pocałowałyby ją, ale jakiś szósty zmysł ostrzegał go, że coś w ich związku się zmieniło, odkąd się kochali. Naturalnie zbliżyli się do siebie, ale równocześnie odsunęli się.

Nie umiałby tego wyjaśnić, nawet gdyby ktoś go o to poprosił, ale w Shelby był jakiś nowy niepokój, nawet jeżeli czuła się przy nim bardziej swobodnie. Jak na człowieka, który lubił mieć pewność, Quinn miał spore kłopoty ze zrozumieniem tej kobiety, którą tak niespodziewanie pokochał.

- Hmm? - zapytała, wciąż zastanawiając się, czy to naprawdę takie straszne kochać się z tym mężczyzną, skoro oboje wiedzieli, że bawią się w jakąś grę. Jeżeli to była gra, a co, jeżeli ich związek wykroczył poza zasady gry i niemądre ograniczenia świata? I jeżeli miłość wkroczyła w to równanie...

Jednak oboje znajdowali się teraz w podobnej sytuacji, wiedząc nawzajem o sobie, chociaż Quinn jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. A to na chwilę obecną wyglądało całkiem uczciwie.

- Powiedziałem, że skoro masz zamiar pracować jutro, to może byśmy poszli na piknik do parku już dzisiaj? Tylko we dwoje.

- Moglibyśmy tak zrobić - zgodziła się Shelby i zrobiła krok do przodu, odpowiadając na miłosny uścisk - chociaż na chwilę - i obejmując go. - Albo moglibyśmy zostać tutaj - dodała i przytuliła twarz do jego szyi.

Quinn przymknął oczy, złapany w potrzask. Z jednej strony nagłe, silne, gorące pożądanie, a z drugiej przebłysk myśli, że Shelby mogłaby zakochać się w kimś, o kim tylko myślała, że wie, kim był, a nie w kimś, kim był naprawdę. Ta myśl stała się bolesna, a prawda mogła zranić. Jednak musiał jej teraz powiedzieć prawdę, a ona albo go spoliczkuje, albo mu wybaczy.

Czuł jej usta, jak wędrowały po jego skórze, a koniuszek języka rysował wzory na jego szyi. Czy mógł ją odepchnąć, posadzić na krześle i powiedzieć, że jej brat zatrudnił go, żeby jej pilnował? Wyznać, że nie jest pisarzem, że jest kawałem drania, ale kocha ją i czy wobec tego mogłaby mu wybaczyć? Zamienić jej już i tak zły dzień w naprawdę fatalny?

Czy po prostu powinien zdać się na los i mieć nadzieję, że Shelby naprawdę zakochała się w nim, a nie w marzeniu, nie w przygodzie? Czy kochanie się z nią drugi raz byłoby podwój-

ną zbrodnią, czy też pomogłoby jej zrozumieć, że to, co czuła, było miłością, a nie tylko pożądaniem czy też odreagowaniem dwóch strasznych wydarzeń, które ostatnio przeżyła?

- A, co tam... - Wątpliwości się rozwiały, a jego umysł w cudowny sposób stał się pusty, kiedy Shelby wsunęła nogę pomiędzy jego uda i lekko się przycisnęła. To wstrząsnęło nim do głębi i kazało mu w ogóle przestać myśleć, a zacząć działać.

Uniósł ramiona i zamknął Shelby w uścisku. Poruszył głową, szukając jej ust i odnajdując je. Gwałtowne pożądanie, które poczuł przed chwilą, zastąpione zostało nowym uczuciem, dotąd mu nieznanym, przynajmniej do momentu, gdy kochał się z Shelby Taite.

Czuł namiętność, to oczywiste. Czuł rozgrzewające do czerwoności pożądanie. Ale było też coś jeszcze, coś ledwo uchwytnego, jakaś nierozpoznawalna różnica w jego reakcji na zachętę jej ust, jej ciała, jej słodkiego zapachu.

To była chęć zapewnienia jej opieki, przyjemności, rozkoszy. Pragnienie obsypania jej ciała pieścizotami, pragnienie złożenia obietnicy, że zawsze będzie ją kochał, choć prawdopodobnie to nigdy nie będzie wystarczająco mocno, nawet gdyby oboje żyli jeszcze tysiąc lat.

Tak dobrze do niego pasowała. Doskonale - jakby byli sobie przeznaczeni.

Jego dłonie wędrowały po jej ciele i Shelby zaczęła cichutko pojękiwać. Miała wrażenie, że była jedynie w połowie żywa, dopóki Quinn jej nie dotknął, dopóki jej nie pokochał. Jeżeli nie mogliby mieć tego na zawsze, jeżeli prawda, którą ostatecznie musieli sobie wyznaczyć, może zniszczyć to, co mieli teraz, czy można ją winić za branie tego, co brać mogła, i dawanie tego, co dać musiała?

Łzy popłynęły jej po twarzy, kiedy oboje z Quinnem ukłękli na dywanie. Ich ciała znajdowały się tak blisko siebie, ich ręce były takie zajęte, a wargi jeszcze bardziej zabiegane.

Pragnę, pragnę, pragnę - zaśpiewała w myśli Shelby, żarliwie, chciwie całując usta Quinna, tak jak on całował jej.

Teraz i na zawsze. Teraz... z nadzieją na zawsze... - powiedział do siebie Quinn. Położył Shelby na plecy, zajął głęboko w jej wilgotne oczy i poczuł, że coś go zaczyna dławić w gardle, że staje się nieporadny, jakby pierwszy raz leżał z kobietą.

I w pewnym sensie tak było. Ich pierwsza noc była magiczna, ale teraz było jeszcze wspanialej. Bardziej słodko. Gorąco. Delikatnie. To wspomnienie pozostanie w nim na zawsze, nawet jeżeli już nigdy więcej nic ich nie spotka.

Drżała delikatnie, kiedy sunął dłonią w dół jej ciała, wślizgnął się pod bieliznę i odnalazł jej najczulsze miejsce. Uwielbiał ją.

Uniosła się, wychodząc mu na spotkanie, bez cienia wstydu, bez obaw. Całkowicie oddawała się tej chwili, biorąc wszystko, co mógł jej dać, i oddając wszystko, co posiadała, i jeszcze więcej.

Nawzajem się dotykali, gładzili, całowali, rozpinali sobie kłopotliwe guziki i suwaki, by odsłonić gorące, parujące ciała.

Razem unosili się na falach namiętności, a każda była coraz wyższa i wyższa, a ich pragnienie stawało się bardziej gwałtowne.

Shelby wbiła paznokcie w plecy Quinna i odrzuciła wszelkie obawy, pozwalając mu porwać się jeszcze wyżej, pragnąc razem z nim poszybować do gwiazd.

Przez pewien czas jedynym dźwiękiem rozlegającym się w pokoju były ciężkie oddechy i mrużenie Księżniczki, która otarła się o Delaneyę raz czy dwa, a potem wskoczyła mu na plecy, a stamtąd na kanapę, gdzie zajęła swoje ulubione miejsce na poduszce.

Shelby, która obserwowała pochód Księżniczki, zachichotała i zapytała:

- Uważasz, że ją deprawujemy? Czy koty mają moralność?

- Nie wiem. Ale mają pazury - ręcę za to. Czy już ci mówiłem, że cię kocham? Bo kocham cię, wiesz - dodał Quinn, składając na jej czole pocałunek, patrząc na nią, na ich wciąż połączone ciała, które bez siebie nigdy nie były całością.

Uśmiech Shelby zbladł. Czy on mówił to na poważnie? Czy mógł tak myśleć naprawdę? Do licha, nie powinna była znów

się z nim kochać. Powinna była dużo lepiej się zastanowić, zanim znów zaczęli się kochać. Ponieważ powiedział, że ją kocha, ale nie powiedział jej prawdy. Nie powiedział, że wie, kim ona jest, czym jest. Chciała się zakochać w kimś, o kim wiedziałaby, że kochał ją dla niej samej, a nie dla jej majątku.

- Shelley? - zapytał, kiedy nie odpowiedziała.

Nawet nie używa mojego prawdziwego imienia, chociaż je zna. Musi je znać.

- Chciałabym teraz wstać - powiedziała w końcu, bezskutecznie odpychając jego nagie ramiona.

Quinn wiedział, kiedy należy naciskać, żeby otrzymać odpowiedź, a kiedy poczekać na stosowniejszą chwilę. Wiedział, kiedy mówiono mu prawdę, a kiedy osoba, której zadawał pytanie, zrobiłaby wszystko, by nie udzielić odpowiedzi wprost. W tym momencie Shelby prawdopodobnie nie podałaby mu nawet aktualnej daty, tylko dlatego, że to on o nią zapytał. Z pewnością nie zamierzała wybuchnąć: „Ja też cię kocham, Quinn”, bo on tak głupio i nieudolnie wyznał jej miłość.

Czuł, był o tym głęboko przekonany, że ona mu nie ufała. Nie wiedział dlaczego, ale nie chciał uwierzyć, że mogła w końcu przejrzeć jego grę, a gdyby zapytał ją, dlaczego tak nagle zrobiła się zimna, wymigałaby się od odpowiedzi albo by skłamała.

Chociaż może poczułby się lepiej, słysząc kłamstwo niż prawdę, jeżeli prawdą było, że stanowił jedynie część jej przygody, jeżeli był tylko częścią czegoś, co musiała udowodnić sobie samej, i jeżeli zaraz po tym miał dostać kosza. „Dzięki, było miło, mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.” To właśnie spotykało facetów, którzy nie grali zgodnie z zasadami, którzy niszczyli przyjemność zabawy, mówiąc tak głupie rzeczy, jak: „kocham cię”.

Sięgnął po spodnie, unikając patrzenia na Shelby, kiedy się ubierała. Wiedział, że teraz uznałaby to za pogwałcenie jej prywatności. Mimo iż była namiętną kochanką, należała do tych osób, które uważają, że ludzie powinni się kochać po ciemku, w odpowiednim łóżku. Teraz zapewne była przerażo-

na, że zapomniała o skromności i pozwoliła sobie na taką swawolę, jak turlanie się po pokoju w stroju Ewy.

Była jego kochanką i jego damą. Zawsze była damą, nawet jeżeli stawała się w jego ramionach rozpustna. Boże, ależ on kochał tę niezdolną kobietę!

Wślizgnął się w swoje buty i wstał. Tak wiele myśli. Tyle sprzeczności. Shelby Taite była pełna sprzeczności. Była chłodną, jasnowłosą dziedziczką. Hostessą u Tony'ego. Kobieta, która wczoraj spanikowała na widok myszy, a dzisiaj nie poddała się niedoszłemu porywaczowi i dwóm dobrze się zapowiadającym nastoletnim przestępcom. Kobieta, która jeszcze przed chwilą płonęła w jego ramionach, a teraz zmieniła się w lodowatą dziewicę, pragnącą jedynie, żeby natychmiast opuścić jej mieszkanie.

Stała odwrócona do niego tyłem i wyciągała spinki, które pozostały jeszcze we włosach.

- Ja naprawdę... hmm, to znaczy, myślę, że najwyższy czas, żebym zajęła się... mnóstwem... drobnych prac domowych, tak, prac domowych, które ostatnio zaniedbałam. - Rozpuściła włosy, przeczesła je palcami i odwróciła się. - Czy tak będzie w porządku?

Delaney chciał zaprzeczyć, powiedzieć, że to nie jest w porządku. Chciał ująć ją za ramię, posadzić na kanapie, i wyznać wszystko - posunąć się nawet do tego, by ją ostrzec, że być może znajdowała się w poważnym niebezpieczeństwie - nawet jeżeli sam nie mógł w to uwierzyć. Nikt nie zabijał złotej kury. Nikt, tylko idiota.

Ale jeżeliby jej powiedział, to co wtedy?

Cóż, po pierwsze, prawdopodobnie spoliczkowałyby go. Na co zasłużył. Po drugie, prawdopodobnie uciekłyby do rezydencji Taite'ów, jak tylko potrafiłyby najszybciej. Po trzecie, natychmiast posłubiłyby Parkera Westbrooka III. Nie chciałyby więcej Quinna widzieć, rozmawiać z nim, podarować mu kilku minut, by mógł czołgać się u jej stóp i błagać ją, by go pokochała.

Czas. Potrzebował czasu, żeby Grady skończył swoje dochodzenie. Żeby Shelby uwierzyła mu, że kocha ją prawdziwie. Żeby zgromadzić na swoim koncie więcej pozytywów, tak by zdołały zagłuszyć negatywy i odesłały je w zapomnienie.

Przyciagnął ją bliżej i pocałował w policzek.

- Przepraszam, Shelley. Nie powinienem był nic mówić. Za bardzo się pospieszyłem, prawda? Czy zobaczę cię dziś wieczorem?

Pokręciła głową, unikając jego wzroku.

- Ja... ja naprawdę potrzebuję dla siebie więcej czasu - odparła. Uniosła dłoń i dotknęła jego policzka. - Ale zobaczymy się jutro, u Tony'ego?

Uściskał jej dłoń, nim ją cofnęła, i złożył na niej pocałunek.

- U Tony'ego, w południe. Tam gdzie ty jesteś, Shelley, tam chcę być i ja.

- Och, Quinn... - powiedziała łamiącym się głosem. Odepchnęła jego ramiona i pobiegła w stronę bezpiecznej sypialni.

Nie trzeba było instynktu policjanta czy specjalisty do spraw ochrony, by wiedzieć, że nadszedł czas, aby wyjść. Delaney schylił się, podrapał za uchem mruczącą Księżniczkę i opuścił mieszkanie, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Pukanie do drzwi i nawoływanie przeszkodziły mu kilka godzin później - Quinn zerknął na zegarek i jak przez mgłę zobaczył, że jest po ósmej. Wstał i tylko trochę się kołysząc, podszedł do drzwi i uchylił je. A potem odwrócił się, skierował w stronę kanapy i rzucił się na poduszki, mówiąc:

- Wejdz, Gary. Czuj się jak u siebie w domu. Jest jeszcze mnóstwo piwa - zakończył, wskazując na puste brązowe butelki, ustawione szeregiem na kilku szydełkowych serwetkach.

Był pijany, kompletnie pijany, ale to jeszcze nie znaczyło, że przestał się obawiać pani Brichty, która mogłaby odkryć białe krążki po piwie na jej meblach. Pijany - tak. Kompletnie głupi - nie.



- O, rany - jęknął Mack, kierując się w stronę małej kuchni. - Jaka ciężarówka tak cię uderzyła?

- Aż tak źle, co? - zapytał Quinn, przeczesując palcami włosy i poprawiając koszulę, która wyszła mu ze spodni. Chyba że w ogóle nie włożył jej w spodnie, kiedy wychodził od Shelby - na jej wyraźne żądanie. - Może powinienem wziąć prysznic?

Gary wzruszył ramionami, usiadł na wyściełanym perkalnym krześle i wziął do ręki pilota od telewizora.

- Zajmij się sobą. Ja w tym czasie pooglądam Filadelfijczyków. Dziewczyny poszły do kina. Wiesz, na jeden z tych cikliwych, kobiecych filmów, gdzie ktoś na końcu umiera powolną, bolesną śmiercią, i to nazywa się podnoszeniem na duchu. Nigdy tego nie pojmem. W każdym razie nie wrócą przed dziesiątą, a może i później, jeżeli wstąpią na deser lodowy, a założę się, że to zrobią. Jadłeś już kolację? Nie, przypuszczam, że nie. Zadzwońię po pizzę.

Delaney machnął bezładnie rękami, wyrażając zgodę, po czym wyszedł z pokoju, zdejmując po drodze koszulę. Potrzebował towarzystwa tak jak i kolejnego piwa, ale rezolutny Gary zdawał się uważać, że był tak mile widziany jak kwiaty w maju, a Quinn nie potrafił wyprowadzić go z błędu.

Piętnaście minut później wrócił do salonu z wilgotnymi jeszcze włosami po długim i głównie zimnym prysznicu. Mack kończył piwo i pochylał się do przodu na krześle, całkowicie skoncentrowany na grze.

- Uderzenie? - wybuchnął chwilę później, zwracając się do telewizora. - Ty to nazywasz uderzeniem? Strefa uderzenia kończy się na jego kolanach, palancie, a nie na kostkach!

Quinn uniósł obie ręce do głowy, żeby sprawdzić, czy znajdowała się jeszcze na swoim miejscu po tym okrzyku oburzenia. Jeżeli w tym miasteczku człowiek chciał zatopić swoje smutki w samotności, najpierw powinien znaleźć stary, opuszczony schron przeciwbombowy z lat sześćdziesiątych i zamknąć się od środka na klucz.

- Hmm, Gar? Zamówiłeś już pizzę?

Narieczony Brandy od dwunastu lat, prawie trzynastu, spozryzał w górę i przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

- He? A, pewnie, pewnie. Będzie tu za jakieś dziesięć minut. Wyglądasz lepiej. Niedużo lepiej, ale lepiej. O co chodzi? Ty i Shelley pokłóciliście się?

- Pokłóciliśmy się? - powtórzył Delaney, siadając na kanapie. - Nie. A dlaczego pytasz?

Jednym okiem wciąż spoglądając na telewizor, Mack wyjaśnił:

- Nie wiem. Po prostu Brandy nie chciała mnie wypchnąć, kiedy chciałem z nią porozmawiać. I wtedy przez chwilę widziałem Shelley, która wyglądała jakby płakała. A, no i jesteś pijany. To drugi powód, dla którego... O! Świetnie! Biegnij do bazy! - Machnął pięścią w kierunku sufitu. - Naprzód, Phils!

Quinn doszedł do wniosku, że dwanaście aspiryn to była by chyba przesada i poszedł do kuchni, żeby popić szklanką wody trzy tabletki.

Albo to aspiryna, albo pierwszy prawdziwy posiłek, który zjadł w ciągu całego dnia, pomógł mu się uwolnić od najgorszego bólu głowy od czasu, kiedy Filadelfijczycy ulegli Piratom. Nagle Quinn zdał sobie sprawę, że ostatnią rzeczą, o którą chciałyby poprosić Gary'ego, było zostawienie go samego.

Musiał z kimś rozmawiać. Grady'ego nie było. Maisie nie było. Brandy nie brał nawet pod uwagę. Tak więc został tylko Gary.

Spojrzał w otwartą twarz mężczyzny, na której stale obecny był uśmiech. Gary Mack był wspaniałym, dużym, umięśnionym pluszowym misiem. Był także narieczonym Brandy, a Brandy miała usta, o jakich babcia Quinna mawiała, że nigdy się nie domykały.

Brandy wiedziała o Shelby. Delaney mógłby się o to założyć. A skoro wiedziała Brandy, istniała szansa, że wie także Gary. I, ciągnąc dalej tę myśl, jeśli Gary wiedział, to może mógł mu pomóc. Albo przynajmniej wysłuchać go.

- Gar - zaczął, podnosząc pilota i wyłączając pokazy po meczu. - Czy mogę ci zaufać? To znaczy, nie chcę, żebyś położył rękę na sercu i przysiągł na swoją głowę ani nic takiego, ale czy mogę liczyć na to, że to, co powiem, zostanie między nami?

Mack popatrzył przez chwilę pustym wzrokiem, po czym wzruszył ramionami.

- Jasne. Czemu nie?

- Nie powiesz Brandy?

- Brandy? Nie. Gdybym jej powiedział, zaczęłaby zadawać pytania, a potem by się wściekła, że ja nie pomyślałem o tym, żeby te pytania zadać. A potem ja bym ją zapytał, czy uważa, że jestem głupi, a ona by odpowiedziała, że oczywiście, że nie jestem głupi, ale za to jestem tępy i skończylibyśmy wielką kłótnią. Nie mówię Brandy wielu rzeczy. Tak jest prościej. Poza tym ona i tak mówi za nas dwoje.

Wobec tego Quinn mu powiedział. Był wciąż na tyle pijany, żeby mu powiedzieć. Wyznał Gary'emu wszystko, a potem usiadł i czekał na jego reakcję.

Trwało to chwilę, ale warto było.

- Ochroniarz, tak? - powiedział w końcu Gary. - Taki z bronią i opancerzonymi samochodami, terrorystami i innymi takimi? Tak, jasne, na pewno taki. Super.

Quinn wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Najwyraźniej Mack nie zrozumiał istoty rzeczy. Ale pokładał wiarę w tym człowieku. Będzie się do niej zbliżał i zbliżał.

Nie mówił nic, a Gary myślał jeszcze przez jakiś czas.

- Nie znam się na etyce i tym wszystkim, ale sypanie z dziewczyną, którą masz ochraniać? To brzmi dla mnie zdecydowanie zbyt niebezpiecznie, jeżeli się dowie. Tylko że, jak sądzę, już o tym pomyślałeś - trochę za późno, ale jednak o tym pomyślałeś. Człowieku, jeżeli Shelley choć trochę jest podobna do Brandy, to już nie żyjesz.

- Dzięki - powiedział Delaney i poczekał na ciąg dalszy. Obserwowanie Gary'ego Macka, kiedy myślał, było ciekawym doświadczeniem. Prawie mógł dostrzec przepływ myśli,

ich ruch, ich powolne gromadzenie się, do momentu kiedy było ich już wystarczająco dużo, by przejść do konkluzji. Przypominało to nieco patrzeć na melasę, gdy pokonuje drogę do szyjki butelki - fascynujące.

Gary oglądał swoje palce, dotykał jednym drugiego, wyliczał fakty, gromadził je, sortował.

- Jak mogła nie wiedzieć, że ją okłamywał, skoro on ją naprawdę okłamywał? Jak mogła mówić, że go nie okłamywała, jeżeli ona okłamywała jego? A ten Parker? A co, jeśli on jest złym człowiekiem, a nie jedynie durniem, który na nią nie zasługuje? A co, jeśli nie jest?

Kiedy Gary na chwilę przerwał i zaczął żuć dolną wargę, Quinn wstał i przyniósł mu jeszcze jedno piwo.

- Nie może powiedzieć, że ją kocha, ponieważ to też mogłoby być kłamstwem. Musi ją chronić, pilnować jej. - Pokręcił głową. - Nie powinien być się z nią kochać. Nie powinien być mówić o miłości. A ona wyjeżdża po kolacji na rzecz pomnika. Rany, to jest naprawdę skomplikowane. Nie wiem...

- Hej, przerwij na chwilę, Gary - powiedział Quinn i usiadł na brzegu kanapy. - Shelby wyjeżdża po kolacji w ten piątek? Jesteś tego pewien?

Mack złapał się ręką za usta i w desperacji przez chwilę przewracał oczyma.

- Chyba nie powinienem być tego mówić, prawda? Nie, jestem pewien, że nie powinienem. Ale obiecuję, Quinn, że nie popełnię tego samego błędu przy Brandy. Obiecuję.

- Wierzę ci - zapewnił go Delaney, nie wierząc mu ani trochę. - I kiedy nie będziesz nic mówił Brandy, upewnij się, że wszystko dobrze rozumiała, żeby uwierzyła, że naprawdę kocham Shelby, że chcę się z nią ożenić i zrobię to. I żeby nic nie powiedziała Shelby. Dobrze?

Oczy Gary'ego biegały w tę i z powrotem, kiedy w myślach powtarzał usłyszane słowa.

- Załatwione - powiedział w końcu. - A ja z pewnością chcę piwo, bo wreszcie to rozumiałem.

## 28

Quinn i jego ból głowy obudzili się następnego ranka o dziewiątej siedemnaście. O czym się dowiedział, gdy spojrział na zegarek, który stał obok. Wskoczył z łóżka, chociaż zdawał sobie sprawę, że jest już za późno, żeby odprowadzić Shelby na śniadanie do Tony'ego.

Trzymając się za pulsującą głowę, zaczął szukać spodni i wtedy uświadomił sobie, że powinien zareagować na ciągłe pukanie do drzwi.

Shelby?

Nie, wążliwie.

Pani Brichta?

Nie, ona ma swój klucz. Weszłaby sama, tak jak któregoś dnia, kiedy zastała go wychodzącego z łazienki po wzięciu prysznic, jedynie z ręcznikiem owiniętym wokół bioder. Nie przeprosiła go, a jedynie powiedziała, że już od lat nie przeżyła takiego „taniego dreszczu”, po czym zaczęła odkurzać meble w salonie.

Quinn przeczesał palcami włosy, zamrugał, otrząsnął się jak mokry szczeniak i zajął pozycję przed zamkniętymi drzwiami.

- Kto tam? - zapytał wyschniętymi wargami.

- Przyjaciel. A teraz otwórz te cholerne drzwi i wpuść mnie do środka, przyjacielu, albo obaj pożałujemy dnia, w którym urodziliśmy się, aby żyć w tym śmiertelnym zgiełku.

Delaney otworzył szeroko oczy, wpuszczając do nich zdecydowanie zbyt dużo światła, co zwiększyło jego spowodowane kacem cierpienia. Przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi i ujrzał mężczyznę z wielkim uśmiechem na twarzy i walizką w rękę.

- Wuj Alfred?

Alfred Taite majestatycznie minął ośłupiałego Quinna i zręcznie zamknął kopnięciem drzwi.

- Ten sam, drogi chłopcze. O, rany. Wyglądasz tak, jak zazwyczaj ja wyglądam o poranku. Picie to sam diabeł, synu. Trzymaj się od tego z daleka, taka jest moja rada. A teraz, gdzie mogę to postawić?

- Gdzie ma pan to postawić? - Quinn pokręcił obolałą głową. - Proszę nie kazać mi odpowiadać na to pytanie. Nie spodobałaby się panu odpowiedź.

- Aha, nie upiłeś się na wesoło, jak widzę?

- W ogóle się nie upiłem - oświadczył Delaney i padł na kanapę, jedną rękę wciąż przyciskając do czoła. - Nie wypięłem tyle piwa za jednym posiedzeniem od czasów college'u. I nigdy więcej już nie zamierzam wypić tak dużo. Chciałbym jedynie móc uwierzyć, że mam halucynacje i pana tak naprawdę tutaj nie ma. Inni ludzie widują różowe słońce, wie pan. Dlaczego ja muszę widywać Taite'ów?

- To z powodu twojego dobrego serca - odparł wuj Alfred i rozejrzał się po małym mieszkaniu. - Przypuszczam, że to nie jest foyer, prawda?

Quinn zachichotał mimo woli.

- Nie. To już wszystko. Jest jeszcze tylko mała sypialnia. I nie ma żadnego znaczenia, gdzie postawi pan walizkę, bo pan tu nie zostaje. Chociaż pan nawet o tym nie myśli, prawda?

Wuj Alfred obszedł kanapę, schylił się i pomacał poduszki.

- Ach, niewygodne na tyle, by się ich pozbyć. - Kiwnął na Quinna. - Wstań. Dobry chłopiec. - Po chwili dwie kwieciste poduszki spadły na podłogę, a wuj Alfred z satysfakcją wskazał na pustą kanapę. - Sypiałem na gorszych. Z pewnością świetnie ci się tu powodzi, chłopcze.

- Pan nie jest... Ja nie... A, do diabła - powiedział Delaney, podnosząc poduszki i układając je z powrotem, po czym znów zwałił się na kanapę. - Dobrze, walczę z tym już wystarczająco długo. Czas na pytanie za sześćset cztery tysiące dolarów. Skąd pan się tu wziął?

Uśmiech Alfreda Taite'a przybladł nieco pod schludną, srebrną brodą i wąsami.

- Sądziłem, że nigdy o to nie zapytasz. - Ruchem głowy nakazał Quinnowi, by zabrał nogi z poduszki, po czym przysiadł na kanapie, starannie podciągając granatowe spodnie, żeby nie załamać ostrych jak nóż kantów. - Właściwie zostałem wyrzucony na pysk. Somerton już wiele razy mnie tym straszyl, ale dzięki mojej najdroższej bratanicy w końcu zamienił groźbę w fakt. Uparty chłopak z tego Somertona i naprawdę w nieznośny sposób pewny siebie, od momentu gdy walnął pięścią tego Westbrooka w pysk.

Quinn gapił się na starszego mężczyznę przez kilka chwil, próbując zmusić swój umysł do choćby minimalnego wysiłku.

- Kawa - odezwał się w końcu. - Potrzebuję kawy. Około dwóch litrów kawy. Przyłączy się pan do mnie?

- Z przyjemnością - odrzekł wuj Alfred, wstając i idąc za Quinnem do kuchni, która prawdę mówiąc była po prostu wydzieloną częścią salonu. Usiadł na jednym ze stołków przy małym barku, wyciągnął z kieszeni srebrną piersiówkę i postawił ją przed sobą. - Piję czarną kawę, mój chłopcze. Z wkładem. I mimo iż nie przypuszczam, bym mógł cię zainteresować... jak nazywają to niższe warstwy społeczne? A tak, oczywiście. Czy chciałbyś się przyłączyć do łyka?

Delaney spojrział na srebrną piersiówkę i napełnił ekspres do kawy.

- Pan prawdopodobnie dodaje tego nawet do płatków kukurydzianych. - Obszedł bar i usadowił się na drugim stołku. - Porozmawiaj ze mną, wuju Alfredzie. Mów powoli i nie podnoś głosu. Ale porozmawiaj ze mną.

- No, no. Nie wiedziałem, że masz skłonności do melodramatyzowania, synu. Ale dobrze. Skoro muszę, to muszę. Wygląda na to, że jestem... hmm, w tarapatkach finansowych. To znaczy, że jestem kompletnie spłukany i mam większe długi, niż miałbym śmiałość nawet o tym pomyśleć tak wcześnie rano. Jestem pomiędzy dwoma pensjami, co jest niezwykle za-

wstydające i niebezpieczne, zwłaszcza jeżeli weźmie się pod uwagę, u kogo jestem zadłużony - jeżeli za mną nadażasz. Nadażasz za mną. Rany, nieźle sobie radzę z żargonem, prawda? To musi mieć związek z zadawaniem się z tymi wszystkimi obmierzłymi graczami.

W dzbanku było już wystarczająco dużo kawy, więc Quinn podszedł do ekspresu, wyciągnął dzbanek, zastąpił go swoim kubkiem i obserwował, jak się napełnia. Odtworzył w myśli słowa wuja Alfreda. Po napełnieniu i jego kubka wstawił na miejsce dzbanek i wrócił na stołek.

- Jesteś splukany, masz długi u jakichś graczy, jesteś pomiedzy pensjami, a Somerton wyrzucił się na zbity pysk. Tyle rozumiałem. Nie rozumiem jednak, dlaczego jest to wina Shelby i dlaczego, do licha, znalazłeś się tutaj.

Wuj Alfred napił się kawy, po czym pociągnął dwa łyki ze swojej piersiówki.

- O, tak jest dużo lepiej. Nie miałem w ustach alkoholu od momentu, gdy Jim przywiózł mnie tu limuzyną. Nie da się odejść w zapomnienie, chyba że podróżujesz ze stylem. W każdym razie nie my, Taite'owie. To gdzie ja byłem? A, tak. Gdyby twoja głowa nie była taka zalana alkoholem, synu, do tej pory już byś wszystko zrozumiał.

- Nie, nie zrozumiałbym - zaprzeczył Quinn, wypijając duży łyk kawy, i przeklął, bo sparzył się w język. - Nigdy bym się nie domyślił, nawet za milion lat, dlaczego spośród wszystkich miejsc na świecie, do których mogłeś się udać, wybrałeś właśnie Wschodnie Wapeneken.

Alfred Taite napił się ostatni raz z piersiówki, a potem wsunął ją do kieszeni.

- Somerton wierzy, że jego siostra jest prawdziwą bohaterką. Prawdziwą Taite. Niezależną, zawziętą, potrafiącą samodzielnie stanąć na nogi, znaleźć sobie - dopomóż nam, Boże - zatrudnienie i odnaleźć w świecie własną drogę. Z drugiej strony jestem ja, który przynoszę rodzinie Taite'ów wstyd, po prostu i zwyczajnie. Więc kiedy poprosiłem Somertona



o pożyczkę na poczet mojej pensji, w wysokości zaledwie dwudziestu tysięcy, odmówił. Absolutnie i z całą stanowczością odmówił. Więc postanowiłem zrobić to samo, co Shelby: wyruszyć w świat, dać sobie radę samemu, wrócić i spłacić długi w moim własnym imieniu. Wtedy i tylko wtedy Somerton przyjmie mnie z powrotem do zagrody Taite'ów. Zatem, biorąc pod uwagę, jak bogaty jest - jak to się nazywa? rynek pracy? - we Wschodnim Wapeneken, to chyba całkiem naturalne, że przydreptałem tutaj. Mam tu krewną, mam tu przyjaciela - ciebie, synu - a mój przyjaciel ma tu mieszkanie. To był jedyny logiczny krok, naprawdę.

Delaney popatrzył na mężczyznę zmrużonymi oczyma.

- Powiem ci, co jest logiczne. Kto przyjechał za tobą?

Wuj Alfred sięgnął po butelkę, ale zrezygnował z jej wyjęcia.

- Cóż, nieźle jak na przytępiony umysł. To bardzo wnikliwe z twojej strony, synu, naprawdę. Ale nie ma się czym martwić. Prawdopodobnie nie mogli mnie tutaj śledzić. To znaczy, kto by tutaj przyjechał?

- Przyjechałeś tu limuzyną Taite'ów, Alfredzie. Przypuszczam, że nigdy ci nie przyszło do głowy, że ktoś, komu jesteś winny zaledwie dwadzieścia tysięcy, mógłby zapragnąć mieć cię na oku?

- Ojej - stropił się wuj Alfred i tym razem wyciągnął z kieszeni piersiówkę. - Nie pomyślałem o tym. Czy naprawdę sądzisz, że mogłem być śledzony? To znaczy, jakie są na to szanse?

- Ja nie spekuluję - odparł Quinn, obchodząc blat i wylewając resztkę swojej kawy do zlewu. - I nie sądzę, że nie byłeś świadom, że ktoś mógłby cię śledzić. W końcu nie poszedłeś do Shelby, prawda? Nie, ty przyszedłeś do mnie, do ochroniarza Taite'ów. Mam dbać o twoje bezpieczeństwo, chronić cię przed wykidajkami przez następnych dziesięć dni, prawda?

Wuj Alfred strzepnął niewidoczny pyłek z rękawa nowiutkiej koszuli golfowej, dzięki której miał nie wyglądać we Wschodnim Wapeneken podejrzanie.

- Naprawdę mam nadzieję, że Somerton płaci ci wystarczająco dużo, synu. Niewątpliwie jesteś wart każdego centa.

A, i nie martw się o Shelby. Mam nadzieję zobaczyć się z nią już wkrótce. Natychmiast przejdę na jej stronę, tłumacząc, że po rozmowie z Jimem sam domyśliłem się, gdzie ona przebywa, i że przyjechałem wspierać ją na mój własny sposób i samemu także przeżyć przygodę. Uwierzy mi. Jest dobrą dziewczyną. Zawsze mi wierzy.

- Aha - powiedział Quinn, który wciąż miał wątpliwości, ale postanowił większość z nich zachować dla siebie. - A jak zamierzasz wyjaśnić mi twoje zatrzymanie się tutaj, w moim mieszkaniu? Do czego z resztą nie dojdzie, nawiasem mówiąc.

- Nie chcesz mnie? Cóż, jestem zdruzgotany. Jednak rozmawiałem na dole z niezwykle czarującą kobietą i ona poinformowała mnie, że na trzecim piętrze jest mieszkanie dokładnie takie jak twoje. Dasz wiarę, synu - w tym budynku nie ma windy. To szokujące! A zatem, jeżeli nie odmówisz mi pożyczki na opłacenie czynszu za miesiąc, z pewnością natychmiast będę mógł zejść ci z oczu.

Delaney sięgnął do kieszeni i wyciągnął portfel.

- To jest szantaż, wiesz o tym, i to jakiegoś pokrętnego rodzaju, czego jednak nie chcę teraz badać.

- Dobrze, dobrze, nie używajmy takich słów - powiedział wuj Alfred i schował do kieszeni kilka studolarowych banknotów. - Do tej pory wszystko układa się po prostu fantastycznie i jestem pewien, że tak będzie nadal. A teraz, kiedy wszystko zostało ustalone, co ty na to, żebyś znalazł mi pracę? Taką, w której mógłbym po prostu stać i udawać, że jestem zajęty. Jim mówił o firmie, która nazywa się Wal-Mart, jeśli się nie mylę. Jego wuj jest tam recepcjonistą, jak zrozumiałem. Sądzę, że mógłbym to robić i nawet przywiozłem ze sobą mój frak.

- Frak na recepcjoniście w Wal-Mart? Do licha, tego tylko brakowało - roześmiał się Quinn i poszedł wziąć prysznic. Zimny prysznic. Z odkręconymi do końca kranami. W nadziei, że może się obudzi i dowie, że to był tylko koszmar.

Ale był w pełni obudzony, o czym przekonał się, jak tylko wrócił do salonu i ujrzał wuja Alfreda, który przymierzał

właśnie bielsze od bieli tenisówki z paskami w tak jaskrawym purpurowym i niebieskim kolorze, że raziły wzrok. Skończywszy sznurowanie drugiego buta, poruszał trochę palcami u nóg, po czym wstał i przeszedł się po dywanie z nisko opuszczoną głową, aż w końcu wpadł na Quinna.

- A, synu, i co o tym sądzisz? Nigdy jeszcze nie miałem na sobie niczego takiego. No, oczywiście obuwie do tenisa, ale nic tego typu. Jim mówił, że są ostatnim krzykiem mody, a ja chcę się dobrze wpasować. Kupiłem nawet dziesięć takich koszul - dodał, poklepując się po brzuchu. - Każda w innym kolorze tęczy plus dwie białe. I spodnie. Też są nowe. Nie mogę znosić niewygodnego trybu życia bez odpowiedniej garderoby. Takie jest moje zdanie.

- Sądziłem, że jesteś spłukany.

- Jestem, jestem, mój chłopcze. A zakupy to jedyna rzecz, jaką można zrobić, kiedy jest się w tarapatkach finansowych - ale zawsze to coś. To bardzo poprawia nastrój, nie wspominając już o skoncentrowaniu umysłu. - Wziął głęboki oddech, po czym powoli wypuścił powietrze. - Więc gdzie mnie zabierzesz, żeby załatwić mi pracę? Somerton uważa, że jest to niezbędne, by podnieść moje morale czy skrupuły, czy jakiś inny nonsens.

- To zależy - powiedział Delaney, podchodząc do okna i wyglądając na ulicę. Znał każdy parkujący tu zazwyczaj samochód, ale dzisiaj pojawił się nowy. Czarny coupe, ale nie z wypożyczalni. Wypożyczane nie posiadały nielegalnie przyciemnianych przednich szyb. - Zdaje się, że Tony potrzebuje kogoś do zmywania naczyń - oznajmił i odwrócił się do swego gościa, uśmiechając się od ucha do ucha. - Myślę, że doskonale dasz sobie radę.

Wuj Alfred wyciągnął przed siebie ręce, jakby powstrzymując powiew wiatru.

- O, nie. O nie, nie, nie. Chyba nie zrozumiałeś, synu. Tate'owie nie wykonują pracy typowej dla służby. Zresztą, właśnie zrobiłem sobie manikiur... i nie mam najmniejszego poję-

cia, jak wygląda kuchnia... i raczej nie pałam chęcią dowiedzenia się tego i... i... Dlaczego wciąż wyglądasz przez okno?

- Ponieważ wydaje mi się, że mamy towarzystwo, oto dlaczego - wyjaśnił Quinn, obszedł wuja Alfreda i bezlitośnie wyciągnął poły jego koszuli z wartych dwieście dolarów spodni. - Bo jeżeli mam ochraniać i ciebie, i Shelby, łatwiej mi to przyjdzie, gdy będę mieć was oboje w jednym miejscu. A teraz zwichrz trochę włosy. Dobrze, tak jest dobrze. I jakbyś mógł, podepcz trochę te tenisówki, kiedy wyjdziemy z domu - a tak przy okazji, wychodzimy tylnym wyjściem. Palisz?

- Okazjonalnie cygara. Hawańskie, oczywiście. A dlaczego? - zapytał wuj Alfred i z pewnymi oporami poczochnął swą wspaniałą grzywą.

- Teraz jesteś osobą palącą, Alfredzie, dlatego. Mam tu gdzieś paczkę. - Znalazł paczkę w szufladzie. Otworzył ją, wyciągnął trzy papierosy, wsunął pomiędzy tekturkę a celofan cienkie pudełko zapałek, po czym włożył paczkę w podwinięty rękaw koszuli wuja Alfreda. Stał z tyłu i ocenił swoje dzieło. - I odtąd żadnego przycinania brody, dobrze? A teraz, jak będziemy na ciebie mówić?

- Możesz na mnie mówić Al. Zawsze chciałem, żeby wołać na mnie Al.

- Wolałbym zwołać ci taksówkę - powiedział Quinn. - Ale Al? Może być. Al jaki?

- Smith? - zaproponował wuj Alfred i zaraz się skrzywił. - Al Smith. Nie, nie mogę tego zrobić. On był demokratą, prawda? Tak, jestem tego pewien. Pięć pokoleń Taite'ów przewróciłoby się od tego w grobie. A może O'Hara? Zawsze uważałem, że Irlandczycy umieją się bawić, i nikt nie zwróci uwagi na moją piersiówkę.

- Ja jestem Irlandczykiem, Al, więc uważaj, żebym cię nie poczęstował sierpowym - ostrzegł Delaney, sięgnął do kieszeni wuja Alfreda i wyciągnął butelkę. - A to, mój przyjacielu, zostaje tutaj. Jasne?

- W przeciwieństwie do mnie ty chyba nie patrzysz na to jak na wielką przygodę, prawda, synu? - zapytał Taite i ruszył za gospodarzem w stronę drzwi, lecz stanął, kiedy Quinn odwrócił się i popatrzył na niego.

- Posłuchaj, stary. Shelby cię lubi. Ja też cię lubię, chociaż nie wiem dlaczego. Gdybym cię nie lubił, już byłbyś wyrzucony na pysk i ktokolwiek siedzi w tym samochodzie na zewnątrz, mógłby poćwiczyć na tobie uderzenia kijem baseballowym. A to nie zalicza się do wielkiej przygody. Shelby zaczyna coś podejrzewać, to po pierwsze, i ma już wystarczająco dosyć, żeby znów uciec.

Alfred Taite odruchowo sięgnął do kieszeni spodni, po czym cofnął rękę i zadał pytanie:

- Ona ma jakieś kłopoty? Wspomniałeś o tym tamtego dnia, ale ponieważ nie rozwinąłeś tematu, pomyślałem, że nie mówisz poważnie. Ale teraz wyglądasz zbyt srogo, żeby nie chodziło o prawdziwe kłopoty. W jaki sposób mogę być pomocny?

Quinn popatrzył na starszego mężczyznę z całkowicie srebrną brodą, błyszczącymi oczyma i nosem różowym jak i jego policzki. Jeden z najlepszych przedstawicieli Głównej Linii, nawet jeśli i najbardziej wyjątkowy, przebrany za pomywacza, a mimo to wciąż bardziej przypominający składającego wizytę hrabiego czy kogoś takiego. Chwycił łokieć wuja Alfreda i pociągnął go z powrotem na kanapę.

- Siadaj. Musimy porozmawiać...

Pół godziny i kilkadziesiąt pytań później znów wychodzili z mieszkania. Zaraz na dole schodów spotkali panią Brichtę, która miała na sobie chyba świeżo wyprasowany szlafroczek i pachniała zdecydowanie tak, jakby właśnie wykapała się w perfumach.

- Witam znowu, Alfredzie - zagruchała i dotknęła ręką mocno skręconych włosów. - Czy już się zdecydowałeś wynajmując jedno z moich umeblowanych mieszkań? Mówiłeś, że może to zrobisz po tym, jak odwiedzisz swego przyjaciela. - Po-

patrzyła na Delaneya wilkiem, po czym znów spojrzała na Taite'a rozanielonymi oczyma.

Wuj Alfred wziął jej dłoń i uniósł ją do ust, co wywołało serię dziewczęcych chichotów i niemal powaliło Quinna, który widywał panią Brichtę w różnych nastrojach, ale żaden z nich nie miał za wiele wspólnego z dobrym samopoczuciem czy dziewczęcością.

- Moja najdroższa Bertho, jak mógłbym nie wynająć po tym, jak ujrzałem wyborne pokoje pana Delaneya? Właściwie zadatek mam tu przy sobie...

Pozwolił słowom zawisnąć i powoli, bardzo powoli skierował rękę ku kieszeni spodni.

- Och, nie bądź niemądry, Alfredzie. Oczywiście nie potrzebuję zadatku. Ale też potrafię oceniać ludzi. Możesz mi zapłacić w przyszłym tygodniu lub pod koniec miesiąca. Kiedy chcesz i jak chcesz - dokończyła, wodząc palcem po dekolcie i lekko szarpiąc materiał szlafrocza.

- Jestem zakłopotany - oświadczył wuj Alfred, ponownie całując dłoń chichoczącej i zarumienionej kobiety, a potem ruszył za Quinnem korytarzem w stronę tylnych drzwi.

Delaney - zdecydowanie „zakłopotany” - idąc, zastanawiał się, co dobra, stara Bertha pomyślałaby sobie, gdyby się dowiedziała, że wuj Alfred był kompletnie splukany i że prawdopodobnie wyjedzie bez zapłacenia za mieszkanie.

- Daj - zażądał, odwrócił się przed drzwiami, wyciągnął rękę i czekał, aż wuj Alfred odda mu pożyczone pieniądze.

- No, synu, chyba nie...

- Dawaj. Natychmiast. - Wziął banknoty i przeliczył je. - W porządku, możesz zachować w kieszeni dwieście dolarów. Ale tylko tyle.

- I pomyśleć, że ja cię lubiłem - westchnął wuj Alfred, smutno kręcąc głową. - Teraz rozumiem, dlaczego Bertha kazała ci zapłacić za czynsz, zanim wpuściła cię do mieszkania. Nie masz wzbudzającej zaufanie twarzy, co teraz widzę. Jest zbyt ciemna i zachmurzona. Nic dziwnego, że Somerton zażądał pana Sullivan.

Quinn pochylił się nad żwirowym parkingiem i zgarnął trochę ziemi, którą rozmazał po zbyt nowych i zbyt białych tenisówkach Taite'a.

- Tak, to Grady. Co za książkę. Dobrze - powiedział, wyprostowując się i otrzepując ręce. - Chodźmy przedstawić cię Tony'emu i ustalić wszystko, zanim Shelby przyjdzie na swoją zmianę. Kiedy to, przy okazji, ja nie będę nigdzie uchwytny. Przyjdę później i wtedy możemy spotkać się po raz pierwszy. Jesteś na to gotów, Al?

W odpowiedzi wuj Alfred wyciągnął z rękawa paczkę papierosów, wyjął jednego i tworząc z dłoni osłonę, podpalił go zapalniczką. Zaciągnął się mocno, wypuścił dym nosem, a potem potarł nos wierzchem dłoni. Chrząknął. Splunął.

- Tak, człowieku, jestem gotów.

- Najsłodsza panienko, już po nas - westchnął cicho Quinn i ruszył w dół ulicą, a za nim zły Al.

Shelby stała w wychodzącym na parking oknie do momentu, aż ujrzała Quinna, jak wsiada do swego porsche i odjeżdża. Dopiero wtedy chwyciła lekki sweterek i wyszła z mieszkania.

Quinn przyszedł jak zwykle, żeby ją odprowadzić do pracy - przynajmniej sądziła, że to właśnie jej powie. Ale nie powiedział. Chciał ją jedynie poinformować, że jedzie zrobić z kimś „wywiad” do swojej książki i wróci bliżej pory obiadowej. Chciał również zapytać, czy jego obecność nie będzie jej przeszkadzać.

Zdrajca. Oczywiście powiedziała mu, że da sobie radę sama. Mimo iż niemal została porwana, wcale nie wyglądało na to, żeby dziś przejmował się jej bezpieczeństwem. A nie martwiłby się o to, gdyby on sam stał za próbą porwania, próbą zastraszenia jej, tak żeby podwinęła ogon i uciekła do domu. Wtedy on mógłby wrócić do bardziej ekscytujących zajęć. W końcu już z nią spał. Już powiedział jej miliony kłamstw. Na pewno już zacząć się nudzić.

Zdrajca.

Popatrzyła w obie strony, zanim zeszła po schodach na ulicę. Szła z podniesioną głową, stawiając duże kroki, w prawej ręce dzierżąc klucz mający posłużyć jako broń. Była zdeterminowana. Starła się tylko pamiętać o oddychaniu.

Delaney patrzył na nią zza krzaków i dopiero, kiedy jedna z gałązek podrapała go po twarzy, zdał sobie sprawę, że wokół pełno było długich na centymetr cierni. Wytarł z policzka krew i kontynuował obserwację Shelby. Patrzył, w jaki sposób idzie, jak kołysze biodrami, jak jej gładkie, sięgające ramion, jasne włosy lekko falują.



- O, tak, kochanie. Jesteśmy źli, jesteśmy bardzo źli - mruknął pod nosem, śmiejąc się w duchu z jej bojowej postawy. Boże, jaką mu to sprawiało przyjemność. Jak on ją kochał.

Dopiero kiedy zamknęły się za nią drzwi restauracji, odczchnął, wrócił do porsche, które zaparkował na bocznej ulicy, i przyjechał do mieszkania. Robił się na to za stary. Musiał się zdrzemnąć.

Shelby przywitała się z szefem policji stojącym przy automacie do pokera, na ekranie którego fruwały karty, a następnie wkroczyła do chłodnego, klimatyzowanego wnętrza restauracji.

Odruchowo sprawdziła tablicę ze specjalnościami dnia, krzywiąc się na wymyślną pisownię Tabby, po czym chwyciła jeden ze stosu wkładów do popołudniowego menu z wymienionymi entree. Zobaczyła filet ze strusia i pokiwała głową nad wysokimi fantazji Tony'ego w mieście wielkości Wschodniego Wapeneken. Ale i krokodyl przeszedłby równie bezproblemowo.

Wciąż wpatrując się w menu, podeszła do barku i wymamrotała pospieszne „przepraszani”, kiedy wpadła na kogoś trzymającego szarą, plastikową balię wypełnioną po brzegi brudnymi naczyniami.

- Tak, cóż... patrz, gdzie idziesz, dobra?

Shelby wciąż miała opuszczoną głowę, ale jej oczy zwróciły się w prawo. Jej umysł analizował głos, który właśnie usłyszała. Nagle podniosła wzrok.

- Wuj Alfred?

- Al, kochanie - sprostował mężczyzna trochę głośniej, niż było trzeba. - Al O'Hara. A ty musisz być tą Shelley, która doprowadza pomocników do szaleństwa tymi wszystkimi „zrób to, zrób tamto”. Chcesz pójść na zaplecze na dymka? Zaraz będę miał przerwę.

Shelby otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, ale okazało się, że nie może wydobyć głosu. Uniosła więc rękę i wycelowała palec w odwróconego już do niej plecami wuja Alfreda. Nawet nie przytrzymał dla niej prowadzących do kuchni drzwi

wahadłowych. Z wciąż otwartymi ustami i uniesionym w górę palcem przeszła za nim przez zatłoczoną kuchnię i tylne drzwi.

- Jak... Dlaczego... Co ty tu robisz? - wybuchnęła, kiedy w końcu odzyskała głos. Rozłożyła szeroko ramiona, jakby chciała objąć jego i wszystkie jego atrybuty pomocnika, włączając w to wielki biały fartuch zawieszony na jego szyi i sięgający mu niemal do kolan. - W takim stroju?

- Ależ, kochanie, szanowny Tony uznał za stosowne zatrudnić mnie jako młodszego pomocnika. Powiedziałem „młodszego”, ale tak to się nazywa, wiedziałas o tym? Prawdopodobnie nie. Pedro przyznał, że nawet cię lubi, ale potrafisz być wrzodem na tyłku. Właściwie taka jest ogólna o tobie opinia. Urocza dziewczyna, słodka, miła. Ale wrzód na tyłku. Przykro mi, kochanie, ale tak właśnie powiedział.

W głowie jej dzwoniło, jakby cała rodzina pszczoł zamieszkała między jej uszami. Starła się odzyskać równowagę, słuchając wuja i próbując uwierzyć w to, że stał naprzeciwko niej.

- Jak? Jak się dowiedziałeś, gdzie jestem?

Alfred Taite odwinął z rękawa paczkę papierosów i z opuszczonym wzrokiem podpalił jednego.

- To było dość proste, kochanie. Zapytałem Jima. Jeżeli pamiętasz, rozmawiałaś ze mną o sfoferze naszej drogiej rodziny, zanim zrealizowałaś swoją małą, natchnioną ucieczkę. Oczywiście nie powiedziałem Somertonowi, czego się dowiedziałem. O, nie. Nie ja. Nie, skoro chciałem, żebyś przeżyła tę swoją przygodę. A tak przy okazji, nie masz zamiaru ucałować swego wuja na powitanie?

- Ja, hmm, ale... och, chodź tu, wuju Alfredzie. Tak się cieszę, że cię widzę! - powiedziała, otwierając ramiona i podchodząc do niego, by go serdecznie uściskać. W oczach czuła wzbierające łzy. Była zaskoczona, kiedy zdała sobie sprawę, jak bardzo stęskniła się za swoim wujem i jak nadal tęskniła za Somertonem i Jeremym. Ale nie za Parkerem. To dziwne. Tak naprawdę wcale nie myślała o Parkerze. No, może to nie było aż takie dziwne...

W końcu odepchnęła wuja i jeszcze raz mu się przyjrzała.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Ty tu pracujesz?

- Oddany pracownik, kochanie. Pieniądze zarabiane na usługach zwracają się. Amerykański sposób i tym podobne. Czy uważasz, że wyglądam łobuzersko? Naprawdę wydaje mi się, że wyglądam łobuzersko. Prawie szelmowsko. Oczywiście bez fartucha, rozumiesz.

- Czy wszystko to zrobiłeś sam? Zdecydowałeś się tu przyjechać, żeby razem ze mną przeżywać przygodę? - Przechyliła głowę i przyjrzała mu się uważniej. - Nie wierzę ci, wuju Alfredzie.

- Al, kochanie. Nazywaj mnie Al, jeśliś tak uprzejma. To oczywiste, że mi nie wierzysz. A któż z tych, którzy mnie znają, uwierzyłby mi w cokolwiek? - Westchnął głęboko. - Mam kłopoty finansowe, kochanie, ponieważ opierając się na twoim przykładzie, Somerton zdecydował się wyprawić mnie w wielki, nieprzyjazny świat, żebym się odnalazł. Powiedział, że to wyprostuje mi kręgosłup, jeżeli jesteś w stanie w to uwierzyć. Jeremy wstawiał się za mną, tłumacząc całkiem zwięźle, że twój brat zachowuje się dość nierozsądnie - właściwie powiedział Somertonowi, że jest krnąbrny, ostatnie nowe słowo Jeremy'ego - ale wszystkie prośby i lamentsy zdały się na nic. Tak więc znalazłem się tutaj i pozostanę tu, dopóki nie pokażę memu bratankowi spłaconego weksła.

- Co to było, wuju Alfredzie? - zapytała Shelby, kręcąc głową. - Karty czy konie?

- Trochę tego, trochę tamtego, kochanie, ale najgorsze, że z tą samą, całkiem niemiłą grupą ludzi. Strasznie niespokojnych o swoje pieniądze, rozumiesz. Pomyślałem więc, że może lepiej będzie, hmm, zniknąć, do czasu aż zostanie mi wypłacona moja następna pensja. Twój brat nie ma dla mnie współczucia ani nie dba o moją starą, nadwątloną fizis i o to, co kilka uderzeń mogłoby z nią zrobić. Poprosiłem więc Jima, żeby mnie tu przywiózł, bo byłem pewien, że musisz być już w mieście. Jakim zaskoczeniem, ale miłym, było odkrycie, że

panna Shelley Smith pracuje jako hostessa. Od razu wiedziałem, że to musisz być ty. Eureka, jak to nazywam.

- Nie sądzę, żebym i ja to tak nazwała - oświadczyła Shelby, pewna, że to Quinn powiedział wujowi, gdzie ona przebywa, a nie szofer. Coraz głębiej i głębiej. Im więcej się nad tym zastanawiała, tym głębszą dziurę szykowała dla Quinna Delaneya. Tak głęboką, że będzie musiał wiele razy się wspinać, zanim się z niej wydostanie.

- Pracujesz dziś?

Shelby rozejrzała się dookoła i ujrzała Tony'ego stojącego w korytarzu i pozwalającego framudze podtrzymywać jego długie ciało.

- Och, Tony, wybac mi. Okazało się, że Al jest moim starym przyjacielem. Właśnie nadrabialiśmy zaległości.

- Cóż, to nie jest sprawa aż takiej wagi. Nadrabiacie zaległości w wolnym czasie - rzucił Tony, po czym powoli odepchnął się od framugi i poczłapał z powrotem do kuchni.

- On jest naprawdę kochany - powiedziała Shelby do wuja i oboje ruszyli w stronę kuchni.

- Nieoszlifowany diament - przyznał pojednawczo wuj Alfred. - A teraz, jeśli mi wybaczysz, Pedro obiecał, że mnie nauczy, jak obierać marchewkę. Czy może skrobać marchewkę? Nieważne. Jestem przekonany, że Pedro wie.

Shelby pchnęła wahadłowe drzwi i zatrzymała się za nimi, próbując pozbierać myśli, nagle Tabby gwałtownie je otworzyła, niosąc trzy tace z hamburgerami. Shelby natychmiast odwróciła się, żeby pomóc jej utrzymać tace w równowadze i przeprosić, ponieważ przypomniała sobie, że mówiono jej, aby nigdy, ale to przenigdy nie stawała przed drzwiami wahadłowymi od kuchni.

- Tak mi przykro, Tabby.

- Nic się nie stało, kochanie - zapewniła ją kelnerka i przysunęła bliżej głowę. - Widziałas tego nowego faceta? Ala? Wychodzimy razem dziś wieczorem. Gorące, gorące, gorące kochanie!

- Jak, hmm, uroczo - powiedziała Shelby i skrzywiła się, gdyż klienci krzyczeli do Tabby, że nie będą cały dzień czekać, aż ich obsłuży. W odpowiedzi usłyszeli:

- Weźcie na wstrzymanie, chłopcy. Już idę.

- Tak - wymamrotała Shelby, próbując zachować niezmienną twarz. - Jakie niezwykle urocze... to wszystko. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem, patrząc, jak szczupła, wyprostowana kelnerka z końskim ogonem i w czarnych tenisówkach podchodzi do najbliższego stołu. - Jakie to wszystko czarujące - powtórzyła głucho i pokręciła głową.

Otrząsnęła się, kiedy poczuła ostre szturchnięcie w bok. Odwróciła się i ujrzała panią Miller, która właśnie wchodziła do restauracji. Dzień zapowiadał się coraz lepiej.

- Witam panią, pani Miller - powiedziała i uśmiechnęła się jak mogła najpromienniej. Spojrzała w dół na kobietę o wzroście niecałego metra pięćdziesięciu i z największymi dostępnymi w sklepie zębami, jakie świat widział. Przerazająca - oto, jaka była pani Miller. I jak zawsze uzbrojona. - Jak się pani dziś miewa?

Starsza pani powoli opuściła ostry parasol, który nosiła i w złą, i w dobrą pogodę, i który wkładała Shelby między żebra przy każdej nadarzającej się okazji.

- Ha! Jakby to panią obchodziło. Ale to przez panią dokucza mi lumbago. Wszystko było w porządku z moim lumbago, zanim pani się tu nie pojawiła. A teraz proszę się przesunąć. Wiem, jak trafić do mojego stolika. Nie potrzebuję żadnej idiotki, która będzie mnie prowadzała jak psa na smyczy.

- Tak, proszę pani - zgodziła się uprzejmie Shelby, przyglądając się, jak staruszka niemal skacze po sali, gdy jej lumbago w cudowny sposób nagle i całkowicie się cofnęło.

Pani Miller była jedyną osobą, której Shelby nie udało się podbić. Wszyscy we Wschodnim Wapeneken byli tacy mili i tacy gościnni. Ale nie pani Miller, która - niestety - była klientką dwa razy dziennie. Carol, jedna z pracujących na pół etatu kelnerka, powiedziała jej w końcu, że pani Miller wierzyła, że Shelby jest „obca”.

- I wcale nie chodzi mi o to, że nie masz zielonej karty - wyjaśniła Carol. - Ale nie martw się. Dzwoni także dwa razy na tydzień na komisariat do Berta, żeby powiedzieć, że pod jej łóżkiem jest jakiś mężczyzna. Szkoda, że nie ma takiego szczęścia, ta stara nietoperzyca. Ona nienawidzi wszystkich.

I wtedy Shelby uśmiechnęła się. Nie powinna się była uśmiechać. Bóg jeden wiedział, że nie miała zbyt wielu powodów do śmiechu, a może nawet jeszcze mniej, od kiedy pojawił się tu wuj Alfred, gotów odegrać swoją małą farsę. Mimo to jednak Shelby uśmiechnęła się. Pchnęła drzwi do kuchni i odnalazła wuja.

- Al? Chcę, żebyś przygotował stół. Pani przy szóstej. Przynies jej sztucę i filiżankę kawy. I pamiętaj, żeby ją zapytać, jak się dziś miewa. Pani Miller jest towarzyską osobą. Po prostu uwielbia pogaduszki.

- To było podłe - stwierdził Tony, przysuwając się do niej w swój powolny, bezdźwięczny sposób. - Wydawało mi się, że mówiłaś, iż Al jest twoim starym przyjacielem.

- I taka jest prawda, Tony. Ale nie chciałabym, żebyś pomyślał, że faworyzuję Alę, tylko dlatego, że go znam.

- Zabrzmiało to raczej tak, jakbyś nienawidziła tego faceta do bólu - zauważył Tony i pokręcił głową. - Kobiety. Nigdy ich nie zrozumie. Tak, cóż, trzeba wracać do pracy. Na wieczór mamy filety ze strusia, jak wiesz. Będzie dzisiaj tłum, co powinno cię uszczęśliwić, ponieważ strusie mają mało cholesterolu i smakują o niebo lepiej od twarogu.

I Tony nie mylił się w swych przypuszczeniach. Restauracja była zatłoczona i poczynając od godziny szesnastej, od wczesnych ptaszków, ruch nie zmniejszał się ani przez chwilę. A pani Miller, zajmująca stół dla czterech osób, nadal nie okazywała chęci ruszenia się z miejsca. Nie przy Alu, który kręcił się koło niej bez przerwy, całował ją w rękę i opowiadał jej jakieś nonsensowne historyjki, nazywając ją - Shelby nie mogła w to uwierzyć - swoją drogą Altheą.

Wuj Alfred kilka godzin temu - mniej więcej w momencie,

kiedy do restauracji przybyła pani Miller - porzucił swą pozę „twardziela” i powrócił do profesjonalnej uprzejmości i swej wrodzonej elegancji, wobec której wszystkie panie mdlały - a wcale nie było tak łatwo doprowadzić do omdlenia oddział geriatryczny. Jak mogła zapomnieć, że wuj Alfred potrafił oczarować nawet siedzące na drzewach ptaki? W zasadzie nie potrafił oczarować jedynie dwóch rzeczy: kart i koni. A przecież próbował całe swoje życie.

Także bywalcy spędzili tu cały dzień. Dwóch z nich weszło do restauracji, trzech innych wyszło na jakiś czas, a potem już w szóstkę, po popołudniu spędzonym na kawie i pogawędkach, grzebali widelcami w filetach ze strusia.

Dwóch innych klientów całe popołudnie spędziło przy stoliku, przy którym zwykle siedział Quinn, i ci także nie przejawiali chęci opuszczenia restauracji w najbliższym czasie. A Delaney mógł już niebawem się pojawić i chcieć zjeść kolację.

Shelby nie rozpoznała żadnego z mężczyzn, co nie było niczym zaskakującym, jednak tym razem była pewna, że nigdy ich nie zapomni. Obaj byli ogromni. Ogromne głowy, ogromne ramiona, ogromne brzuchy, ogromne uda. Obaj bez przerwy palili papierosy i do tej pory zamówili już cztery talerze spaghetti. A to była jedynie przekąska, bo teraz właśnie jedli befsztyk z polędwicy ze wszystkimi dodatkami. Obaj nosili rozpięte pod szyją wzorzyste koszule z poliestru i kraciaste poliestrowe spodnie, które ledwie dopinały się pod ich brzuchami.

I nie rozmawiali. Ani słowa, poza wymamrotaniem zamówienia do Tabby, która przewróciła oczami, zapisała je w notesie i odeszła.

- Ogromni, źli chłopcy - teatralnie szepnęła do Shelby. - Bardzo duzi, źli chłopcy. A ja się na tym znam. Kilku takich jak oni pukało do mnie więcej niż parę razy i straszło mi dzieci, zanim mój mąż, idiota, nie wyprowadził się. Trzymaj się od nich z daleka, kochanie - zjedliby cię na śniadanie.

Obcy nie przeszkadzali za to wujowi Alfredowi, który został wyznaczony przez swoich współpracowników do sprząta-

nia stołów i serwowania napojów. Właściwie dość długo zamarudził przy ich stole. Napełniał kubki kawą i wciąż zagadywał do dwóch niemych, nieuśmiechających się mężczyzn. Cały wuj Alfred. Potrafił oczarować każdego. Nawet panią Miller. Choć nie wyglądało na to, żeby miał tyle szczęścia z dwoma olbrzymami w poliestrze.

Shelby wciąż rozmyślała nad opinią Tabby na temat obu gości. Czy to możliwe? Czy ci dwaj mężczyźni byli tu, by śledzić wuja Alfreda? By zrobić mu krzywdę? Nie. To było niemądre. Po prostu niemądre. Wszędzie teraz dopatrywała się spisku, począwszy od bywalców, poprzez Quinna, a na dwóch w poliestrze kończąc. Czy coś jeszcze?...

- Cześć, czy spóźniłem się na filet ze strusia? Widziałem, że jest wymieniony w informacji na zewnątrz. I czy filet rzeczywiście pisze się przez dwa „l”, czy po prostu poddałaś się?

Shelby odwróciła się i ujrzała Delaneya, który stał przed nią i uśmiechał się. Żołądek uciekł jej w pięty, a następnie podskoczył do gardła. Boże, przecież ona kochała człowieka, którego równocześnie nienawidziła. Jego oczy iskrzyły się, co jej przypominało, że pod wpływem namiętności zachodzą mgłą. Jego uśmiech całkowicie zahipnotyzował ją, jedyne, co pamiętała, to jego dotyk, jego smak, sposób, w jaki jego usta przywierały do jej warg.

Nawet nie śmiała spojrzeć poniżej jego szyi, bo to groziło znalezieniem się w prawdziwych tarapatach. Wciąż przecież miała w pamięci jego nikczemne oszustwa. Był ochroniarzem, wynajętą niańką. Najemnikiem, który poszedł z siostrą swego klienta do łóżka. Podłe...

- Naprawdę chcesz strusia? - zapytała w końcu, niezdolna myśleć o niczym innym.

Quinn uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie w twoim życiu - odparł, odsuwając kosmyk jej jasnych włosów, który jakimś sposobem znalazł się nie na swoim miejscu.

Zastanawiał się, co by się stało, gdyby przerzucił ją sobie przez ramię, zaniósł do swego mieszkania i kochał się z nią do



upojenia. Czy wtedy jej oczy ożywiłyby się trochę? Czy jej uśmiech byłby bardziej prawdziwy? Czy powiedziała mu w końcu, że go kocha... albo czy przynajmniej powiedziała mu, dlaczego, do licha, jest taka smutna i wydaje się tak daleka? Nawet jeżeli był zupełnie pewien, to nie chciał tego wiedzieć. W każdym razie do chwili, gdy wziął ją w ramiona, kochał ją, a potem uczynił to idiotyczne wyznanie.

- Jacyś... hmm... obawiam się, że twój stolik jest zajęty - powiedziała w końcu, podając mu menu i wskazując, żeby poszedł za nią. Skierowała się w stronę najgorszego w restauracji stolika, ale równocześnie jedyne, który nie był jeszcze zajęty. Odsunęła krzesło i cofnęła się o krok. - Czy tak będzie w porządku?

- Byłoby, gdybym zdażył przyjść na twoją przerwę obiadową i zgodziłaś się ze mną zjeść.

Patrzył, jak jej oczy matowieją, a ramiona opadają niemal niezauważalnie, zaraz jednak opanowała się i przyjęła zwykłą, wyprostowaną jak u modelki postawę.

- Niestety już jadłam. Przykro mi.

- W takim razie, czy zobaczę cię później? Czy mogę odprowadzić cię do domu?

Pokręciła głową.

- Dziękuję, ale nie. Brandy i ja wybieramy się do kina. Widziałyśmy zapowiedzi poprzednim razem i zdecydowałyśmy, że chcemy zobaczyć nową komedię romantyczną Julii Roberts. Ale naprawdę dziękuję za propozycję. Ja... zobaczymy się jutro... następnego dnia. Jestem pewna, że masz mnóstwo pracy do nadrobienia, zważywszy na to, że większość czasu spędzasz tutaj. Dziękuję ci za troskę, ale czuję się już dobrze, naprawdę. Więc możesz skoncentrować się już na swojej książce.

- Jasne - odparł Quinn i kiwnął głową, udając, że nie zdaje sobie sprawy, że właśnie dostał kosza. - Dzięki. Rzeczywiście muszę trochę nadgonić robotę i może przepisać trochę notatek z wywiadów. I muszę napisać przemówienie George'a na...

To było niezręczne. Shelby wiedziała, że i Quinn tak uważa. Cholernie niezręczne. Dwoje ludzi, którzy byli razem

w łóżku, na miłość boską, teraz bezskutecznie próbowało znaleźć sposób, by ogłędnie powiedzieć: „Dzięki, ale obejdzie się”.

Opuściła głowę, a potem jeszcze raz na niego spojrzała.

- Posłuchaj, Quinn, ja... ja po prostu potrzebuję trochę czasu. Powiedziałeś... no, sam wiesz, co powiedziałeś... - Wszystko tylko nie prawdę - przypomniała sobie. - Obawiam się, że potrzebuję więcej czasu na to, żeby o wszystkim pomyśleć. O nas.

- Oczywiście, Shelley - zgodził się Delaney. Zastanawiał się, czy dałoby się wykopać siebie samego aż na ulicę. Był wtorek. Wyjeżdżała w sobotę, po uroczystej kolacji. Gwałtownie zaczynało brakować czasu. - A może w czwartek wieczór? Późna kolacja po pracy? Dwa dni oddzielnie, Shelley, dwa dni na myślenie. Czy to wystarczająco dużo czasu?

- W czwartek wieczór - powtórzyła i lekko się rozluźniła, wierząc, że do tej pory odzyska nad sobą kontrolę. Gdyby tylko nie myślała, nie marzyła, nie kochała go tak bardzo. Drań. - Tak, tak będzie dobrze. - I z tymi słowy cofnęła się, ponieważ wuj Alfred zbliżył się do stolika ze szklanką wody w jednym ręku i dzbankiem z kawą w drugim.

- Dobry wieczór panu - powiedział gładko i postawił szklankę. - Czy zechciałby pan napić się kawy dziś wieczór? Serdecznie polecam parzoną.

- Tak, wiem - powiedział Quinn, podnosząc swój kubek. No, proszę, pomyślał, unikając patrzenia na Shelby. Musiała uwierzyć, że on i wuj się nie znają, że Alfred - Al - naprawdę sam odkrył miejsce jej pobytu. W przeciwnym razie mogła być tylko jedna odpowiedź - i tą odpowiedzią był on. Już i tak patrzyła na niego dziwnie i dziwnie się zachowywała, tak że zaczął się obawiać, iż w końcu mogła go sobie przypomnieć. Cholerny wuj Alfred! Do diabła z każdym, kto czynił tę fatalną sytuację jeszcze trudniejszą. A to dotyczyło także dwóch przesadnie umięśnionych zbirów, którzy siedzieli przy jego stoliku. Niech ich licho w dwójnasób.

- Jesteś tu nowy, tak?

- O, tak, w rzeczy samej - potwierdził wuj Alfred. - To taka urocza mała wioska, nie sądzi pan? Już nawet znalazłem sobie prześliczne mieszkanie zaraz na końcu tej ulicy, w przerobionym budynku szkolnym.

- Naprawdę? - zapytał Delaney. - Tak się składa, że i ja tam mieszkam, podobnie jak panna Smith. Cóż za zbieg okoliczności.

- Nieprawdaż? - powiedziała Shelby z tak promiennym uśmiechem, że aż zabołały ją policzki, a następnie odwróciła się od stołu.

Mogła nie przejrzeć kłamstw Quinna, który udawał, że nie zna jej krewnego, ale całe swoje życie spędziła obok wuja Alfreda. To nie Jim mu powiedział, gdzie ona jest. Wuj nie pytał o to Jima i nie doszedł szczęśliwie do wniosku, który przywiódł go do Wschodniego Wapeneken, kiedy Somerton wyrzucił go, by sam dał sobie radę.

O, nie. Wuj Alfred wiedział, gdzie ją znaleźć, ponieważ to Quinn Delaney mu o tym powiedział. Powiedział jemu, powiedział Somertonowi, powiedział Jeremy'emu. Powiedział Parkerowi? A teraz, jak mogła wyczytać to z jego gniewnie błyskających oczu, tak się cieszył ze spotkania wuja Alfreda, jak cieszyłyby się ze znalezienia w łożku szczura - co może nie byłoby takim złym pomysłem.

- Zbieg okoliczności - wymamrotała Shelby pod nosem i wróciła na swoje stanowisko. - Jedynie, prawda?

Brandy siedziała z nogami zaplecionymi wokół stołka w barze i zlizywała bitą śmietaną z długiej łyżki z tak wyraźnym zadowoleniem, że stojący za ladą chłopak skierował się wprost do otwartej zamrażarki.

- Wiesz co, Shelley? - zapytała nieświadoma pełnych nadziei marzeń nastolatka. - Trudno określić graczy bez listy zawodników. A tak przy okazji, jeżeli zobaczę jeszcze jeden film w tym tygodniu, żebyś ty nie musiała okłamywać Quinna - co i tak cały czas robisz, ale nie będę chyba paskudna, jeśli to powiem - to uważam, że będę się kwalifikować do jakiejś zniżki. A teraz powiedz mi to wszystko jeszcze raz, dobrze? Mówisz, że Al jest twoim wujem? Cukiereczku, czy nie sądzisz, że przedawkowałeś popcorn?

Po kilku godzinach zastanawiania się i udawania, że ogląda film, który miał zdecydowanie zbyt szczęśliwe jak dla niej zakończenie, Shelby w końcu zaczynała dostrzegać komizm sytuacji, zwłaszcza ostatnich wydarzeń. W jakimś sensie.

- Nie żartuję, Brandy. Al jest moim wujem Alfredem i vice versa.

- Facetem, który sporo przeżył, zanim się ustatkował, tak? Tym, który w pewnym sensie nakładł ci do głowy, że wyrowadzenie się i życie normalnym życiem przez jakiś czas pośród zwykłych ludzi będzie przypominać pobyt w beczce śmiechu? Tym, który, hmm, trochę pije? To on jest tym wujem Alfredem?

- Tym samym. I teraz wydaje mi się, że wreszcie zrozumiałam, dlaczego on to robi. To znaczy, dlaczego pije. Choćaż moje zaledwie dwa bliskie spotkania z butelką wcale nie skończyły się tak dobrze. Brandy, jak po czymś takim mam

stanać twarzą w twarz z życiem w stylu wuja Alfreda? Jak mam się ustatkować? Skoro, jak zwróciłaś mi na to uwagę, mam słabą głowę? Biedny wuj Alfred. Mam nadzieję, że dobrze się bawi. Z Tabby. Zamierzają pójść do klubu, który podoba się Tabby. Po prostu nie mogę sobie tego wyobrazić. Boże - westchnęła i nieelegancko oparła się łokciami o bar. Zaczęła bawić się łyżką gorącym karmelem, który szybko rozpuszczał jej lody.

Brandy milczała przez kilka chwil, aż w końcu powiedziała cienkim głosem:

- On mnie uszczypnął. Dziś wieczorem, kiedy z Garym wychodziliśmy od Tony'ego. Przysięgam na Boga, Shel, uszczypnął mnie. Dokładnie w... no, wiesz gdzie. Powiedział, że Brandy zawsze było jego ulubionym imieniem. Teraz rozumiem dlaczego. Słodki staruszek.

Shelby obróciła głowę i spojrzała na przyjaciółkę.

- Cały wuj Alfred. Kiedy byłam jeszcze dzieckiem, obserwowałam, jak przechodzi podczas przyjęć przez pokój, i patrzyłam na te wszystkie elegancko ubrane damy, które lekko podskakiwały, wydając z siebie piski, podczas gdy on mijał je, udając, że jest niewinny niczym nowo narodzona owieczka. Myślę, że to jest jego wersja fali, wiesz, tego, co robią fani podczas meczów Filadelfijczyków - powiedziała i zaczęła chichotać, widząc, jak twarz Brandy pokrywa się wiśniowym kolorem, w efekcie czego niemal znikły liczne piegi.

Brandy uśmiechnęła się, a potem pokręciła głową.

- Tak się cieszę, że w końcu znalazłaś powód do śmiechu, Shelley, nawet jeżeli to głównie ja nim jestem. Ale wiesz, gdyby to ktoś inny mnie uszczypnął, odwróciłabym się i trzasnęłabym go zdrowo. Lecz w twoim wuju Alfredzie jest coś... coś błyskotliwego i pełnego humoru, że nawet to uszczypnięcie kojarzy się bardziej z komplementem.

- Oto sekret sukcesu wuja Alfreda - przyznała Shelby, kiwając głową. - Jest dżentelmenem, ale ma też coś z figlarnego diabełka, który każe ci się śmiać razem z nim.

- Każdemu z wyjątkiem twego brata, przynajmniej w tym momencie - zauważyła Brandy, dobierając się do drugiej warstwy deseru, bo tak właśnie jadała desery: zaczynając od wiesienki, potem bita śmietana, a dopiero na końcu syrop karmelowy i lody. - Sądysz, że naprawdę wyrzucił go na zbity pysk?

Shelby odsunęła od siebie na wpół zjedzony deser.

- Tak, chociaż bardzo mnie to zaskoczyło. Ale Quinn nie wyglądał na zszokowanego, kiedy ujrzał wuja Alfreda - chyba że spotkał go już wcześniej, w ciągu dnia. Plus fakt, że ten człowiek kłamie jak z nut i to bez mrugnięcia okiem. Innymi słowy, nie mogę być pewna, że Quinn wiedział, że wuj Alfred przyjechał do Wschodniego Wapeneken. Mogę się jednak założyć, że nie jest z tego szczególnie zadowolony. Czyli jest nas dwoje. Albo czworo, jeżeli liczyć tych dwóch ogromnych, przyciężkich mężczyzn, którzy obozowali u Tony'ego, dopóki nie zamknęliśmy restauracji.

- Wykidają - powiedziała z przekonaniem Brandy. - Czy zrobią mu krzywdę?

- Nie sądzę. W każdym razie jeszcze nie teraz. Z tego, co pamiętam z innego słynnego epizodu z życia wuja Alfreda, nie skrzywdzą go, chyba że będzie wyglądał, jakby miał zamiar zwać. Ucieczka do Wschodniego Wapeneken, a następnie wystawianie się na widok, co więcej - rozmawianie z tymi ludźmi, raczej nie kojarzy się z ukrywaniem, prawda? Sądzę, że ci mężczyźni wciąż jeszcze nie mogą wyjść z szoku i zaczynają rozumieć jego taktykę. Poza tym za kilka tygodni otrzyma swoją kwartalną pensję. Wuj Alfred zawsze spłaca swoje długi, tylko nie zawsze spłaca je w terminie.

- Co znów prowadzi nas do Quinna, który wyznał wszystko Gary'emu.

- Co?! - Oczy Shelby zrobiły się okrągłe; wstała tak szybko, że niemal przewróciła stołek. - Powiedział mu? O, Boże, więc to prawda. To wszystko prawda.

Brandy pogroziła jej palcem i powiedziała:

- Ej, ej. Wydawało mi się, że mówiłaś, że wiesz o tym. Wiesz, że został wynajęty, żeby cię odnaleźć, i że prawdopodobnie kazano mu cię pilnować, aż nie odzyskasz rozumu i nie wrócisz do domu. Tak? Wiedziałaś.

Shelby potarła dłońmi czoło, próbując powstrzymać łzy, które groziły popłynięciem.

- Nie, Brandy - stwierdziła smutno. - Ja tak tylko myślałam. Wydawało się to dość logiczne, upewniłam się, kiedy w końcu udało mi się połączyć Quinna z D & S i wreszcie przypomnieć sobie, że widziałam go w noc balu charytatywnego. Tyle tylko, że nadal nie chciałam w to uwierzyć. Jakaś mała część mnie nie chciała w to uwierzyć, bez względu na to, jak irracjonalnie to brzmi. Boże, jakaż jestem głupia, jaką jestem idiotką, beznadziejną idiotką.

Brandy popatrzyła na rozpuszczający się deser Shelby, westchnęła i spróbowała nieco poprawić nastroj przyjaciółki.

- Rany, tak bym chciała nie myśleć o jedzeniu, kiedy jestem zdenerwowana. Zamiast tego jem wszystko, co nie jest przybite, nawet rzeczy, których nie lubię. - Wzięła do ust kolejną porcję swego deseru, dając Shelby czas, żeby się opanowała. - Dobrze, więc przyjechał tutaj, żeby cię pilnować. Byłaś dla niego zadaniem, prosto i zwyczajnie. A potem cię spotkał, porozmawiał z tobą, poznał cię. Poszedł z tobą do łóżka. Nie w mówisz mi, że to też była część jego zadania, Shelley, bo i tak w to nie uwierzę. Widziałam, jak na ciebie patrzy. Patrzy na ciebie tak, jak ja patrzę na desery.

Shelby uniosła głowę i spojrzała na przyjaciółkę, a na jej ustach pojawił się drżący, ale jednak uśmiech. Prawdziwy.

- Naprawdę? Patrzy?

Brandy przewróciła oczyma.

- I to, co zawarte jest w tych dwóch słowach, czy jakichś innych im podobnych, proszę pani, jest przyczyną, dla której ludziom uchodzą morderstwa i zawsze im uchodziły. Tak, Shel, patrzy. I wybacysz mu prawie wszystko tylko dlatego, że ja sądzę, że on cię kocha. Nic dziwnego, że jestem zarę-

czona od dwunastu lat. Takie jesteśmy my, głupie i łatwowierne kobiety. Boże, jestem najlepszym przykładem kobiety, która wybaczyła mężczyźnie, chociaż zachował się skandalicznie, tylko dlatego, że popatrzył na mnie z miłością w oczach. Zaraz po tym, jak mi powiedział, że jego mama ma podagrę i nie możemy wziąć ślubu, ponieważ ona odmawia przejścia przez kościół o lasce.

- Ja mu nie wybaczam - oznajmiła Shelby, zapłaciwszy rachunek, zanim Brandy zdążyła go jej wyrwać. Wciąż dyskutując, wyszły w gorący czerwcowy wieczór. - A ty byś wybaczyła tę nieudolną próbę porwania? „W samą porę, do cholery.” To właśnie powiedział ten mężczyzna, kiedy zobaczył biegnącego ku niemu Quinna. Tak jakby ten spóźnił się na jego występ, występ, który miał mnie przestraszyć i zaprowadzić do domu. Chyba że sądzisz, że to bywalcy wynajęli tych zbirów, ponieważ podsłuchałam, jak zamierzają nastraszyć panią burmistrz? A nawet nie powiedziałam ci o liście. Myślę, że on po prostu znudził się siedzeniem tutaj i chciał, żebym spanikowała i...

- Chwileczkę, Shelley. List? Jaki list?

Następnych piętnaście minut należało do Brandy, która narzekała na współlokatorkę za brak zaufania w sprawie listu, w sprawie jej podejrzeń dotyczących bywalców i Delaneya - a przede wszystkim za niepowiedzenie jej tego od razu. Shelby przeprosiła około sześciu razy, co nieco załagodziło konflikt. Ale nie na długo. Brandy wciąż nie mogła pogodzić się z faktem, że o całej sprawie usłyszała od Gary'ego, który najczęściej o niczym nie wie. Jak śmiał wiedzieć więcej niż ona?!

Zanim Brandy zdołała powściągnąć swe oburzenie, któremu niewątpliwie dałaby wyraz, dzwoniąc do nieszczęsnego Gary'ego, Shelby zatrzymała się, objęła przyjaciółkę i ucałowała ją w policzek.

- Uwielbiam cię, wiesz o tym?

- Cóż, oczywiście, że mnie uwielbiasz, głuptasie - powiedziała Brandy, wycierając nagłe łzy. - Taka już jestem. Cudowna. Dobrze, więc kiedy masz zamiar doprowadzić do



konfrontacji z Quinnem i powiedzieć mu, że zabawa skończona, że wiesz, kim on jest i dlaczego tu jest? Przed czy po tym, jak go uderzysz, skoro jesteś taka pewna, że to on się bawi w listy i inne takie?

- Kiedy? Nigdy. Po prostu nie mogę.

Dotarły już do budynku szkoły. Na schodach Brandy przyciągnęła Shelby do siebie. W dali rysowały się groźne cienie, a latarnia uliczna na rogu świeciła ostrzegawczo.

- Nigdy? Żartujesz, prawda? Masz zamiar odejść tak po prostu? Nie powiedzieć ani słowa? Wrócić do Filadelfii? Wyjść za Parkera?

- To on kłamał - przypomniała Shelby. - Więc dlaczego ja miałabym coś mówić?

- To znaczy, dlaczego powinnaś mu powiedzieć, że ty też go okłamywałaś, mówiąc, iż wychowałaś się tu, we Wschodnim Wapeneken, oraz całą tę resztę? No, tak, teraz pojmuję tok twego rozumowania. On skłamał, a ty byłaś uczciwa niczym Abraham Lincoln. Jezu, Shelley, daj spokój. Oboje nawzajem się okłamywaliście, oboje. On wie wszystko i ty też już wszystko rozumiałaś.

- Ale on wiedział od początku. A ja nie.

- A no, tak. Teraz rozumiem. Chodzi o zranioną dumę, prawda? Powiedz mi więc, w jaki sposób rozgrzeje cię duma w chłodne zimowe noce?

Shelby poczuła, że wzbiera w niej gniew.

- Tylko dlatego, że ty pozwalasz Gary'emu i jego matce znęcać się nad sobą, ja mam ustąpić i dać się zamienić w wycieraczkę.

- Więc ja nie mam dumy? - Brandy popukała się palcem w pierś. - Ja? Ja nie mam żadnej dumy? Czy to właśnie masz na myśli? To straszne. Co ja mam robić, Shelley? Wyrzucić jedyne go człowieka, którego kocham, tylko po to, by udowodnić, że i ja mam dumę? Wiesz co, panno Shelby Taite? Nie sądzę, żebyś kochała Quinna. Nie sądzę, żebyś miała blade pojęcie, czym jest miłość.

Shelby ukryła twarz w dłoniach i pokręciła smutno głową.

- Och, Brandy, przepraszam cię. Nie to miałam na myśli. Naprawdę nie to. - Opuściła dłonie i spojrzała na przyjaciółkę. - Ja po prostu wściekam się na wszystkich dookoła, ranię, niszczę wszystko. Chyba nie jestem wystarczająco prawdziwa do prawdziwego życia. Jestem zbyt przerażona, żeby żyć pełnią tego prawdziwego życia. Jestem... jestem tylko kłopotem!

Brandy objęła szlochającą Shelby i zaczęła ją kołysać, jakby była dzieckiem, pozwalając się jej wyplakać.

Po dłuższej chwili ruszyły dalej po schodach, ramię w ramię. Brandy wyłowiła z torebki klucz do mieszkania, a Shelby ostatni raz wydmuchała nos.

- Czy to nasz telefon? - zapytała Brandy, rzucając okiem na zegarek. - Jest prawie północ, na miłość boską. Nie, zaczekaj - to nie nasz telefon, to Quinna. Ciekawe, kto do niego wydzwania tak późno.

Shelby spojrzała w stronę drzwi Delaneya i wyobraziła go sobie wyrwanego ze snu, z potarganymi czarnymi włosami i w połowie przymkniętymi, ciężkimi powiekami - takimi oczami patrzył na nią po tym, jak się kochali, a uśmiech powoli zakwitł mu na ustach.

Objęła się ramionami, nieoczekiwanie przypominając sobie słowa pokojówki Susie, że Jim bez swojej żony jest tylko „połową człowieka”. Stwierdzenie to wydawało się Shelby bardzo smutne, aż do teraz, kiedy naprawdę je zrozumiała. Bez Quinna była połową kobiety i prawdopodobnie przeżyje swoje życie, będąc jedynie połową kobiety.

Czy może się z tym pogodzić? Czy naprawdę nie potrafiłaby przejść przez korytarz, zapukać do drzwi Quinna, i skonfrontować z nim tego, co wiedziała? Czy mogła spędzić resztę nocy w samotności - resztę życia w samotności? Zanim wyjadę - powiedziała do siebie pocieszająco. Powiem mu, zanim wyjadę. Och, proszę, niech on pierwszy mi to powie. Jeżeli naprawdę mnie kocha, niech powie pierwszy...

- Nie umiem sobie wyobrazić, kto to mógłby być - powiedziała w końcu, rzucając ostatnie tęskne spojrzenie na drzwi

Quinna, po czym weszła do mieszkania. Usłyszała jeszcze dudniący głos Delaney'a, kiedy odebrał telefon: „Nie, nie powiedział mi. On mi nigdy nic nie mówi...”

Gdyby Quinn mógł usłyszeć smutny komentarz Shelby, cisnąłby telefon i pobiegł do niej, wszystko jej powiedział i błagał o przebaczenie. Ale nie słyszał jej i naprawdę nie mógł jej powiedzieć wszystkiego, ponieważ sam nie wiedział wszystkiego.

Ale może w końcu dowie się więcej od Grady'ego, który znajdował się na drugim końcu linii.

- Co masz? - zapytał zaraz po tym, jak przyjaciel przedstawił się jako agent 006, lepszy niż „Bond, James Bond”.

- To nie o to chodzi, co ja mam, bracie - odparł Sullivan. - Chodzi o to, co ty masz. I ja o tym nie wiedziałem.

Delaney przecesał palcami włosy i poszedł do kuchni, żeby wcisnąć przycisk ekspresu do kawy, który miał przygotowany do porannego uruchomienia.

- Jest północ, Grady, i ani nie miałem wspaniałego wieczoru, ani wspaniałego dnia, jeśli mógłbyś wziąć to pod uwagę. O czym ty mówisz?

- O twojej szklanej kuli, chyba że czytasz z fusów po herbacie albo z kart tarota, czy czegoś innego - odpowiedział Grady

Przytrzymując słuchawkę ramieniem, Quinn wyjął szklany dzbanek z kawą i zastąpił go kubkiem, do którego zaczął powoli kapać płyn.

- Miałem rację? - zapytał, już rozbudzony, nawet bez kawy.

- Miałeś więcej niż rację - potwierdził partner. - Ale ponieważ lubię dramaty, najpierw chcę się dowiedzieć, dlaczego mój biedny, dobry kolega miał taki beznadziejny dzień. Myślałem, że ty i panna Taite jesteście szczęśliwi jak lichy w rajy dla głupich. O co chodzi, Quinn, pokazał się wąż?

Delaney odstawił dzbanek z kawą, podszedł do barku kuchennego i usiadł na stołku. Wziął do ręki papier i pióro,

które wcześniej tu zostawił, szykując się na przyjęcie informacji, które zdobył wspólnik. Ale najpierw trochę pomilczał, pozwalając Grady'emu podnieść napięcie.

- To zależy. Czy nazwałbyś Alfreda Taite'a węzłem?

- Wuj Trunek? - Pytanie Grady'ego utonęło w nagłym śmiechu. - Boże, Quinn, nie mów mi, że jest tam wuj Trunek.

- Jest, najprawdziwszy i sprząta stoliki w tej samej restauracji, w której Shelby pracuje jako hostessa. Przestań się śmiać! Zaszantażował mnie, żebym pożyczył mu pieniądze na wynajęcie mieszkania, tutaj, w tym samym budynku - a potem oczarował naszą właścicielkę, żeby mógł się wprowadzić bez dawania zadatku. Grady, do licha, nic więcej ci nie powiem, jeżeli nie przestaniesz się śmiać.

- Ja się nie śmieję, Quinn. Ja wyję. Jeszcze, jeszcze. Powiedz mi więcej. Czy on zmywa naczynia? Zapłaciłbym naprawdę duże pieniądze, żeby zobaczyć, jak Taite zmywa naczynia.

Quinn napił się gorącej kawy, dając Sullivanowi chwilę na opanowanie się.

- Co jeszcze? A, tak. Chce, żeby wszyscy mówili na niego Al. - W tym momencie nawet on się uśmiechnął, dostrzegając komizm sytuacji.

- Mówisz do niego Al? Czy to nie Paul Simon napisał przed laty o tym piosenkę? Hej, czy on podszczypuje panie? Al naprawdę lubi podszczypywać panie.

- Niech ci wystarczy, że żadna z drogiej staruszek nie potrzebowała dziś swoich stymulujących serce medykamentów. I na tym poprzestańmy. Czas leci, Grady. Shelby wraca do domu w sobotę, najpóźniej w niedzielę. W tym czasie w jakiś sposób muszę zdążyć jej powiedzieć, kim jestem, dlaczego się tu znalazłem i, mam nadzieję, że będę mógł także powiedzieć, kto pisuje do niej listy z pogrózkami i upozorował to cholerne porwanie, jeśli jesteś w stanie w to uwierzyć.

- Wszystko, tak? I, jak się domyślam, mam ci pomóc?

- Tylko jeżeli masz dla mnie informacje, a przyznałeś, że masz. No, dalej, wyrzuć to z siebie.

- W porządku, ale później będziesz musiał powiedzieć mi trochę o pozorowanych porwaniach, o trujących listach i dlaczego, do licha, Shelby Taite nie jest jeszcze w swej rezydencji i nie wypisuje zaproszeń na ślub.

- Wiesz dlaczego - rzekł Quinn, biorąc do ręki pióro. - Doskonale wiesz dlaczego. Poza tym wydaje mi się, że mnie rozgryzła. Nie mam co do tego pewności i niewątpliwie zajęło jej to sporo czasu, ale myślę, że do tego doszła. Co tylko pogarsza całą sytuację.

- Bracie, nie sądzę, żeby mogło być jeszcze gorzej. Chyba że pojawi się Somerton i Jeremy. Nie przypuszczam, żeby Wschodnie Wapeneken pozbierało się po tym kiedykolwiek. Somerton uderza pięścią Westbrooka - wciąż nie mogę tego przeżyć, że Sztwywny Osioł skuwa Westbrooka i ma nad nim przewagę - a Jeremy upewnia się, czy pomoc kuchenna usunęła mu skórki z kanapek.

- Tak, jasne. Twoje informacje, Grady. Jeżeli mam iść do piekła, chciałbym najpierw się dowiedzieć, że przynajmniej mam rację i że bez względu na to, jak bardzo znenawidzi mnie Shelby, która prawdopodobnie już mnie nienawidzi, nie wyjdzie za tego durnia.

- Wiesz - zaczął Grady, starając się przeciągnąć rozmowę najbardziej, jak się da - to jednak ci weterani z Wietnamu mogli wysyłać do niej te listy i próbować ją porwać. To nie musi być Westbrook, jak ci powiedziałem wczoraj, kiedy zadzwoniłem z informacjami o tablicy rejestracyjnej.

- Samochód był wynajęty w Filadelfii. I to nie byli bywalcy. Shelby planuje dla nich w piątek uroczystą kolację połączoną ze zbiórką pieniędzy. Oni ją wielbią, na miłość boską. Co mi przypomniało, że wciąż nie napisałem przemówienia dla George'a. Cholera!

Po drugiej stronie zapadła krótka, sugestywna cisza, w końcu jednak Sullivan się odezwał:

- Quinn, stary bracie, nie potrafię wyrazić, jak bardzo podobają mi się nasze małe nocne konwersacje. Jesteś lepszy niż

letnie rozgrywki, bez porównania lepszy. Piszesz przemówienie? Quinn Delaney, który romansował z córką profesora, żeby dostać trójkę z literatury? Dlaczego wcześniej nic o tym nie słyszałem?

- Ponieważ wiedziałem, że zareagujesz właśnie tak, jak zareagowałeś. Oto dlaczego - warknął Quinn, mając wrażenie, że świat rozjeżdża go jak walec i przygniata górą kłopotów, z których jedynie część była wywołana przez niego. No, dobra, wiele z nich wywołał on sam. - A teraz mów, co masz, albo pojedę tam i to z ciebie wyduszę.

Przez cały ranek Quinn był głęboko zakopany w raportach komputerowych, które musiał przetworzyć dla księgowych w coś w miarę logicznego. Wyszedł tylko tuż przed południem, żeby potajemnie śledzić Shelby podczas jej wędrówki do Tony'ego.

Sporządzanie sprawozdań z pewnością było lepsze niż myślenie o Shelby, zastanawianie się, w jaki sposób ma się teraz do niej zbliżyć i co ma jej powiedzieć.

Zdecydowanie dużo prościej byłoby ją porwać, zawieźć do Las Vegas i postawić przed jakimś urzędnikiem.

- Ona wie - powiedział na głos, kiedy poszedł nalać sobie kawy. Jeszcze kilka kaw, a będzie mógł zanieść Shelby do Las Vegas, obędą się bez samolotu. - Na pewno wie. Ale nie wie o wszystkim, nie może wiedzieć o wszystkim. Co czyni z ciebie jej wybawcę, Delaney, albo jakiegoś zadowolonego z siebie drania, który usłyszy, że ma nie wścibiać nosa w nie swoje sprawy.

Informacje Sullivana na temat Parkera Westbrooka III były nawet lepsze - nie, gorsze, naprawdę powinien o nich myśleć w ten sposób - niż przypuszczał i były dużo łatwiejsze do zdobycia, niż on czy Grady sobie wyobrażali.

Przyłączenie się w klubie do lunchu kilku wspólnych znajomych i napomknięcie - zupełnie mimochodem - że Westbrook zdaje się trzymać wiele srok za ogon i że można się jedynie zastanawiać, jak udaje mu się je wszystkie utrzymać - wystarczyło, by nakłonić ludzi do mówienia.

I to jakich rzeczy! Gdy tylko jeden coś powiedział, zaraz cała reszta dorzucała swoje zeznania, które szybko zaczęły Westbrooka pogrążyć. Przynajmniej miał bardzo duży do-

pływ funduszy, zanim te wszystkie te sroki nie zaczęły go za-  
dziobywać.

Małżeństwo z Shelby Taite i jej pieniędzmi było dla Parkera  
jedynym ratunkiem.

Potrzebował jej. Ogromnie jej potrzebował.

Do tego stopnia, że próbował ją nastraszyć, żeby wróciła do  
domu?

- To trochę za bardzo naciągane - powiedział do siebie De-  
laney, przechodząc przez pokój, żeby otworzyć komuś, kto  
nieprzerwanie pukał do drzwi. - A, to stary, dobry Al. Hura! -  
powitał sarkastycznie wuja Alfreda i odwrócił się od otwartych  
drzwi. - Co się stało? Czy już cię wyrzucili z pracy?

- Uczciwe sidła za uczciwe dolary - odrzekł Taite i zasiadł  
wygodnie na kanapie. - Ale to nie znaczy, że muszę pracować  
ponad miarę. Moja obecność nie jest wymagana w firmie  
Anthony'ego przed godziną drugą.

- A na razie zdecydowałeś się przyjść tutaj i odwiedzić  
mnie. Jeszcze raz z uczuciem - hura.

- Tak, dziękuję. Poproszę o kawę.

- Czy ja ci coś proponowałem? Cały dzień nalewasz ją u To-  
ny'ego. Myślę, że możesz się trochę postarać i znaleźć sobie kubek.

- Jak nisko upadli wielcy... Wiesz co, podjąłem decyzję.  
Następnym razem, kiedy pomyślę o prawdziwym życiu -  
a wątpię, żebym o nim pomyślał, z Somertonem czy bez So-  
mertonem - wezmę ze sobą przynajmniej jednego z pracow-  
ników Taite'ów. Chyba kucharza albo jednego ze służących, bo  
nie sądzę, bym był w stanie dać sobie radę z tym, co zrobiłem  
z pościelą przez jedną noc. Dzięki niebiosom za Berthę. Do-  
bra kobieta, ale na swój sposób odbiera odwagę - jak i te pa-  
nie, którym towarzyszę w mieście. A teraz Tabitha. Ach, to  
zupełnie inna sprawa i częściowo przyczyna, dla której moje  
prześcieradła są w takim nieładzie.

Wuj Alfred westchnął, wspominając wieczór, po czym zna-  
lazł kubek i napełnił go kawą, zostawiając wystarczająco dużo  
miejsca dla irlandzkiej whisky, którą dolał z piersiówki.



- Czy się mylę, czy jesteś z jakiegoś powodu nieszczęśliwy? Quinn krótko się zaśmiał, zapisał swoją pracę w laptopie i zamknął go.

- Jakie jest twoje pierwsze wskazanie?

- I ja byłem zakochany raz czy dwa, synu, i rozpoznaję symptomy. Te serduszka i kwiatki to tylko frazesy. Cierpienie. Oto, czym jest miłość, i oto, dlaczego uciekłem szybko i daleko, kiedy zorientowałem się, że wzdycham i mam chandrę. Ale ty nie uciekasz, prawda, synu? Ani nie robi tego Shelby. To interesujące.

- Tak, niezmiernie - zgodził się Quinn i zaraz złapał się na tym, że właśnie miał zamiar westchnąć. - Muszę jej powiedzieć, Al, powiedzieć jej o tym. Wkrótce. Nawet jeżeli wydaje mi się, że ona i tak już trochę wie, a może i nawet większość.

- Cóż, oczywiście, że wie - powiedział wuj Alfred, popijając wzmocnioną kawę, po czym westchnął, ale z zadowoleniem. - Jest moją bratanicą. Uważasz, że jest głupia? A teraz zadaj sobie inne pytanie - dlaczego nie porozmawiała z tobą? Dlaczego nie wyjechała z miasta? I nie mów mi, że to tylko z powodu tego charytatywnego wieczorku, który organizuje, bo to śmieszne. Mogła go zaplanować, ale on się sam wspaniale organizuje, według Tabithy, drogiej dziewczyny, która - przy okazji - jest bardzo utalentowana. Tak naprawdę Shelby nie jest już do niczego potrzebna. Tak więc - pytanie będzie miało charakter retoryczny, bo wyglądasz, jakbyś połknął swój język - dlaczego moja bratanica nadal tu jest? Ponieważ cię kocha. A teraz powiedz mi, co zamierzasz z tym zrobić, zanim zacznę uważać, że oddała serce jakiemuś idiocie.

Delaney patrzył przez długi czas na starszego mężczyznę, zastanawiając się, co ma mu odpowiedzieć.

- Westbrook potrzebuje pieniędzy Shelby - odezwał się w końcu.

- Ależ oczywiście, że potrzebuje, synu. Nigdy nie mamy takich pieniędzy, jakie byśmy chcieli, nawet jeżeli mamy tyle, ile nam potrzeba. - I zaraz zmarszczył brwi. - Och. On potrzebuje jej pieniędzy? Skąd o tym wiesz?

- Jakie to ma znaczenie? - odparł Quinn i zaczął się przechadzać. - Nie wiem tylko, czy mogę powiedzieć o tym Shelby.

Piersiówka znowu została wyciągnięta.

- Przypuszczam, że mogłaby być wdzięczna. Ale wątpię w to. Ona prawdopodobnie chciałaby wiedzieć, z jakiej racji, do diabła, wsadzasz nos w jej sprawy. I nie przypuszczam, żebym ją za to winił. Wykażesz jej, że Westbrook nie jest idealnym narzeczonym i inne tego typu rzeczy, i że poślubiając go, może popełnić wielki błąd - a ty chcesz ją ocalić. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się odwinęła i ci przyłożyła.

Quinn przeczesał palcami włosy.

- Tak, ja też tak to mniej więcej widzę. Chyba że to Westbrook stoi za tymi listami i pseudopróbą porwania, a wtedy będę musiał jej o tym powiedzieć i wyjaśnić przyczyny. Bo na razie ona uważa, że to mogą być bywalcy. Albo ja - dodał i zawiesił głos, jakby nagle dostrzegł w tym absurdalnym podejrzeniu jakiś sens.

Wuj Alfred klepnął się po kolanach i wstał.

- Powiedziałbym, że naprawdę przeżywasz dylemat, synu. Szkoda. A teraz, gdybyś mógł przestawić umysł na inny temat - byłbym wdzięczny za zwrot pozostałych funduszy, które tak wielkodusznie mi pożyczyłeś. Mam rozgrywkę, rozumiesz, z tą cudowną grupą, którą Shelby nazywa bywalcami. A, no i z Tabithą, oczywiście, i z Muttem, i również z Jeffem. Ci dwaj niezwykle się ucieszyli, że mogą się przyłączyć, zwłaszcza że wyglądają, jakby pragnęli mieć mnie na oku. Wczoraj wieczór po zamknięciu zostaliśmy u Anthony'ego i w sali na tyłach zagraliśmy kilka partyjek pokera. Niestety dziś okazało się, że mam kłopoty finansowe.

Delaney uszczypnął się w nos i skrzywił się.

- Poker. U Anthony'ego. A Mutt i Jeff? Ci dwaj muszą być wykidajłami. Sensowne. - Pokręcił głową, sięgnął do kieszeni i wyciągnął trzysta dolarów. - Nie wiem dlaczego, ale to jest sensowne. Ty się nigdy nie nauczysz, prawda? - zapytał, kiedy Taite chował do kieszeni banknoty.

- Mam nadzieję, że nie, synu, mam nadzieję, że nie - odpowiedział i uśmiechnął się pod swą zadbaną brodą. - Jestem już stary i niczego więcej się nie nauczę. Jednak wy jesteście młodzi, ty i Shelby. Nie dotarło jeszcze do was, że jesteście śmiertelni, że życie jest krótkie i że trzeba je przeżyć bez żalu. Życie należy zachłannie chwycić i to obiema rękami. Innymi słowy, porozmawiaj z dziewczyną. Teraz, dzisiaj.

Quinn przez długi czas patrzył na drzwi, przez które wyszedł wuj Alfred. Zastanawiał się. Wiedział, że w pracy Shelby nic nie grozi - wuj Alfred i Tony, i bywalcy, a nawet Mutt i Jeff - wszyscy będą jej dzisiaj pilnować. Z wielu powodów Shelby była warta obserwowania. Będzie bezpieczna aż do dziewiątej wieczór.

A potem powrócił do pracy, zapominając o lunchu. Na kolację zjadł dwa plasterki szynki włożone pomiędzy prawie czerstwe kromki chleba. Do godziny dwudziestej sprawozdania były gotowe, jedno wysłał w załączniku e-mailowym do biura w Filadelfii, inne wydrukował i przefaksował do księgowych.

Był wolny i czysty - nic już nie stało pomiędzy nim a Shelby, poza ich wzajemnymi kłamstwami... Właśnie o tym myślał, kiedy przyszedł do Tony'ego tuż przez zamknięciem, i oparł się o ścianę przy kasie.

Z pewnym opóźnieniem zdał sobie sprawę także z czegoś innego. Było to coś zaskakującego, właściwie onieśmiałającego. Niepewnego. Denerwującego. Czy taki był Quinn Delaney? To z pewnością nie był Quinn Delaney, którego on pamiętał. Znał siebie jako zrównoważonego, pewnego siebie człowieka, który bez żalu mógł zostawić wszystko i wszystkich. Po prostu mógł się przenieść na inny kwiatek. A teraz szukał doniczki. Modlił się o doniczkę.

- Przyszedłem odprowadzić cię do domu - oznajmił Shelby, kiedy wydawała resztę klientowi. - Czy to ci nie przeszkadza?

Shelby w duchu pogratulowała sobie, że z radości nie wyskoczyła ze skóry. Tęskniła za Quinnem przez cały dzień, za-

stanawiając się, gdzie się podziewa. Przeprowadzała z nim w myślach rozmowę; na tyle sposobów próbowała nawiązać do ich kłamstw, że zaczynało jej już od tego robić się niedobrze. Nie wspominając już o tym, że włożyła kciuk do salaterki z mizerią dla pani Miller. Na szczęście wujowi Alfredowi udało się powstrzymać staruszkę od poskarżenia się Tony'emu, że hostessa próbowała ją otruć.

- Dziękuję. Będzie mi bardzo miło - odpowiedziała, nie podnosząc wzroku. - Jadłeś coś? Nie było cię cały dzień.

- Teraz, kiedy o tym mówisz, zjadłbym coś. Moglibyśmy pójść do mnie i zamówić pizzę.

I porozmawiać, dodał w myśli.

- Powiem tylko Tony'emu, że wychodzę - odparła, pragnąc, by jej głos nie brzmiał tak słabo i nie drżał. - On, hmm, on i tak będzie tu siedział przynajmniej do północy.

- Grając w pokera - rzekł Delaney z uśmiechem. Kiedy spojrzała na niego, marszcząc brwi, dodał: - Powiedzmy, że krążą na ten temat plotki. Czy szef policji już się przyłączył? Założyłbym się, że tak, ale ja się nie zakładam.

Shelby przytaknęła i wciąż marszcząc brwi, poszła porozmawiać z Tonym. Domyśliła się, skąd Quinn wiedział o pokerze. Wuj Alfred go poinformował. Nie było innej możliwości, zważywszy na to, że Quinn w restauracji w ogóle się dziś nie pojawił. Jak miło, że ci dwaj panowie mogli „pogadać” o całej masie innych spraw, a nie tylko o pokerze. Mogłaby się o to założyć, ale ona się nie zakładała.

- Chodźmy - powiedziała po powrocie z kuchni. Minęła Delaneyą i otworzyła drzwi.

Poszedł za nią jak szczeniak z podstawówki, dopiero na ulicy wzięął ją za rękę i przyhamował jej szybki krok.

- Cieszymy się nocą, dobrze?

Shelby nie chciała cieszyć się nocą. Chciała rozmawiać, do licha. A może nie chciała. Może chciała, żeby to on mówił.

A może chciała, żeby nie mówiło żadne z nich.

Razem weszli po schodach. Shelby poczekała, aż Quinn otworzy drzwi do swego mieszkania.

- Na klamce Brandy zawiązana jest różowa chustka - powiedział, a ona spojrzała na drugą stronę korytarza i skrzywiła się.

- Wspaniale. I co ja mam teraz zrobić?

- Zjeść pizzę - poradził Quinn i wciągnął ją do mieszkania, jednocześnie przytulając do siebie. - Zadzwoń... za chwilę. - Pochylił ku niej głowę, zdając sobie sprawę, że mógł to być pierwszy z ostatnich pocałunków, które ich połączą. - Za chwilę...

Shelby poczuła, jak jego usta muskają jej wargi, delikatnie, przekomarzając się. Jeden, dwa, trzy razy. Quinn nie trzymał jej i właściwie nie całował. Czuła, że oczekuje na zaproszenie.

I dała mu je. Przesunęła dłońmi wzdłuż jego ramion i zbliżyła się do niego. Ujęła jego głowę dwoma rękoma i zanurzyła usta w jego ustach. Jej pożądanie przysłoniło wszystko inne - nawet to, co według niej było jej lepszym osądem.

Potrzebowała go. Pragnęła go. Kochała go.

Nic innego nie miało znaczenia, nie w tym momencie. I nic nie mogło mieć.

Westchnęła, kiedy wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Wyciągnęła ku niemu ramiona, gdy położył ją na łóżku, a potem zostawił na kilka chwil, na całą wieczność, i znów do niej dołączył. Rozbierał ją powoli, a jego gorące usta podążały w ślad za jego dłońmi, zsunął z niej ubranie i przykrył ją swym nagim ciałem.

Jego pocałunki były długie, namiętne, aż Shelby poczuła w oczach palące łzy. Objęła go i mocno przywarła do niego całym ciałem. Obawiała się oddalić choćby na ułamek sekundy, by nie prysnął ten cudowny nastrój.

Quinn odnalazł ustami i dłońmi jej piersi, smakował je, wchłaniał ich zapach, muskał palcami; wsłuchiwał się w ciche jęki Shelby będące odpowiedzią na jego dotyk, odpowiedzią, która - wiedział - była prawdziwa.

Kocham cię, kocham cię - nucił w myślach, ale nie śmiał wypowiedzieć tych słów na głos. Nie teraz. Jeszcze nie teraz. Już je raz wypowiedział i przestraszył ją. Musiał najpierw powiedzieć jej prawdę, całą prawdę, inaczej jego słowa o miłości nie będą miały znaczenia.

Nie spieszył się, pragnąc zapamiętać każdy szczegół jej ciała. W końcu Shelby sięgnęła niżej, ujęła w dłoń jego męskość i wyszeptała mu do ucha:

- Proszę, proszę. Proszę, teraz.

Zadrzała, kiedy zmienił pozycję, wsunął się pomiędzy jej zapraszająco rozchylone uda i wszedł w nią głęboko. Oplotła go nogami i rękami, które pieściły, nalegały, więziły. Tak mocno go pragnęła. Modliła się, by jej ciało zdołało wyrazić, jak bardzo go kocha, mimo iż rozum nakazywał mu nie ufać.

Ich usta przywarły do siebie, odtąd nie mogli mówić kłamstw ani nie mogli powiedzieć prawdy. Kłamstwa raniły, ale prawda mogła wszystko zniszczyć.

Dużo później wzięli wspólną kąpiel w staroświeckiej wannie na nóżkach, za jaskrawą kwiecistą zasłoną. Śmiejąc się, razem stanęli na gumowych stokrotkach przyklejonych do dna wanny. Quinn namydlił ręce i zaczął myć Shelby, która nagle poczuła się zawstydzona i onieśmielona. On jednak nie pozwolił się odepchnąć, delikatnymi pieszczotami nakłonił ją, by poddała się jego dłoniom. Wkrótce jej ciało zaczęło pulsować, nie panowała już nad sobą i niemal wyślizgnęła się z ramion ukochanego.

Kiedy woda zaczęła stygnąć, Quinn wyjął Shelby z wanny, owinał w wielki kąpielowy ręcznik, który przywiózł ze sobą z Filadelfii, i posadził na małej ławeczce w łazience. Następnie mniejszym ręcznikiem zaczął wycierać jej włosy. Przez cały ten czas oboje milczeli.

- Głodna? - zapytał szeptem tuż przy jej uchu i poczuł, jak Shelby przecząco kręci głową, a potem ziewa. Uśmiechnął się, pocałował ją w koniuszek nosa, wziął na ręce i zaniósł do łóżka.

- Powinniśmy porozmawiać - powiedział, kiedy położyła się na boku i zwinęła w kłębek.

- Wiem - odparła i zamknęła oczy, mocniej wtulając się w poduszkę.

Quinn wyłączył światło i wczołgał się do łóżka obok niej.

- Chcesz porozmawiać?

- Nie za bardzo - szczerze odpowiedziała Shelby, dwie prawie nieprzespane noce mocno dawały się jej we znaki. - Chcę tylko spać. Tutaj, z tobą. Czy możemy to zrobić, proszę?

Quinn wyciągnął rękę i przesunął nią po jej wilgotnych włosach.

- Ale ty wiesz, prawda? - zapytał, przyglądając się uważnie jej twarzy.

- Tak, wiem. Jesteś zdrajcą - wymamrotała Shelby, odpływając już do świata fantazji, w którym mogła mieć wszystko, co zapragnie, powiedzieć wszystko, co chce, w którym zawsze wygrywała i nigdy nie traciła. - Jestem zakochana w zdrajcy. - Ponownie ziewnęła i zapadła w sen.

Księżyc przeświecał przez żaluzje, dzieląc łóżko na ciemno- i jasnoszare pasy. Przez długi czas Delaney patrzył na Shelby, w końcu ostrożnie wyślizgnął się z pościeli, włożył szorty i wrócił do salonu.

Wyłączył telewizor i lampkę, którą wcześniej zostawił zapaloną, i usiadł na kanapie. Słowa okazały się zbędne. Nie potrzebne były żadne wyjaśnienia, długie czy krótkie, żadne wykresy, plansze, żadne upiększenia prawdy, żeby pokazać się w lepszym świetle.

Już po wszystkim. Najgorsze już się skończyło, choć właściwie żadne z nich nic nie powiedziało. Jedyne, co Quinnowi pozostało, to czekać na poranek, wtedy okaże się, czy Shelby kochała go na tyle mocno, by mu wybaczyć.

Chyba że powiedziała już wszystko, o czym myślała, wszystko, co chciał wiedzieć.

„Jestem zakochana w zdrajcy.” Jemu to wyznanie wystarczyło.

Idąc do pracy w czwartek rano, Shelby uśmiechała się na wspomnienie Quinna śpiącego na kanapie. Jak się obudzi, będzie miał zeszytniały kark.

I dobrze mu to zrobi - pomyślała, kiedy przechodziła na palcach przez salon i zamykała za sobą drzwi.

Ponieważ oszukał ją. Całował ją. Kochał się z nią. Obejmował ją, pieścił, doprowadzając na szczyty tak wiele razy, że wprost omdlała w jego ramionach, a nie zamienił z nią ani jednego słowa na temat swoich i jej kłamstw.

Zatrzymała się, by posłuchać drozda, siedzącego wysoko na jednym z drzew oceniających chodnik. Uśmiech błąkał się na jej wargach, kiedy wspominała wczorajszy wieczór. Spóśób, w jaki Quinn traktował jej ciało - jak najlepszy instrument muzyczny, na którym zagrał symfonię zniewalającą wszystkie zmysły.

- Jesteś dobry - powiedziała, patrząc w górę na drozda. - Ale on jest lepszy. - Uśmiechnęła się i poszła dalej, myśląc, że jest to najwspanialszy poranek w jej życiu. Quinn ją kochał. A ona kochała jego.

Porozmawiają o swoich kłamstwach innym razem. Może za pięćdziesiąt lat. I będą się z nich śmiali.

Tak, za pięćdziesiąt lat. To będzie odpowiedni moment. Odpowiednia pora.

Pora.

„W samą porę, do cholery!”

Te okropne słowa...

Shelby zatrzymała się. Z jej ust zniknął uśmiech, w głowie wciąż dźwięczały te słowa. Quinn ją kochał. Ona też go kochała. Jednak nie mogliby porozmawiać o tym człowieku,



o liście z pogrozkami, o tych słowach. Nie mogliby. Ani teraz, ani za pięćdziesiąt lat. Ponieważ jeżeli to była prawda, to Delaney rzeczywiście okazałby się zdrajcą. A jeżeli była to nieprawda, okazałoby się, że ona żywi podejrzenia wobec człowieka, którego ponoć kochała.

Ciemne chmury zasnuły cudowny poranek Shelby. Nie miała jednak czasu uzalać się nad sobą, kiedy otworzyła drzwi restauracji i weszła prosto w zaspany tłum poranny i tłum wczesnoobiadowy - co w gruncie rzeczy oznaczało tych samych ludzi.

Mieszkańcy Wschodniego Wapeneken potraktowali ten dzień jako święto miasta, kilkanaście osób zaoferowało swoją pomoc w przeprowadzeniu trzech tur kwesty, odbywającej się pod wymyślonym przez bywalców hasłem: „Oficjalna zbiórka na rzecz naszych synów, ojców, mężów i braci”. Nie był to specjalnie chwytliwy tekst, ale zadziałał. Przynajmniej na większość. „I krewnych” - jak ktoś dopisał na końcu długiego bannera, zwisającego z czegoś w rodzaju półmasztu nad frontowym oknem restauracji.

Thelma, kiedy usłyszała o kolacji, wróciła z Teksasu dzień wcześniej, by przejąć swoje obowiązki hostessy. Wysoka, smukła kobieta z zapadniętymi policzkami i rodzynkowymi oczyma przedstawiła się Shelby o trzeciej, zdecydowana pokazać młodej parweniuszce, kto tu rządzi. O trzeciej piętnaście składała serwetki w kształcie łabędzi w sposób, w jaki nauczyła ją Shelby, i mówiła każdemu, kto tylko chciał słuchać, że ma zamiar włożyć dziś wieczorem swoją purpurową sukienkę - tę z koralikami, którą kupiła na ślub córki, bowiem dla odmiany postanowiła zabawić się w rozpieszczanego klienta.

Kryzysy przychodziły jeden po drugim. I jeden po drugim Shelby je zażegnywała. Chociaż nie uniknęła malej scysji z Tonym.

- Prezencja jest najważniejsza - tłumaczyła restauratorowi, który podkład z lodowej sałaty z umieszczoną na nim cząstką pomarańczy uważał za wydumany.

-Jedzenie jest najważniejsze - upierał się Tony, rzucając jej

gniewne spojrzenie, w momencie gdy wpychał kolejne wielkie zeberka do pieca. - Smak jest najważniejszy. Ty masz swoje obrusy. Masz swoje fantazyjne filiżanki dla pań. I to wszystko, co od ciebie zależy, rozumiano?

Myśli o egzotycznych warzywach, a może i plastrach pomidora w galaretcie poszybowały w nieznane, a Shelby powróciła do sali. Oparła ręce na biodrach i ostatni raz się rozejrzała. Zamknęli restaurację o trzeciej, żeby zdjąć ceratowe obrusy i zastąpić je wypożyczonymi lnianymi, które błyszcząły delikatnie jak kość słoniowa. Jedyнным kolorowym akcentem były ciemnoróżowe „łabędzie”, które wykonała Thelma.

Na stołach pobłyskiwały srebrne sztucce, rozłożone jak należy, a nie zawinięte w papierową serwetkę. W wazonikach stało po kilka jedwabnych kwiatków, butelki z keczupem zostały zabrane, podobnie jak pojemniki na cukier - dziś wieczór cukier miał być serwowany w papierowych saszetkach. Widoczne na każdym stole małe wizytówki zawierały informację o rezerwacji dla pierwszej tury.

Pod sufitem i w narożnikach restauracji wisiały krepinowe chorągiewki w narodowych barwach. Shelby osobiście umyła listki wszystkich wiszących roślin i każdą doniczkę ozdobiła niebieską bibułową kokardą.

Patrzyła po sali i lekko się uśmiechała, mając świadomość, że każda serwetka, każdy obrus, każdy jedwabny kwiatek jest dowodem jej zwycięstwa. Jej zwycięstwa. Ogarnęło ją uczucie dumy - dziesięć razy silniejsze, niż kiedy należała do komitetów organizacyjnych różnych balów charytatywnych. Ponieważ tu było inaczej. To było Wschodnie Wapeneken. I ona zrobiła to sama w prawdziwie cudownym celu.

Przycisnęła rękę do żołądka. Zaczynała dawać o sobie znać trema debutującej hostessy, która modli się, by nie przydażyło się nic złego, zanim wieczór nie dobiegnie końca.

- Wyglądasz na zadowoloną z siebie, moja droga - odezwał się zza Shelby wuj Alfred, przez co jego bratanica omal nie wyskoczyła ze skóry.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, i zdumiała się, widząc go we fraku.

- Skąd?...

- Kochanie, wybierając się w podróż, należy być przygotowanym na wszelkie ewentualności, nie wiedziałaś o tym? A teraz pomóż mi z tą muszką, dobrze?

Uniósł głowę i Shelby z wprawą dokończyła wiązania muszki. Potem pocałowała wuja w policzek, zrobiła krok w tył i jeszcze raz się nim zachwyciła.

- Naprawdę jesteś diabelnie przystojny, wiesz o tym. I damy będą mdlały przez całą noc.

- Tak długo, jak będą mi dawały napiwki - powiedział wuj Alfred, puszczając do niej oko. - Jakie to miłe, prawda, kochanie? Czuję się taki amerykański, jeśli to odpowiednie słowo. Podobnie jak wtedy, gdy bomba idzie w górę. Jeden za wszystkich i wszyscy za jednego i... cóż, powiedzmy otwarcie, że dobrze się bawię, i skończyłem już z tym. Ale nie musisz mówić tego Somertonowi. Chcę, żeby uwierzył, że ogromnie cierpię i z pokorą przyjmuję nauzkę, i będę jak oswojone jagnię, kiedy tylko pozwoli mi wrócić pod swój dach.

- Spodziewając się podwyżki swej kwartalnej pensji, prawda? - zapytała Shelby, kręcąc głową.

- To mogłoby się zdarzyć - odparł wuj Alfred, po czym odwrócił się na pięcie, żeby otworzyć drzwi, ponieważ ktoś pukał. - Ach! - zawołał przez ramię, gdy zbliżył się do drzwi. - Joseph i Francis są tutaj, czyż to nie miłe?

- Joseph i Francis? - zapytała Shelby, obchodząc odgradzającą ściankę i rozpoznając dwóch przyciężkich mężczyzn, o których sądziła, że nazywają się Mutt i Jeff. Właśnie wnosili do restauracji... małe pianino?! - Wu... to znaczy, Al - co to mam być?

- Nasza rozrywka podczas kolacji, moja droga - wyjaśnił wuj Alfred, kiedy Joseph, niosący wyściełany stołek, i Francis, dźwigający nad głową, jakby ważyło nie więcej niż piórko, małe elektroniczne pianino przeszli obok nich i skierowali się do przygotowanego wcześniej miejsca po drugiej stronie sali.

- Nie - powiedziała Shelby, kręcąc głową. - Żartujesz. Na pewno żartujesz, prawda?

- Wręcz przeciwnie, moja droga. Wygląda na to, że Joseph ma talent do gry na tym instrumencie. Wziął, och, przynajmniej pięć lekcji, nie licząc tego, czego nauczył się sam, i jest bardzo z siebie dumny. Przyszedł im do głowy ten pomysł wczoraj w nocy podczas naszej gry i Anthony się zgodził. - Wuj Alfred podszedł bliżej, pochylił się i szepnął Shelby do ucha: - Obiecali także odpisać od mego rachunku dwa tysiące, jeżeli powiem Anthony'emu, że są zawodowymi muzykami.

Shelby patrzyła, jak instrument podłączany jest do prądu i rozstawiany na metalowym stole. Joseph usiadł przed nim na wyściełanym stołku, natomiast Francis rozłożył na małym stojaku cienką książeczkę - „Dla początkujących na Broadwayu” - a następnie stanął z tyłu, krzepkie ręce oparł o brzuch i uśmiechnął się tak szeroko, że jego twarz wyglądała jak przekrojony na pół melon.

Joseph otworzył nuty. Wybrał stronę. Zmarszczył brwi. Wstał.

Francis przestawił stołek.

- O, mój Boże - jęknęła pod nosem Shelby. - To jakby oglądać parę hipopotamów w różowych spódniczkach, odgrywających „Jezioro łabędzie”.

- Niegrzeczna dziewczynka - skarcił ją wuj Alfred, cmokając. - Niegrzeczna, niegrzeczna. Wolę ich widzieć raczej jako dwóch, hmm, wielkich entuzjastów musicalu.

Joseph usiadł, jeszcze raz pogimnastykował palce. Wypróbował pianino, grając kilka akordów. Zmarszczył brwi. Wstał.

Francis - cóż, to było oczywiste, co zrobi teraz Francis.

- Czy sądzisz, że Joseph i jego arystokratyczne siedzenie będą gotowi przed ostatnią turą? - zapytała Shelby, zaczynając dostrzegać komizm całej sytuacji.

- Kochanie, naprawdę się tym przejmujesz? - zapytał wuj Alfred, po czym przerzucił przez lewe przedramię śnieżnobiałą serwetę i odszedł, żeby odpowiedzieć na kolejne pukanie do

frontowych drzwi. - Ach, Quinn, mój chłopcze. Kogo tu mamy? A, to nie ma znaczenia. Zostałem upoważniony do zlokalizowania najbliższego sklepu spożywczego i nabycia kilkudziesięciu pomidorów. Anthony był tak dobry, że dał mi kluczyki do swojej furgonetki, więc nie zaprzątałem mu głowy i nie wspominałem, że od dwudziestu lat sam nie prowadziłem samochodu. Możesz mnie zastąpić podczas mojej nieobecności?

Shelby usłyszała imię Quinna i natychmiast sięgnęła do włosów, by upewnić się, że żaden kosmyk nie wysunął się z warkocza, po czym zaczęła otrząpywać miękkie, liliowe kostium od Armaniego. Dopiero, kiedy zdała sobie sprawę z tego, co robi, przerwała. W tym momencie Delaney wychylił głowę zza odgradzającej ścianki i oznajmił:

- Ma pani gości, którzy czekają na panią na zewnątrz, panno Smith. Są zupełnie zdezorientowani wywieszką „Zamknięte”. Pomyślałem, że ocalilibym ich.

- Goście? - Ogarnęła ją panika. Skoro i tak wszyscy wiedzieli, gdzie jest, Somerton i Jeremy mogli dojść do wniosku, że co za dużo, to niezdrowo, i przyjechali, by zabrać ją do domu. Albo Parker. Boże, miała nadzieję, że to nie Parker...

- Panno Smith? - odezwał się głos, którego Shelby nie rozpoznała. Obeszła ściankę i ujrzała dwóch nastolatków. Stali w wejściu, wyszorowani, starannie uczesani i ubrani w koszule z przypinanymi krawatami. Ten, który się odezwał, trzymał w ręku bukiet kwiatów.

- Tak - powiedziała powoli, a potem dostrzegła w ręku drugiego chłopca zmięte kartki i przypomniała sobie. - A, tak. Dziś jest piątek, prawda?

- Tak, proszę pani - przyznał ten, który był wyznaczony na rzecznika. Przesunął ręką po kołnierzyku koszuli, która była za ciasna, a następnie obciągnął rękawy, które były za krótkie. To było oczywiste, że obaj chłopcy musieli bardzo urosnąć, od momentu kiedy ostatni raz musieli włożyć koszule. Ale obaj wyglądali na tak uroczo skrępowanych, że Shelby chciała ich uściskać.

- Czy to dla mnie? - zapytała, wskazując na kwiaty.

- Tak, proszę pani, dla pani. Ja i obecny tu Jimmy, no, nasze mamy powiedziały, że kobiety lubią kwiaty. Przynieśliśmy tak-że wypracowanie. Napisaliśmy je sami, bez niczyjej pomocy.

- Nie wliczając mojej siostry, Jen, która przepisała je na komputerze - dodał Jimmy, który najwyraźniej przyswoił sobie lekcję o uczciwości. - Mówi, że jest całkiem dobre.

- Założę się, że jest - powiedziała Shelby, odbierając wypracowanie i kwiaty. - Wasi rodzice muszą być z was bardzo dumni - dodała ze ściśniętym gardłem. - W każdym razie ja jestem. Jestem bardzo, bardzo z was dumna.

- Tak, proszę pani - odezwał się Jimmy, opuszczając nisko głowę. - Jak obecny tu Richie powiedział wczoraj wieczorem, z pewnością nauczyliśmy się czegoś. Zwłaszcza Richie. Jego tata naprawdę się wku... hmm, zdenerwował się. Zabronił mu chodzić przez miesiąc do miasta. Ja tylko koszę trawę. U mnie, u mojej ciotki i u jednego sąsiada. Ale to nie szkodzi - dodał. - To znaczy, zrobiliśmy coś złego, prawda, Richie? I zrozumieliśmy to.

- Oj, zrozumieliśmy - chętnie zgodził się Richie, po czym uśmiechnął się lekko, kiedy Delaney wyciągnął rękę i zmierzył mu starannie uczesane głowy. - No, to musimy iść, prawda, Jimmy? Musimy wracać do domu, zanim ktoś nas zobaczy.

Jimmy skrzywił się i przewrócił oczyma.

- Za późno. Jen zrobiła mi zdjęcie, kiedy wychodziłem z łazienki.

Quinn odrzucił do tyłu głowę i zaczął się śmiać, a potem patrzył, jak Shelby zrobiła krok do przodu i ucałowała obu chłopców w policzki, a oni uciekli, śmiejąc się.

- Warto było to zobaczyć - podsumował. Shelby nie odpowiedziała, całą uwagę skupiła na stokrotkach, które trzymała w ręce. - Dobrze zrobiłaś, Shelley. Więcej dzieciaków powinno odebrać taką lekcję i mieć takich rodziców, którzy o nie dbają.

- Aha - powiedziała, obracając się na pięcie i kierując do barku. Wzięła wysoką szklankę i włożyła do niej kwiaty.

Wciąż trzymała w ręku wypracowanie, całe trzy strony, ale wiedziała, że nie może teraz go przeczytać.

Jakże kochała to miejsce. Było dokładnie takie, jak mówił Jim Helfrich. Prawdziwe. A jutro zostanie już tylko wspomnieniem.

Quinn stanął za nią i położył rękę na jej ramieniu.

- Hej, wszystko w porządku?

Pokręciła głową, a po policzkach zaczęły jej płynąć pierwsze łzy.

- Nie, raczej nie.

Obrócił ją, ujął pod brodę i zajął jej w oczy. Czy to mogła być dama z towarzystwa, z Głównej Linii? Ta cudownie uczuciowa kobieta, która płakała, ponieważ dwóch nastolatków uczesało się i przyniosło jej kwiaty? Jakże ją za to kochał. Kochał jej serce, kochał jej umysł, kochał jej wrażliwą duszę. Sam był zaskoczony, że aż tak bardzo.

- Ach, kochanie. - Przyciągnął ją do siebie bliżej i oparł jej głowę o swe ramię. - Już dobrze. Obiecuję, że wszystko będzie dobrze.

Wtulona w niego Shelby próbowała odzyskać kontrolę nad swymi emocjami. Jutro już jej tu nie będzie. Do jutra powie o wszystkim Quinnowi i on jej powie... cokolwiek uzna za stosowne, by jej powiedzieć. Już jutro wróci do poprzedniego życia. Jutro będzie sama.

Jak się wydawało, wymagający Joseph znalazł wreszcie wygodną dla siebie pozycję na wyściełanym stołku, odpowiedni nastrój do grania oraz miejsce dla dużej szklanki do brandy, którą Francis postawił na pianinie, na wypadek gdyby ktoś chciał zapłacić za specjalnie zamówioną piosenkę.

Nieoczekiwanie - czy w jakimś innym pomieszczeniu mogło się zdarzyć więcej cudów? - kiedy Joseph uderzył w klawisze, Francis odchrząknęła i zaczął wydobywać z siebie pierwsze takty „Oklahomy”.

Delaney jeszcze mocniej zacisnął ramiona wokół Shelby, ponieważ nagle zaczęła się trząść, ale zaraz zdał sobie sprawę,

że ona wcale nie płacze. Przeciwnie - śmieje się. Jej początkowy cichy chichot szybko przemienił się w głośny, zaraźliwy śmiech. A kiedy Joseph nie mógł znaleźć akordu i Francis przez dziesięć bitych sekund ciągnął dźwięk „O-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-ola”, oboje już, Quinn i Shelby, śmiali się na cały głos.

Nie mogąc się opanować, dyskretnie wycofali się do kuchni, gdzie oparli się o ścianę i dalej śmiali do utraty tchu.

Tony spojrzął na nich z dezaprobatą.

- Co, teraz jesteście krytykami muzycznymi? Wstydźcie się. Uważam, że są bardzo dobrzy. A teraz wynosić się z mojej kuchni. - Uniósł tasak i przeciął kolejną kapustę dokładnie na pół.

Brandy przyszła dziesięć minut przed oficjalnym rozpoczęciem pierwszej tury. Przyparła Shelby do muru w małym tylnym pomieszczeniu - w słynnej sali dla niepalących, którą w takim mieście, jak Wschodnie Wapeneken zawsze najtrudniej było wypełnić. Ubrana była w sięgającą do kostek sukienkę w zielono-różowe kwiaty. Jej piegi wyraźnie odznaczały się na tle białej skóry.

- Zapłać mi - powiedziała, wyciągając rękę.

- Zapłacić ci? Brandy, jesteś nieprzytomna. To ty płacisz nam za kolację. Jednak - dodała Shelby, uśmiechając się - możesz się ubiegać o mały upust, ponieważ, jeśli dobrze pamiętam, twój stolik znajduje się koło „estrady koncertowej”.

- Hę? - zapytała Brandy, a następnie pokręciła głową. - To nie ma znaczenia. Mama przychodzi. Słyszysz mnie, Shelley? Mama. Nie dość, że zrezygnowałam dla tej uroczystości z lekcji tańca, to jeszcze mama? Boże, Shel, nie ma na świecie takiego lekarstwa na niestrawność, które pozwoliłoby mi przez to przejść. Co ja mam zrobić? Poza zamordowaniem jej, oczywiście.

- Ja nie... Poczekaj! - Złapała przyjaciółkę za rękę i poprowadziła z powrotem do głównej sali. - Al... hej, Al! - zawołała, na co jej wuj, który podziwiał właśnie swoje odbicie w srebrnej pierścionce, odwrócił się i popatrzył znacząco spod brwi.



- Wzywałaś mnie, moja droga? - zapytał, po czym pochylił się nad dłonią Brandy. - Ach, mój ulubiony napój, to jest, osoba. Jak cudownie poruszająco wyglądasz dziś wieczór.

- Dzięki, wuju - powiedziała Brandy, zamrugała i cofnęła się zakłopotana. - Och, rozluźnij się, nie powiem nikomu.

- Wuju Alfredzie, mam dla ciebie zadanie - oznajmiła Shelby, szukając oczami narożnego stolika zarezerwowanego dla Brandy i Gary'ego. Gary pomachał do niej trochę jak rozbitek wzywający pomocy, lecz ona przesunęła wzrok na kobietę siedzącą obok niego.

Pani Mack, cała ubrana na czarno, prezentowała minę mówiącą, że w ciągu swojego życia nie natknęła się jeszcze na wygodny mebel do siedzenia i nie spodziewała się takowego znaleźć i dziś wieczór. Była całkowitym zaprzeczeniem Brandy: szczupła, wysoka, a jeżeli zaśmiała się kiedyś, przed dwudziestu może laty, to trudno byłoby się tego domyślić, patrząc na jej marsowe czoło i głębokie zmarszczki. Gdyby urodziła się mężczyzną, prawdopodobnie zostałaby generałem w jakiejś armii. Oby nie w naszej - pomyślała Shelby, wzdrygając się.

- Wuju Alfredzie, czy widzisz tę damę siedzącą obok przyjaciela Brandy, Gary'ego?

Taite, występujący dziś wieczór z monoklem, który odnalazł w kieszeni fraka, uniósł szkło do oka i spojrzał we wskazanym przez bratanicę kierunku.

- Ojej!

Brandy nie potrzebowała nawet sekundy, żeby przejrzeć plan Shelby.

- Tak, Al, kochanie - ojej. A to zadanie, o którym wspomniała Shel, jeżeli zgodzisz się je wykonać, ma polegać na takim omotaniu tej starej nietoperzycy, żeby zapomniała mi opowiedzieć o poprzednich dziewczynach Gary'ego, które tak bardzo lubiła. A także o innych równie „przyjemnych” historiach.

Monokl odpadł od oka Ala i zawisł na cienkiej, czarnej wstążce.

- Będzie, oczywiście, rekompensata?

- Zaproponuj coś - rzekła Shelby, obserwując, jak pani Mack podnosi piękną serwetkę, w kształcie łabędzia i uważnie się jej przygląda, jakby nie dowierzała jej czystości. - Cena nie gra roli.

- Dobrze więc, moje drogie. Omówimy moje wynagrodzenie później. A teraz - w dolinę śmierci... Cóż, jakkolwiek by to szło. Nigdy nie powierzałem pamięci wielkich dzieł, z wyjątkiem wyścigowej formy Slappy Jacka, oczywiście.

- Dzięki, Shel - powiedziała Brandy, śledząc wzrokiem wuja Alfreda, który już pochylał się nad dłonią pani Mack. - O, Boże, popatrz na nią. On siada - a ona zdecydowanie topnieje!

Joseph, a może Francis, ujrzawszy wuja Alfreda i panią Mack, dość naturalnie zaintonował i dość nienaturalnie zaśpiewał „Nieprawdopodobny sen” z „Człowieka z La Manchy”. I znów zdawało się to pasować do sytuacji...

Goście wciąż tłumnie przybywali. Delaney stał obok Shelby, która witała każdą nową grupę ludzi i kierowała ją do zarezerwowanych stołów.

- Fred i Hilda. Ruth i Jean. Hunsbergerowie, cała szóstka - szeptał. - Mam spędzić całe życie, stojąc blisko ciebie i mówiąc ci, kto jest kim?

- A zrobiłbyś to? - zapytała Shelby, a serce zatrzepotało jej w piersi.

- Jeżeli mi tylko pozwolisz - odparł Quinn, bacznie się jej przyglądając i zastanawiając się, kiedy stracił swoje wycucie. A może nie? Nie mogła zadawać teraz pytań - nie miała na to czasu. Miała czas tylko na udzielenie odpowiedzi. W tym momencie działało to na jego korzyść.

- Więc? Wyjdiesz za mnie?

- Pani burmistrz Brobst, jakże miło panią widzieć dziś wieczór! - ryknęła Shelby, pamiętając o zawodnym aparacie słuchowym staruszki. - Proszę mi pozwolić odprowadzić panią i panią Fink do waszego stołu.

Zanim wzięła do rąk dwa specjalne menu, poświęciła jeszcze moment, żeby rzucić spojrzenie Quinnowi

- Jakies nazwiska pamiętam - rzekła, a potem szybko odeszła, tak że nie zdążył zadać jej żadnego pytania.

Jak mogła odpowiedzieć na jego pytanie? Nie wiedziała nawet, czy zapytał ją poważnie. Jakże mógł zapytać ją poważnie? Nie teraz, kiedy wciąż było tak wiele, tak bardzo, bardzo dużo rzeczy do omówienia... i to nie za pięćdziesiąt, optymistycznie licząc, lat, ale dziś wieczorem.

Po posadzeniu obu pań, kiwnęła na George'a, żeby poszedł za nią do holu prowadzącego do łazienek. Zrobił to uszczęśliwiony. Wyglądał, jakby gotów był uciec w jakiekolwiek miejsce, byle tylko nie widzieć małego pulpitu z mikrofonem, przy którym miał wygłosić mowę po zakończeniu kolacji przez pierwszą turę, a potem jeszcze dwukrotnie - jeżeli wcześniej nie padnie trupem.

- O co chodzi? - zapytał z nadzieją w głosie. - Mikrofon nie działa?

- Nie masz takiego szczęścia, George - odparła uprzejmie Shelby. - A poza tym twoja żona powiedziała mi, że będziesz fantastyczny. Nie denerwujesz się, prawda?

Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej złożoną kartkę, na której Delaney napisał przemówienie.

- Jest tu kilka słów, na których można sobie połamać język... - Wziął głęboki wdech, a następnie powoli wypuścił

powietrze. - Wiesz, chcieliśmy jedynie, żeby stara pani Brobst zgodziła się na ścianę - i tyle. Jak to się stało, że skończyliśmy, robiąc to wszystko?

- To moja wina, George, przepraszam - powiedziała Shelby, poklepując go po ramieniu, na którym prężyły się szwy jego dziesięcioletniego brązowego garnituru. - A teraz jeszcze wszystko pogorszę. George, nie chcę o to pytać - proszę, uwierz mi, że naprawdę nie chcę - ale czy rzeczywiście mogliście zabić panią burmistrz Brobst?

- Zabić? Zabić panią burmistrz? Starszą panią Brobst? - Twarz George'a stała się biała, a następnie czerwona jak burak. Odrzucił do tyłu głowę i zaczął się śmiać. Spojrzał na Shelby i dalej się śmiał. Wreszcie wyciągnął z kieszeni dużą, niebiesko-białą chustkę i otarł oczy. - Rany. To jakieś ćwiczenie na koncentrację, tak? Jakby wywołanie szoku, żebym przestał myśleć o moim przemówieniu? Dziękuję pani. Teraz czuję się dużo lepiej. Zabić panią burmistrz - powtórzył i odszedł, kręcąc głową. - Ludzie, niech mnie kule.

Shelby uśmiechnęła się zmieszana. Postanowiła wykorzystać moment i odwiedzić damską łazienkę, żeby poprawić makijaż i... pozbierać się. Dobrze - pomyślała, patrząc na swe odbicie w lustrze. To nie był George ani bywalcy. Skoro tak bardzo rozśmieszyły go jej podejrzenia dotyczące planowania morderstwa, nie potrzebowała zadawać drugiego pytania, czy to bywalcy stali za listem i za próbą porwania.

Które to pytanie, ilekroć o tym myślała lub - jak mawiał Tony - bez względu na to, jak bardzo to rozdrabniała, zawsze prowadziło ją do Quinna Delaneya. Był jedyną osobą, która prawdopodobnie mogła coś zyskać na porządnym jej wystraszeniu. Gdyby opuściła Wschodnie Wapeneken i wróciła do domu, on mógłby zająć się jakimiś bardziej interesującymi projektami.

Zdecydowanie wykluczała Somertona. Kochał ją zbyt mocno, by ją w ten sposób straszyc, bez względu na to, jak rozpaczliwie pragnął, żeby wróciła.

I nie mógł być to Parker, bo najwyraźniej nie zależało mu na niej na tyle, by w ten sposób próbować nakłonić ją do powrotu.

„W samą porę, do cholery.”

O, tak. Ci mężczyźni znali Quinna, rozpoznali go. Rozpoznali go, ponieważ ich wynajął, nasłał ich na nią, żeby sam mógł odegrać rolę sir Galahada. Wejść do jej życia. Wejść do jej łóżka. Zabrać ją z miasta.

- Nie - powiedziała Shelby do swego odbicia cichym głosem. - Nie - powtórzyła, wyprostowała się i dodała z większym przekonaniem: - Nie, nie, nie. Nie wierzę w to. Po prostu w to nie wierzę.

Oparła się dłońmi o krawędź umywalki i pochyliła, by zajrzeć sobie głęboko w oczy.

- Przez całe życie nie musiałaś za siebie myśleć, Shelby Taite. Nigdy nie musiałaś zawierzać własnemu instynktowi, robić czegoś po swojemu, spać w łóżku, które pościeliłaś sobie sama - i to zarówno w przenośnym, jak i w dosłownym znaczeniu.

Poprawiła kołnierzyk, wyprostowała dekolt, obróciła się w lewo, potem w prawo, by ocenić swój wygląd.

- Z pewnością wyglądasz na dorosłą. Czy nie czas zacząć się tak zachowywać? Zaprześcić szukania ukrytych motywów i zaakceptować fakt, że mimo iż popełniłaś kilka błędów, podobnie jak i on, to jednak się kochacie? Ze naprawdę, ale to naprawdę się kochacie? Czy masz zamiar spędzić resztę życia bez nadziei? A tak właśnie będzie zdaniem Brandy, jak wiesz. Jesteś głupia. Zaglądasz zbyt głęboko, myślisz za dużo i nie słuchasz swego serca. A przecież znasz je - tę część ciebie, która prawdopodobnie w ogóle nie istniała, dopóki nie wskoczyłaś do autobusu jadącego do rzeczywistości.

Wygładzając włosy, Shelby wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze, które zabrało ze sobą jej ostatnie obawy.

- I wiesz co, droga pani? - zakończyła, uśmiechając się do siebie. - On tego nie zrobił. On... tego... nie... zrobił. Żadnych „jeżeli”, żadnych „oraz”, żadnych „ale”. Już nie. I nie obcho-

dzi mnie, kto to zrobił. To po prostu nie jest ważne. Już nie. Tak jest!

Zasalutowała swemu odbiciu i zaśmiała się, ponieważ i jej serce, i jej umysł zakończyły bitwę - nie było nikogo, żadnego świadka wielkiego objawienia w damskiej łazience. Następnie pchnęła drzwi na korytarz. Po raz pierwszy od lat była tak pewna swych uczuć. Może po raz pierwszy w swoim życiu.

Betty Ann Fink stała zaraz za drzwiami i patrzyła, jak Shelby wychodzi, ale sama nie weszła do łazienki.

- Czy nie było tam kogoś razem z tobą? - zapytała żartobliwie. - Słyszałam jakieś głosy.

Shelby zarumieniła się i poczuła falę gorąca.

- Mówiłam do siebie, pani Fink - przyznała zawstydzona.

- W takim razie w porządku - orzekła staruszka, kiwając głową. - Ja to robię cały czas. Zwłaszcza kiedy rozmawiam z Amelią, *co w gruncie rzeczy wychodzi na* to samo. Uroczy wieczór, moja droga. Naprawdę podoba nam się muzyka.

- To miło, pani Fink - powiedziała Shelby i pośpiesznie odeszła. Zakryła uszy, kiedy George włączył mikrofon i całą salę wypełnił ogłuszający pisk sprzężenia.

Stanęła w drzwiach, nie chcąc przechodzić przez restaurację w trakcie wygłaszania mowy. Zauważyła Quinna, który stał koło kasy i patrzył na nią oczyma zmaconymi niepokojem.

Uśmiechnęła się i posłała mu całusa. Miała wrażenie, że jej serce frunie w ślad za tym pocałunkiem.

- Kocham cię - powiedział Quinn bezgłośnie, kiedy Francis oferował pomoc przy ustawieniu mikrofonu. - Wyjdź za mnie.

Skinęła głową i szybko zamrugowała oczyma, żeby zdusić łzy. George rozpoczął przemówienie.

Biedny człowiek cały zalał się potem, a ręce trzęsły mu się tak bardzo, że aż kartki podskakiwały. Dość wysokim i spiętym głosem rzucił nerwowo:

- Próba mikrofonu. - Odchrząknął i otarł zroszone potem czoło.

Zaszurało kilka krzesel, zabrzmiało kilka pomruków i jeden czy dwa chichoty, które najprawdopodobniej sprowokowała osoba biednego George'a. I wtedy jego głos zabrzmiał mocniej. Zaczął jeszcze raz i sala utonęła w ciszy. Odtąd nie było słycać nic poza donośnym męskim głosem. Głosem pokolenia, który mówił to, co powiedzieć należało.

George przeczytał nazwiska tych, którzy pełnili służbę, i tych, którzy zginęli. Delaney włączył do przemówienia większość zapisków bywalców w ich oryginalnej formie - były szczere, mocne, chwytające za serce.

Wszyscy na sali, i kobiety, i mężczyźni, wyciągnęli chustki i bez wstydu ocierali łzy. Oddawali hołd bohaterstwu, a w sercach składali obietnicę pamiętania na zawsze.

- I to wszystko - zakończył przemówienie George. - To dlatego zgromadziliśmy się tutaj dziś wieczorem. Starsi, może mądrzejsi i wciąż mający dług do spłacenia tym, którzy nie mieli szansy ożenić się, trzymać w ramionach kobiety, patrzeć, jak dorastają ich dzieci, oglądać meczów piłki nożnej, wypić kilku zimnych piw w parku podczas Dni Społeczności Lokalnej... czy móc pożegnać się z tymi, których kochali, kiedy nadszedł czas pożegnania. Złożyli za nas najwyższą ofiarę, z czego my, szczęściarze, może nadal nie zdajemy sobie sprawy. Zasługują na nasz szacunek i pamięć. Zasługują, aby ich nazwiska zostały wymienione tu, w ich rodzinnym mieście, dla przyszłych pokoleń, dla pokoleń, które - oby Bóg pozwolił - nigdy nie doświadczyły okropieństw wojny. Tak więc, dziękuję wszystkim chłopakom, którzy są dziś tutaj. Dziękuję ci; Billy... Chad... Tommy... Johnny... Dougie... A. J. Nie zapomnieliśmy. Nigdy nie zapomnimy.

Przez kilka sekund panowała absolutna cisza. Potem Delaney postąpił krok do przodu i zaczął klaskać. Powoli pozostali goście restauracji zaczęli wstawać i klaskać w hołdzie. Wkrótce stali i klaskali wszyscy..

Tony stał koło kuchni i obejmował długimi ramionami kucharzy Julio i Stana.

Francis i Joseph objęli się nawzajem.

George dołączył do reszty bywalców, którzy zawstydzeni, że znaleźli się w centrum uwagi, stali z czerwonymi twarzami, prezentując medale przypięte do garniturów, ponieważ z mundurów już dawno wyrosli.

I wszyscy płakali.

To było piękne, pomyślała Shelby. To była najpiękniejsza chwila, jakiej była świadkiem.

Ocierała dłońmi łzy z policzków, dopóki wuj Alfred nie podał jej swojej chustki.

- Nie pamiętam, czy kiedykolwiek byłem tak wzruszony - powiedział i sięgnął do kieszeni. - Proszę, Shelby. Oto moja wczorajsza wygrana w pokera. Widzę, że trafia do odpowiedniego towarzystwa. Jestem z ciebie dumny, kochanie. Bardzo, bardzo dumny.

Shelby kiwnęła głową, zagryzając dolną wargę, żeby nie drżała.

- To Quinn napisał przemówienie - powiedziała, stając na palcach i próbując go wypatrzeć w tłumie. - Dobrze się z tego wywiązał, prawda? Widzisz go? Gdzie on jest? Muszę z nim porozmawiać.

Wuj Alfred pocałował ją w policzek.

- Tylko porozmawiać, moja droga? Jako twój wuj twierdzę, że możesz sobie pozwolić na dużo więcej. A teraz idź, ja się tu wszystkim zajmę. Po prostu wmieszam się w tłum i postaram się wydobyć z ich kieszeni coś jeszcze - teraz, kiedy George już ich rozmiękczył. Skan Anula, przerobiła pona.

- Dziękuję, wuju Alfredzie. Bardzo ci dziękuję - powiedziała Shelby, obejmując go.

Odwzajemnił jej uścisk.

- Czy to nie miłe? Za co ty mi dziękujesz?

Shelby odsunęła się, ale wciąż obejmowała go ramionami.

- Za bardzo wiele rzeczy - odrzekła i zamrugała oczami, w których gromadziły się nowe łzy. - Za to, że pomogłeś mnie stworzyć, jak sam to nazwałeś. Za to, że opowiedziałeś mi



o swoich przygodach. Za to, że sprowokowałeś mnie, żebym wyjechała i rozpostarła skrzydła, a nie po prostu się ustatkowała. Bez ciebie nic by się nie wydarzyło. Nie przytrafiłby mi się Quinn. Ja bym się nie przytrafiła. Byłabym Shelby Taite - pustą muszlą. A teraz... - Zawahała się i zaśmiała. - A teraz czuję się jak pełny człowiek, jak ja sama. Och, wuju Alfredzie, tak bardzo cię kocham.

Ucałowała go raz jeszcze, a następnie odwróciła się i ruszyła pomiędzy zatłoczone stoły, szukając wzrokiem Quinna. Zatrzymywano ją kilka razy, żeby jej podziękować, żeby ją uściskać, żeby pani burmistrz Brobst, która wrzeszczała jej do ucha przez dobre dwie minuty, mogła ją ucałować

Widział, jak się zbliżała. Obserwował ją podczas powolnego, radosnego marszu, tak jak przedtem w trakcie czułej rozmowy z wujem. Jak mógł kiedykolwiek pomyśleć, że była zimną rybą, kolejną Wstrętną Bogaczką, którą należy wrzucić wraz z innymi do jednego dużego worka. Nigdy nie zadał sobie trudu, by przyjrzeć się bliżej tym ludziom. A przecież człowieka powinno się oceniać na podstawie osobistych zasług, a nie na podstawie liczby zer na koncie bankowym.

- Quinn! - zawołała, wyciągając ku niemu dłoń. Chwycił ją za ramię i pociągnął przez tłum do wyjścia. - Musimy porozmawiać.

Kiedyś przestraszył się, słysząc te słowa, i przestraszył się, wypowiadając je. Teraz niczego tak nie pragnął, jak porozmawiać z nią, posłuchać, co ma mu do powiedzenia. Otworzył drzwi i wyszli na zewnątrz.

- Czy możemy się najpierw pocałować? - zapytał, przypieprzycając ją do stiukowej ściany. Ujął obiema dłońmi jej głowę. Świat przestał istnieć. Byli tylko oni dwoje, tu i teraz.

- Nie, nie możemy - odparła i uśmiechnęła się figlarnie. Jej roziskrzona brązowa oczy napawały się jego widokiem. - Po pierwsze, kocham cię, Quinnie Delaney. Kocham cię całym sercem i zawsze będę cię kochać.

Quinn uśmiechnął się szeroko. Przynurzył się bardzo blisko i pożądliwie na nią spojrział.

- I ja cię kocham całym sercem. Na zawsze. A teraz, możemy się pocałować?

Odepchnęła go.

- Po drugie, chcę ci powiedzieć, że nie wiedziałam. Nie na początku i przez długi czas. Mam kłopoty z zapamiętywaniem nazwisk, a poza tym nie sądzę, żebym kiedykolwiek naprawdę spojrzała ci w twarz.

- Wiem. Jestem zdrajcą. Już mi to powiedziałaś. Ale nie powinnaś była mnie widzieć. Byłem tu, żeby cię obserwować, upewnić się, że malutka siostrzyczka Somertona nie wplątała się w jakieś kłopoty. Ale wszedłem do Tony'ego, a ty tam byłaś. Spojrzałaś mi prosto w twarz i nie rozpoznałaś mnie. Muszę przyznać, że poczułem się urażony w swej dumie. Byłem wściekły. Sądziłem, że łatwiej mnie zapamiętać.

Dotknęła jego policzka.

- I miałaś rację - łatwo cię zapamiętać. Mogę sobie wyobrazić, jaki byłeś zły, kiedy sobie ciebie nie przypominałam.

- Nie, nie możesz. - Skoro nie zamierzała pozwolić się pocałować, miał czas, żeby jej wszystko powiedzieć. - Nie lubię bogaczy, Shelby. Nigdy nie lubiłem. Miałem w życiu jedno przykre doświadczenie i pozwoliłem, żeby uprzedziło mnie to do całej grupy ludzi - poza Gradym, moim partnerem, ale jego nie można nie lubić. Postanowiłem nawet z tobą poromansować, chciałem podarować małej bogatej dziewczynce przygodę, której zdawała się szukać. - Westchnął i pokręcił głową. - Ale nie mogłem. Po prostu nie mogłem tego zrobić. Byłem zbyt zajęty zakochiwaniem się w tobie.

Shelby zamrużyła powiekami, żeby się nie rozpłakać.

- Och, Quinn, to najmiłsze słowa, jakie kiedykolwiek od kogoś usłyszałam.

- Miłe? Niewątpliwie masz swój własny sposób patrzenia na różne sprawy, prawda, kochanie? Ale poczekaj; jest coś jeszcze.

- Tak, jest coś jeszcze. Mój żal, jak przypuszczam. Chciałam zrobić coś sama, raz w życiu odpowiadać za siebie. Ale nigdy nie

byłam zupełnie sama, prawda, Quinn? Byłeś tu prawie od samego początku. Siatka bezpieczeństwa Somertona. To dlatego nie przyjechał i nie zabrał mnie - ponieważ ty mnie obserwowałeś. Niańczyłeś mnie.

Delaney zamyślił się głęboko. Schylił głowę i pocałował ją w czoło.

- Shelby, przyjechałaś tu sama. Sama znalazłaś sobie pracę. Co więcej, utrzymałaś tę pracę i odniosłaś w niej prawdziwy sukces. Mój Boże, spójrz, co zrobiłaś dla tego miasta. Czy widziałaś kiedykolwiek tylu ludzi obejmujących się, bawiących się ze sobą, współdziałających dla dobra społeczności? Przybyłaś tu ze swą siłą, ze zdolnością zorganizowania ludzi, zorganizowania dużego przyjęcia - i dostrzegania w ludziach jedynie dobra. Wiesz, niewiele dziedziczek z Głównej Linii w ogóle spojrzaloby na bywalców i zrobiło wszystko to, co zrobiłaś ty.

Teraz Shelby naprawdę się rozpłakała. Trzęsła się jej broda, a po policzkach spływały gorące łzy.

- Nigdy nie pomyślałam o tym w ten sposób...

- Cóż, powinnaś. Jesteś po prostu najmiłszą, najukochańszą, najbardziej tolerancyjną, najbardziej niezwykłą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. - Roześmiał się, żeby rozładować napięcie. - Nawet jeżeli nie jesteś w stanie zapamiętać czyjegokolwiek imienia.

Shelby zaśmiała się cicho, a potem coś przyszło jej do głowy. Coś, o czym powiedział wcześniej Quinn.

- Nie lubisz bogatych ludzi? Czyli jak bogatych?

- Powiedziałem ci, że to już przeszłość. Wybiłem to sobie z głowy mniej więcej tydzień temu. - Uśmiechnął się szeroko. - A ty, jak bardzo jesteś bogata?

Uniknęła jego wzroku.

- Dość bogata - przyznała. - Wciąż ci to przeszkadza, prawda? To znaczy, kiedyś myślałam, że mężczyźni chcą się ze mną ożenić dla pieniędzy, ale nigdy nie sądziłam, że jakiś mężczyzna n i e będzie się chciał ze mną ożenić, ponieważ mam pieniądze. Dopóki nie wyjdę za mąż lub nie będę trochę

starsza, będę otrzymywała jedynie procent od przychodów. Ale potem otrzymam całą kwotę i będę mogła ją wydać na co zechcę. Czy to naprawdę będzie dla ciebie taki problem? Bo jeśli tak, to sądzę, że mogłabym rzec się spadku.

Quinn natychmiast otrzeźwiało.

- Zrobiłabyś to, Shelby? Zrezygnowałabyś z pieniędzy, żeby mnie uszczęśliwić? Wystarczyłyby ci moje zarobki? Nawiasem mówiąc, nie są one aż takie nędzne.

Zdecydowanie kiwnęła głową.

- No, wiesz... - Z wrażenia zamilkła. - Hmm... a tak przy okazji, o jakiej kwocie tu mówimy?

Shelby odwróciła oczy.

- O trzydziestu milionach dolarów.

Delaney cofnął się i potarł ręką usta, które, miał wrażenie, wyschły na wiór.

- Trzydzieści milionów dolarów - powtórzył i zaśmiał się krótko. - Odrzuciłabyś trzydzieści milionów dolarów. Dla mnie. Mój Boże...

Shelby odsunęła się od ściany, podniosła źdźbło trawy i skręciła je między palcami.

- Więc chcesz, żebym je odrzuciła?

Quinn zaczął się śmiać. Śmiał się tak gwałtownie, że aż musiał usiąść na trawie. Chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- Kochanie, może i nie jestem najmądrzejszym człowiekiem na świecie, ale czy mam wytatuowane na czole słowo „idiota”?

- Ach, Quinn, tak bardzo cię kocham.

Delaney unióś jej brodę i pomyślał, że najwyższy już czas, żeby przestał mówić i wreszcie pocałował kobietę, którą kochał. Ale ona wyzwoliła się z jego objęć i ponownie wstała.

- Muszę ci coś wyznać.

On także wstał i przyjrzał się jej uważnie, wciąż próbując zebrać myśli.

- Co? Jadasz w łóżku krakersy? Nie lubisz rano wstawać? Nie umiesz gotować?

Zmrużyła oczy i popatrzyła na niego.

- Doskonale wiesz, do licha, że nie umiem gotować - wycedziła. - Ale nie o to chodzi. Chodzi o... o... cóż, dostałam pocztą ten list. List z pogrózkami, w którym kazano mi wyjechać z miasta. A potem była ta próba porwania, czy co to było. Pamiętasz?

Quinn zacisnął zęby.

- Pamiętam.

- Myślałam, że to ty - wyrzuciła z siebie tak szybko, jak to tylko możliwe. - Kiedy zrozumiałam wreszcie, kim jesteś, pomyślałam, że już cię zmęczyło niańczenie mnie i wysłałaś list, żeby mnie nastraszyć i zmusić, żebym pojechała do domu. Wtedy ty mógłbyś rzucić tę pracę i wrócić do bardziej interesujących zadań.

Delaney przerwał nerwowe chodzenie i chwycił Shelby za ramiona, zmuszając, by na niego spojrzała.

- Posłuchaj, rzuciłem tę pracę, jak to nazwałeś, następnego dnia po naszej grze w kręgle. Tego wieczoru zrozumiałem, że jest coś nieporównywalnie ważniejszego niż zwykła praca - że ty znaczysz dla mnie nieporównywalnie więcej niż praca.

- Och - powiedziała cicho - to... to bardzo miłe. Ale nie jesteś na mnie zły, że sądziłam, że to ty wysłałeś mi list?

- Listy, Shelby, w liczbie mnogiej. Skoro jesteśmy w nastroju do wyznań, pozwól, że ci powiem, iż włamałem się do mieszkania Brandy, przetrząsnąłem twoją torebkę i znalazłem pierwszy list. A tego ranka, kiedy miała miejsce próba porwania, wyjąłem z twojej poczty drugi. Może oficjalnie nie byłem już w pracy, ale wciąż pracowałem. I nie, nie jestem zły, że mnie podejrzewałaś. Chociaż żałuję, że o tym nie pomyślałem, bo wtedy niewątpliwie porozmawiałbym z tobą, a nie dał ci się zwabić do łóżka.

- Zwabić cię do łóżka! Ależ, ty...

- Mam cię - powiedział i zmarszczył brwi. - Przeprowadziłem dochodzenie, chcąc się dowiedzieć, kto przysyłał te listy i kto wynajął tych osiłków. I sądzę... nie, przepraszam, jestem całkiem pewien, że to Westbrook.

- Parker? - Shelby przypomniała sobie, że zastanawiała się nad narzeczonym jako nad potencjalnym podejrzanym, ale odrzuciła tę myśl. - Nie rozumiem. Dlaczego miałyby zrobić coś takiego?

- Cóż, rozmyślałem o tym - zaczął Quinn. Wyciągnął rękę, ujął jej dłoń i zaczął ją głaskać kciukiem. - Wiedział, gdzie jesteś - wszyscy wiedzieli, gdzie jesteś, kochanie; nie umiesz zacierać za sobą śladów. Mógł tu przyjechać, powiedzieć ci, że cię kocha, i błagać, żebyś wróciła do domu.

- Nie sędzę - wtrąciła cicho Shelby. - Ponieważ prawdopodobnie nie mógł przypuszczać, że go nie kochałam. A nie kochałam go i nie kocham. Więc próbował mnie nastraszyć, żebym wróciła do domu? Nigdy nie planowałam długo przebywać poza domem. Dlaczego nie mógł po prostu poczekać?

Quinn uniósł jej prawą dłoń do ust i pocałował ją.

- Po pierwsze, kochanie, sędzę, iż domyślił się, że sam zacząłem się tobą interesować, i przestraszył się, że mógłbym odnieść sukces. Ale jest jeszcze inny powód, o którym naprawdę wolałbym ci nie mówić.

Ścisnęła jego dłoń.

- Powiedz mi.

- To delikatna sprawa; właściwie nie złamałem prawa, ale trochę je nagiąłem. Westbrook jest spłukany, kochanie, a nawet więcej niż spłukany. Zdefraudował fundusze, które zebrał od swych inwestorów, i jeżeli w najbliższym czasie nie doprowadzi do fuzji pieniędzy - a chodzi tu o twój mały spadek - prawdopodobnie trafi do więzienia.

Shelby zagryzła dolną wargę i zamyśliła się.

- Nie obchodzi mnie to - odezwała się w końcu.

- To dobrze, ponieważ jest coś jeszcze. On ma kochankę. Shelby uśmiechnęła się szeroko.

- A teraz to już kompletnie mnie to nie obchodzi.

Delaney uśmiechnął się jeszcze szerzej niż ona.

- To dobrze, bo właściwie ma dwie kochanki.

Shelby roześmiała się głośno, odczuwając ogromną ulgę.

- A ja myślałam, że to ze mną jest coś nie tak - powiedziała, kiedy mogła już złapać oddech. - Myślałam, że mnie nie da się kochać, że jestem zimna. Ale to nie ja, nigdy nie chodziło o mnie. To on. Och, Quinn, tak dobrze się czuję!

- Wystarczająco dobrze, żeby w końcu pozwolić mi cię pocałować?

Przechyliła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- To zależy, jak bardzo chcesz mnie pocałować?

Przyciągnął ją bliżej i wyrzekł słowa, o których wiedział, że na nie czekała.

- Chyba umrę, umrę tu i teraz, jeżeli zaraz cię nie pocałuję.

Ręce Shelby przesunęły się po jego ramionach. Jedną objęła go za szyję, a drugą przyciągnęła jego głowę do swojej.

- Jak mawia Brandy, to pracuje na moją korzyść...

- Somerton? To ja, Shelby.

Zdażyła policzyć do trzech, zanim brat zebrał się w sobie i wreszcie się odezwał:

- Shelby? Czy to naprawdę ty, Shelby? Czy wszystko w porządku? Gdzie jesteś?

- Dobrze wiesz, gdzie jestem, Somertonie Taite - powiedziała. - I wiedziałeś przez cały czas. To dlatego wysłałeś Quinna, żeby mnie pilnował. Czym zresztą zasłużyłeś sobie na moją dozgonną wdzięczność. Nie chcesz wiedzieć, dlaczego dzwonię? Chciałam, żebyś był pierwszym, który się dowie, że się pobieramy.

Słyszała w tle Jeremy'ego, który wzruszył się bardzo, że zadzwoniła. Mimo iż Somerton zasłonił dłonią słuchawkę, słyszała także, jak mówił: „Pobierają się. Tak. To właśnie powiedziała. Co? Tak, tak, zrobię to. Jestem pewien, że zechce skorzystać z twojej pomocy przy wyborze sukni i kwiatów. A teraz uspokój się, zanim coś sobie zrobisz.

Shelby oparła się o tors Quinna i położyła dłoń na słuchawce. Spędzili cudowną noc w jego łóżku i cudowny poranek, zanim zdecydowała, że powinna wreszcie zadzwonić do Somertona.

- Jeremy bardzo się tym ekscytuje, jak sądzę. Czy to nie słodkie? Lubisz go, prawda? To znaczy, chyba nie jesteś na niego zły, czy coś w tym rodzaju?

- Nigdy w życiu, kochanie. I przypomnij, żebym ci powiedział, co Somerton zrobił ostatnim razem, kiedy tam byłem. Bardzo ci się to spodoba.

- Przepraszam? - powiedziała Shelby, odejmując rękę od słuchawki i prostując się ponownie. - Powiedz to jeszcze raz, Somertonie, dobrze? Chcę, żeby i Quinn to usłyszał.



Uniosła słuchawkę tak, by oboje mogli słyszeć, kiedy Somerton powtarzał:

- Powiedziałem, że wydano nakaz aresztowania Parkera. Jest...

Quinn złapał słuchawkę i bez śladu humoru w głosie rzucił:

- Somertonie, to ja, Delaney. Kto ci powiedział, że wyszedł nakaz aresztowania Westbrooka?

- Kto mi powiedział? Niech się zastanowię. Aha, a tak przy okazji, wciąż nie poprosiłeś mnie o rękę Shelby. Porozmawiamy jeszcze o tym później, w porządku. Zatem... czy to nie Dex Sandler, wczoraj popołudniu w klubie? A może to była Mimi Brock, podczas wczorajszej kolacji odbywającej się w ramach Czerwcowych Obchodów na rzecz Naszych Przyjaciół Delfinów? No, zresztą to bez znaczenia. Wszyscy o tym mówią.

- Że Westbrook jest w areszcie - popędzał go Quinn, starając się nie tracić cierpliwości. - Jest aresztowany, tak? Zamknięty? Czy może wyszedł za kaucją?

- Nie, musiałeś mnie źle zrozumieć - powiedział Somerton. - Miałem na myśli, że wszyscy mówili o Parkerze, co jak sądzę doprowadzi do nakazu. Nie znam dokładnie wszystkich szczegółów, ale ktoś zaczął zadawać dość niedwuznaczne pytania na temat Parkera, na temat jego interesów, i wszyscy zaczęli mówić na głos, co sami jedynie przypuszczali, a potem ktoś, nie wiem kto, odwiedził biuro prokuratora okręgowego.

- Grady - mruknął do siebie Delaney i uśmiechnął się do Shelby, a ona spojrzała na niego figlarnie. - Dobrze - przerwał podniesionym głosem Somertonowi, który w tym momencie rozmawiał z Jeremym na temat ślubów ogrodowych, które zdecydowanie były w tym sezonie w modzie. - Czyli ktoś natknął się na szwindle Westbrooka - to znaczy, chciałem powiedzieć, na problemy - i ktoś z biura prokuratora okręgowego złożył mu wizytę - i co dalej? Wygląda mi na to, że to dochodzenie posuwa się zbyt szybko.

Taite westchnął do słuchawki.

- Chcesz poznać wszystkie ohydne szczegóły, prawda? Dobrze więc. Ktoś przyszedł zobaczyć się z Parkerem i kogoś w biu-

rze Parkera bardzo to poruszyło. I tego samego dnia ten ktoś złożył wizytę temu drugiemu w jego w biurze w centrum. Poprosił o rezygnację ze wstąpienia na drogę sądową, bo tak chyba brzmi ten termin. Tego samego dnia, w czwartek, jak mi się zdaje, wydany został nakaz aresztowania Parkera. I, zanim mnie o to zapytasz - nie, nikt go od tej pory nie widział. Co? A, tak, Jeremy, masz słuszość. Jeremy mówi, że wyniósł się cichaczem.

- Do licha! - zaklął Quinn, ściskając dłoń Shelby. - Westbrook uciekł, - W myślach już zaczął pakować jej bagaże, planując wywieźć ją ze Wschodniego Wapeneken. - Dobrze, Somertonie. Zadzwoniliśmy do ciebie, żeby cię poinformować, że zamierzamy tu zostać jeszcze tydzień lub dłużej - twój wuj pragnie uzbierać pieniądze, zanim wróci do domu. W tej sytuacji jednak wyjedziemy jeszcze dzisiaj, nawet jeżeli Al tu zostanie.

- Al? Jaki Al? Twierdzisz, że wuj Alfred też tam jest? I że pracuje? Nie wierzę w to.

- Opowiemy ci wszystko później. W tym momencie chcę jedynie spakować się i wyjechać stąd,

Odłożył słuchawkę, po czym natychmiast znów ją podniósł i wybrał jakiś numer,

- Quinn? Co się stało? Powiedziałeś, że będzie aresztowany. Powiedziałeś mi tak wczoraj w nocy. Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki zdenerwowany, skoro już...

- Ciii - szepnął, całując ją w policzek. A po chwili: - Grady? To ja. Tak. Dziewiąta. W niedzielę rano. Nie, nie jestem pijany. Nie odkładaj słuchawki. Westbrook - pamiętasz go? Wyszedł nakaz jego aresztowania. Wiesz coś na ten temat? - Słuchał przez chwilę, po czym uśmiechnął się do siebie. - Tak, tak. Dobrze, posłuchaj tego. Uciekł, zwiął, nie mogą go znaleźć. A teraz, co byś zrobił, gdybyś był spłukany, gdyby ściagała cię policja i gdybyś musiał wyjechać z kraju? Gdybyś przedtem musiał się upewnić, że będziesz miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby żyć na poziomie, do którego wciąż jesteś przyzwyczajony?

Po drugiej stronie zapanowała cisza, a w tym czasie Shelby niemal siłą oderwała słuchawkę od ucha Quinna, chcąc też słyszeć.

- Jeżeli już prawie mi się upiekło, kiedy nawet nie próbowałem uciec... - Grady zaczął się głośno zastanawiać.

- Dokładnie. Ja też tak pomyślałem.

- Wiec obudziłeś mnie, żeby zapytać o coś, co sam już wiesz? Dobranoc, Quinn. Idę z powrotem spać. Dbaj o nią.

Shelby wyjęła z rąk ukochanego słuchawkę i odłożyła ją na widełki.

- Ty i twój partner sądzicie, że Parker naprawdę mógłby próbować mnie porwać? Tak na poważnie?

Quinn pogłaskał jej policzek, a potem próbował pchnąć ją z powrotem na materac, chcąc czym innym zająć jej myśli.

- A teraz, kochanie...

Następną rzeczą, którą zarejestrował, było to, że leży płasko na podłodze, a Shelby wkłada białą koszulę, która miała na sobie poprzedniego wieczoru. Ta koszula zapoczątkowała wczoraj szlak, który utworzyły ubrania i który ciągnął się od salonu do sypialni jego małego apartamentu.

- Nie próbuj ze mną tych „a teraz, kochanie”, Quinnie Delaney! - wybuchła, przeszukując leżące na podłodze ubrania. - Znasz takich mnóstwo - i ty, i twój niegrzeczny partner. Ustaliśmy, że zostajemy tu jeszcze kilka dni i zostaniemy tu kilka kolejnych dni. Poza tym za piętnaście minut spotykam się u Tony'ego z Komitetem do spraw Pomnika, żeby podliczyć nasze zyski. Gdzie są te cholerne buty?

Była zła, nawet więcej niż zła. Była przerażona po czubki nóg palców u stóp. To, że zareczyła się z kryminalistą - który na dodatek miał dwie kochanki - jakoś przełknęła. Ale to, że miał zamiar ją porwać i zażądać za nią okupu? O, nie, nie, nie! Tego było już za dużo!

- Shelby, posłuchaj mnie - poprosił Quinn, wędrując po śladach ich wczorajszej niecierpliwości w celu znalezienia butów. - To jedynie domysły, a prawdopodobieństwo ich urzeczywistnienia się jest mniejsze niż jeden do trzydziestu milionów i sama o tym wiesz. Ten facet najwyraźniej nie myśli jak reszta nas.

Shelby zatrzymała się w trakcie wkładania mocno pogniecionych spodni od garnituru Armaniego.

- Myśli co najmniej tak jak ty - odparła, niezgrabnie zasunęła zamek spodni i zapięła guzik. - A ja nie przepadam za zastraszaniem. A ty mnie przerażasz.

- Nie można było tego uniknąć, kochanie - przekonywał ją Quinn, podążając za nią do łazienki. - Chciałbym jedynie, żebyś wystraszyła się na tyle, żeby pozwolić mi zabrać cię do domu. To znaczy, oczywiście, chciałbym usłyszeć, że Westbrook wrócił albo że ktoś go złapał, gdy próbował wskoczyć do samolotu lecącego do Brazylii. Ale on zbyt długo na ciebie liczył, kochanie. Liczył, że będziesz jego wybawieniem. I tak czy owak, uważam, że nadal tak o tobie myśli - zawahał się na moment, po czym dodał: - jak o kurze znoszącej złote jajka.

Dreszcz przebiegł Shelby po plecach. Odłożyła szczoteczkę do zębów i rzuciła się Quinnowi w ramiona, mocno do niego przywierając.

- W porządku, teraz naprawdę się boję. Nie jestem zła - boję się. I nie jestem głupia. Żyłam w strachu przed porwaniem przez całe życie i znam konsekwencje udawania, że ochrona nie zawsze jest konieczna. Ale naprawdę chciałabym się ze wszystkimi pożegnać. Czy możemy zrobić przynajmniej to?

- Tak, kochanie - odpowiedział, głaszcząc ją po włosach. - Możemy to zrobić. A teraz pozwól mi wrzucić na grzbiet jakieś ubranie, odprowadzić cię do twojego mieszkania, żebyś mogła wziąć prysznic i spakować się, a potem pójdziemy do Tony'ego na spotkanie. Dobrze?

- Dziękuję, Quinn! - powiedziała, stanęła na czubkach palców i pocałowała go. - Ale twoje porsche nigdy nie pomieści mojego bagażu. Spakuję tylko kilka rzeczy, a potem wrócimy po resztę, dobrze?

Delaney zgodził się, wiedząc, że Shelby chciała mieć pretekst, by wrócić do Wschodniego Wapeneken. Zgodziłby się nawet ufarbować włosy na czerwono, gdyby tylko dzięki temu wprowadziła się stąd. Nie chodziło o to, że uważał, iż nie dał-

by rady Parkerowi Westbrookowi III i jego dwóm wynajętym zbirom. Ale nie chciał, żeby Shelby była przy tym obecna, gdyby do tego doszło.

Dwadzieścia minut później, z zasmuconą Brandy, która wręcz przykleiła się do ramienia Shelby, cała trójka szła ulicą w stronę restauracji Tony'ego.

- Tak bardzo będzie mi brakować tego miejsca - powiedziała Shelby, ściskając rękę przyjaciółki. - Będę za wszystkimi tęsknić, a zwłaszcza za tobą i Garym. Trudno mi sobie wyobrazić życie bez was.

- Zawsze możesz przyjechać w odwiedziny - podsunęła Brandy, rzucając Delaneyowi zaniepokojone spojrzenie. - I, oczywiście, jeżeli zechcesz przysłać tu Jima Helfricha i limuzynę, by zabrał mnie do ciebie, to nie odmówię. O, do licha - jęknęła, zatrzymując się na chodniku. - Zapomniałam wziąć koperty, które dał mi na przechowanie Tony. Wpłaty, wiesz. Wy idźcie dalej, a ja zaraz do was dołączę.

Drugą przecnicę minęli powoli. Trzymając Shelby za rękę, Quinn uważnie się przyglądał nielicznym przejeżdżającym samochodom. W oddali widać było auta zaparkowane przed restauracją Tony'ego, ale to nie było nic niezwykłego. Właściwie nic nie wyglądało ani trochę bardziej niezwykle czy nie na miejscu.

I to sprawiło, że Delaney zaczął się denerwować i jeszcze bardziej rozglądać. Tak naprawdę zawsze miał się na baczności. Ale nigdy nie był zdenerwowany, nigdy nie czuł się niepewnie. Nigdy dotąd jednak nie był zakochany.

Zdążyli wejść na parking przed restauracją, kiedy to się stało.

Ustawiona na oponie na skraju parkingu tablica, na której wypisane były specjały dnia, zasłoniła Quinnowi widok, tak że nie zauważył przykucniętego za nią mężczyzny.

Mężczyzna bezgłośnie wstał i ruszył biegiem wprost na Delaneya.

Shelby krzyknęła.

Quinn rozpoznał w mężczyźnie jednego z tych, którzy pró-

bowali ja porwać, i przeklął samego siebie za to, że musiał mieć ramię, akurat kiedy ten jedyny raz w życiu nie chciał jej mieć.

Wyciągnął rękę i zmienił kierunek zupełnie dobrze wycelowanego ciosu mężczyzny. Potem zrobił krok do przodu, planując rąbnąć napastnika dłonią w kark. Temu jednak udało się odparować uderzenie. Świetnie, pomyślał Quinn. Nich szlag trafi współczesne zainteresowanie sztukami walki. Tylko tego było mu trzeba. Faceta, który myślał, że umie walczyć.

W przeciwieństwie do Delaney'a prawdopodobnie nie wiedział jednak, jak walczyć nieczysto.

Quinn obrócił się bokiem, zaparł nogami o ziemię, opuścił ręce wzdłuż tułowia i tylko modlił się, żeby przeciwnik znów na niego natarł.

W tym czasie Shelby wbiegła do restauracji, wołając o pomoc i kompletnie ignorując szefa policji, który zajmował swą zwykłą pozycję przy automacie do pokera.

- Ktoś napadł Quinna! Szybko!

Tabby złapała tasak i rzuciła się do czegoś, co świetnie imitowało bieg. Joseph i Francis w drodze do drzwi przewrócili dwa stoliki. Bywalcy odepchnęli ich wielką ławę i dołączyli do ekipy ratunkowej.

Zanim zdążyli przybiec z odsieczą, Delaney stał już nad *swym* przeciwnikiem, dysząc ciężko, z wciąż zaciśniętymi pięściami, podczas gdy mężczyzna wił się na ziemi, kurczowo zaciskając ręce na *swym* najbardziej czułym miejscu.

- Quinn, jesteś cały? - krzyknęła Shelby, biegnąc do niego przez parking.

- Nie! - zawołał do niej, wciąż próbując złapać oddech. - Idź do środka. Na miłość boską, wracaj do środka!

Ale było już za późno. Na parking wjechał czarny sedan, zapiszczały hamulce, od strony pasażera wyskoczył mężczyzna i złapał Shelby za ramię.

- Parker? - Nie mogła w to uwierzyć, mimo że Westbrook stał przed nią i wyglądał na nie mniej od niej przerażonego. Jego strach dodał jej odwagi. Pognieciony, szyty na miarę, biały strój

do tenisa, który narzeczony prawdopodobnie miał na sobie, kiedy zaczął uciekać przed policją, rozśmieszył ją. - Parker, ty ośle!

Niestety strach Westbrooka nie dodał jej siły fizycznej, a w każdym razie nie na tyle, by mogła wyrwać się z jego uchwytu. Wykręcił jej do tyłu ramię i zaczął ją popychać w kierunku otwartych drzwi samochodu.

- No, dalej, dalej, ruszaj się! - krzyczał kierowca.

W tym momencie na parking wjechał caddy rocznik '67, prowadzony przez panią burmistrz Brobst, która z powodu cotygodniowej, poranno-niedzielnej wizyty w LOK, CIĘCIE I KOLOR U MAUDE była mocno spóźniona.

Delaney zauważył, że Amelia Brobst obserwuje całą scenę zza kierownicy, zatrzymawszy się po drugiej stronie wjazdu na parking, a tymczasem Bettyann Fink krzyczy jej coś do ucha. W końcu Amelia nacisnęła na hamulce i na klakson, i ostrzegawczo zawyła silnikiem.

Quinn spojrzał na mężczyznę na ziemi i zdecydował, że ten w najbliższym czasie nigdzie się nie wybierze. Przeniósł spojrzenie na Shelby, która się krzywiła, ponieważ Westbrook próbował zmusić ją do pójścia w stronę samochodu. Nie ułatwiała mu tego zadania, niech ją Bóg błogosławi, ale nie mogła nic zrobić. Potrzebowała pomocy.

I mogła na nią liczyć.

Dosłownie.

Francis, cięższy od Josepha o kilka kilo - można by pomyśleć, że upadek dwóch ton cegieł na głowę może być mniej bolesny niż upadek dwóch ton i trzech kilo cegieł - niedźwiedzim uchwytem złapał Westbrooka od tyłu i uniósł go nad ziemią.

Kiedy ofiara znajdowała się już na odpowiedniej wysokości, zwyczajnie ją puścił. Wtedy przyszła kolej na Josepha. Ten po prostu kopnął Trzeciego w sam środek nadziei na Czwartego.

W tym czasie burmistrz Brobst znów zawyła silnikiem, włączyła bieg i wycelowała caddy'ego prosto w sedana, który nagle zaczął jechać w jej stronę - i uciekać - co wyglądało na całkiem poważną wersję gry w spychanie.

Obejmując Shelby, Quinn obserwował „zawody”; wiedział, że Amelia Brobst jest prawdziwym graczem. Nie zamierzała się wycofać. Ani trochę. Nie Amelia i jej aparat słuchowy, i jej słomkowy kapelusz z kwiatkami... i jej caddy, który potrafił taranować niczym furgonetka Macka.

Sedan jechał przed siebie.

I caddy jechał przed siebie.

Shelby zamknęła oczy.

Sedan zjechał w ostatniej chwili, wpadając wprost na jedno z drzew świętej pamięci burmistrza Brobsta. Ostatecznie powalił co najmniej jeden z demolujących chodniki przykładów złego planowania.

Bywalcy, którzy czuli się trochę pominięci, ponieważ Tony i jego dwóch pomocników trzymało tasaki nad wciąż leżącym na ulicy zbiorem, obeszlą sedana, wyrwali z zawiasów drzwi i wywekli kierowcę.

- Czy ktoś nie powinien ich ratować, kochanie? - zapytała Shelby, która wreszcie otworzyła oczy. - To znaczy Parkera i jego przyjaciół.

- Wszystko jest pod kontrolą, moja droga - zapewnił wuj Alfred, dołączając do nich na parkingu. - Zadzwońłem po policję, jak tylko weszłaś do restauracji. - Spojrzał na Parkera, którego niczym piłkę odbijali sobie zdecydowanie rozbawieni Francis i Joseph, i skrzywił się. - Robią to z takim wdziękiem - powiedział i znów się wzdrygnął.

W oddali słyhać było syrenę, jej przejmujący dźwięk zdecydowanie się przybliżał, ponieważ pracujący na pół etatu oficer ze Wschodniego Wapeneken odpowiedział na wezwanie wuja Alfreda.

Wuj Alfred spojrział na Quinna i puścił do niego oko.

- Wszystko dobre, co się kończy zadowolająco, czy jak to tam szło. Delaney, mój chłopcze, czy nie sądzisz, że powinniśmy zaalarmować szefa policji? A może raczej powinniśmy pozwolić mu kontynuować grę? Zresztą, czemu nie...



## EPILOG

Ogrody w rezydencji Taite'ów były tak piękne, jak tylko mogła pozwolić sobie na to natura oraz wyobraźnia i niemałe talenty dekoratorskie Jeremy'ego Rifkina.

Ponieważ była połowa sierpnia, Jeremy zamówił donice z chryzantemami i setki tych kwiatów znaczyły każdą alejkę i miejsca, w których letnie rośliny zaczynały już więdnąć. Białe, żółte i różowe kwiaty przyjemnie kontrastowały z błękitnoniebieskimi, falującymi wzdłuż głównej alejki draperiami, które zdawały się spływać wprost z nieba. Alejka prowadziła do przystrojonego kwiatami drzewka, gdzie stał i czekał pastor.

Rzędy drewnianych, składanych krzeseł, starannie zamaskowanych białymi pokrowcami z błękitnoniebieskimi kokardami, stały po obu stronach brukowanej alejki i prawie wszystkie były już zajęte.

Bywalcy z żonami i dziećmi zajęli cztery rzędy po stronie panny młodej, więc Francis i Joseph poproszeni zostali o zajęcie miejsc po stronie pana młodego, by choć w części zostały zachowane proporcje. To nie wydawało się możliwe, gdyby ktoś popatrzył na Francisa i Josepha, ale poskutkowało wspaniale.

Pozostałe siedzenia zajęte zostały przez panią burmistrz Brobst i panią Fink, wszystkie kelnerki i pracowników restauracji, przez samego Tony'ego i wielu jego stałych klientów. Tabby rozsiadła się w pierwszym rzędzie panny młodej i trzymała pod ramię wuja Alfreda, a jej dzieci - cała szóstka poniżej dwunastego roku życia - siedziały sztywne i wyprostowane po obu ich stronach. Wuj Alfred sprawiał wrażenie dość zaniepokojonego i zdawał się rozglądać za możliwością dyskretnej ucieczki...

Brakowało jedynie pani Miller, która była przekonana, że przyjaciele Shelby z innej planety mogliby ją porwać i zrobić jej pranie mózgu. Jak podsumowała Tabby: „żeby tylko miała tyle szczęścia, ta stara nietoperzyca - miałaby za sobą swą niegodziwą drogę życia”.

Na trawniku stały dwa duże namioty - dwie białe konstrukcje z płóciennymi ściankami posiadającymi przejrzyste plastikowe wstawki, które przypominały okna w kościele. W jednym z namiotów znajdowały się ozdobne krzesła, kilkadziesiąt okrągłych stolików z serwetkami w kształcie łabędzi i duży stół z pięciopiętrowym tortem weselnym.

Drugi namiot służył jako wyrafinowany bufet. Jeremy, oczywiście, sprawował nadzór nad menu. To znaczy, nad większością. Był więc homar, filet mignon - wypisany w karcie przez jedno „l” - baran z rożna i świeży łosoś. Było sześć różnych przystawek warzywnych i cztery różne sałatki. Był szampan - najlepszy - i kilka gatunków wina.

A także duża beczułka zanurzona w wypełnionym kostkami lodu pojemniku, ulokowanym w narożniku zaraz koło skrzynek snapple. Na pytanie Jeremy'ego, czy nie mógłby udekorować pojemnika jakimiś proporczykami i kwiatami, Quinn odpowiedział zdecydowanie: „nie” i Jeremy musiał się z tym pogodzić.

Kiedy słońce przemieściło się na niebie, dokładnie o godzinie trzeciej po południu, Quinn stanął po jednej stronie alejki ubrany w wypożyczony frak. Biały, z błękitną muchą i szarfą.

Trzymał przed sobą luźno splecione dłonie, kiedy organista zamienił cichą muzykę, która wybrzmiewała w tle, w bardziej znajomą melodię.

Dwóch członków obsługi przeszło przez alejkę i podniosło dwa końce dywanu, po czym ostrożnie zaczęło się cofać, zostawiając za sobą długą na około dziesięć metrów wstęgę białego materiału

I była tam ona. Stała dokładnie na końcu przykrytej dywanem alejki.

Piękna. Była najpiękniejszą kobietą na świecie i uśmiechała się do niego. Szła w jego stronę, a jej pełne, błękitne, taftowe spódnice wirowały przy każdym ruchu. Jej nagie ramiona górowały nad falbankami i rzędami błękitnych koronek, przed słońcem osłaniał je wielki, błękitny, malowniczy kape-lusz wykończony satynowymi białymi, wstążkami.

Quinn wszedł na dywan i ruszył w stronę Shelby. Wy-ciągnął ku niej ramię, kiedy dotarła do piątego rzędu krzeseł - dokładnie tak, jak ćwiczyli to na próbie.

- Nie wiem, jak ktoś mógłby wyglądać przepięknie w tej sukni, żono, ale tobie się udało.

- Cii - ostrzegła go, a jej brązowe oczy załśniły. - Brandy zawsze o tym marzyła, od dziecka. Nie mogłam odmówić, A poza tym uważam, że oboje wyglądamy słodko.

Quinn położył dłoń na jej dłoni, ucisnął ją, po czym po-prowadził ją przez pozostałą część alejki - tej samej alejki, którą dwa tygodnie wcześniej kroczyli oni sami, a publiczność w większości składała się z tych samych gości. Nie było jedy-nie Grady'ego, który przyjął „intratne” zadanie, jak sam to nazwał, z powodu którego miał spędzić poza biurem co naj-mniej miesiąc, „na który sam zasłużyłeś po tym, jak mnie tu zostawiłeś samego, Quinn, stary bracie”

Quinn i Shelby rozdzielili się przed ołtarzem i stanęli po obu jego stronach, kiedy organy rozbrzmiały tradycyjną fanfa-rą, wyznaczającą początek „Marsza Weselnego” Stojący koło Delaney'a Gary lekko się zakołysał, wobec czego jego drużba szybko go podtrzymał.

- Masz obrączki? - zapytał prawie szalejący już Gary, który wyglądał, jakby został wciśnięty w swój biały frak, a następnie niemal uduszony białym węzłem krawata. - Mówiłeś, że masz obrączki. Masz obrączki?

- Tak, mam obrączki, Gar - uspokoił go Quinn. - A teraz rozchmurz się. Nawet mama się uśmiecha.

- Powinna - stwierdził Mack, wyciągając dużą białą chustkę i ocierając czoło. - Nie mogę uwierzyć, że wysyłacie ją do Europy.

Delaney, którego sugestia, żeby wysłać panią Mack na księżyc, została przez jego młodą żonę odrzucona, uśmiechnął się tylko. Następnie trącił łokciem Gary'ego, ponieważ na początku pokrytej dywanem alejki, wspierając się na ramieniu Somertona, stanęła Brandy.

- O, Boże - jęknął z przerażeniem Gary i zaczął gwałtownie przełykać ślinę, kiedy Brandy, cała w koronkach, zaczęła kroczyć alejką. - Spójrz na nią, Quinn. Tylko na nią spójrz...

Quinn spojrział na swoją żonę stojącą po drugiej stronie ołtarza. Widział, jak jej broda zaczyna drżeć, mimo że się uśmiechała, a jej brązowe oczy wypełniają się łzami szczęścia.

- Patrzę, Gar. Patrzę...